

TRACY CHEVALIER

DZIEWCZYNA Z MUSZLĄ



NOWA POWIEŚĆ HISTORYCZNA AUTORKI **DZIEWCZYNY Z PERŁĄ**

Romantyczna historia kobiecej przyjaźni i jednego z najważniejszych odkryć dziewiętnastowiecznej nauki.



Chevalier stwierdziła niedawno, że poszukiwanie skamieniałości może być seksowne.

W **Dziewczynie z muszlą** udowadnia, że miała rację.

Telegraph

Przepiękna, wyróżniająca się elegancją opowieść – jak obraz, który ją zainspirował.

The Wall Street Journal o **Dziewczynie z perłą**

ISBN 978-83-7659-397-5



9 788376 593975

WWW.TCHEVALIER.COM

Tej autorki

PŁONAŁ OGIEŃ TWOICH OCZU.

DZIEWCZYNA Z MUSZLĄ

TRACY CHEVALIER DZIEWCZYNA Z MUSZLĄ

Z angielskiego przełożyła
MARIA OLEJNICZAK-SKARSGÅRD



1

Inna niż wszystkie kamyki
na plaży

Piorun trafiał we mnie przez całe życie. Tylko raz trafił naprawdę. Nie powinnam tego pamiętać, bo byłam wtedy niemowlakiem. A jednak zapamiętałam. Stało się to na polu, gdzie jeźdźcy robili sztuki na koniach. Potem zerwała się burza i jakaś kobieta — nie mama — wzięła mnie na ręce i zaniósła pod drzewo. Trzymana w mocnym uścisku spoglądałam w górę i zobaczyłam czarne liście na białym niebie.

W pewnej chwili rozległ się huk, jakby dokoła padały drzewa, i rozbłysło jasne, bardzo jasne światło, niby słońce, gdy się w nie patrzy. Przeniknął mnie syk. Jakbym dotknęła rozżarzonego węgla. Czułam swąd przypalanego ciała i niby ból, choć to nie bolało. Miałam wrażenie, że wywracają mnie na drugą stronę jak pończochę.

Ludzie potrząsali mną, krzyczeli, ale nie mogłam wydobyć głosu. Gdzieś mnie zanieśli i wtedy poczułam na sobie ciepło, nie takie jak pod kocem, tylko mokre ciepło. To była woda, a wodę poznawałam — nasz dom stał nad morzem i widziałam je za oknami. Otworzyłam oczy i wydaje mi się, jakbym od tamtej pory ich nie zamykała.

Grom zabił kobietę, która trzymała mnie na rękach, i dwie dziewczyny stojące przy niej, ja przeżyłam. Mówią, że przed tą burzą byłam cichym, słabowitym dzieckiem, a później stałam się żywa i bystra. Nie umiem powiedzieć, czy to prawda, ale pamięć tamtego pioruna nadal odzywa się we mnie dreszczem. Dzieje się tak w ważnych chwilach mojego życia: gdy widzę czaszkę pierwszego krokodyla, którą znalazł Joe, i resztę ciała, którą sama znalazłam; gdy odkrywam inne potwory na plaży; gdy spotykam pułkownika Bircha. Bywa, że czuję uderzenie gromu i zastanawiam się, dlaczego uderzył. Czasem nic nie rozumiem, ale przyjmuję to, co powiada piorun — bo piorun jest mną. Wszedł we mnie, gdy byłam niemowlakiem, i pozostał na zawsze.

Czuję echo gromu za każdym razem, gdy znajduję skamielinę — lekki wstrząs, który mi mówi: „O tak, Mary Anning, jesteś inna niż wszystkie kamyki na plaży”. Dlatego zajmuję się zbieractwem: żeby wstrząsał mną ten grom i żebym czuła tę inność, dzień w dzień.

2

Zajęcie,
które nie przystoi damie,
brudne i tajemnicze

UMary Anning wiodące są oczy. Zauważyłam to wyraźnie już przy naszym pierwszym spotkaniu, gdy była jeszcze młodą dziewczyną. Ciemnobrażowe i lśniące, odznaczają się właściwą poszukiwaczom skamieniałości predyspozycją do ustawicznego wypatrywania, także na ulicy albo w domu, gdzie nie można znaleźć nic, co budziłoby zaciekawienie. Dzięki temu wydaje się osobą pełną wigoru, nawet gdy jest w bezruchu. Moje siostry twierdzą, że ja też raczej wodzę wzrokiem, niż się przyglądam, ale one, w przeciwieństwie do mnie, nie mówią tego w formie komplementu.

Dawno temu zaobserwowałam, że ludzie na ogół mają jeden konkretny rys, część twarzy albo ciała, który jest wiodący. Na przykład u mojego brata, Johna, są to brwi. Rzecz polega nie tylko na tym, że tworzą wyraźne krzaczaste linie nad oczami, lecz także są najbardziej ruchliwą częścią twarzy, podążają śladem jego myśli, gdy czoło marszczy mu się i wygładza. Z pięciorga Philpotów John jest drugim dzieckiem pod względem wieku i jedynym synem, co po

śmierci naszych rodziców uczyniło go odpowiedzialnym za cztery siostry. Każdemu w takim położeniu ruszają się brwi, choć trzeba powiedzieć, że John już w dzieciństwie odznaczał się powagą.

U mojej najmłodszej siostry, Margaret, wiodące są ręce. Ma drobne dłonie o proporcjonalnie długich, zgrabnych palcach i najlepiej z nas wszystkich gra na fortepianie. Porusza rękami w tańcu, a we śnie wyciąga je za głowę, nawet gdy jest zimno w pokoju.

Frances jako jedyna z sióstr Philpot wyszła za męża i u niej wiodący jest biust — co, jak sądzę, wyjaśnia ten fakt. Philpotowie nie słyną z urody. Mamy kościstą budowę i ostre rysy. Ponadto rodzice tak naprawdę mogli sobie pozwolić, bez uszczerbku dla całej rodziny, na pokrycie wydatków zamażpójścia tylko jednej córki i Frances wygrała w tej konkurencji, opuszczając dom na Red Lion Square i poślubiając kupca z Essex.

Zawsze najbardziej podziwiałam ludzi, u których wiodące są oczy, jak u Mary Anning, ci bowiem zwracają większą uwagę na to, jak przejawia się i funkcjonuje świat. Z tego względu najłatwiej mi znaleźć porozumienie z najstarszą siostrą Louise. Ma szare oczy, jak wszyscy Philpotowie, i jest małomówna, ale gdy padnie na ciebie jej wzrok, natychmiast to poczujesz.

Ja też zawsze chciałam mieć wiodące oczy, ale nie dopisało mi szczęście. Mam wydatną zuchwę i gdy zaciskam zęby — częściej niż powinnam, albowiem drażni mnie ten świat — twardnieje i nabiera ostrości, przypominając ostrze siekiery. Pewnego razu na balu usłyszałam przypadkiem, jak potencjalny konkurent mówi, iż nie śmie prosić mnie

do tańca w obawie, że skaleczy się o moją twarz. W istocie nigdy nie przebolełam tego stwierdzenia. To tłumaczy, dlaczego jestem panną i dlaczego tak rzadko tańczę.

Marzyłam o wiodących oczach zamiast żuchwy, ale spostrzegłam, że człowiek nie może zmienić swego dominującego rysu, tak jak nie może zmienić swego charakteru. No i jestem skazana na posiadanie mocnej żuchwy odstręczającej ludzi, utwardzonej niczym kolekcjonowane przeze mnie skamieniałości. A przynajmniej tak sądzę.

Poznałam Mary Anning w Lyme Regis, gdzie mieszkała przez całe życie. Z pewnością nie było to miejsce, gdzie spodziewałam się zamieszkać. Był nim oczywiście Londyn, a konkretnie dom przy Red Lion Square, w którym wychowała się nasza gromadka. Słyszałam o Lyme Regis, bo słyszy się o wchodzących w modę kurortach nadmorskich, ale nigdy tam nie pojechaliśmy. Latem udawaliśmy się zazwyczaj do hrabstwa Sussex, na przykład do Brighton czy Hastings. Gdy żyła nasza mama, dokładała starań, żebyśmy przebywali na świeżym powietrzu i kąpali się w morzu, podzielała bowiem poglądy doktora Richarda Russella, autora rozprawy o zaletach korzystania z wody morskiej, tak do kąpienia się, jak i do picia. Na picie wody morskiej nie miałam ochoty, natomiast zdarzało mi się popływać. Nad morzem czułam się u siebie, nigdy jednak nie przypuszczałam, że z czasem to stwierdzenie będzie prawdziwe również w sensie dosłownym.

Dwa lata po śmierci rodziców, pewnego wieczoru przy kolacji, nasz brat obwieścił swoje zaręczyny z córką jednego z adwokatów zaprzyjaźnionych z naszym ojcem. Pośpieszyliśmy z pocałunkami i gratulacjami, a Margaret uroczyście

odegrała na fortepianie walca. Tamtego wieczoru, leżąc w łóżku, rozpłakałam się — moje siostry zapewne też — wiedząc, że nadszedł koniec naszego dotychczasowego życia w stolicy. Gdy brat się ożeni, wspólne zamieszkiwanie przy Red Lion Square stanie się niemożliwe ze względu na niedostatek miejsca i funduszy. Nowa pani Philpot naturalnie będzie chciała sama prowadzić swój dom i zapełnić go dziećmi. Obecność trzech sióstr byłaby zbyt duża, zwłaszcza w sytuacji, gdy zamążpójścia którejs z nas raczej nie należało brać pod uwagę. I Louise, i ja wiedziałyśmy, że jest nam pisane staropanieństwo. Ponieważ dysponowałyśmy skromnymi funduszami, mężów miały przyciągać nasz charakter i powierzchowność, ale one nazbyt nas wyróżniały, by pokładać w nich nadzieję. Choć oczy ożywiały i rozjaśniały twarz Louise, była bardzo wysoka — o wiele za wysoka dla większości mężczyzn — i miała duże ręce i stopy. Ponadto rzadko się odzywała, odbierając śmiałość konkurentom, przekonanym, że ich osądza. Prawdopodobnie tak też robiła. Ja zaś byłam niska, koścista i nieładna, nie umiałam flirtować, natomiast chętnie rozmawiałam na poważne tematy, co też odstręczało panów.

Miano nas zatem przenieść jak owce z wyjedzonego pastwiska na inne. A John musiał zostać naszym pasterzem.

Następnego ranka podczas śniadania John położył na stole książkę, którą pożyczył od znajomego.

— Przyszło mi na myśl, że mogłybyście spędzić letnie wakacje w jakimś nowym miejscu, zamiast znowu odwiedzać wujostwo w Brighton — wystąpił z propozycją. — Odbyć małą podróż, by tak rzec, wzdłuż południowego wybrzeża. Teraz, gdy wojna z Francją uniemożliwia podróżowanie po

kontynencie, przybywa nadmorskich kurortów. Może któryś przypadnie wam do gustu bardziej niż Brighton. Na przykład Eastbourne albo Worthing. Albo położone dalej Lymington czy też Weymouth lub Lyme Regis w Dorset.

John recytował nazwy miasteczek, jak gdyby miał w głowie listę i wymieniając je, stawiał przy każdym ptaszka. Tak funkcjonował jego uporządkowany prawniczy umysł. Najwyraźniej przemyślał już kwestię, dokąd chce nas wysłać, i ostrożnie kierował tam swoje stadko.

— Rozejrzyjcie się i zobaczcie, co wam odpowiada — dodał, stukając w książkę.

Choć tego nie powiedział, wszystkie wiedziałyśmy, że celem tej podróży nie jest po prostu wybranie przyjemnej miejscowości letniskowej — mamy znaleźć sobie nowy dom, gdzie będziemy żyć na niższej stopie, ale nie jak nędzarki w Londynie.

Gdy John udał się do kancelarii, wzięłam do ręki pozostawioną książkę.

— *Przewodnik po zdrojowiskach i kąpieliskach nadmorskich na rok 1804* — przeczytałam na głos, z myślą o Louise i Margaret.

Przerzucałam kartki, na których widniały nazwy angielskich miejscowości w porządku alfabetycznym. Modne Bath było opisane oczywiście najobszerniej — na czterdziestu dziewięciu stronach, do tego duża mapa i luźna wkładka przedstawiająca panoramę miasta z równymi rzędami domów o eleganckich fasadach, otoczonego wzgórzami w tle. Nasze ukochane Brighton otrzymało entuzjastyczną recenzję na dwudziestu trzech stronach. Zerknęłam na opisy miejscowości, o których wspomniał nasz brat, i okazało się, że

część z nich to niewiele więcej niż zwykłe wioski rybackie, zasługujące tylko na dwie stroniczki beznamiętnych frazesów. Przy każdej nazwie John postawił kropkę na marginesie. Przypuszczam, że przeczytał wszystkie opisy w książce i wybrał najbardziej odpowiednie miasteczka. Już zrobił rozeznanie.

— Jakie są niedostatki Brighton? — zapytała stanowczym tonem Margaret.

Akurat czytałam o Lyme Regis i zrobiłam kwaśną minę.

— Tu masz odpowiedź — powiedziałam, podając siostrze przewodnik. — Przyjrzyj się podkreśleniom Johna.

— „Lyme odwiedzają głównie ludzie stanu średniego — zaczęła głośno czytać — którzy udają się tam nie zawsze dla podreperowania szwankującego zdrowia, ale często dla uzdrowienia zachwianej sytuacji finansowej lub zwiększenia uszczuplonych dochodów”. — Położyła książkę na kolanach. — A więc Brighton jest zbyt drogie dla sióstr Philpot. Tak należy to rozumieć?

— Możesz zostać tu z Johnem i jego małżonką — zaproponowałam w przypływie wielkoduszności. — Sądzę, że z jedną z nas poradzą sobie. Wcale nie musimy we trzy udawać się na wygnanie.

— Co też ty mówisz, Elizabeth? Nie rozłączymy się — oświadczyła Margaret, okazując lojalność, za którą ją uściskałam.

. . .

Tamtego lata objechałyśmy wybrzeże zgodnie z sugestią Johna, mając do towarzystwa wujostwo, naszą przyszłą bratową i jej matkę oraz naszego brata, gdy pozwalał mu

czas. Wszyscy rzucali uwagi w rodzaju: „Jaki wspaniały ogród! Zazdroszczę tym, co tu mieszkają i przez cały rok mogą sobie spacerować wedle upodobania” albo: „Ta ruchoma biblioteka ma tak bogate zbiory, że można by sądzić, iż jest się w Londynie”, albo: „Czujecie to łagodne, świeże powietrze? Szkoda, że nie mogę nim oddychać przez wszystkie dni w roku”. Irytowało nas to, że inni wygłaszają takie zdawkowe sądy o czekającej nas przyszłości, zwłaszcza nasza bratowa, która miała przejąć dom Philpotów i nie musiała serio rozważać, czy zamieszka w Worthing, czy w Hastings. Jej wypowiedzi stały się tak trudne do zniesienia, że Louise zaczęła wymigiwać się od wspólnych wycieczek, a ja byłam coraz bardziej zgryźliwa. Jedyne Margaret oglądała nieznanne miejsca z radością, nawet jeśli powodem do śmiechu było błoto w Lymington czy wiejski teatrzyk w Eastbourne. Najbardziej przypadło jej do gustu Weymouth — które upodobał sobie król Jerzy, dzięki czemu cieszyło się większą popularnością od pozostałych miejscowości — z powodu kilku codziennych połączeń dylizansem z Londynem i Bath oraz ciągłego napływu wytwornego towarzystwa.

Ja z kolei byłam nie w sosie przez dużą część podróży. Gdy człowiek wie, że spędza wakacje w miejscowości, gdzie być może będzie zmuszony zamieszkać, ma zrujnowany pobyt. Trudno było nie zauważyć, że te miejsca nie dorównują stolicy. Także Brighton i Hastings, do których dawniej przyjeżdżałam z wielką ochotą, pozostawiały wiele do życzenia pod względem atmosfery i uroku.

Do Lyme Regis dojechałyśmy tylko we trzy. John musiał wracać do kancelarii i zabrał swoją narzeczoną oraz jej

matkę, a naszego wuja dopadła podagra, więc utykając, ruszył z ciotką w drogę powrotną do Brighton. Podróżowaliśmy dylizansem pod opieką państwa Durhamów, poznanych w Weymouth, którzy potem pomogli nam wynająć kwaterę przy Broad Street, głównej ulicy miasteczka.

Ze wszystkich miejscowości, które odwiedziłyśmy tego lata, Lyme pociągało mnie najbardziej. Nadszedł już wrzesień, uroczy miesiąc wszędzie. Jego łagodna aura i złociste światło uprzyjemniają pobyt nawet w najbardziej ponurym kurorcie. Cieszyłyśmy się pogodnymi dniami i swobodą, której nie krępowały oczekiwania ze strony rodziny. Wreszcie mogłam wyrobić sobie własny pogląd na temat miejsca, gdzie być może zamieszkamy.

Szybko dało się zauważyć, że Lyme Regis raczej przystosowało się do swej okolicy, niż ją sobie podporządkowało. Otaczające je wzgórza są tak strome, że dylizanse nie mogą zjechać w dół — pasażerowie wysiadają przy gospodzie Queen's Arms w Charmouth lub na rozdrożu w Uplyme i kontynuują podróż wozami. Wąska droga schodzi do morza i szybko zawraca, pnąc się po zboczu, jak gdyby chciała tylko zerknąć na fale i zaraz uciec. Na dole, gdzie rzeczka Lym wpada do morza, jest plac stanowiący środek miasteczka. Tam znajduje się najważniejsza gospoda, Three Cups, a naprzeciw niej dom celny i sale asamblowe*, które, choć skromne, szczycą się trzema szklanymi żyrandolami i eleganckim oknem wykuszowym z widokiem na wybrzeże. Domy ciągną się od środka miasteczka brzegiem morza

* Z franc. *assemblee* — zgromadzenie, spotkanie.

i w górę rzeki. Sklepy i jatki targowiska Shambles stoją przy biegnącej w górę Broad Street. Miasto nie zostało zbudowane planowo jak Bath, Cheltenham czy Brighton, lecz wygina się to w tę, to w tamtą stronę, jak gdyby chciało uciec przed wzgórzami i morzem — bez powodzenia.

Ale Lyme to coś więcej. Składają się na nie jakby dwie wioski leżące obok siebie i połączone małą piaszczystą plażą, gdzie stoją rzędami kabiny kąpielowe na kółkach i czekają na przyjazd gości. Owo drugie Lyme, przy zachodnim krańcu plaży, nie stroni od morza, lecz je ogarnia. Góruje tam Cobb, długi szary wał z kamienia, w kształcie zagiętego palucha, który wchodzi w wodę i osłania brzeg, tworząc spokojny port dla łodzi rybackich i przypływających zewsząd statków handlowych. Cobb jest wysoki na kilkanaście stóp i wystarczająco szeroki, by zmieściły się trzy osoby idące ramię w ramię, a spacerowiczów bywa na tym molo wielu, gdyż rozciąga się stamtąd ładny widok na miasto i pełne dramatyzmu nadbrzeże, i dalej na falujące wzgórze i skały w zieleni, szarości i brązie.

Bath i Brighton są piękne pomimo swojego otoczenia, jednolite budynki z gładkiego kamienia stanowią obiekt miły dla oka. Lyme jest piękne ze względu na swoje otoczenie i pomimo nijakich domów. Od razu przypało mi do gustu.

Moje siostry również polubiły to miasteczko, choć z innych powodów. Margaret zadowoliło po prostu królowanie na tutejszych balach. Jako osiemnastolatka była pełna życia i świeżości, i ładna w porównaniu z resztą Philpotów. Miała śliczne ciemne włosy układające się w loki i długie ręce, które lubiła unosić, by podziwiano ich kształtne linie. Nawet

zbyt pociągła twarz, zbyt wąskie usta i zbyt wydatne ścięgna na szyi nie odgrywały żadnej roli w młodym wieku. Nabrały znaczenia później. Ale Margaret przynajmniej nie miała mojej zuchwy jak topór ani godnego ubolewania wzrostu Louise. Tamtego lata dorównywało jej niewiele dziewcząt w Lyme, a panowie darzyli ją większym zainteresowaniem niż w Weymouth czy Brighton, gdzie grono rywalek było liczniejsze. Margaret dogadzało życie od balu do balu, a w pozostałe dni chodzenie na karty czy na podwieczorki do sal asamblowych, kąpiele w morzu i spacerzy po Cobb z nowymi przyjaciółkami.

Louise nie obchodziły bale ani gry karciane. Niedługo po przyjeździe natrafiła na teren leżący nieopodal klifów na zachód od miasta, pokryty zaskakującą roślinnością i dzikimi, ustronnymi ścieżkami, które powstały z osuwających się kamieni i zarosły bluszczem i mchem. To odkrycie zaspokajało jej botaniczne zainteresowania i pasowało do jej skrytego usposobienia.

Ja z kolei znalazłam odpowiadające mi zajęcie podczas przedpołudniowego spaceru po Monmouth Beach, na zachód od Cobb. Przyłączyłyśmy się do Durhamów, przyjaciół z Weymouth, i poszłyśmy odszukać osobliwy występ skalny przy plaży, zwany Cmentarzyskiem Wężów, odsłonięty jedynie podczas odpływu. Okazało się, że drogajest dłuższa, niż sądziłyśmy, a przy tym poruszanie się w lekkich czółenkach po kamienistej plaży sprawiało wiele trudności. Musiałam ciągle patrzeć pod nogi, żeby się nie potknąć. W pewnej chwili, stąpając z kamienia na kamień, dostrzegłam dziwny kamyk w paski. Schyliłam się i wzięłam go do ręki — zrobiłam to pierwszy raz z tysięcy razy w później-

szych latach. Miał kształt spirali i na grzbiecie garby w równych odstępach; przypominał zwiniętego w kłębek węża z czubkiem ogona w środku. Ten regularny wzór cieszył oko do tego stopnia, że musiałam zatrzymać znalezisko, choć nie miałam pojęcia, co to jest. Wiedziałam tylko, że nie kamień.

Pokazałam je Louise i Margaret, a potem naszym przyjaciółom z Weymouth.

— O, kamień węzowy — oznajmił pan Durham.

Niemal wypuściłam znalezisko z rąk, choć rozum mówi mi, że ani to żywy wąż, ani kamień. Domyśliłam się po chwili.

— To jest... skamieniałość, prawda? — Użyłam tego słowa z wahaniem, niepewna, czy jest znane Durhamom.

Rzecz jasna czytałam o skamieniałościach i widziałam je w Muzeum Brytyjskim, wyeksponowane w gablotach, ale nie sądziłam, że tak łatwo można je znaleźć na tej plaży.

— Tak przypuszczam — odrzekł pan Durham. — Ludzie często natrafiają tu na takie rzeczy. Niektórzy miejscowi sprzedają je jako osobliwości. Mówią o nich „dziwy”.

— Gdzie on ma głowę? — zapytała Margaret. — Wygląda na to, że została odcięta.

— Może odpadła — poddała myśl panna Durham. — Gdzie pani znalazła ten kamień, panno Philpot?

Pokazałam miejsce i wszyscy zaczęliśmy się rozglądać, ale nigdzie nie było głowy. Pozostali szybko się zniechęcili i poszli dalej, ja zaś kontynuowałam poszukiwania, a potem ruszyłam za towarzystwem, co chwila otwierając dłoń, by spojrzeć na pierwszy znaleziony przez mnie okaz, zwany

amonitem, jak się później dowiedziałam. Dziwnie się czułam, mając w ręku jakieś stworzenie, jeśli rzeczywiście było stworzeniem, a zarazem sprawiało mi to przyjemność. Obejmowanie jego bryły dłonią działało pokrzepiająco, jak chodzenie z laską czy trzymanie się poręczy schodów.

Na końcu Monmouth Beach, tuż przed Seven Rocks Point, gdzie brzeg morza znika za zakrętem, znaleźliśmy Cmentarzysko Wężów. Była to gładka wapienna półka ze spiralnymi odciskami — białe linie na szarym kamieniu — setek stworzeń takich jak to, które trzymałam w ręku, z tą różnicą, że tamte były ogromne, każdej wielkości dużego płaskiego talerza. Widok sprawiał tak dziwne i posępne wrażenie, że wszyscy wpatrywaliśmy się w milczeniu.

— To zapewne boa dusiecie, nie sądzicie? — odezwała się Margaret. — Jakie ogromne!

— Przecież w Anglii nie ma boa dusieli — zauważyła panna Durham. — Jak tu dotarły?

— Może kiedyś, kilkaset lat temu, żyły na tej ziemi — wtrąciła pani Durham.

— Nawet przed tysiącem lat albo pięcioma tysiącami — zaryzykował przypuszczenie pan Durham. — Mogą mieć tyle lat. Możliwe, że potem boa dusiecie przeniosły się na inne tereny.

Nie przypominało mi to wężów ani żadnego znanego mi zwierzęcia. Weszłam na półkę, stąpając ostrożnie, żeby nie nadepnąć na te stworzenia, nawet jeśli najwyraźniej nie żyły od dawna i zachowały się nie tyle ich fizyczne ciała, ile zarysy na skale. Z trudem przychodziło mi wyobrazić je sobie żywe. Sprawiały wrażenie niezmiennych, jakby zawsze były z kamienia.

Pomyślałam, że gdybyśmy mieszkali w Lyme, mogłabym przychodzić tu i oglądać te stworzenia do woli. Znalazłabym na plaży mniejsze kamienie węzowe i inne skamieniałości. To już było coś. Mnie zadowalało.

John był zachwycony naszym wyborem. Nie dość, że w Lyme żyło się tanio, to jeszcze William Pitt Młodszy przebywał tu na rekonwalescencji w młodzieńczych latach; Johna podniósł na duchu fakt, że brytyjski premier wysoko cenił sobie miejscowość, do której on zsyła na wygnanie swoje siostry. Przeprowadziłyśmy się do Lyme następnego wiosny, gdy John zapewnił nam lokum w wiejskim domku położonym wysoko nad sklepami i plażą, na górnym krańcu Silver Street będącej przedłużeniem Broad Street na stromiznie wzgórza i prowadzącej za miasto. Niedługo później nowożeńcy sprzedali nasz dom przy Red Lion Square i dołożywszy pewną sumę z zasobów rodzinnych, kupili nowo postawiony dom przy pobliskiej Montague Street, obok Muzeum Brytyjskiego. Dokonując wyboru miejsca zamieszkania, nie chcieliśmy, żeby przeprowadzka odcięła nas od przeszłości, ale tak się stało. W Lyme pozostało nam troszczyć się tylko o teraźniejszość i przyszłość.

Widok Morley Cottage wywołał u nas wstrząs: małe pokoje, niskie sufity i nierówne podłogi zupełnie inne niż w londyńskim domu, gdzie dorastałyśmy. Budynek był zrobiony z kamienia i pokryty łupkową dachówką. Na parterze znajdowały się salonik, jadalnia i kuchnia, na piętrze dwie sypialnie i na poddaszu pokój naszej służącej, Bessy. Dzieliłam sypialnię z Louise, drugą zaś dałyśmy

Margaret, która narzekała, gdy czytałyśmy do późna — Louise książki botaniczne, a ja przyrodoznawcze. W domu nie zmieścił się ani fortepian naszej mamy, ani kanapa, ani mahoniowy stół jadalny. Musiałyśmy zostawić te rzeczy w Londynie i kupić mniejsze, prostsze meble w pobliskim Axminster, a mały fortepian w Exeter. Fizyczne ograniczenie przestrzeni i umeblowania odzwierciedlało nasz prywatny regres: od zamożnej rodziny, posiadającej liczną służbę i przyjmującej wielu gości, do skromnego domostwa z jedną służącą do gotowania i sprzątania, w mieścinie, gdzie było zdecydowanie mniej rodzin, z którymi mogłyśmy utrzymywać kontakty towarzyskie.

Mimo to wkrótce przywykłyśmy do nowego domu. Mało tego, po pewnym czasie uznałyśmy, że londyński dom był za duży. Wysokie sufity i wielkie okna utrudniały ogrzewanie pomieszczeń, przestronnością wykraczających poza rzeczywiste potrzeby człowieka; wielkopańskość trąci fałszem u ludzi, którzy nie są wielkimi panami. Morley Cottage był damskim domem, rozmiarami odpowiadał charakterowi i oczekiwaniom damy. Oczywiście nigdy nie mieszkał z nami mężczyzna, więc taka myśl nasuwa się łatwo, ale sędzę, że mężczyźni o takiej jak nasza pozycji społecznej żyłoby się tutaj niewygodnie. Jak Johnowi, ilekroć nas odwiedzał; ciągle uderzał głową o belki, potykał się o nierówne progi, pochylał, żeby wyrzec przez niskie okno, albo chwiał na stromych schodach. Tylko palenisko w kuchni było większe niż ruszt pieca w Bloomsbury.

Przyzwyczyałyśmy się również do tego, że w Lyme zawęził się krąg naszych znajomych. Miasteczko jest odosobnione — najbliższa większa miejscowość to Exeter, położone

dwadzieścia pięć mil na zachód. W rezultacie mieszkańcy, choć podporządkowują się teraźniejszym wymaganiom społecznym, postępują dziwnie i nieprzewidywalnie. Bywają małostkowi, a mimo to tolerancyjni. Nie dziwi zatem fakt, że jest tu kilka sekt dysserterów. Oczywiście najważniejszy kościół, Świętego Michała, nadal należy do anglikanów, lecz oprócz niego są również zbory skupiające ludzi, którzy kwestionują tradycyjną doktrynę wiary: metodyści, baptyści, kwakrzy i kongregacjoniści.

Znalazłam kilkoro nowych przyjaciół w Lyme, ale to duch tego miejsca w całości pociągał mnie bardziej niż konkretni ludzie — to znaczy dopóki nie poznałam Mary Anning. Zdaniem miejscowych przeflancowane z Londynu panny Philpot należało traktować z pewną dozą podejrzliwości i zarazem z lekką pobłażliwością. Choć byłyśmy niezamożne — sto pięćdziesiąt funtów rocznie nie pozwalała trzem starym pannom na korzystanie z licznych przyjemności — niewątpliwie powodziło nam się lepiej niż wielu innym w Lyme i cieszyłyśmy się niejakim szacunkiem z racji wykształcenia i związków z prawniczą londyńską rodziną. Nieobecność mężczyzn w życiu nas trzech z pewnością wywoływała wesołość, ale przynajmniej śmiano się za naszymi plecami, nie zaś w żywe oczy.

Choć Morley Cottage był całkiem zwyczajny, za oknami rozciągał się wspaniały widok na Lyme Bay i pasmo wzgórz po wschodniej stronie wybrzeża, nad którymi górowało najwyższe wzniesienie zwane Golden Cap, i w bezchmurne dni widać było na samym końcu Isle of Portland czający się przy brzegu niczym krokodyl zanurzony w wodzie aż po długie, płaskie łeb. Często wstawałam wczesnym rankiem

i z herbatą w ręku siadałam przy oknie, żeby popatrzeć, jak wschodzi słońce i złoci czubek Golden Cap, potwierdzając słusność tej nazwy*. Ta sceneria łagodziła piekący ból, jaki nadal odczuwałam zmuszona mieszkać w tym odległym, lichym uzdrowisku na południowo-zachodnim wybrzeżu Anglii, z dala od ruchliwej, tętniącej życiem stolicy. Gdy blask słońca zalewał wzgórze, miałam wrażenie, że łatwiej mi pogodzić się z naszym odizolowaniem, a nawet dostrzec korzyści takiego stanu rzeczy. Natomiast gdy przychodziły pochmurne dni, szalała wichura czy po prostu robiło się szaro, wpadałam w rozpacz.

Niedługo po wprowadzeniu się do Morley Cottage nabrałam pewności, że moim zamiłowaniem stanie się zbieranie skamielin. Musiałam bowiem rozwinąć w sobie zamiłowanie do czegoś: w wieku dwudziestu pięciu lat, przy nikłym prawdopodobieństwie zamążpójścia, potrzebowałam jakiegoś hobby, żeby wypełnić sobie czas. Bycie damą jest czasem takie nużące.

Siostry już znalazły dla siebie pola działania. Louise spędzała czas na czworakach w przydomowym ogrodzie, wrywając hortensje, które uważała za prostackie. Margaret zaspokajała swoje zamiłowanie do kart i tańca w tutejszych salach asamblowych. Gdy tylko mogła, namawiała Louise i mnie, żebyśmy jej towarzyszyły, ale szybko znalazła młodsze współniczki. Nic nie zniechęca potencjalnych konkurentów bardziej niż niezamężne starsze siostry, które krążą w oddali i robią ironiczne uwagi, zasłaniając sobie usta dłonią w rękawicze. Margaret dopiero co skończyła

* *Golden* (ang.) – złocisty, złoty.

dziewiętnaście lat i wciąż żywiła ogromne nadzieje związane z bywaniem w salach asamblowych, choć narzekała na prowincjonalność tańców i strojów.

Mnie zaś wystarczył widok pierwszego złociście połyskującego amonita, którego zobaczyłam na plaży między Lyme a Charmouth, bym uległa uwodzicielskiej sile emocji towarzyszących znajdowaniu zaskakujących skarbów. Coraz częściej spacerowałam po nadbrzeżu, choć w owym czasie niewiele kobiet interesowało się skamieniałościami. Uważano, że jest to zajęcie, które nie przystoi damie, brudne i tajemnicze. Nie przejmowałam się tymi opiniami. Nie było wokół mnie nikogo, na kim chciałabym wyrzeć wrażenie swoją kobiecością.

Skamieliny niewątpliwie dostarczają szczególnego rodzaju przyjemności. Nie każdemu się podobają, ponieważ są szczątkami stworzeń. Gdy człowiek zbyt długo się nad tym zastanawia, ogarnia go zdumienie na myśl, że trzyma w rękach martwe od dawna ciało. Co więcej, one nie są z tego świata, lecz pochodzą z przeszłości bardzo trudnej do wyobrażenia. To mnie pociąga, ale również sprawia, że wolę zbierać skamieniałe ryby o łuskach i płetwach tworzących niezwykle wzory — przypominają ryby, które jemy co piątek, i dlatego w większym stopniu zdają się należeć do teraźniejszości.

Właśnie z powodu skamielin po raz pierwszy zetknęłam się z Mary Anning i jej rodziną. Zebrawszy zaledwie garstkę okazów, uznałam, że będzie mi potrzebna gablota, by wyeksponować je należycie. W naszej rodzinie zawsze byłam od ustawiania — to ja układałam w wazonach kwiaty Louise i rozmieszczałam porcelanę, którą Margaret zabrała

z Londynu. Potrzeba porządkowania rzeczy zaprowadziła mnie do niższej części miasta, do stolarni Richarda Anninga mieszczącej się w suterenie domu przy Cockmoile Square. Plac to zbyt szumna nazwa tego skrawka otwartej przestrzeni, mniej więcej wielkości salonu w dostatnim domu. Choć Cockmoile Square leżał tuż obok głównego placu w mieście, dokąd zachodziło wytworne towarzystwo, był otoczony obskurnymi domami, gdzie mieszkali i pracowali rzemieślnicy. W rogu placu znajdowało się małe więzienie, a przed nim stały dyby.

Richard Anning został mi polecony jako przyzwoity stolarz meblowy, ale i tak rychło trafiłabym pod jego dom choćby po to, żeby porównać swoje skamieniałości z rozłożonymi na straganie przed stolarnią, którymi handlowała młoda Mary Anning. Była wysoką, szczupłą dziewczyną o umięśnionych nogach i rękach, bardziej przywykłych do pracy niż do bawienia się lalkami. Jej twarzy, płaskiej i dość popospolitej, nadawały wyraz śmiałe brązowe oczy jak kamyki. Gdy podeszłam, przeglądała okazy znajdujące się w koszu, wybierała amonity i wrzucała je do różnych misek, jak gdyby w coś grała. Już w tak młodym wieku umiała rozpoznawać różne typy amonitów, porównując ich spiralne zwoje. Przerwała swoje zajęcie i podniosła oczy pełne werwy i ciekawości.

— Pani chce kupić dziwy? Mam tu bardzo ładne. Pani spojrzy, śliczna lilia morska, tylko za koronę.

Wzięła ze stołu piękny egzemplarz krynoidu z długimi, pierzastymi ramionami, rzeczywiście przypominającego lilię. Nie lubię lilii. Mają przesłodzony zapach, a ja wolę ostrzejsze wonie: Bessy suszy moje prześcieradła zgodnie z moim

życzeniem na krzewie rozmarynu w przydomowym ogrodzie, natomiast prześcieradła moich siostr rozwiesza nad lawendą.

— Podoba się pani... panno...? — namawiała wytrwale Mary.

Skrzywiłam się. Czy to takie widoczne, że jestem niezamężna? Oczywiście, że było widoczne. Przede wszystkim nie towarzyszył mi mąż, który troszczyłby się o mnie i mi dogadzał. Ponadto zauważyłam u mężatek coś jeszcze: niezachwiane samozadowolenie wynikające z tego, że nie muszą się martwić o swoją przyszłość. Zamężne kobiety można było porównać do galaretki zastygłej w naczyniu, podczas gdy stare panny, jak ja, były bezkształtne i nieprzewidywalne.

— Dziękuję, mam własne skamieliny — powiedziałam, klepiąc swój koszyk. — Przyszłam zobaczyć się z twoim ojcem. Zastałam go?

Mary wskazała ruchem głowy schody prowadzące w dół do otwartych drzwi. Schyliwszy się, weszłam do ciemnej, brudnej izby, gdzie było pełno drewna i kamienia, a podłogę pokrywały wióry i gruby pył kamienny. Uderzył mnie tak silny zapach pokostu, że już miałam się wycofać, ale Richard Anning wlepił we mnie wzrok i przygwoździł spiczastym, kształtnym nosem. Nigdy nie darzyłam sympatią ludzi, u których wiodący jest nos: skupia wszystko na środku twarzy, a ja, czując skoncentrowaną na sobie uwagę, jestem jak w potrzasku.

Richard Anning był średniego wzrostu, miał ciemne lśniące włosy i mocną zuchwę oraz ciemnoniebieskie oczy o szczególnym odcieniu, który nadawał im wyraz skrytości.

Zawsze wpadałam w irytację, widząc, że jest taki przystojny, a przy tym ma surowe, przekorne usposobienie i czasem nieokrzesany sposób bycia. Nie przekazał swojej urody córce, która miałaby z niej więcej pożytku.

Siedział pochylony nad małą szafką z przeszklonymi drzwiczkami i trzymał w ręku pędzel umoczony w pokoście. Od pierwszej chwili poczułam niechęć do tego człowieka, ponieważ nawet nie odłożył pędzla i ledwie prześlizgnął się wzrokiem po moich okazach, gdy wyjaśniałam, co mi jest potrzebne.

— Gwinea — oświadczył.

To była szokująco wysoka cena. Czy on chciał wykorzystać niezamężną kobietę przybyłą z Londynu? A może sądził, że jestem zamożna. Obrzuciwszy piorunującym spojrzeniem jego przystojną twarz, zastanawiałam się przez chwilę, czy nie lepiej, by rozmówił się z nim mój brat, gdy następnym razem tu przyjedzie. Ale być może musiałabym czekać wiele miesięcy, a poza tym nie chciałam polegać w każdej sprawie na bracie. Postanowiłam sama radzić sobie w Lyme, nie dopuszczając do tego, by rzemieślnicy śmiali się za moimi plecami.

Dość było rozejrzeć się po warsztacie, by mieć pewność, że Anningowi zależy na klientach. Z tego spostrzeżenia należało wyciągnąć korzyść dla siebie.

— Skoro pan zaproponował taką niebotyczną sumę, mówi się trudno. — Zaczęłam zawijać swoje skamieniałości w muślin i wkładać do koszyka. — Myślałam, że umieszczę pana nazwisko na każdej gablocie, w miejscu widocznym dla wszystkich, którzy będą oglądać moją kolekcję. W tej sytuacji będę musiała udać się do kogoś bardziej rozsądnego.

— Chce wystawiać toto na pokaz? — Wskazał ruchem głowy koszyk.

Jego niedowierzanie przekonało mnie, że jeśli będzie trzeba, poszukam meblarza w Axminster albo nawet w Exeter, byle tylko nie składać zamówienia u tego człowieka. Wiedziałam, że nigdy go nie polubię.

— Do widzenia panu — powiedziałam.

Odwrociłam się, żeby wejść na schody, ale w tym teatralnym odejściu przeszkodziła mi Mary, która stała niewzruszenie w drzwiach i tarasowała mi drogę.

— Jakie są tam dziwy? — zapytała stanowczym tonem, patrząc na mój koszyk.

— Z pewnością cię nie zainteresują — mruknęłam i precyzyjnie się obok niej, wyszłam na placyk.

Nie mogłam znieść myśli, że ton, jaki przybrał Richard Anning, dotknął mnie do żywego. Po co przejmować się opinią jakiegoś meblarza? W istocie uważałam, że moje drobiazgi są niczego sobie, zważywszy, że jestem nowicjuską w poszukiwaniu skamieniałości. Znalazłam nieuszkodzony zwój amonita i fragmenty kilku innych oraz długą strzałkę belemnita z nienaruszonym czubkiem, rzadki okaz, bo najczęściej spotyka się złamane. Ale teraz, właśnie gdy rozłuszczona mijałam kram Anningów, zauważyłam, że ich znaleziska znacznie przewyższają moje tak pod względem różnorodności, jak urody. Były całe, wypolerowane, rozmaite i liczne. Na stole leżały okazy, o których bym nie pomyślała, że są skamielinami: coś jakby małże, kamień w kształcie serca ze wzorem na powierzchni, jakieś stworzenie z pięcioma długimi falistymi ramionami.

Mary puściła mimo uszu moją niegrzeczną uwagę i wyszła za mną na dwór.

— Pani ma krągi?

Przystanęłam, tyłem do niej, do kramu, do tego nędznego warsztatu.

— Co to takiego?

Usłyszałam szuranie na stole, stuki kamienia o kamień.

— Części grzbietu krokodyla — powiedziała Mary. — Powiadają, że to zęby, ale tata i ja wiemy swoje. O takie.

Odwrociłam się i spjrzałam na kamień, który trzymała w wyciągniętej ręce. Był wielkości dwupensówki, ale grubszy, zaokrąglony, z prostymi bokami. Miał wklęsłą powierzchnię i zwężał się na środku, jakby ktoś ścisnął go palcami, gdy był jeszcze miękki. Przypomniał mi się szkielet jaszczurki, który widziałam w Muzeum Brytyjskim.

— Masz na myśli kręgi — poprawiłam ją, biorąc kamień do ręki. — O to ci chodziło. Ale w Anglii nie ma krokodyli.

Mary wzruszyła ramionami.

— Po prostu ich nie widzieliśmy. Może gdzieś sobie poszły. Na przykład do Szkocji.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Gdy oddawałam krąg, Mary rozejrzała się, sprawdzając, gdzie jest ojciec.

— Pani go weźmie — szepnęła.

— Dziękuję. Jak masz na imię?

— Mary.

— Jak to miło z twojej strony, Mary. Będę go przechowywać jak skarb.

Rzeczywiście przechowywałam ten krąg jak skarb. Zapoczątkował kolekcję, która trafiła do mojej gabloty.

Zabawne, że teraz o tym myślę — o naszym pierwszym spotkaniu. Wówczas nawet nie przypuszczałam, że będę się troszczyć o Mary bardziej niż o kogokolwiek innego prócz swoich sióstr. Jak to możliwe, żeby dwudziestopięcioletniej damie z klasy średniej przyszło na myśl zaprzyjaźnić się z dziewczyną utrzymującą się z pracy? Ale już wtedy miała w sobie coś, co mnie przyciągało. Obie interesowałyśmy się skamieniałościami, to oczywiste, ale chodziło o coś jeszcze. Już wówczas, za młodych lat, u Mary wiodące były oczy, a ja chciałam się dowiedzieć, co robić, żeby mieć takie oczy jak ona.

Mary dowiedziała się, gdzie mieszkamy, i kilka dni później przyszła do nas. Nietrudno odnaleźć człowieka w Lyme Regis — jest tu zaledwie kilka ulic. Stała w tylnych drzwiach, gdy byłam z Louise w kuchni i odrywałyśmy łodygi kwiatów dzikiego bzu, świeżo zebranych na sok wzmacniający. Margaret ćwiczyła kroki taneczne dokoła stołu i jednocześnie próbowała nas namówić, żebyśmy raczej zrobiły z kwiatów szampan — nie zaoferowała jednak pomocy, w przeciwnym razie byłabym nastawiona przychylniej do jej propozycji. W łoskocie i gwarze początkowo nie zauważyłyśmy Mary, która przystanąła w drzwiach, oparta o futrynę. Pierwsza dostrzegła ją Bessy, gdy zdyszana weszła do kuchni, niosąc cukier, po który wysłałyśmy ją do sklepu.

— Co to ma znaczyć? Odejdź stąd, dziewczyno! — zawołała, wydymając nalane policzki.

Bessy przyjechała z nami z Londynu i z upodobaniem

narzekała na odmienne warunki życia: strome podejście z miasteczka do Morley Cottage, ostrą morską bryzę siadającą jej na płucach, niepojęty akcent miejscowych, spotykanych na targowisku mięsnym Shambles, a także na kraby z Lyme Bay, które powodowały u niej wysypkę. W Bloomsbury Bessy była na pozór spokojną, stateczną dziewczyną, natomiast Lyme wydobyło z niej despotyczność ujawniającą się na policzkach. Ukradkiem podśmiewaliśmy się z jej utyskiwań, choć czasem, kiedy nie groziła, że odejdzie, byliśmy bliskie zwolnienia jej ze służby.

Mary, odporna na temperament Bessy, stała niewzruszenie w drzwiach.

— Co to będzie? — zapytała.

— Sok z kwiatów dzikiego bzu — wyjaśniłam.

— Szampan z kwiatów dzikiego bzu — sprostowała Margaret, wymachując szeroko ręką.

— Nie piłam — powiedziała Mary, zerkając na koronkowe baldachy i wdychając winny zapach, który wypełniał kuchnię.

— Krzewy dzikiego bzu kwitną tu w czerwcu bardzo obficie — rzekła Margaret. — Trzeba robić z nich różne rzeczy. Czyż nie tak postępują ludzie na wsi?

Skrzywiłam się, słysząc protekcyjny ton swojej siostry. Ale Mary nie wyglądała na urażoną. Śledziła wzrokiem Margaret, która wirowała teraz w walcu, przechylając głowę to na jedną, to na drugą stronę i wyginając ręce w takt nuconej melodii.

Boże, dopomóż, pomyślałam, ta dziewczyna zacznie podziwiać najgłupszą z nas.

— Z czym przyszłaś? — zapytałam, wcale nie chcąc, by zabrzmiało to tak szorstko.

Mary Anning odwróciła się w moją stronę, ale co i raz rzucała spojrzenia Margaret.

— Tata przysyła wiadomość, że zrobi gablotę za funta.

— Ach tak? Zmienił zdanie? — Porzuciłam już myśl o składaniu zamówienia u Richarda Anninga. — Powiedz mu, że się zastanowię.

— Kim jest nasz gość, Elizabeth? — spytała Louise, nie odrywając rąk od kwiatów.

— To Mary Anning, córka meblarza.

Słyszac to, Bessy odwróciła się od stołu, przy którym wyjmowała z formy pozostawiony do wystygnięcia keks. Z rozdziawionymi ustami spojrzała na Mary.

— To w ciebie trafił piorun?

Mary spuściła oczy i kiwnęła głową.

Wszystkie utkwiliśmy w niej wzrok. Nawet Margaret przestała walcować. Słyszałyśmy o dziewczynce rażonej piorunem, bo mimo upływu lat wciąż o tym mówiono. Był to jeden z tych cudów, którymi sycą się małe miasteczka: dziecko niby utonęło, a tu raptem wystrzela z wody jak wieloryb i powraca do życia; człowiek spada ze skały i wychodzi z wypadku bez szwanku; chłopiec wpada pod koła powozu i podnosi się z ziemi jedynie z zadrapaniem na policzku. Takie powszednie cuda spajają społeczność, dają początek legendom wywołującym u ludzi zadziwienie. Podczas pierwszego spotkania z Mary nie przyszło mi do głowy, że właśnie ona jest dziewczyną, w którą trafił piorun.

— Pamiętasz, jak to było? — zaciekała się Margaret.

Mary wzruszyła ramionami, najwyraźniej skrepowana nagłym zainteresowaniem.

Louise, która również nie lubiła być obiektem takiej ciekawości, spróbowała przerwać te dociekania.

— Ja też mam na imię Mary. Nadano mi imiona po babkach. Ale babkę Louise darzyłam większą sympatią niż babkę Mary. — Po chwili dodała: — Chciałabyś nam pomóc?

— Co mam robić? — zapytała Mary, podchodząc do stołu.

— Najpierw umyj ręce — zarządziłam. — Louise, spójrz na jej paznokcie!

Paznokcie miały obwódkę z szarej gliny, płaskie czubki palców były pomarszczone na skutek oddziaływania skał wapiennych. Do takiego stanu własnych palców i ja miałam przywyknąć.

Bessy nadal wpatrywała się w Mary.

— Możesz posprzątać w bawialni, Bessy — przypomniałam jej — gdy my jesteśmy zajęte tutaj.

Burknęła coś i wzięła mop.

— Do swojej kuchni nie wpuściłabym dziewczyny, w którą trafił piorun.

Cmoknęłam z niezadowoleniem.

— Niedługo będziesz równie zabobonna jak miejscowi, na których lubisz patrzeć z góry.

Bessy znowu wydeła policzki, gdy zahaczyła mopem o futrynę drzwi. Zobaczyłam, że Louise patrzy na mnie, i uśmiechnęłyśmy się do siebie. Margaret ponownie tańczyła walca dokoła stołu, nucąc pod nosem.

— Margaret, ulituj się i idź tańczyć gdzie indziej! — zawołałam. — Potańcz sobie z mopem Bessy.

Margaret roześmiała się, po czym kręcąc piruety, znalazła

się za drzwiami i zniknęła w głębi holu ku rozczarowaniu naszego młodego gościa. Tymczasem Louise zatrudniła Mary przy odrywaniu łodyg kwiatów, uprzedzając ją, żeby nie rozsiewała pyłku po całej podłodze, lecz starała się strząsać go do garnka. Gdy Mary zrozumiała, co ma robić, pracowała bez przerwy do chwili, gdy w drzwiach kuchni znów stanęła Margaret w żółtozielonym turbanie.

— Jedno pióro czy dwa? — zapytała, przykładając najpierw jedno, potem dwa strusie pióra do opaski na czole.

Mary patrzyła na Margaret szeroko otwartymi oczami. W owym czasie turbanów jeszcze nie widziano w Lyme — teraz mogę już zakomunikować, że Margaret rozpowszechniła tę modę wśród kobiet w Lyme i nim minęło kilka lat, turbany stały się częstym widokiem na Broad Street. Nie jestem pewna, czy pasują do sukni empirowej równie dobrze jak inne nakrycia głowy, i przypuszczam, że czasem wywoływały skrywany śmiech, ale czyż moda nie ma bawić?

— Dziękuję za pomoc — powiedziała Louise, gdy kwiaty moczyły się w gorącej wodzie z cukrem i cytryną. — Kiedy sok będzie gotowy, dostaniesz butelkę.

Mary kiwnęła głową i odwróciła się ku mnie.

— Mogę zobaczyć pani dziwy? Tamtego dnia nie pokażała pani.

Zawahałam się, ponieważ myśl o ujawnianiu swojego zbioru zaczęła mnie onieśmielać. Jak na swój wiek Mary była niezwykle opanowana. Pewnie z tej przyczyny, że pracowała od małego — choć również korciło, by przypisać jej opanowanie uderzeniu pioruna. Nie mogłam jednak okazać niechęci i wobec tego zaprowadziłam Mary do jadalni. Gdy ktoś wchodzi do tego pokoju, najczęściej

zachwyca się widokiem na Golden Cap, ale Mary nawet nie spojrzała w stronę okna. Od razu podeszła do niskiego kredensu, na którym ustawiłam swoje znaleziska — ku obrzydzeniu Bessy.

— A co to? — spytała Mary, wskazując karteczki przy każdej skamieniałości.

— Etykiety. Zapisuję, kiedy i gdzie znalazłam dany okaz, w jakiej warstwie skalnej oraz co to może być. Tak postępują w Muzeum Brytyjskim.

— Pani tam była? — Mary ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się etykietkom.

— Oczywiście. Wychowałyśmy się tuż obok. A ty nie notujesz, skąd pochodzą twoje okazy?

— Nie umiem czytać ani pisać — powiedziała, wzruszywszy ramionami.

— Będiesz chodzić do szkoły?

Znowu wzruszyła ramionami, mówiąc:

— Może do szkółki niedzielnej. Tam uczą czytać i pisać.

— Przy kościele Świętego Michała?

— My nie anglikanie, tylko kongregacjoniści. Ze zboru przy Coombe Street.

Mary wzięła do ręki amonita, który napawał mnie szczególnie dumą — był nieuszkodzony, z ładnymi, równymi garbami na spirali, bez pęknięć ani szczerb.

— Pójdzie za szylinga ten kamień węzowy, jeśli go porządnie wyczyścić — oświadczyła.

— Nie zamierzam go sprzedawać. Będzie należał do mojej kolekcji.

Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem. Przyszło mi wtedy na myśl, że Anningowie nie przechowywali znalezisk. W ich

rozumieniu wartość okazu zależała od ceny, jaką mógł osiągnąć.

Mary odłożyła amonita i wzięła brązowy kamień, długi jak jej palec, ale grubszy, z niewyraźnymi spiralnymi znaczkami na powierzchni.

— Wygląda osobliwie. Nie wiem, co to takiego. Może zwyczajny kamień, ale jakiś... inny. Coś mi kazało go zabrać — powiedziałam.

— Kamień bezoarowy.

— Co to jest?

— Kulka zbitej sierści, czasem zbiera się w żołądku na przykład kozy. Tata mi mówił. — Odłożyła znalezisko na miejsce i podniosła muszlę małża zwanego *Gryphaea*, a przez miejscowych diabelskim pazurem. — Pani nie wyczyściła tego pazura.

— Wytarłam z błota.

— A zdrapała jakimś skrobakiem?

— Co masz na myśli? — Zmarszczyłam brwi.

— Wystarczy scyzoryk albo i brzytwa. Trzeba wydrapać ze środka muł i inne takie, wydobyć kształt. Mogę pokazać.

Prychnęłam. To absurd, żeby dziecko uczyło mnie, jak się coś robi. Mimo to...

— Dobrze, Mary. Przyjdź tu jutro ze swoimi skrobakami i pokaż mi. Zapłacę ci pensa za każdą oczyszczoną skamielinę.

Mary rozpromieniła się, słysząc o zapłacie.

— Dziękuję, panno Philpot.

— A teraz zmykaj. I poproś Bessy, żeby dała ci na drogę kawałek keksu.

Po jej wyjściu Louise powiedziała:

— Ona wciąż ma w pamięci ten grom. Widziałam to w jej oczach.

— Jak może pamiętać? Była jeszcze niemowlęciem.

— Uderzenie gromu zapewne trudno zapomnieć.

Następnego dnia Richard Anning zgodził się zrobić mebel za piętnaście szylingów. Była to pierwsza z wielu moich gablot, ale spod jego ręki wyszły tylko cztery, zanim umarł. Miałam szafki odznaczające się lepszą jakością i wykończeniem, z szufladami, które nie zacinały się przy wysuwaniu, i z połączeniami, których nie trzeba było na nowo kleić po okresie suszy. Godziłam się jednak na te uchybienia w wykonawstwie, ponieważ wiedziałam, że bardziej niż o stan swoich wyrobów troszczył się o stan wiedzy swojej córki na temat skamieniałości.

Niedługo potem Mary wkroczyła w nasze życie: czyściła moje okazy i sprzedawała mi znalezione razem z ojcem skamieniałości ryb, gdy zorientowała się, że je lubię. Niekiedy towarzyszyła mi w wyprawach na plażę i wówczas, choć jej tego nie mówiłam, byłam spokojniejsza, bo przedstawiała trapić mnie myśl, że przypływ odetnie mi drogę powrotną. Mary nie bała się, gdyż w naturalny sposób wyczuwała pływy, czego ja nigdy się tak naprawdę nie nauczyłam. Może to wycucie ma tylko ten, kto wychował się tak blisko morza, że mógłby do niego wskoczyć, stając na parapecie okna. Ja przed wyjściem na plażę zaglądałam do tablic pływów w kalendarzu, Mary natomiast zawsze znała fazę pływu, wiedziała, czy woda się podnosi, czy opada, czy jest pływ minimalny, czy maksymalny, i jaka

część plaży będzie odsłonięta o danej porze. Sama chodziłam na plażę jedynie podczas odpływu, pewna, że przez kilka godzin nic mi nie grozi — ale nawet wtedy zdarzało się, że traciłam poczucie czasu, o co nietrudno w trakcie poszukiwań, i musiałam zawracać, widząc, że morze podkrada się do mnie. Gdy miałam przy sobie Mary, to ona odruchowo śledziła w myślach ruch wody.

Ceniłam obecność Mary także dlatego, że wiele się od niej uczyłam: jak morze układa kamienie pasami wedle wielkości wzdłuż brzegu i w którym pasie trzeba szukać okazów; jak wykryć pionowe szczeliny w licu skały, świadczące o możliwości oberwania się ściany; jak dostać się do ścieżek na klifie, gdyby przypływ jednak odciął nam drogę powrotną.

Mary była przydatna również jako towarzyszka. Pod pewnymi względami czułam się swobodniej w Lyme niż w Londynie; na przykład mogłam sama chodzić po miasteczku, natomiast w Londynie musiałam mieć przy sobie którąś z siostr lub Bessy. Plaża była często pusta, jeśli nie liczyć kilku rybaków sprawdzających drucziane węćcierze do połowu krabów albo ludzi grzebiących w rumowisku, których podejrzewałam o przemyt, albo przyjezdnych na przechadzce między Charmouth a Lyme podczas odpływu. Mimo to nawet według tutejszych norm, które pozwalały na pewną niezależność, dama nie powinna pojawiać się samotnie w tym miejscu. Później, gdy przybyło mi lat i wszyscy dobrze mnie znali, gdy przestałam się przejmować opinią innych na mój temat, chodziłam na plażę sama. Ale na początku wolałam mieć towarzystwo. Czasem udało mi się namówić Margaret albo Louise i bywało, że nawet one

znajdowały skamieliny. Margaret, mimo że nie cierpiała brudzić sobie rąk, z radością zbierała kawałki pirytu, ponieważ tak podobał jej się blask „złota głupców”. Louise z kolei narzekała na martwość skał, porównując je ze swoimi ulubionymi roślinami, choć i ona czasem wspinała się na klify i oglądała żdźbła traw morskich pod szkłem powiększającym.

Wiele czasu spędzałyśmy na spacerach po długiej na milę plaży między Lyme a Charmouth. Po wschodniej stronie, za domem Anningów i przy końcu Gun Cliff, wybrzeże ostro skręca w lewo, co powoduje, że od strony miasta plaża przestaje być widoczna. Przez kilkaset jardów ciągnie się łukiem klifowy brzeg zwany Church Cliffs, zbudowany ze skał tak zwanego błękitnego liasu — pokładów wapienia i łupków tworzących niebiesko-szare pasy. Dalej plaża łagodnie zakręca w prawo, a potem w prostej linii biegnie do Charmouth. Za tym zakrętem piętrzy się Black Ven, ogromne osuwisko pokryte warstwą mułowca i schodzące pochyło od klifu do morza. Zarówno Church Cliffs, jak i Black Ven kryją w sobie liczne skamieniałości i z biegiem czasu stopniowo wyrzucają je na brzeg. To tam Mary znalazła wiele ze swoich najwspanialszych okazów. Również tam przeżyłyśmy kilka z naszych największych dramatów.

. . . .

Kiedy nadeszło nasze drugie lato w Lyme, Margaret już ułożyła sobie nowe życie. Była młoda, wyglądała świeżo dzięki morskiemu powietrzu, ponadto była nowa, więc stała się obiektem zainteresowania w kręgach zabawowych. Wkrótce miała ulubionych partnerów do wista, wybrane

towarzyszki kąpiele w morzu oraz rodziny, które razem z nią paradowały po Cobb. W sezonie co wtorek odbywały się w salach asamblowych bale; Margaret nie opuszczała ani jednego tańca, ciągle proszona ze względu na swoją lekkość i zwiewność ruchów. Louise i ja czasem jej towarzyszyłyśmy, ale rychło znalazła sobie ciekawszych od nas przyjaciół: chodziła z rodzinami z Londynu, Bristolu czy Exeter, które spędzały w Lyme część lata, albo z kilkoma osobami z najlepszego miejscowego towarzystwa. Z ulgą przyjęłyśmy wiadomość, że nie musimy być na każdym balu. Od czasu gdy wiele lat temu usłyszałam ciętą uwagę na temat swojej zuchwy, nie czułam się w tańcu swobodnie i wolałam w pozycji siedzącej przyglądać się tancerzom, a najlepiej zostać w domu i zająć się lekturą. Ze stu pięćdziesięciu funtów rocznie do podziału między trzy siostry nie pozostaje zbyt wiele na zakup książek; ponieważ ruchoma biblioteka w Lyme zawierała głównie powieści, wyraziłam życzenie, by w prezencie gwiazdkowym czy urodzinowym ofiarowano mi wyłącznie pozycje dotyczące przyrodoznawstwa. Rezygnowałam z kupna nowego szala, żeby mieć pieniądze na książki. Poza tym pożyczalam je od przyjaciół z Londynu.

Siostry nie przejawiały tęsknoty za stołecznymi atrakcjami. Margaret wolała być ośrodkiem zainteresowania w niepozornej miejscowości, niż walczyć o zainteresowanie z tysiącami innych panien na londyńskich salonach. Louise również sprawiała wrażenie bardziej zadowolonej, gdyż spokojne życie pasowało do jej natury. Uwielbiała ogród przy Morley Cottage, z widokiem na Lyme Bay i ze stuletnim drzewem tulipanowca w rogu. Był znacznie większy niż ten przy Red Lion Square. Tam miałyśmy, rzecz jasna, ogrodników, tu

zaś Louise wykonywała większość prac samodzielnie, ale odpowiadało jej to bardziej. Również klimat stanowił wyzwanie; ze względu na wiatr i sól w powietrzu należało hodować rośliny bardziej odporne od tych, którym sprzyjała londyńska mżawka — przetacznika, rozchodnika i jałowiec, i jeszcze szałwię, zawciąg i mikołajki. Założone przez Louise rabaty różane były piękniejsze od tych, które kiedykolwiek widziałam w Bloomsbury.

Z nas trzech to ja najczęściej wspominałam Londyn. Brakowało mi wymiany myśli. Mieszkając w stolicy, należeliśmy do szerokiego kręgu rodzin prawniczych, które spotykały się towarzysko zarówno dla rozrywki, jak i dla pobudzenia umysłu. Często siadałam z bratem i jego przyjaciółmi do kolacji, kiedy to rozważano, jakie perspektywy ma przed sobą Napoleon, czy należało ponownie wybrać Pitta na premiera lub co trzeba zrobić w kwestii handlu niewolnikami. Zdarzało się, że nawet brałam udział w dyskusji.

Natomiast w Lyme nie słyszałam takich rozmów. Choć absorbowały mnie skamieniałości, z niewieloma osobami mogłam o nich rozmawiać. Po przeczytaniu książek Huttona, Cuviera, Wenera, Lamarcka czy innych filozofów przyrody nie miałam możliwości zwrócić się do przyjaciół z pytaniem, jak rozumieją radykalne poglądy tych panów. Tutejsza klasa średnia żyła pośród godnych uwagi zjawisk przyrodniczych, ale nie przejawiała zbytniego nimi zainteresowania. Chętniej gawędziła o pogodzie i stanie morza, o połowach i uprawach, o przyjezdnych i sezonie wakacyjnym. Można by sądzić, że będzie się obawiać Napoleona i wojny z Francją, biorąc pod uwagę wpływ tych wydarzeń na małą stocznnię w Lyme.

Miejscowi debatowali jednak o naprawie wysłużonego fa-
lochronu i o łaźni niedawno otwartej i tak popularnej, że
niewątpliwie powstaną wkrótce kolejne, albo o jakości
mielonej w młynie mąki. Czasem udawało się prowadzić
bardziej treściwe rozmowy z ludźmi goszczącymi tu na
letnich wakacjach, poznanymi w salach asamblowych,
w kościele czy przy herbacie w zaprzyjaźnionych domach,
ale oni zazwyczaj udawali się w podróż właśnie po to, by
uciec od takich tematów i ekscytować się lokalnymi wyda-
rzeniami i ploteczkami.

Byłam przygnębiona przede wszystkim dlatego, że znaj-
dowane przeze mnie okazy były bardzo zagadkowe i budziły
mnóstwo wątpliwości, którymi chciałam się podzielić.
Weźmy na przykład amonity, najczęściej spotykane i rzu-
cające się w oczy skamieniałości w Lyme — czym one
właściwie są? Nie dawałam wiary, że to węże, choć wiele
osób przyjmowało takie wyjaśnienie bez sprzeciwów. Dla-
czego były zwinięte w kłębek? Nigdy nie słyszałam, żeby
węże tak się zachowywały. Gdzie się podziały ich głowy?
Ilekcóż natrafiłam na amonita, bacznie się rozglądałam, ale
po głowie nie pozostał ślad. Dziwne, że znajdowałam tyle
skamieniałych amonitów na plaży, a nie widziałam ani
jednego żywego.

Innych nie dręczyły tego rodzaju pytania. Miałam nadzieję,
że któryś z gości, popijając herbatę u nas w saloniku, zapyta:
„Wie pani, panno Philpot, że amonity całkiem przypominają
mi ślimaki? Nie sądzi pani, że to może być niewidziany
dotąd gatunek ślimaka?”. Ale oni rozmawiali o grząskiej
drodze z Charmouth albo o sukni na najbliższy bal, albo
o cyrku objazdowym, który zawitał do Bridport, i wybierano

się na przedstawienie. Jeśli już ktoś napomknął o skamielinach, wyczuwało się, że podaje w wątpliwość moje zainteresowania.

— Jak można aż tak gustować w zwykłych kamieniach? — zapytała pewnego razu nowa przyjaciółka Margaret, poznana w salach asamblowych.

— To nie są ot takie sobie kamienie — próbowałam wyjaśnić. — Tak wyglądają skamieniałe ciała stworzeń, które żyły dawno temu. Od tysięcy lat nikt ich nie widział, aż do dziś, gdy ktoś je znajdzie.

— Okropność! — zawołała.

Odwróciła się, żeby posłuchać, jak Margaret gra na fortepianie. Goście nieodmiennie zwracali się do Margaret, stwierdziwszy, że Louise jest zbyt milcząca, a ja zbyt dziwaczna. Nasza najmłodsza siostra zawsze umiała ich zabawić.

Tylko Mary Anning podzielała mój zapał i ciekawość, ale była za młoda, by prowadzić tego rodzaju rozmowy. We wczesnym okresie naszej znajomości często odnosiłam wrażenie, że czekam, aż Mary dorośnie, i wtedy będę miała towarzystwo, jakiego pragnę. Co do tego się nie myliłam.

Początkowo myślałam, że taką osobą będzie Henry Hoste Henley, pan na Colway Manor i członek parlamentu z Lyme Regis. Jego dwór był duży, położony w pewnej odległości od miejsca, gdzie kończy się wysadzana drzewami aleja na obrzeżach Lyme, z milę od Morley Cottage. Dziedzic Henley miał żonę i sporo dzieci, ponadto liczną wielopokoleniową rodzinę, której część mieszkała w Chard, kilka mil w głąb kraju. Colway Manor był wypełniony po brzegi gośćmi. Od czasu do czasu i nas zapraszano do dworu — na kolację,

na bożonarodzeniowy bal, na ceremonię poprzedzającą wyjazd myśliwych na łowy, kiedy to pan Henley częstował widzów porto i whisky.

Choć Henleyowie zajmowali w Lyme pozycję najbliższą szlachcie, pan dziedzic wciąż miał błoto na cholewkach i brud pod paznokciami. Posiadał również kolekcję skamieniałości. Gdy się dowiedział o moich zainteresowaniach, usadził mnie obok siebie przy kolacji, żebyśmy mieli sposobność porozmawiać na ten temat. Z początku byłam podekscytowana, ale już po kilku minutach zorientowałam się, że jego wiedza o skamielinach sprowadza się do tego, iż można je zbierać i dzięki temu uchodzić za człowieka inteligentnego i światowego. Należał do ludzi, u których wiodące są stopy, a nie głowa. Gdy usiłowałam dowiedzieć się, czym w jego rozumieniu są amonity, zachichotał, pociągnął duży łyk wina i odrzekł: „Nikt pani nie mówił, panno Philpot? To robaki!”. Zamaszystym ruchem odstaawił kieliszek, dając w ten sposób znak służącemu, by go napełnił.

Po chwili zastanowienia spytałam:

— W takim razie dlaczego zawsze są zwinięte w kłębek? Nigdy nie widziałam żywego robaka w tej pozycji. Ani węża. A niektórzy powiadają że amonity to węże.

Dziedzic Henley zaczął się wiercić na krześle.

— Przypuszczam, że nie widziała pani aż tak wielu osób, które leżały na plecach z rękami złożonymi na piersi. Mam rację, panno Philpot? A przecież właśnie w tej pozycji grzebiemy ludzi. Martwe robaki są zwinięte w kłębek.

Pohamowałam się, żeby nie prychnąć, albowiem wyobraziłam sobie, jak robaki zbierają się wokół zmarłego

i zwijają go w kłębek, tak jak my przygotowujemy naszych zmarłych do pochówku. Koncepcja była niewątpliwie absurdalna, a mimo to panu Henleyowi nie przyszło na myśl ją zakwestionować. Nie drażyłam jednak tematu, zauważywszy, że siedząca kilka miejsc dalej Margaret kręci głową, patrząc w moją stronę, a pan naprzeciw mnie unosi brwi, zaskoczony tą pozbawioną subtelności konwersacją.

Teraz wiem, że amonity były stworzeniami morskimi, podobnymi do naszych dzisiejszych łodzików, posiadały ochronną muszlę i czułki jak kałamarnice. Szkoda, że nie mogłam powiedzieć tego panu dziedzicowi podczas tamtej kolacji, gdy z głębokim przekonaniem prawił o zwiniętych w kłębek robakach. Ale wtedy nie miałam takiej wiedzy ani pewności siebie, żeby wykazać mu pomyłkę.

Gdy pokazał mi później swoje zbiory, okazało się, że jest jeszcze większym ignorantem — nie umiał dostrzec różnicy między dwoma typami amonitów. Zwróciłam jego uwagę na proste linie zwojów jednego okazu oraz na dwa guzki uwydatniające spiralny kształt drugiego okazu, a wtedy poklepał mnie po ręce i powiedział: „Ma pani bystre oczko”, kręcąc jednocześnie głową i osłabiając wagę komplementu. Wyczułam, że nie będziemy razem starali się rozwikłać zagadki skamieniałości. Ja byłam cierpliwa i miałam oko do szczegółów potrzebne przy takich badaniach, dziedzic zaś szermował ogólnikami i co więcej, nie lubił, gdy mu o tym mówiono.

James Foot był zaprzyjaźniony z Henleyami. Nasze drogi musiały się przeciąć w Colway Manor, z pewnością na bożonarodzeniowym balu, w którym uczestniczyła połowa

West Dorset. Ale Louise i ja pierwszy raz usłyszeliśmy o tym panu przy śniadaniu następnego dnia po jednej z potańcówek urządzanych latem w salach asamblowych.

— Niczego nie zdołam przełknąć — oświadczyła Margaret, siadając do stołu i machnięciem ręki dając znak, by nie podawano jej talerza z wędzoną rybą. — Jestem zbyt poruszona!

Louise wzniosła do góry oczy, a ja uśmiechnęłam się ukradkiem, pochylona nad filiżanką herbaty. Margaret często składała takie deklaracje po balach i choć śmiałyśmy się z tego, nie powstrzymywałyśmy naszej siostry, gdyż nie chciałyśmy pozbawiać się naszej głównej rozrywki.

— A kto to tym razem? — zapytałam.

— James Foot*.

— Ach tak? Czy on ma jakieś inne walory prócz zręcznych stóp?

Margaret spojrzała na mnie, robiąc minę, i sięgnęła po grzanekę.

— To dżentelmen — oznajmiła, krusząc w palcach grzanekę, którą Bessy musiała potem wyrzucić ptakom na trawnik. — Przyjaźni się z panem Henleyem, ma folwark niedaleko Beaminster, no i dobry z niego tancerz. Już poprosił mnie o pierwszy taniec we wtorek!

Patrzyłam, jak bawi się grzaneką. Takie słowa nieraz padały z jej ust, ale coś zmieniło się w samej Margaret. Była wyrazistsza, bardziej powściągliwa. Siedziała z opuszczoną brodą, jak gdyby liczyła się ze słowami i zamknięta

* *Foot* (ang.) — stopa.

w sobie wsłuchiwała się w nowe uczucia, próbując je zrozumieć. I choć jej ręce nadal były w ruchu, bardziej nad nimi panowała.

Jest gotowa do zamążpójścia, przeszło mi przez myśl. Spojrzałam na obrus — jasnożółty, lniany, haftowany na rogach przez naszą zmarłą mamę, a teraz zasypyany okruszkami — i odmówiłam krótką modlitwę, prosząc Boga o przychyłność dla Margaret, tak jak obdarzył nią Frances. Gdy uniosłam głowę, napotkałam wzrok Louise i wyczytałam w jej spojrzeniu zapewne to samo co ona w moim — smutek i nadzieję. Choć prawdopodobnie w moim było więcej smutku niż nadziei. Zanosiałam do Boga wiele modlitw, które zostały niewysłuchane, i czasem zastanawiałam się, czy one w ogóle dotarły do Jego uszu.

Margaret tańczyła z Jamesem Footem na kolejnych balach, a my słyszałyśmy o nim przy śniadaniu, obiedzie, podwieczorku i kolacji, odbywając spacer i usiłując czytać wieczorem książki. W końcu postanowiłyśmy dotrzymać towarzystwa Margaret i zobaczyć go na własne oczy w salach asamblowych.

Uznałam, że ma przyjemną powierzchowność — ponad moje oczekiwania — w końcu niby dlaczego Dorset miałoby nie wydać mężczyzn równie urodziwych jak ci widywani w Londynie? James Foot był wysoki i szczupły, cały schludny i elegancki, poczynając od niedawno przyciętych kręconych włosów, a kończąc na białych smukłych dłoniach. Miał na sobie piękny frak czekoladowej barwy jak jego oczy. Strój prezentował się wspaniale przy jasnozielonej sukni Margaret — pewnie dlatego ją włożyła i zadała sobie trud, by nakłonić mnie do przyszycia nowej ciemnozielonej

szarfy w talii sukni i zrobić sobie nowy turban z piórami ufarbowanymi na odpowiedni kolor. Od przyjazdu Jamesa Foota do Lyme nasza siostra zaczęła jeszcze bardziej przejmować się swoim ubiorem: kupowała nowe rękawiczki i wstążki; rozjaśniała pantofle domowe, żeby usunąć ślady zużycia; pisała do naszej bratowej listy z prośbą o przysłanie tkanin z Londynu. Louise i ja nie troszczyliśmy się za bardzo o swoje ubrania, niezmiennie w stonowanych kolorach — Louise chodziła w granatach i zieleniach, ja w jasnych fioletach i szarościach — ale chętnie pozwalałyśmy Margaret nosić pastelowe suknie w kwieciste wzory. Jeśli starczało nam pieniędzy tylko na jedno nowe odzienie, postanawiałyśmy, że będzie je miała Margaret. Teraz cieszyłam się z tego, albowiem nasza siostra wyglądała ślicznie w zielonej sukni, z piórami we włosach, sunąc po parkiecie z Jamesem Footem. Siedziałam na krześle i obserwowałam ich z zadowoleniem.

Louise patrzyła chłodniejszym okiem. Nie powiedziała słowa w salach asamblowych, ale gdy szykowałyśmy się do snu — zostawiwszy Margaret na tańcach, pod opieką przyjaciół, którzy zobowiązali się odwiedzić ją do domu — Louise rzekła:

— On bardzo dba o pozory.

Okryłam czepkiem nocnym swoje marne włosy i położyłam się do łóżka.

— Margaret też — powiedziałam.

Pora była zbyt późna na czytanie, ale nie zdmuchnęłam świecy, tylko leżałam, patrząc na pajęczyny kołyszące się na suficie pod wpływem ciepła płomienia.

— Nie chodzi mi wcale o ubiór, choć świadczy o jego

upodobaniach — wyjaśniła Louise. — Temu człowiekowi zależy na opinii ludzi z towarzystwa.

— My też należymy do towarzystwa.

Louise zdmuchnęła świecę.

Wiedziałam, co miała na myśli. To samo wyczułam, gdy James Foot został mi przedstawiony. Był uprzejmy i bezpośredni — a przy tym konwencjonalny. Starałam się odpowiadać mu bez emocji. Podczas rozmowy prześlizgnął wzrokiem po lekko postrzępionym wycięciu mojej fiołkowej sukni i wiedziałam, że ocenił i zachował w pamięci to spostrzeżenie, a później wydobędzie je z odpowiedniej szufladki umysłu i weźmie pod rozwagę. Mogłam sobie wyobrazić, jak mówi do siostry: „Elizabeth Philpot nie dba o swoje suknie”.

Gdy pewnego dnia James Foot złożył nam wizytę, przez wzgląd na Margaret dołożyłam starań, by zachowywać się stosownie. On również był układny. Poprosił Louise, żeby pokazała mu ogród, i zaofiarował się przysłać sadzonki własnych hortensji, gdy zauważył, że u nas ich nie ma. Louise nie powiedziała mu, że nie cierpi tych kwiatów. Z ochotą obejrzał moją kolekcję skamieniałości i wiedział o nich więcej niż Henry Hoste Henley. zaproponował, żebym udała się do Eype, leżącego dalej na wschód nad morzem, niedaleko Bridport, i tam poszukała węzowideł, po czym zaprosił mnie do swojego folwarku, który znajdował się nieopodal. Ja ze swej strony nie sprawdzałam jego wiedzy na temat skamielin w takiej mierze, jak bym chciała, lecz pozwoliłam mu prowadzić rozmowę, która toczyła się dość przyjemnie.

Po jego odejściu Margaret była tak oszołomiona, że

zabrałyśmy ją nad morze z nadzieją, iż kąpiel w zimnej wodzie pomoże jej oprzytomnieć. Stałyśmy z Louise na brzegu, a Margaret się pluskała. Kabina kąpielowa, jakby niewielka szafa na kółkach, została wyciągnięta daleko w morze, zapewniając prywatność, i dla przyzwoitości osłaniała siostrę od strony brzegu. Parę razy dostrzegłyśmy wyciągnięte ramię albo pióropusz wody po uderzeniu nogami.

Przeczesałam wzrokiem kamyki, choć nie spodziewałam się znaleźć skamieniałości wśród krzemieni.

— Moim zdaniem ta wizyta była bardzo udana — odezwałam się, zdając sobie sprawę, jak banalnie to zabrzmiało.

— On jej nie poślubi — rzekła Louise.

— Dlaczego by nie? Jest równie dobrą kandydatką jak każda inna, a nawet przewyższa wiele z nich.

— Wnieście skromne wiano. Może nie jest to dla niego istotne, ale przy braku majątku będzie się liczyła reputacja rodziny, do której on ma wejść.

— Przecież dobrze dzisiaj wypadłyśmy, nie uważasz? Rozmawiałyśmy o interesujących go sprawach, byłyśmy miłe, a przy tym nie przemądrzałe. Zaciekawiliśmy go, tyle czasu spędził z tobą w ogrodzie!

— Nie flirtowałyśmy z nim.

— Rzecz jasna! Na szczęście mogłyśmy liczyć w tym na Margaret!

Sprzeciwiałam się, dobrze wiedząc, o co jej chodzi. Siostry młodej panny powinny prowadzić błyskotliwą rozmowę z jej konkurentem, stwarzać atmosferę pewnej zażyłości będącej zapowiedzią więzi rodzinnych. Natomiast moje

poczynania były niezdarne i przyciężkie, nie miały naturalnej serdeczności właściwej członkowi rodziny. Ten pan będzie się obawiał kolejnych wizyt, zupełnie jak ja, i kolejnych tego rodzaju rozmów. Znużyło mnie i wyczerpało zabawianie dżentelmena przez całe popołudnie. Przemieszkawszy w Lyme niewiele ponad rok, zaczęłam doceniać wolność, którą mogła się tutaj cieszyć niezamężna kobieta pozbawiona męskich krewnych. Ta sytuacja już wydawała mi się bardziej normalna niż konwencjonalne życie w Londynie, jakie prowadziłam przez dwadzieścia pięć lat.

Oczywiście Margaret miała inne odczucia. Widziałam przez chwilę, jak płynie na plecach, a jej ręce kołyszą się na powierzchni niczym wodorosty. Zapewne patrzyła w czerwieniejące popołudniem niebo i rozmyślała o Jamesie Fooocie. Skrzywiłam się, było mi jej żal.

Z uwagi na Margaret może zdołałabym się zmitygować i przywyknąć do spędzania czasu z Jamesem Footem, nie czując bez przerwy, że mi to ciąży. Ale kilka tygodni później natrafiłam na niego na plaży i to spotkanie obróciło wniwecz wszystkie moje poprzednie wysiłki, żeby być życzliwą siostrą.

Richard Anning niedawno zrobił córce specjalny młotek z metalowymi nakładkami na drewnianych końcach. Mary bardzo chciała mi pokazać, jak rozbijać nim kamienie nerkowatego kształtu, zwane konkrecjami, w których znajdują się krystaliczne amonity i czasem ryby. Nie przyznałam się, że nigdy nie miałam w ręku młotka, ale Mary na pewno się domyśliła, patrząc na moje pierwsze nieudolne zamachy. Nie robiła uwag, tylko poprawiała mnie do skutku — zdu-

miewająco cierpliwa z niej nauczycielka w tak młodym wieku.

Choć był ładny wrześnieowy dzień, czułam chłodny wiaterek, który przypominał, że jesień już przegoniła lato. Na klęczkach obstukiwałam krawędź konkrecji, położywszy ją na płaskim kawałku skały. Mary stała pochylona nade mną, bacznie się przyglądając i udzielając wskazówek.

— Tutaj, panno Elizabeth. Nie za mocno, bo pęknie nie tak jak trzeba. A teraz pani odłupie odrobinę na końcu, żeby go oprzeć i pewnie trzymać. Ojej! Nic się pani nie stało?

Młotek mi się omsknął i uderzyłam się w czubek palca wskazującego. Zaczęłam go ssać, żeby złagodzić piekący ból.

W tym momencie usłyszałam za plecami grzechot kamieni i wciąż trzymając palec w ustach, nierozważnie odwróciłam się do tyłu. W odległości kilku kroków stał James Foot, patrzył na mnie z góry z dziwnym wyrazem twarzy — z niesmakiem maskowanym uprzejmością. Gdy wyjmowałam palec z ust, rozległo się cmoknięcie, które przyprawiło mnie o rumieniec wstydu.

James Foot wyciągnął rękę, chcąc pomóc mi wstać. Kiedy dźwigałam się z kolan, Mary odruchowo odsunęła się na tyle, by zachować dystans powodowany szacunkiem, a zarazem pozostać w roli mojej przewodniczki i towarzyski.

— Właśnie rozbijałam kamień, żeby sprawdzić, czy nie ma w środku amonita — wyjaśniłam.

Spojrzenie Jamesa Foota padło jednak nie na konkrecję. Wpatrywał się w moje rękawiczki. Dla ochrony przed zimnem i schnącą gliną często je nosiłam, jak przystało

zresztą damie przebywającej poza domem, niezależnie od pogody. Gdy zainteresowałam się zbieraniem skamieniałości, na początku zniszczyłam kilka par — poplamiły się wodą morską i gliną błękitnego liasu. Teraz miałam więc specjalne rękawiczki tylko do użytku na plaży: gienzowe, w kolorze kości słoniowej, zabrudzone i sztywne od wody, z palcami obciętymi do knykci, żebym mogła wygodnie trzymać różne rzeczy. Były dziwne i nieładne, ale przydatne. Zabierałam ze sobą również porządniejszą parę, którą wkładałam na widok kogoś znajomego, ale tym razem James Foot nie dał mi czasu na zamianę.

On sam był dobrze ubrany w dwurzędowy frak koloru bordo, z lśniącymi srebrnymi guzikami i brązowymi aksamiłnymi wyłogami, a do tego miał brązowe rękawiczki pod kolor. Buty do konnej jazdy lśniły tak, jakby błoto nie śmiało się do nich przykleić.

W owej chwili przyznałam się przed samą sobą, że nie darzę sympatią Jamesa Foota z tymi jego wypucowanymi butami, rękawiczkami dobranymi do wyłogów fraka, i z szacującym spojrzeniem. Nie mogłabym zaufać mężczyźnie, którego dominującym rysem był ubiór. Nie lubiłam Jamesa Foota i podejrzewałam, że on nie lubi mnie — choć był zbyt układny, by to okazać.

Splotłam dłonie za plecami, żeby nie musiał dłużej patrzeć na te rażące rękawiczki.

— Gdzie zostawił pan konia? — odezwałam się, nie mogąc wymyślić nic lepszego.

— W Charmouth. Chłopak zaprowadzi go do Colway Manor. Przy takiej ładnej pogodzie postanowiłem przejść ostatni kawałek drogi plażą.

Mary machała do mnie zza pleców Jamesa Foota. Gdy uchwyciła mój wzrok, potarła energicznie policzek. Zmarszczyłam brwi.

— Co pani dzisiaj znalazła? — zapytał James Foot.

Zawahałam się. Pokazanie mu znalezisk było równoznaczne z ponownym poddaniem moich okrytych rękawiczkami dłoni jego osądowi.

— Mary, przynieś koszyk i pokaż panu Footowi, co znalazłyśmy. Mary dużo wie na temat skamielin — dodałam, gdy dziewczyna postawiła przed nim koszyk i wyjęła szary kamień w kształcie serca, z delikatnym deseniem przypominającym pięć płatków.

— To jeżowiec, proszę pana — powiedziała. — A to diabelski pazur. — Wyciągnęła rękę, na której leżał mały w kształcie szpona. — Ale najlepsze jest to. Takiego dużego belemnita jeszcze nie widziałam. — Podniosła pięknie zachowany okaz, długości co najmniej czterech cali i szerokości cala, z idealnie zwężającym się czubkiem.

James Foot spojrzał na niego i oblał się szkarłatnym rumieńcem. Dlaczego tak się stało, zrozumiałam po chwili, gdy Mary dorzuciła ze śmiechem:

— Mój brat ma podobnego...

— Wystarczy, Mary — wtrąciłam się w porę. — Odłóż go, proszę.

Też się zaczerwieniłam. Chciałam coś powiedzieć, ale silnie się na przeprosiny tylko pogorszyłoby sprawę. Jestem przekonana, że James Foot uznał, iż z premedytacją postawiłam go w żenującej sytuacji.

— Wybiera się pan dzisiaj do sal asamblowych? — zapytałam, starając się puścić sprawę belemnita w niepamięć.

— Tak sędzę... jeśli pan Henley nie ma wobec mnie innych planów.

Zazwyczaj James Foot wypowiadał się bardzo zdecydowanie na temat tego, co zamierzał, a czego nie zamierzał robić, ale teraz miałam wrażenie, że zabezpiecza sobie odwrót. Chyba wiedziałam, dlaczego tak postępuje, ale dla pewności rzekłam:

— Powiem Margaret, żeby pana wyglądała.

James Foot nie poruszył się, mimo to jego postawa pozwalała odczuć, że dystansuje się od moich słów.

— Jeśli zdołam, przybędę. Proszę złożyć siostrom wyrazy uszanowania. — Skłonił się i poszedł brzegiem w kierunku Lyme.

Patrzyłam, jak okrąża kałuże pozostałe po odpływie, i szepnęłam do siebie:

— On się z nią nie ożeni.

— Słucham, proszę pani?

Mary Anning miała zdziwioną minę. Co więcej, zwróciła się do mnie per pani. Bez względu na to, czy byłabym zamężna, czy niezamężna, minął już czas, gdy mówiono do mnie „panno”. Do damy zwracano się tak dopóty, dopóki miała szanse wyjść za mąż.

— Nieważne. — Odwróciłam się ku niej. — Co takiego chciałaś mi przedtem powiedzieć, Mary? Podskakiwałaś i pocierałaś twarz, jakby cię coś ukąsiło.

— Ma pani błoto na policzku, panno Elizabeth, nic więcej. Pomyślałam, że będzie pani chciała się wytrzeć, żeby wielmożny pan tak się nie przyglądał.

Dotknęłam policzka.

— Och, jeszcze to! — Wyjęłam chusteczkę i pośliniłam ją, po czym parsknęłam śmiechem, żeby się nie rozpłakać.

James Foot nie pojawił się tego wieczoru w salach asamblowych. Margaret była zawiedziona, ale spokojna. Zaniepokoiła się następnego dnia, gdy przesłał jej wiadomość — nie powiadomił jej osobiście — że został wezwany do Suffolk w sprawach rodzinnych i nie będzie go przez kilka tygodni.

— Co to za rodzina? — stanowczym tonem zapytała nieszczęsnego posłańca, jednego z licznych krewnych dziedzica Henleya. — Nigdy mi o niej nie wspominał!

Płakała, zamartwiała się i wymyślała preteksty, by zająć do Henleyów, ale ci albo nie mogli, albo nie chcieli jej pomóc. Przypuszczałam, że James Foot nie powiedział im, dlaczego stracił zainteresowanie jej osobą — a już na pewno nie wdał się w szczegóły i nie napomknął o moich rękawiczkach i belemnicy. Był na tyle dżentelmenem, żeby to przemilczeć. Niemniej Henleyowie z pewnością stwierdzili, że Margaret nie wywodzi się z dość dobrej rodziny, by zostać jego żoną.

Margaret dalej chodziła na karty i na bale do sal asamblowych, ale nie była już taka promienna. Ilekroć zdarzyło mi się jej towarzyszyć, miałam wrażenie, że spadła z górnego szczebla drabiny towarzyskiej, na który się wdrapała. Jeśli młodą damę spotka despekt ze strony dżentelmena — usprawiedliwiony czy nieusprawiedliwiony — przynosi jej to drobną, acz istotną szkodę. Przestano prosić Margaret do każdej rundy tańców i rzadziej komplementowano jej suknię, fryzurę i karnację. Z końcem sezonu sprawiała wrażenie znużonej i apatycznej. Żeby poprawić jej nastrój, zabraliśmy ją z Louise na kilka tygodni do Londynu, ale Margaret sama wiedziała, że coś się zmieniło. Straciła

najlepszą dotąd okazję zamążpójścia i nie mogła zrozumieć dlaczego.

Nie powiedziałam jej o swoim spotkaniu z Jamesem Footem na plaży. Może trochę podniosłaby ją na duchu wiadomość, że moja ekscentryczność też przyczyniła się do jego rezygnacji z dalszych zalotów. Ale Margaret i tak uprzytomniłaby sobie, że choćbym porzuciła zbieranie skamielin i kupiła nowe rękawiczki, nie zmieniłoby to sytuacji w dostatecznym stopniu. Mężczyzna dokonuje wyboru żony, dokładnie poznawszy ją i jej rodzinę; jakaś dziwaczna siostra nie zmieni jego kalkulacji. James Foot przestał starać się o Margaret, gdyż uznał, że Philpotowie nie mają ani pieniędzy, ani pozycji. Zademonstrowanie poplamionych rękawiczek i skamieniałości o sugestywnym kształcie było jedynie potwierdzeniem tego, co i tak już wiedział.

Współczułam Margaret, ale nie zmartwiła mnie rejterada Jamesa Foota. Przypuszczałam, że od tej pory zawsze patrzyłby na mnie tak, jakbym miała brudne rękawiczki. A skoro osądzał mnie, to jak surowo osądzałby moją siostrę? Czy pozbawiłby ją całej żywotności? Nie zniosłabym, gdyby moja siostra poślubiła takiego mężczyznę.

Po latach natknęłam się na Jamesa Foota w Colway Manor. Ilekroć zapraszano nas na przyjęcie czy na kolację do dworu, Margaret dostawała bólu głowy, a Louise i ja, powodowane lojalnością, nie chciałyśmy iść bez niej. Ale pewnego razu miałam do omówienia z dziedzicem Henleyem sprawy dotyczące skamieniałości Anningów i wychodząc od niego, spotkałam nowo przybyłych Jamesa Foota z żoną. Była niska, blada i trzęsła się jak galareta; na pewno nie

włożyłaby turbanu na bal. Uznałam wtedy, że dobrze się stało, iż Margaret został oszczędzony taki los.

Tamtego roku latem, które upłynęło pod znakiem Jamesa Foota, Margaret osiągnęła szczyt swoich możliwości. W następnym sezonie traktowano ją jak piękną suknię, która zestarzała się w szafie: dekolt za głęboki albo za płytki, materiał lekko spłowiały, a fason już nie podnosi urody. Byłyśmy zaskoczone, że w Lyme dochodzi do tego równie łatwo jak w Londynie, ale niewiele mogłyśmy na to poradzić. Margaret zachowała stare przyjaźnie i nawiązała nowe z przybyłymi na lato gośćmi. Ale już nie wracała nocą rozpromieniona ani nie tańczyła po kuchni. Turbany, które nosiła z takim uporem, już nie świadczyły o śmiałości, lecz stały się przykładem dziwactw sióstr Philpot. Margaret nie udało się uciec w małżeństwo jak Frances, czekało ją staropanieństwo u boku Louise i mnie.

Można zaznać gorszego losu.

3

**Jak szukanie
czterolistnej koniczyny**

Jak tylko pamiętam, zawsze przebywałam na plaży. Mama mówiła, że urodziłam się przy otwartym oknie i gdy mnie podniesiono do góry, najpierw zobaczyłam morze. Nasz dom na Cockmoile Square stał do niego tyłem, przy Gun Cliff, więc ledwie nauczyłam się chodzić, szłam na skały razem z bratem — Joe był parę lat starszy ode mnie i miał się mną zajmować, uważać, żebym się nie utopiła. W pewnych porach roku kręciło się tam wiele ludzi: spacerowali sobie po moło, przyglądali się łodziom albo wchodzili do wody w kabinach kąpielowych, które jak dla mnie przypominały wychodki na kółkach. Niektórzy kąpali się nawet w listopadzie. Śmieliśmy się z nich, Joe i ja, bo wychodzili mokrzy i zmarznięci, wyglądali żałośnie jak koty po deszczu, ale udawali, że dobrze im to robi.

Przez te wszystkie lata nieraz pasowałam się z morzem. Choć pory pływów były dla mnie czymś tak naturalnym jak bicie własnego serca, nawet ja dawałam się zaskakiwać przy szukaniu dziwów — morze podpełzało chyłkiem i odcinało mnie od brzegu, a wtedy musiałam brnąć przez wodę albo

piąć się po skałach, żeby wrócić do domu. Ale nigdy nie kapałam się umyślnie, jak te londyńskie panie, które przyjeżdżały do Lyme dla zdrowia. Zawsze wolałam stać na pewnym gruncie, bardziej lubiłam skały niż wodę. Dziękuję morzu za to, że karmi mnie rybami, że wydobywa skamieliny z klifu albo wypłukuje je z własnego dna. Gdyby nie morze, kości tkwiłyby na zawsze w skalnych grobowcach, a my nie mielibyśmy pieniędzy na jedzenie i mieszkanie.

Całe życie szukałam dziwów, od kiedy pamiętam. Tata zabierał mnie ze sobą i mówił, gdzie je znajdę i jak się nazywają: kręgi, diabelskie pazury, węże świętej Hildy, kamienie bezoarowe, strzałki piorunowe, lilie morskie. Nie minęło wiele czasu, a zaczęłam wyprawiać się sama. Nawet gdy ktoś ci towarzyszy, nie idziesz przy nim krok w krok. Nie da się patrzeć jego oczami. Musisz patrzeć swoimi, na swój sposób. Dwie osoby mogą spoglądać na ten sam kamień i widzieć co innego. Jeden zobaczy jeżowca, a drugi czert. Gdy w dzieciństwie chodziłam z tatą na poszukiwania, on znajdował kręgi w miejscach, które ja już przepatrzyłam.

— Zobacz — mówił i podnosił krąg leżący tuż przy mojej nodze. Potem śmiał się ze mnie i wołał: — Musisz się bardziej starać, dziewczyno!

Nie przejmowałam się. Przecież był moim ojcem, no to nic dziwnego, że znajdował więcej dziwów i uczył mnie, jak to się robi. Wcale nie chciałam być lepsza od niego.

Dla mnie szukanie dziwów wygląda tak samo jak szukanie czterolistnej koniczyny — nie trzeba patrzeć ze szczególną uwagą tylko trzeba dostrzegać to, co się wyróżnia. Omiatam wzrokiem kępę koniczyny i widzę: trzy, trzy, trzy, trzy, cztery, trzy, trzy. Cztery listki zwyczajnie rzucają mi się

w oczy. Tak samo z dziwami: kręcę się po plaży, bezmyślnie wodząc oczami po kamieniach, a tu raptem wyskakują dwie proste linie strzałki piorunowej, paski i zaokrąglenie kamienia węzowego albo żyłki kości na gładkim krzemieniu. Wzór wyróżnia się na tle ogólnego pomieszania.

Każdy szuka inaczej. Panna Elizabeth przygląda się licu skały, półkom i luźnym kamieniom z takim skupieniem, że człowiek boi się, co by nie pękła jej głowa. Rzeczywiście znajduje wiele rzeczy, ale się wysila. Nie ma takiego oka jak ja.

Gdy mój brat Joe zajmował się poszukiwaniem skamielin, miał jeszcze inny sposób, a przy tym nie znosił mojego. Jest trzy lata starszy ode mnie, ale w latach naszego dzieciństwa czuło się, jakby był dużo, dużo starszy. Niczym mały dorosły robił wszystko powoli, ostrożnie i z powagą. Do nas, dzieci, należało zbieranie i przynoszenie tacie skamielin, a czasem, kiedy był zajęty meblami, również czyszczenie. Joe nie lubił być na dworze w wietrzne dni. Ale znajdował dziwy. Dobrze mu to szło, mimo braku chęci. Miał oko. Robił tak: wybierał kawałek plaży, dzielił na kwadraty i każdy przeszukiwał tak samo dokładnie, chodząc tam i z powrotem, powoli i wytrwale. Znajdował więcej ode mnie, ale ja natrafiałam na coś niezwykłego: żebra i zęby krokodyla, kamienie bezoarowe i jeżowce — rzeczy niespodziewane.

Tata chodził na poszukiwania z długim kijem i rozgrzebywał nim kamienie, żeby się nie schylać. Nauczył się tego od pana Crookshanksa, który przyjaźnił się z nami i pierwszy opowiadał tacie różności o dziwach. Pan Crookshanks skoczył z Gun Cliff za naszym domem, gdy miałam

ledwie trzy lata. Zdaniem taty był w takich długach, że nawet dziwy nie mogły go uchronić przed przytułkiem, gdzie ludzie musieli pracować w zamian za wikt i dach nad głową. Nie znaczy to, że tata nauczył się czegoś na jego błędach. Nie ustawał w poszukiwaniu potwora, jak go nazywał, który pozwoli nam wyjść z długów. Przez te wszystkie lata znajdowaliśmy zęby, kręgi i coś jakby żebra, a także śmieszne drobiazgi w kształcie kostki jak ziarno kukurydzy i rozmaite kości, które były nam nieznane, ale według nas na pewno należały do wielkiego zwierza w rodzaju krokodyla. Panna Elizabeth pokazała mi go pewnego razu, gdy czyściłam jej dziwy. Miała książkę z mnóstwem rysunków różnych zwierząt i ich szkieletów, napisaną przez Francuza o nazwisku Cuvier.

Tata nie zbierał skamielin tak często jak my, bo robił meble, ale gdy tylko mógł, chodził na poszukiwania. Dziwy interesowały go bardziej niż stolarka. Mamę to martwiło, bo nie przynosiły stałych pieniędzy, a poszukiwania odciągały tatę od Cockmoile Square i rodziny. Mama podejrzewała pewnie, że tata woli być na plaży w samotności, niż siedzieć w domu pełnym beczących dzieciaków — miała ich gromadkę. Tylko Joe i ja nie płakaliśmy. Mama w ogóle nie chodziła na plażę, chyba że chciała skrzyczeć tatę, jeżeli wybrał się w niedzielę na poszukiwania i narobił jej wstydu w zborze. Sam nie słuchał mamy, ale zgodził się nie zabierać ze sobą Joego i mnie w niedzielę.

Prócz nas jeszcze jeden człowiek handlował dziwami: leciwy stajenny, który nazywał się William Lock i pracował w gospodzie Queen's Arms w Charmouth, gdzie zmieniano zaprzęgi dyliżansów kursujących między Londynem

a Exeter. William Lock stwierdził, że może sprzedawać skamieliny podróżnym, gdy mają sposobność rozprostować nogi i rozejrzeć się wokoło. Ponieważ skamieliny nazywano osobliwościami albo dziwami, dano mu przezwisko kapitan Dziw. Choć zbierał i sprzedawał okazy od lat — jeszcze dłużej niż tata — nie używał młotka, podnosił z ziemi to, co leżało na widoku, albo wykopywał łopata, którą miał ze sobą. Był nieprzyjemnym starcem i dziwnie mi się przyglądał. Staralam się trzymać od niego z daleka.

Czasami widywaliśmy kapitana Dziwa na plaży; do przyjazdu panny Elizabeth do Lyme na nadbrzeżu nie pojawiali się inni poszukiwacze prócz nas. Najczęściej zbierałam dziwy z Joem albo z tatą. Zdarzało się również, że szłam na plażę z Fanny Miller. Była w moim wieku i mieszkała kawałek od Lyme, w górę rzeki, za manufakturą sukienniczą, w osadzie zwanej przez nas Jerychem. Jej ojciec, drwal, sprzedawał tacie drewno, a matka pracowała w manufakturze. Millerowie, tak jak my, należeli do zboru kongregacjonalistów przy Coombe Street. W Lyme mieszkało wielu dyssenterów, choć był tu także kościół właściwy, Świętego Michała, do którego ciągle usiłowano nas zwabić. Anningowie się nie dawali — szczyciliśmy się tym, że myślimy inaczej niż tradycyjny Kościół anglikański, choć tak naprawdę nie wiedziałam, na czym polegają różnice.

Fanny była śliczna, drobna, jasnowłosa i delikatna, z niebieskimi oczami, których jej zazdrościłam. Grałyśmy w „kamień, nożyczki, papier” podczas niedzielnego nabożeństwa, gdy robiło się nudno, i biegałyśmy tam i z powrotem brzegiem rzeki, puszczając patyki i łódki z liści albo zbierając rukiew. Fanny zawsze wołała być nad rzeką, ale czasem

chodziła ze mną na plażę między Lyme a Charmouth, nigdy jednak nie zgodziła się pójść aż do Black Ven, bo uważała, że osuwisko wygląda złowrogo i spadającej na głowę kamienie. Budowałyśmy razem wioski z kamyków albo wypełnialiśmy tunele, które w półkach skalnych wydrążyły malutkie małże zwane skałotoczami. Jednocześnie rozglądałam się za dziwami — nigdy nie było tak, żebym mogła się tylko bawić.

Fanny miała oko, ale za nic nie chciała z niego korzystać. Uwielbiała ładne rzeczy: kawałki mlecznego kwarcu, prążkowane kamyki, złoto głupców. Mówiła o nich „moje klejnoty”. Zbierała te skarby, ale nie tknęła dobrego kamienia węzowego czy strzałki piorunowej, choć wiedziała, że są mi potrzebne. Budziły w niej strach. „Nie podobają mi się”, oświadczała, wzdrygając się; nie umiała wyjaśnić dlaczego, a gdy naciskałam ją, dodawała tylko: „Są brzydkie” albo: „Mama mówi, że przyniosły je wróżki”. Twierdziła, że jeżowiec to bochenek chleba wrózek i gdy się trzyma go na półce, nie kiśnie mleko. Powtórzyłam jej nauki taty: że kamienie węzowe zostały po węzach, które straciły głowy, że strzałki piorunowe są śladami piorunów, które Bóg zsyła na ziemię, że diabelskie pazury należały do samego diabła. Złękła się jeszcze bardziej. Wiedziałam, że to wszystko bajki. Gdyby diabeł naprawdę gubił pazury, musiałyby mieć tysiące łap. A gdyby piorun przyczynił się do powstania tyłu strzałek, musiałyby walić od rana do wieczora. Fanny nie umiała myśleć w ten sposób i strach jej nie opuszczał. Spotkałam wielu takich jak ona: wystraszonych tym, czego nie rozumieją.

Mimo to uwielbiałam Fanny — była wtedy moją jedyną prawdziwą przyjaciółką. Mieszkańcy Lyme nie odnosili się

z sympatią do naszej rodziny, uważali tatę za dziwaka, bo interesował się skamielinami. Nawet mama tak uważała, chociaż broniła taty, gdy gadano o nim na targowisku lub przed zbozem.

Moja przyjaźń z Fanny nie utrzymała się, mimo że przynosiłam jej mnóstwo klejnotów z plaży. Nie chodziło tylko o to, że Millerowie patrzyli na skamieliny podejrzliwie; tak samo patrzyli na mnie, zwłaszcza gdy zaczęłam pomagać siostrze Philpot, z których się naśmiewano, bo te londyńskie damy były tak osobliwe, że nawet w Lyme nie udało im się znaleźć mężów. Fanny nie chciała mi towarzyszyć, gdy szłam na plażę z panną Elizabeth. Zachowywała się coraz gorzej: robiła uwagi na temat kościstej twarzy panny Elizabeth i śmiesznych turbanów panny Margaret, wytykała mi dziury w butach i glinę pod paznokciami. Zaczęłam się zastanawiać, czy ona w ogóle jest moją przyjaciółką.

Kiedy już poszliśmy nad morze pewnego dnia, Fanny była w tak ponurym nastroju, że za karę zwlekałam z powrotem, aż złapał nas przypływ. Gdy zobaczyła, jak spieniona fala zalewa piasek pod samym klifem, wybuchnęła płaczem.

— Co teraz zrobimy? — beczała.

Patrzyłam na nią i wcale nie miałam ochoty jej pocieszyć.

— Możemy przejść w bród albo wdrapać się na klif — powiedziałam. — Wybieraj.

Co do mnie, nie chciało mi się brnąć przez wodę ćwierć mili pod klifem, żeby dotrzeć do miejsca położonego nieco wyżej, na skraju miasteczka. Woda była lodowata, morze wzburzone, a ja nie umiałam pływać, ale do tego się nie przyznałam.

Fanny spoglądała z przerażeniem to na kotłujące się fale, to na czekające nas strome wejście na klif.

— Nie umiem wybrać — pisnęła. — Nie umiem!

Poczeakałam, żeby jeszcze trochę popłakała, i poprowadziłam ją, pchając i ciągnąc, trudnym przejściem na górę klifu, do ścieżki łączącej Charmouth z Lyme. Tam Fanny oprzytomniała, ale nie mogła na mnie spojrzeć. Tuż pod miastem uciekła, a ja nie próbowałam jej gonić. Nigdy nie byłam okrutna wobec nikogo, więc wcale nie podobało mi się moje postępowanie. Poczułam też coś, co od tej pory towarzyszyło mi już zawsze: że choć powinnam, nie należę w pełni do tutejszej społeczności. Za każdym razem gdy natknęłam się na Fanny Miller — w zborze, na Broad Street, nad rzeką — jej wielkie niebieskie oczy stawały się twarde jak tafla lodu i zasłaniając ręką usta, szeptała coś o mnie swoim nowym przyjaciółkom. Wtedy czułam się jeszcze bardziej obco.

Nasze kłopoty zaczęły się na poważnie, gdy miałam jedenaście lat i odszedł tata. Niektórzy mówią że sam był sobie winny — pewnego wieczoru przydarzył mu się brzydki upadek, gdy wracał do Lyme ścieżką na klifie. Przysięgał, że nic nie pił, ale wszyscy czuliśmy zapach. Miał szczęście, że nie spadł i się nie zabił, za to był przykuty do łóżka miesiącami. Nie robił mebli, a znalezione przez Joego i mnie dziwy przynosiły niewiele, no więc rosły długi, w które nas wciągnął. Zdaniem mamy, po upadku tak osłabł, że nie mógł zmóc choroby, która go dotknęła kilka miesięcy później.

Było mi smutno, że tata odszedł, ale nie miałam kiedy o tym myśleć, bo zostawił nas w wielkich długach, bez szylinga przy duszy — mnie, Joego i mamę, która do tego była w ciąży, miesiąc po pogrzebie urodziła. Podtrzymując mamę z obu stron, Joe i ja prawie nieśliśmy ją do zboru przy Coombe Street. Razem udało się nam zaprowadzić ją na nabożeństwo, ale wyglądaliśmy jak półtora nieszczęścia, przychodząc chybottliwym krokiem na pogrzeb, za który nawet nie mieliśmy z czego zapłacić. W mieście urządzono zbiórkę pieniędzy i większość mieszkańców się pojawiła — chcieli zobaczyć, za co zapłacili.

Potem położyliśmy mamę do łóżka, a ja wyszłam na plażę, jak prawie co dnia — bez względu na pogrzeb — poczekałam tylko, aż mama zaśnie. Zdenerwowałyby się, wiedząc, dokąd idę. W jej rozumieniu to, że tata upadł na skałach, kiedy powinien pracować w warsztacie, było znakiem od Boga, że nie należało aż tak bardzo zajmować się dziwami.

Poszłam w stronę Charmouth, mając na oku przypływ, który już się zbliżał, ale za wolno, żeby mnie złapać. Minęłam pionową ścianę Church Cliffs i wąski kawałek, gdzie plaża zakręca, a potem się rozszerza, i poszłam dalej, wzdłuż piętrzącego się osuwiska Black Ven w szaro-brązowo-zielone pasy kamienia na przemian z trawą gdzieś podobne do sierści przegowanego kota, które schodziły łagodnie ku morzu. W tym miejscu muł z pokładów błękitnego liasu ścieka na plażę, pozostawiając skarby dla tych, którzy chcą w nim grzebać.

Rozgarniałam glinę, jak to robiliśmy z tatą przez te wszystkie lata. Poszukiwania wśród skał przyniosły mi

pociechę. Zapomniałam, że odszedł, i miałam wrażenie, że wystarczy się obrócić, a zobaczę go za sobą, jak stoi pochylony nad kamieniami albo szturcha kijem pokład, pracując w swoim świecie, tak jak ja pracowałam w swoim. Oczywiście nie było go tamtego dnia, następnego też, choć wiele razy się rozglądałam.

W błękitnym Hasie znalazłam tylko odłamki strzałek piorunowych; zabrałam je, mimo że nie miały czubków i były nic niewarte. Przyjezdni chcą kupować tylko długie strzałki, najlepiej z nienaruszonym czubkiem. Ale ze mną tak już jest, że gdy podniosę coś z ziemi, trudno mi to wyrzucić.

Za to wśród kamieni natrafiłam na cały, niepołamany kamień węzowy. Świetnie mieścił się w dłoni, więc zacisnęłam wokół niego palce. Miałam chęć pokazać go komuś; z każdym znaleziskiem chce się tak zrobić, bo wtedy wydaje się bardziej prawdziwe. Ale taty — który wiedziałby, jak trudno znaleźć taki doskonały okaz — nie było przy mnie. Zamknęłam oczy, powstrzymując łzy. Chciałam w nieskończoność trzymać w ręku ten kamień węzowy, ścisnąć go i myśleć o tacie.

— Dzień dobry, Mary. — Nade mną stała Elizabeth Philpot, ciemna postać na tle szarego nieba. — Nie sądziłam, że cię tu dzisiaj spotkam.

Nie mogłam dostrzec wyrazu jej twarzy i przeszło mi przez głowę, co też panna Elizabeth pomyśli sobie o mnie, widząc, że jestem na plaży, a nie w domu, przy zbolącej mamie.

— Co znalazłaś?

Wstałam ciężko z ziemi i pokazałam jej kamień węzowy.

— O, jaki ładny. *Liparoceras*, prawda? — powiedziała, biorąc go do ręki.

Panna Elizabeth lubiła używać nazw linneauskich, jak to się wyrażała. Czasem myślałam, że się popisuje.

— Zdaje się, że wszystkie garby na żebrach są nienaruszone. Gdzie leżał?

Wskazałam kamienie u stóp.

— Nie zapomnij napisać, gdzie go znalazłaś, w której warstwie skały i kiedy. To ważne, żeby rejestrować znaleziska.

Od kiedy w szkółce niedzielnej naszego zboru nauczono mnie czytać i pisać, panna Elizabeth ciągle kazała mi robić etykietki.

— Jak myślisz, nie złapie nas przypływ? — zapytała, rozglądając się po plaży.

— Mamy jeszcze kilka minut, proszę pani. Niedługo zawrócę.

Kiwnęła głową, wiedząc, że wolę wracać sama. Nie poczuła się urażona — wielu poszukiwaczy lubi samotne wędrówki.

— Aha, Mary — odezwała się, już odchodząc. — Siostrze i mnie jest bardzo przykro z powodu twego ojca. Przyjdę do was jutro. Bessy przygotowała zapiekankę, Louise ma napój wzmacniający dla twojej matki, a Margaret zrobiła na drutach szalik.

— To bardzo uprzejme — wymamrotałam.

Chciałam zapytać, na co nam szaliki i napoje wzmacniające, gdy nie mamy węgla, chleba i pieniędzy. Wiedziałam jednak, że siostry Philpot zawsze okazywały nam życzliwość i że nie powinnam narzekać.

Silny podmuch wiatru wygiął otok jej budki. Panna Elizabeth wyprostowała czepek i ciałniej owinęła się szalem.

— Gdzie twój płaszcz, dziewczyno? — rzuciła, marszcząc brwi. — Jeszcze zmarzniesz w taką pogodę.

Wzruszyłam ramionami.

— Nie jest mi zimno.

Tak naprawdę było mi zimno. Poczułam to, ledwie zapytała. Zapomniałam o płaszczu — i tak za małym, za ciasnym w ramionach, a ja musiałam swobodnie ruszać rękami. Tego dnia nie w głowie mi były płaszcze.

Poczekiałam, aż panna Elizabeth dojdzie do zakrętu na pustej plaży, i zaczęłam wracać, wciąż ściskając w rękę kamień węzowy. Jej wyprostowana postać daleko w przedzie dotrzymywała mi towarzystwa i dodawała otuchy. Dopiero na skraju miasta zobaczyłam innych ludzi. Grupa londyńczyków, goszczących w Lyme na koniec sezonu, spacerowała sobie przy Gun Cliff, za naszym domem. Minęłam ich, a wtedy pani z tej grupy zawołała:

— Znalazłaś coś?

Nie myśląc, otworzyłam dłoń. Kobieta zachłysnęła się ze zdumienia i chwyciła kamień węzowy, żeby pokazać go pozostałym. Wszyscy przystanęli, podziwiając okaz.

— Dam za niego pół korony.

Podążyła do jednego z panów i otworzyła torebkę. Chciałam powiedzieć, że nie jest na sprzedaż, że należy do mnie i ma przypominać o tacie, ale ona już wsunęła mi monetę do ręki i się odwróciła. Wpatrywałam się w pieniądź, myśląc: starczy na chleb przez tydzień, nie będziemy musieli iść do przytułku. Uznałam, że tata by to pochwalił.

Pobiegłam do domu, ściskając monetę w ręce. Miałam dowód, że na dziwach nadal możemy zarabiać.

Mama przestała narzekać, że chodzimy na poszukiwania. Nie starczało jej czasu: gdy doszła do siebie po śmierci taty, urodziło się dziecko, któremu dała na imię Richard, po tacie. Jak wszystkie poprzednie, też było płaksą. Ciągłe mu coś dolegało, mamie również; była oschła i zmęczona tym, że maluch źle spał i źle jadł. Jego zawodzenie — no i nasze długi — pewnego dnia, kilka miesięcy po śmierci taty, wygoniły Joego z domu na przenikliwie zimno, którego mój brat nie znosił. Potrzebowaliśmy skamielin. Też chciałam iść, nawet w taką zimnicę, ale utknęłam w domu, bo musiałam bujać malucha, żeby nie płakał. Tak się mazgał, że trudno było go lubić. Cichł tylko wtedy, gdy mocno go obejmowałam, kołysałam i na okrągło śpiewałam piosenkę *Starą panną nie chcę być*.

Akurat śpiewałam ostatnie linijki po raz szósty — „Czyś młody, czyś stary, jary czy kulawy, serce litościwe miej i za żonę wziąć mnie chciej, bo starą panną nie chcę być” — gdy wszedł do domu Joe, trzaskając tylnymi drzwiami tak mocno, że aż podskoczyłam. Uderzyła mnie fala zimnego powietrza i maluch znowu się rozplakał.

— No i coś ty zrobił! — zawołałam. — Ledwie się uspokoił, a ty musiałeś go obudzić.

Joe zamknął drzwi i odwrócił się do mnie. Wtedy zauważyłam, jaki jest rozgorączkowany. Zazwyczaj nic go nie rusza — ma kamienną twarz, która niewiele wyraża i rzadko się zmienia. Ale teraz jego brązowe oczy lśniły

tak, jakby biło z nich słońce, policzki były zarumienione, usta otwarte. Zdarł z głowy czapkę i poczochnął się, aż stanęły mu włosy.

— Co się stało, Joe? — zapytałam. — Cicho, mały, cicho. — Położyłam sobie dziecko na ramieniu. — No mów.

— Znalazłem coś.

— Co? Pokaż.

— Musisz wyjść z domu. To siedzi w skale. Jest duże.

— Gdzie?

— Na końcu Church Cliffs.

— Co to takiego?

— Nie wiem. Wygląda... inaczej. Długa szczeka, mnóstwo zębów. — Joe był dość wystraszony.

— Krokodyl — oświadczyłam. — Na pewno.

— Chodź zobaczyć.

— Nie mogę... Co zrobię z maluchem?

— Weź ze sobą.

— Nic z tego... jest za zimno.

— Może zostawić go u sąsiadów?

Pokręciłam głową.

— I tak dużo dla nas zrobili... Nie możemy ich znowu prosić, nie z tego powodu.

Nasi sąsiedzi z Cockmoile Square byli niechętnie nastawieni do dziwów. Zazdrościli nam tych drobnych pieniędzy ze sprzedaży, a przy tym nie mogli zrozumieć, dlaczego człowiek chce pożegnać się choćby z pensem, żeby mieć kawałek kamienia. Wiedziałam, że możemy prosić ich o pomoc tylko w ostateczności.

— Weź go na chwilę.

Podaliśmy bratu malucha i zjrzaliśmy do mamy w pokoju obok. Spała w najlepsze. Dla odmiany teraz wyglądała tak spokojnie, że nie miałam serca kłaść przy niej ryczącego dziecka. Więc zabraliśmy je ze sobą zawinięte w tyle chust, ile się dało.

Gdy szliśmy plażą—wolniej niż zwykle, bo przyciskałam małego do piersi i nie mogłam używać ramion do utrzymania równowagi na kamieniach — Joe opowiadał, że szukał dziwów w rumowisku powstałym po osunięciu się zbocza w czasie niedawnych sztormów. Nie oglądał samych skał, tylko grzebał wśród kamieni i gdy stanął prosto, dostrzegł pokład, w którym tkwił rząd zębów.

— To tu.

Stanął przy kupce kamieni — trzy na dole, jeden na wierzchu, sposób Anningów na oznaczenie znaleziska, gdy musieliśmy od niego odejść. Położyłam malucha na ziemi, ziębnięty, teraz ledwie kwilił, i bacznie przyjrzałam się warstwom skały, które wskazywał Joe. W ogóle nie czułam zimna, taka byłam przejęta.

Od razu zobaczyłam zęby, tuż poniżej linii wzroku. Stały nie w równych rzędach, tylko bezładnie między dwoma długimi ciemnymi kawałkami kości — pewnie były to szczęki tego stworzenia — które stykały się końcami pod kątem, tworząc zarys wydłużonego, spiczastego pyska. Przesunęłam po tym wszystkim palcem. Na widok tej paszczy wstrząsnął mną piorun. To był potwór, którego tata szukał latami i już nie zobaczy.

Czekało mnie jeszcze silniejsze uderzenie pioruna. Joe dotknął palcem dużej bulwy nad zawiasem szczęk. Choć częściowo zakryta skałą, wyglądała kuliście, jak bułka na spodku. Zaokrąglony kształt nasuwał myśl, że to kawałek

amonita, ale nie było widać spirali z garbami dokoła. Dało się za to zauważyć kostne płytki zachodzące na duży pusty oczodół. Wpatrywałam się w ten otwór i miałam wrażenie, że on patrzy na mnie.

— To jest oko? — spytałam.

— Chyba tak.

Przeszedł mnie dreszcz, przed którym nie można się powstrzymać, choć nawet nie jest człowiekowi zimno. Nie przypuszczałam, że krokodyl ma takie duże oczy. Na obrazku, który pokazała mi panna Elizabeth, miał małe świńskie oczka, a nie ogromne sowe. Dziwnie się czułam, patrząc na to oko w skale, jakby okazało się, że istnieje świat osobliwości, o których nie mam pojęcia: krokodyli z wielkimi oczami i węzów bez głów, i piorunów, które zsyła Bóg, a one zamieniają się na ziemi w kamień. Czasem czuję się pusta w środku, gdy spoglądam na rozgwieżdżone niebo albo w głęboką wodę, jak to zdarzyło się kilka razy, gdy wypłynęłam w morze łodzią, i nie jest mi z tym dobrze: jakby świat był tak bardzo obcy, że w ogóle go nie rozumiem. W takich chwilach muszę iść do kaplicy w zborze i siedzę tam do czasu, aż poczuję, że mogę zostawić Bogu zajmowanie się wszystkimi tajemnicami, i znów ogarnia mnie spokój.

— Ile on ma długości? — spytałam, próbując przez zadawanie pytań dowiedzieć się czegoś o tym potworze.

— Bo ja wiem... ze trzy albo cztery stopy, sama czaszka. — Joe przesunął ręką po skale z prawej strony szczęki i oka. — Nie widzę reszty ciała.

Luźne kawałki łupku zsunęły się z klifu i spadły blisko nas. Zrobiliśmy parę kroków w tył, spoglądając w górę, ale nie zleciało nic więcej.

Zerknęłam na malucha, który w kokonie z chust wyglądał jak gąsienica. Przestał kwilić i zmrużonymi oczami patrzył w szare niebo. Trudno mi było powiedzieć, czy wodzi wzrokiem za przepływającymi chmurami.

W oddali, na plaży w Charmouth, dwaj mężczyźni wyciągali na brzeg łódź wiosłową którą wypłynęli obejrzeć więcierze na homary. Natychmiast odeszliśmy od skały, jak dzieci przyłapano na pożeraniu wzrokiem ciastek na talerzu. Z tak daleka nie było widać, gdzie dokładnie jesteśmy i co robimy, ale mimo to zachowywaliśmy ostrożność. Choć niewielu poszukiwało skamielin jak my, krokodyl na pewno wzbudziłby ciekawość. Gdy na niego teraz patrzyłam, gąszcz zębów i oko jak spodek odcinały się od skały tak wyraźnie, że niedługo ktoś by je z pewnością dojrzał.

— Musimy go dobrać — powiedziałam.

— Jeszcze nie dobywaliśmy czegoś tak wielkiego — odparł Joe. — Czy w ogóle dźwigniemy kawał skały długi na cztery stopy?

Miał rację. Do tej pory stukałam młotkiem, żeby wydłubać amonita z kamienia na plaży czy ze skały, ale zwykle to deszcz i wiatr kruszyły dla nas klif i odsłaniały dziwy.

— Potrzebny nam ktoś do pomocy — oświadczyłam.

Przyznałam to z niechęcią. Od śmierci taty mieszkańcy miasteczka pomagali nam wiele razy i trudno było prosić ich o jeszcze, nie płacąc za to, zwłaszcza gdy chodziło o dziwy. Nie tylko Fanny Miller nie zносиła skamielin.

— Poradźmy się panny Elizabeth — zaproponowałam.

Joe zmarszczył brwi. Nie ufał Elizabeth Philpot, podobnie jak mama i tata. Nie mógł zrozumieć, po co takiej damie dziwy i dlaczego chce utrzymywać ze mną znajomość. Na

widok znaleziska nie czułam, jak panna Elizabeth i ja, że odkrywa nowy świat. Nawet teraz, gdy natrafiłam na tego zadziwiającego krokodyla, szybko ochłonęłam z wrażenia i tylko myślałam o trudnościach, które nas czekają. Chciałam pójść do panny Elizabeth, bo mogła nam pomóc, a poza tym wiedziałam, że będzie przejęta tak samo jak ja.

Tkwiliśmy tam bardzo długo, odłupując młotkiem kawałki skały wokół krokodyla i zastanawiając się, co tu zrobić. W końcu przyплыw odciął nam drogę powrotną i musieliśmy wdrapać się na klif, żeby wrócić do Lyme — nie było to łatwe z dzieckiem na rękach. Biedne maleństwo. Umarło następnego lata. Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy ta wyprawa nad morze w zimny dzień nie nadszarpnęła mi zdrowia. Z drugiej strony tyle dzieci umarło mamie, że nie dziwota, że to też nie przeżyło. Mogłam jednak zostać z nim w domu i następnego dnia pójść zobaczyć krokodyla. Ale tak to już jest: szukanie skamielin trawi człowieka jak głód, wszystko przestaje być ważne prócz tego, co znajdziesz. A gdy już coś ci się trafi, zaraz zaczynasz szukać na nowo, bo może czeka cię coś jeszcze lepszego.

Nic, co widziałam do tej pory, nie dorównywało znalezisku Joego. Uderzyło we mnie piorunem i przeszło na wylot, jak gdyby budząc z długiego snu. Przyglądałam mu się z radością. Szkoda tylko, że nie ja na nie natrafiłam. Wszyscy byli zaskoczeni, że Joe znalazł taki niezwykły okaz, bo szukanie czegoś nowego nie leżało w jego naturze. Takie rzeczy umiałam robić ja. Starałam się opanować zazdrość, choć było to trudne. Dość szybko zapomniano, że znalazcą krokodyla był Joe, i zaczęto przypisywać to odkrycie mnie. Nie prostowałam, a Joe nie przywiązywał

do tego wagi. Chętnie odsunął się od całej sprawy, bo wołał być znowu zwyczajnym Joem Anningiem, a nie poszukiwaczem, któremu udało się znaleźć potwora. Ciężyła mu przynależność do rodziny tak bardzo obgadywanej i osądzonej. Wydaje mi się, że gdyby mógł, z ochotą przestałby być Anningiem. A że nie mógł, nie zdradzał swoich myśli.

Następnego ranka zabraliśmy pannę Elizabeth, żeby pokazać jej miejsce z czaszką. Był jeden z tych bezchmurnych zimnych dni, gdy wydaje się, że każdy kamień jest wyraźnie widoczny, ale nie trwało to długo — zimowe słońce ledwie świeciło nad horyzontem za Lyme Bay. Mimo chłodu panna Elizabeth nie kazała się namawiać i od razu wyszła z domu, choć służąca Bessy burknęła coś pod nosem, a panna Margaret zaszczębiotała, że wkrótce będą miały gości. Z wiekiem przekonałam się, że panna Margaret jest trochę niemądra, wołałam spokój panny Louise i zgryźliwość panny Elizabeth. Panna Elizabeth nie przejęła się gośćmi, chciała zobaczyć potwora.

Gdy doszliśmy do końca Church Cliffs, niemal zaparło mi dech w piersiach na widok dziwnego zarysu odcinającego się od lica skały. Panna Elizabeth milczała. Zdjęła porządne rękawiczki, włożyła te robocze bez palców i powiodła ręką po długim, spiczastym pysku i płataninie zębów. W miejscu gdzie znajdował się zawias szczęki, odłupała cienką warstwę kamienia.

— Popatrz — powiedziała — usta zwracają się lekko ku górze, jak gdyby się uśmiechał. Pamiętasz rysunek krokodyla, który pokazałam ci w książce Cuviera?

— Pamiętam, proszę pani. Ale niech pani popatrzy na jego oko!

Ostrożnie stukałam młotkiem, odsłaniając dalsze kości ułożone w krąg i zachodzące na siebie jak wielkie łuski ryby dokoła pustego otworu, gdzie kiedyś musiała być gałka oka.

Panna Elizabeth przyglądała się bacznie.

— Myślisz, że to na pewno oko? — spytała poruszona tym widokiem.

— Cóż by innego? — wtrącił się Joe.

— Na rysunku Cuviera oko jest inne.

— Może ten miał coś z okiem — podsunęłam myśl. — Na przykład był chory. Albo Francuz źle narysował.

Panna Elizabeth prychnęła.

— Tylko dziewczyna twojego pokroju ważyłaby się kwestionować dzieło największego na świecie znawcy anatomii zwierząt.

Nachmurzyłam się. Nie lubiłam tego Cuviera.

Na szczęście panna Elizabeth przestała gadać o mojej głupocie i oku krokodyla. Bardziej przejęła się sprawami praktycznymi.

— Jak zamierzacie go wydobyć? Ma co najmniej cztery stopy długości.

— Trzeba będzie kopać jak nigdy dotąd, prawda, Joe? — powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

— Kamień długi na cztery stopy... Czy to dla was nie za duży ciężar? Potrzebujecie mężczyzn do pomocy. I to krzepkich. — Panna Elizabeth zastanawiała się przez chwilę. — A ci ludzie, co budują drogę spacerową wzdłuż plaży

w stronę Cobb? Potrafią kuć skałę i mają krzepę. Może by to dla was zrobili.

— Może tak, proszę pani — powiedziałam — ale nie mamy czym zapłacić.

— Pożyczę wam pieniądze. Zwróćcie po sprzedaży okazji.

Rozpromieniłam się.

— Och, naprawdę, panno Elizabeth, mogłaby pani? Bylibyśmy tacy wdzięczni, prawda, Joe?

Ale Joe nas nie słuchał.

— Mary, panno Philpot, trzeba stąd odejść! — syknął. — Idzie kapitan Dziw!

Odwrociłam się. Zza zakrętu zasłaniającego widok na Lyme wylazł jedyny poszukiwacz skamielin, który mógł chcieć zasadzić się na naszego krokodyla. Podczas gdy większość ludzi szanowała prawo znalazcy do swego okazji, kapitan Dziw czymś takim w ogóle się nie przejmował. Kiedyś zabrał ogromnego amonita, którego razem z Joem wydobyłam ze skały na Monmouth Beach, a potem śmiał się nam w żywe oczy, gdy powiedzieliśmy mu, że skamielina należy do nas. „To było jej nie zostawiać, co? Ja wykopałem ją do końca, no i jest moja”, oświadczył. Nawet gdy tato poszedł rozmówić się z nim, przysięgał, że pierwszy zobaczył tego amonita i oznaczył miejsce, więc to my, Joe i ja, próbowaliśmy dobrać się do jego znaleziska.

Nie można było dopuścić, żeby kapitan Dziw zauważył krokodyla. Gdyby tak się stało, musielibyśmy pilnować go cały czas. Odsunęłam się od czaszki, podniosłam z ziemi coś podobnego do kongrecji i skierowałam się na brzeg morza, gdzie leżał płaski kamień, na którym mogłam ją

rozbić. Joe przeszedł z półtora jarda w kierunku Charmouth i zaczął grzebać wśród odłamków złota głupców, szukając spirytyzowanego amonita. Złote węże — tak na nie mówiliśmy. Panna Elizabeth zrobiła kilka kroków, bacznie patrząc w dół, i przyklękła, żeby podnieść kamień. Spod otoka budki obserwowałam kapitana Dziwa, który zbliżał się do tkwiącego w skale krokodyla, niosąc łopatę na ramieniu. Jak już bardziej odsłoniłam oko, wydawało się, że czaszka przyciąga uwagę uporczywym spojrzeniem i szerokim uśmiechem. Kapitan Dziw obrzucił wzrokiem skałę i zatrzymał się w miejscu, gdzie staliśmy w trójkę. Ucichło szuranie butów Joego, przestałam stukać młotkiem.

Kapitan Dziw pochylił się i coś podniósł. Gdy się wyprostował, jego twarz znajdowała się w odległości kilku cali od oka potwora. Serce zaczęło mi walić. Wtedy wyciągnął rękę, w której trzymał rękawiczkę.

— Czy to pani własność, panno Philpot? Zbyt elegancka, żeby należała do Mary.

— Rzeczywiście, moja, panie Lock — powiedziała panna Elizabeth.

Nigdy nie zwracała się do niego kapitanie Dziw, tylko używała prawdziwego nazwiska; również mówiła Joseph zamiast Joe, amonity zamiast kamienie węzowe i belemnity zamiast strzałki piorunowe. Wolała wyrażać się oficjalnie.

— Mógłby pan mi ją podać? — dorzuciła.

Kapitan Dziw podszedł i podał jej rękawiczkę. Gdy oddalił się od krokodyla, znów zaczęłam oddychać.

— Coś pani znalazła? — zapytał, kiedy mu podziękowała.

— Tylko małża *Gryphaea*. Czyli diabelski pazur, jak to pan mówi.

— Zobaczmy.

Kapitan Dziw kucnął przy panie Elizabeth. Poszukiwanie skamielin tak działa na ludzi — odstępują od zasad. Spotykając na plaży damę, stajenny może odezwać się do niej w taki sposób, w jaki nigdy by się nie odezwał gdzie indziej.

Pośpieszyłam jej na pomoc.

— Co pan tu robi, kapitanie? — zapytałam stanowczym tonem.

— To samo co ty, Mary — zachichotał. — Szukam dziwów, żeby mieć parę pensów. Ale tobie są one teraz przecież bardziej potrzebne niż mnie, zważywszy, w jakich kłopotach zostawił was ojciec. Masz. — Rzucił coś w moją stronę. Złotego węża.

— Nic mi po pańskich dziwach.

Odwrociłam się i wyrzuciłam znalezione jak najdalej. Choć był odpływ, wpadło do wody.

— Hejże! — Spojrzał na mnie ze złością. Nikt nie chce, żeby jego dziwy tak się marnowały. Równie dobrze można było wrzucić do wody monety. — Wyrosłaś na paskudną dziewczuchę — mówił dalej. — Pewnie ten grom wstrząsnął tobą i tak ci się porobiło. Gdybyś nosiła strzałkę piorunową, toby w ciebie nie trafił. A teraz tyle w tobie złościwości, że zostaniesz skwaśniałą starą panną i żaden mężczyzna na ciebie nie spojrzy.

Już otworzyłam usta, żeby mu odpowiedzieć, ale ubiegła mnie panna Elizabeth.

— Czas na pana, panie Lock — rzekła.

Kapitan Dziw przeniósł zły wzrok ze mnie na nią.

— Na drugi raz nie będę się fatygował, żeby podnieść rękawiczkę szanownej pani — parsknął.

Zamilkł, bo Joe właśnie stanął przy nas, i zarzuciwszy łopatę na ramię, poszedł dalej plażą w stronę Charmouth, oglądając się za siebie od czasu do czasu.

— Byłaś wobec niego bardzo niegrzeczna, Mary — odezwała się panna Elizabeth.

— On był jeszcze niegrzeczniejszy wobec mnie. I wobec pani!

— Niemniej powinnaś okazywać szacunek starszym, w przeciwnym razie będą źle o tobie myśleć.

— Przepraszam, panno Philpot.

W ogóle nie było mi przykro.

— Zostańcie tu oboje, aż przypływ zaleje plażę — zarządziła panna Elizabeth — i miejcie to stworzenie w zasięgu wzroku, bo William Lock jeszcze wróci i je zauważy. Ja pójdę na Cobb i zobaczę, czy uda mi się nająć ludzi, którzy jutro wydobędą tego krokodyla... zakładając, że istotnie mamy do czynienia z krokodylem. Choć coś innego może to być?

Wzruszyłam ramionami. Jej pytanie, nie wiedzieć czemu, zasiało we mnie niepokój.

— To niechybnie jedno z bożych stworzeń — oświadczył z przekonaniem Joe.

— Czasem zastanawiam się...

— Nad czym, proszę pani? — zapytałam.

Panna Elizabeth spojrzała na nas i oprzytomniała, jak gdyby właśnie dotarło do niej, z kim przebywa.

— Nic takiego. Jakoś dziwnie wygląda ten krokodyl.

Zerknęła jeszcze raz na czaszkę i poszła.

Następnego dnia po południu bracia bliźniacy, Davy i Billy Dayowie, przyszli kopać. Szkoda, że morze cofnęło się najdalej wczesnym popołudniem, bo wtedy po plaży kręciło się więcej ludzi niż z samego rana czy wieczorem. Woleliśmy kopać, gdy w pobliżu nie było nikogo, przynajmniej do czasu, aż dowiemy się, co to za znalezisko, i zdołamy je zabezpieczyć.

Dayowie byli skalnikami, kładli drogi i naprawiali falochron Cobb. I jeden, i drugi miał potężną klatkę piersiową umięśnione ramiona i krótkie, mocne nogi; chodził z wysuniętą do przodu pierśią i spiętym tyłkiem. Niewiele powiedzieli ani nie okazali zdziwienia, gdy podeszli do krokodyla wpatrującego się w nich ze skały okiem jak spodek. Potraktowali to zadanie jak zwykłą robotę, jakby mieli wyrąbać kamienny blok do budowy ściany czy drogi, a z tego bloku wcale nie wystawał potwór.

Wodzili rękami po kamieniu otaczającym czaszkę i wycywalili naturalne pęknięcia, w które da się wbić kliny. Nie odzywałam się, bo w kuciu skał mieli więcej doświadczenia ode mnie. W późniejszych latach dużo się od nich nauczyłam, zwłaszcza gdy zaczęłam znajdować pokaźne okazy, które trzeba było wyjmować z lica skały czy występów skalnych. Dayowie wydobyli dla mnie wiele potworów, gdy sama nie mogłam tego zrobić.

Nie śpieszyli się, mimo że do zachodu słońca i nadejścia przypływu zostało im tylko pół dnia. Przed każdym uderzeniem bacznie oglądali powierzchnię skały. Gdy już wiedzieli, gdzie włożyć żelazny klin, naradzali się, pod jakim kątem i jak mocno rąbnąć młotem, i dopiero wtedy to robili. Czasem stukali tak lekko, że nie pozostawał ślad,

a następnie jeden z nich, Billy albo Davy — nigdy nie potrafiłam ich odróżnić — walił z całej siły i odłupywał kolejny kawałek skały.

Tymczasem zaczęli gromadzić się ludzie — i ci, co byli tu przed naszym przyjściem, i dzieciaki, które jakby przewidziały, że się pojawimy — wśród nich także Fanny Miller, która nie obdarzyła mnie spojrzeniem i stanęła z boku razem z koleżankami. W Lyme nie da się utrzymać nic w tajemnicy: mała miejscina, duża potrzeba rozrywek. Nawet lodowate zimno nie powstrzyma ludzi przed wyjściem z domu, jak coś się dzieje. Dzieci biegały przy brzegu morza, puszczały kaczkę, grzebały w mule i piasku. Część dorosłych szukała skamielin, choć tylko nieliczni wiedzieli, co robią. Reszta stała i gawędziła. Kilku mężczyzn udzielało rad Davy'emu i Billy'emu, jak mają kuć. Nie wszyscy czekali całe cztery godziny na wydobywanie czaszki, bo gdy słońce zaszło za klif, ziab był jeszcze większy. Ale sporo ludzi zostało do końca.

W tłumie kręcił się kapitan Dziw, który przyszedł na plażę z Charmouth. Gdy Dayowie wreszcie wyjęli czaszkę — w trzech częściach: dwa kawałki to pysk i oko, trzeci kawałek to reszta łba za oczodołem — i położyli ją na nosidłach zrobionych z materiału rozciągniętego między dwoma dragami, kapitan Dziw razem z gapiami stanęli w kole, żeby przyjrzeć się potworowi. Kapitana interesowała przede wszystkim kręgi ciągnące się bezładnie za czaszką. Ich obecność świadczyła o tym, że w skale pozostała reszta krokodyla. Było już za ciemno, żeby zajrzeć w puste miejsce po czaszce. Poszukiwanie ciała musieliśmy odłożyć na następny dzień, jak się rozwidni.

Nie mogłam ścierpieć, że kapitan Dziw tak tu węszy, ale ze strachu przed nim nie śmiałam znowu być niegrzeczna.

— Niedobrze, że on tu jest — szepnęłam do panny Elizabeth. — Coś knuje. Może namówiłaby pani Dayów, żeby zanieśli teraz krokodyla do domu?

Billy i Davy siedzieli na kamieniu, podając jeden drugiemu dzbanek i bochenek chleba. Wyglądali tak, jakby nie chcieli się stąd ruszyć, choć zapadł już zmrok i szron pokrywał kamienie i piasek.

— Należy im się odpoczynek — powiedziała panna Elizabeth. — Przypływu skłoni ich niedługo do powrotu.

W końcu Dayowie otarli usta i wstali. Gdy podnieśli nosidła, kapitan Dziw zniknął w mroku, udając się do Charmouth. My skierowaliśmy się w drugą stronę, z powrotem do Lyme, idąc za braćmi jak orszak pogrzebowy za żałobnikami niosącymi trumnę do grobu. I rzeczywiście, weszliśmy do miasta drogą, która prowadziła przez cmentarz przy kościele Świętego Michała i dalej w dół Butter Market do Cockmoile Square. Przechodnie co rusz zatrzymywali się, by zerknąć na kamienne bloki na nosidłach, i wzdłuż całej ulicy słychać było wymawiane półgłosem słowo: „Krokodyl”.

. . .

Następnego dnia po wydobyciu czaszki popędziłam na plażę przy Church Cliffs, ledwie morze się cofnęło. Uprzedził mnie jednak kapitan Dziw. Żeby zdążyć przed innymi, był gotów brnąć przez wodę i przemrozić sobie nogi. Nie mogłam stawić mu czoła, bo byłam sama — Josephowi zaproponowano dniówkę w młynie w zastępstwie chorego

robotnika, więc nie chciałam stracić okazji, by zarobić na dzienną strawę dla naszej rodziny. Z ukrycia obserwowałam, jak kapitan Dziw grzebie w wielkiej dziurze po czaszce. Obrzucając go przekleństwami, pragnęłam, żeby stoczył się kamień i rąbnął go w głowę.

A potem wpadłam na niecny, bardzo niecny pomysł i muszę przyznać ze wstydem, że go wykonałam. Nigdy nikomu nie przyznałam się do tego brzydkiego uczynku. Biegiem wróciłam plażą do ścieżki, która prowadziła na górę Church Cliffs, i podczołgałam się do miejsca tuż nad dziurą z krokodylem.

— A niech cię diabli, kapitanie Dziw — szepnęłam i straciłam kamień wielkości swojej pięści.

Gdy doleciał mnie krzyk kapitana, uśmiechnęłam się, przyklejona do ziemi, żeby mnie na pewno nie zauważył. Nie zamierzałam zrobić mu krzywdy, tylko chciałam go porządnie nastraszyć.

Przekonana, że stoi kilka kroków od skały i patrzy, co jeszcze się osunie, straciłam większy kamień oraz garść ziemi i drobnych kamyków, żeby wyglądało na lawinę. Tym razem nie odezwał się, ale wciąż leżałam plackiem. Gdyby się zorientował, co robię, bez wahania by mnie ukarał.

Wtedy przeszło mi przez myśl, że kapitan Dziw może będzie chciał sprawdzić. Spadające kamienie to zwykła rzecz, ale on był podejrzliwy. Wyczołgałam się z powrotem i szybko pobiegłam ścieżką w dół. Ledwie skoczyłam za kępę wysokich traw, gdy nadszedł mocno rozsierdzony. Jakoś musiał wykombinować, że to wszystko nie dzieje się samo z siebie. Czekałam w ukryciu, aż zniknął mi z oczu, po czym zleciałam na plażę i pognałam do dziury z kroko-

dylem. Liczyłam na to, że nim wróci kapitan, szybko się rozejrzę, czy znowu będziemy musieli zatrudnić Dayów.

W świetle dnia, przy bezchmurnym niebie, wewnątrz dziury, którą pozostawili bliźniacy, było bardziej widoczne. Czaszka została wydobyta pod kątem, więc ciało — zależnie od jego długości — prawdopodobnie tkwiło dość głęboko w skale. Skoro łeb miał cztery stopy, to reszta mogła mieć dziesięć do piętnastu stóp. Wczołgałam się do środka, żeby obmacać miejsce, gdzie, jak pamiętałam, kończyły się kręgi wychodzące z czaszki. Wyczułam długą guzowatą wypukłość i zaczęłam zdrapywać z niej brud i glinę.

I raptem usłyszałam za plecami ryk:

— Ach, ty wstrętna suko! Wiedziałem, że tu będziesz!

Z piskiem wyskoczyłam z dziury i przywarłam do skały przerażona, że znalazłam się twarzą w twarz z kapitanem.

— Zostaw mnie... To mój krokodyl! — zawołałam.

Kapitan Dziw złapał mnie za rękę i wykręcił ją do tyłu. Jak na starca miał dużo krzepy.

— Dybiesz na moje życie, tak? Dam ci nauczkę, dzie-wucho! — warknął, sięgając po łopatę, którą miał za plecami.

Nie dowiedziałam się, jak chciał mnie ukarać, bo w tej samej chwili przyszła mi na pomoc skała. W następnych latach wiele razy czułam, że jest moim wrogiem. Ale tego dnia spuściła tuż obok nas grad małych i dużych kamieni — niektóre tak duże jak te, co sama strąciłam. Kapitan Dziw, który już wymierzał cios, nagle okazał się moim wybawicielem. Ledwie odciągnął mnie od skały jednym szarpnięciem, a tam gdzie stałam, rozbił się kamień.

— W nogi! — krzyknął.

Uczepieni jedno drugiego, potykając się, odbiegliśmy w bezpieczne miejsce bliżej morza. Odwróciwszy się, zobaczyliśmy, że kawał skały, gdzie jeszcze niedawno stałam, popękał i zamienił się w potok kamieni. Ryk lawiny przypominał grzmot pioruna, który słyszałam jako niemowlak, ale trwał dłużej i przeniknął mnie jak ciemność, a nie jak jaskrawa, lecąca z hukiem błyskawica. Minęła dobra minuta, nim kamienie przestały się osuwać. Kapitan Dziw i ja zamarliśmy, patrząc na rumowisko i czekając.

Gdy skała znieruchomiła i zrobiło się cicho, wybuchnęłam płaczem. Nie dlatego, że niewiele brakowało, a mogłam zginąć. Osuwisko całkowicie zamknęło jamę, gdzie znajdowało się ciało krokodyla. Żeby się tam dostać, trzeba by kopać latami. Kapitan Dziw wyjął z kieszeni cynową piersiówkę, otworzył ją, pociągnął haust i podał mi butelkę. Wytarłam oczy i nos rękawem i wypijałam łyk. Pierwszy raz miałam w ustach alkohol. Poczułam palenie w gardle, chwycił mnie kaszel, ale przestałam płakać.

— Dziękuję, kapitanie — wykrztusiłam, oddając butelkę.

— To wczorajsze kucie naruszyło skałę i się oberwała. Zaczęło się trochę wcześniej, ale myślałem... — Urwał. — Czeka cię cholerna robota, jeżeli chcesz coś stamtąd wyciągnąć. — Ruchem głowy wskazał rumowisko. — Moją łopatę też zasypało. Będę musiał sprawić sobie drugą.

Zabawne, że na myśl o ciężkiej pracy od razu zrezygnował z poszukiwań. Krokodyl znowu należał do mnie — przywalony zwałami kamieni.

4

To woła o pomstę do nieba

Spotkałam w swoim życiu kilka osób, które potraktowałam lekceważąco, ale nikt nie wywołał we mnie takiego wzburzenia jak Henry Hoste Henley.

Dziedzic Henley przyszedł zobaczyć się ze mną następnego dnia po wydobyciu czaszki przez braci Dayów. Ponieważ nie skorzystał ze skrobaczki do butów, naniósł błota do bawialni. Gdy Bessy go zaanonsowała, Louise była poza domem, Margaret szyła, a ja pisałam do brata list o wydarzeniach poprzedniego dnia. Margaret wydała cichy okrzyk, dygnęła przed panem dziedzicem i poprosiwszy o wybaczenie, poszła chwiejnym krokiem do siebie na górę. Choć często widywała go z rodziną na nabożeństwach u Świętego Michała, nie przypuszczała, że zaburzy jej poczucie bezpieczeństwa we własnym domu, gdzie nie musiała robić dzielnej, beztroskiej miny jak w miejscach publicznych.

Dziedzic Henley był wielce zaskoczony nagłym wyjściem Margaret — nie ulegało wątpliwości, że nie orientuje się, co zaszło między nią a jego przyjacielem Jamesem Footem. Z drugiej strony, owszem, minęło już kilka lat i mógł się

spodziewać, że Margaret doszła do siebie. Albo zapomniał: mężczyźni tacy jak on nie pamiętają o sprawach ważnych dla kobiet.

Inaczej niż Margaret. Stare panny nie zapominają.

Najwyraźniej nie zauważył również, że unikamy wizyt w Colway Manor, w przeciwnym razie nie przyszedłby do Morley Cottage. Dziedzic należał do ludzi o ograniczonej wyobraźni i żadną miarą nie potrafił spojrzeć na świat oczami drugiego człowieka. Z tego powodu jego zainteresowanie skamieniałościami było śmiechu warte: żeby prawdziwie je docenić, trzeba sięgnąć wyobraźnią w regiony dla niego niedostępne.

— Proszę wybaczyć mojej siostrze — powiedziałam. — Tuż przed pana przybyciem uskarżała się na kaszel. Nie chciała zarazić gościa chorobą.

Pan dziedzic kiwnął głową, starając się zachować cierpliwość. Stan zdrowia Margaret z pewnością nie był powodem jego odwiedzin. Na moją stanowczą prośbę usiadł przy kominku, a właściwie przycupnął na skraju fotela, gotów poderwać się w każdej chwili.

— Panno Philpot — rzekł — słyszałem o niezwykłym odkryciu, jakiego dokonała pani wczoraj na plaży. Czy to krokodyl? Chciałbym go zobaczyć. — Rozejrzał się wokół, jak gdyby oczekiwał, że zobaczy okaz wyeksponowany w gablocie.

Nie zdziwiłam się, że pan dziedzic już wie o znalezisku Anningów. Z racji jego wysokiej pozycji nie dosięgały go krążące po okolicy plotki, zatrudniał jednak kamieniarzy, albowiem jego włości sięgały aż do klifu i często wydobywał stamtąd kamień budowlany. W istocie swe najlepsze okazy

dostał od skalników, którzy wyszukiwali je w wydobytym kamieniu, wiedząc, że zapłacą im dodatkowo. To na pewno Dayowie powiedzieli mu, co takiego wykuli ze skały na zlecenie Anningów.

— Pana informacje są prawie ścisłe — powiedziałam. — To młoda Mary Anning dokonała odkrycia. Ja tylko nadzorowałam prace wydobywcze. Czaszka znajduje się w jej domu przy Cockmoile Square.

Już zaczęłam pomijać udział Josepha, podobnie jak to robiono potem przez pokolenia. Może tak musiało być, zważywszy na jego nieśmiałą naturę, która również nie pozwalała mu prostować wypowiedzi, jakoby Mary sama znalazła to stworzenie.

Dziedzic Henley słyszał o Anningach — Richard Anning nieraz sprzedawał mu swoje okazy — ale był typem człowieka, którego noga nie powstałaby w ich warsztacie. Z widocznym niezadowoleniem przyjął więc wiadomość, że czaszki nie ma w Morley Cottage, domu bardziej odpowiednim do składania przez niego wizyt.

— Wobec tego niech przyniosą ją do dworu, żebym mógł się przyjrzeć — zarządził, podrywając się z fotela, jak gdyby nagle uzmysłowił sobie, że marnuje czas na rozmowy z ludźmi, którzy nic nie znaczą.

Również wstałam.

— Jest dość ciężka, panie dziedzicu. Czy Dayowie poinformowali pana, że ma cztery stopy długości? Przeniesienie jej z Church Cliffs na Cockmoile Square było dla nich nie lada wysiłkiem. Anningowie z pewnością nie dadzą rady zanieść jej pod górę do Colway Manor.

— Cztery stopy? Znakomicie! Wyślę powóz jutro rano.

— Nie wiem, czy... — Urwałam, nie znając zamierzeń Mary i Josepha co do czaszki, i postanowiłam nie wyowiadać się w ich imieniu, dopóki się czegoś nie dowiem.

Dziedzic Henley zdawał się rościć pretensje do tego znaleziska. Może i słusznie — skała, w której tkwiło, znajdowała się na jego posiadłości. Mimo to powinien wynagrodzić poszukiwaczy za trud i wprawę, których wymaga znalezienie i wydobywanie takiej skamieniałości. Nie podobała mi się zaborcza postawa kolekcjonera płacącego ludziom za szukanie okazów, którymi potem może się chwalić. Widząc błysk chciwości w oczach pana dziedzica, przysięgłam sobie, że dołożę starań, by Mary i Joseph uzyskali dobrą cenę za krokodyla — byłam przekonana, że będzie wolał dobić targu raczej ze mną niż z Anningami.

— Porozmawiam z nimi i zobaczę, jak to urządzić. Na pewno coś da się zrobić.

Gdy się pożegnała i Bessy zaczęła zmiatać błoto, Margaret zeszła na dół, nie próbując ukryć zaczerwienionych oczu. Usiadła przy fortepianie i zaczęła grać melancholijną melodię. Poklepałam ją po ramieniu i powiedziałam na pocieszenie:

— Nie zagnałabyś szczęścia w tamtych kręgach.

Strąciła moją rękę.

— Nie wiesz, jak bym się czuła. Jeśli ty wolisz nie wychodzić za mąż, nie oznacza to, że nam również to odpowiada!

— Nigdy nie twierdziłam, że nie chcę mieć męża. Po prostu nie doszło do tego. Takiej kobiety jak ja mężczyzna nie chce poślubić: jestem niezbyt ładna i nazbyt poważna. Pogodziłam się już z samotnym życiem. Sądziłam, że ty też.

Margaret znowu zalała się łzami. Nie mogłam tego znieść, bo też zebrałoby mi się na płacz, a ja nie płaczę. Poszłam szukać schronienia wśród swoich skamieniałości w pokoju jadalnym. Niech Louise pocieszy ją po powrocie.

Później tego dnia, korzystając z pretekstu, który dała mi wizyta dziedzica, udałam się na Cockmoile Square. Chciałam omówić z Anningami jego prawa do czaszki, a także dowiedzieć się, co Mary znalazła za następnej bytności na plaży, albowiem, jak mi mówiła, wybierała się na poszukiwanie reszty ciała krokodyla. Po przybyciu na miejsce zaszłam najpierw do kuchni, żeby porozmawiać z matką Mary. Molly Anning była wysoka i wymizerowana. W brudnym białym fartuchu i okrągłym czepku z falbanką stała przy piecu, mieszając coś, co pachniało jak zupa ogonowa. W rogu izby leżała szuflada, a w niej popiskujące słabo niemowlę.

Położyłam tobołek.

— Bessy upiekła mnóstwo ciasteczek z rodzynekami i pomyślała, że się nimi z panią podzieli. Jest tu również krąg sera i kawałek wieprzowiny w cieście.

W kuchni panował ziąb, pod fajerkami ledwie tlił się ogień. Powinnam była przynieść również trochę węgla. Nie powiedziałam, że to na moje polecenie Bessy upiekła ciastka. Choć Anningowie żyli w niedostatku, nasza służąca nie darzyła ich sympatią, uważając — zapewne jak wiele dobrych rodzin w Lyme — że związek z nimi nam uwłacza.

Molly Anning wyszeptwała podziękowania, ale nie podniosła wzroku. Wiedziałam, że ma o mnie niepochlebne zdanie, albowiem jestem osobą, jaką Mary na pewno nie powinna się stać: niezamężną i opanowaną manią zbierania

skamieniałości. Rozumiałam jej obawy. Moja mama też nie życzyłaby mi takiego życia — ani ja sobie jeszcze przed kilkoma laty. Ale teraz, gdy prowadziłam takie życie, okazało się, że nie jest złe. Pod pewnymi względami miałam więcej swobody niż mężatki z moich sfer.

Niemowlę wciąż zawodziło. Z dziesięciorga dzieci Molly Anning przeżyło tylko troje i wydawało się, że to najmłodsze nie pozostanie długo przy życiu. Rozejrzałam się za nianią albo służącą, ale oczywiście nikogo takiego tam nie było. Zmusiłam się, żeby podejść i poklepać kwilące zawiniątko, co tylko spowodowało jeszcze większy płacz. Nigdy nie umiałam obchodzić się z dziećmi.

— Pani go zostawi! — zawołała Molly Anning. — Nie trzeba zwracać na niego uwagi, bo będzie jeszcze gorzej. Za chwilę się uspokoi.

Odeszłam od szuflady i powiodłam wzrokiem wokoło, skrywając konsternację na widok panującej tu nędzy. Kuchnia jest zazwyczaj najsympatyczniejszą częścią domu, ale u Anningów brakowało zwykłego ciepła i poczucia zasobności, które zachęcają by dłużej w niej posiedzieć. Stały tam zniszczony stół i trzy krzesła, a na ścianie wisiała półka z kilkoma wyszczerbionymi talerzami. Nie widząc chleba, pasztecików ani dzbanka z mlekiem, jak u nas, pomyślałam z czułością o Bessy. Dużo gderała, ale zawsze troszczyła się o zaopatrzenie naszej kuchni w wiktuały i ta obfitość dawała poczucie wygodnego życia, obejmujące cały dom. Umiała stworzyć atmosferę bezpieczeństwa, dzięki czemu łatwiej było naszej trójce przetrwać od rana do wieczora. Brak tego bezpieczeństwa dręczyłby nas równie dotkliwie jak prawdziwy głód.

Biedna Mary, pomyślałam. Cały dzień spędza na plaży, a potem wraca do takiego domu.

— Przyszłam zobaczyć się z Mary i Josephem — powiedziałam. — Są gdzieś w pobliżu?

— Joe dostał dziś pracę w młynie. Mary jest na dole.

— Widziała pani czaszkę, którą przynieśli wczoraj z plaży? — Nie mogłam się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. — To wyjątkowe znalezisko.

— Nie miałam czasu.

Wyjęła z koszyka główkę kapusty i zaczęła ją szatkować z dziką gwałtownością. U tej kobiety wiodące były ręce, inaczej jednak niż u Margaret, bez błahej gestykulacji. Nieustannie wykonywały jakąś pracę: mieszały, wycierały, sprzątały.

— Wystarczy zejść na dół — namawiałam ją. — Jest warta obejrzenia. To zabierze tylko chwilę. Mogłaby pani zrobić to teraz, a ja przypilnuję zupy i dziecka.

Molly Anning chrząknęła.

— Pani przypilnuje dziecka, tak? Chciałabym to widzieć. Zaczerwieniłam się, słysząc jej zduszony śmiech.

— Po oczyszczeniu krokodyla dostaniecie za niego ładne pieniądze. — Poruszyłam aspekt sprawy dla niej na pewno interesujący.

I rzeczywiście. Molly Anning podniosła wzrok, ale nie zdążyła odpowiedzieć, bo rozległ się stuk butów Mary na schodach.

— Pani chce zobaczyć krokodyla, panno Philpot?

— I ciebie, Mary.

— To pani zejdzie na dół.

Przez te wszystkie lata, kiedy mieszkaliśmy w Lyme,

nieraz zachodziłam do ich warsztatu, a to żeby zamówić gabloty u Richarda Anninga, a to żeby zabrać lub zostawić okazy, które czyściła Mary, choć najczęściej ona przychodziła do mnie. W czasach gdy Richard Anning zajmował się meblarstwem, pomieszczenie było polem bitwy, gdzie ścierały się żywioły odpowiadające dwóm stronom jego życia: drewno, które pozwalało mu zarabiać na utrzymanie, rywalizowało z kamieniem, który zaspokajał jego ciekawość świata przyrody. Pod ścianą nadal stały gładko oheblowane płyty drewniane oraz cienkie paski forniru. Narzędzia i wiadra ze starym pokostem walały się po podłodze zasypanej wiórami. W tej części pomieszczenia niewiele się zmieniło przez te miesiące od śmierci ojca rodziny, choć podejrzewałam, że trochę drewna Anningowie już sprzedali, by mieć co jeść, a resztę wraz z narzędziami sprzedadzą wkrótce.

W drugiej części warsztatu wisały długie półki zapchane kawałkami skał, w których nadal tkwiły nietknięte młotkiem Mary okazy. Na półkach i na podłodze stały również bez ładu i składu — jak mi się wydało w półmroku — różnej wielkości skrzynki z fragmentami belemnitów i amonitów, plastrami skamieniałego drewna, odłamkami skał ze śladami rybich łusek i innymi okazami, które były marne, niekompletne, gorszej jakości i nigdy by nie znalazły nabywcy.

Na całej powierzchni, jednocząc drewno i kamień, leżała cienka warstwa pyłu. Z okruchów wapieni i łupków powstaje lepka glina, a przy braku wilgoci — wszechobecny pył, prawie tak delikatny i drobny jak talk, pod stopami ziarnisty jak piasek, wysuszający skórę. Ciągle stykałam się z tym pyłem, podobnie jak Bessy, która gorzko narzekała, że

musi sprzątać po mnie, gdy przynosiłam zebrane na klifie okazy.

Przeszedł mnie dreszcz, po części z zimna, bo w suterenie nie palił się ogień, a po części z przygnębienia na widok nieporządku w warsztacie. Z czasem nauczyłam się przestrzegać dyscypliny podczas poszukiwań: nie podnoszę z ziemi każdego kawałka skamieniałości, na który natrafię, szukam tylko nieuszkodzonych okazów. Zarówno Bessy, jak i moje siostry zaprotestowałyby, widząc, że niekompletne skamieliny zajmują coraz więcej wolnego miejsca. Morley Cottage miał dawać nam schronienie przed szorstką rzeczywistością na zewnątrz. Skoro chciałam zbierać skamieniałości i trzymać je wewnątrz, musiały być poskromione: oczyszczone, skatalogowane, opatrzone etykietkami i umieszczone w gablotach, gdzie można bezpiecznie je oglądać, nie bojąc się, że zaburzą porządek codziennego życia każdej z nas.

Rozgardiasz w warsztacie Anningów wskazywał w moim odczuciu na coś gorszego niż marne prowadzenie domu. Świadczył o mętным myśleniu i nieładzie moralnym. Wiedziałam, że Richard Anning był politycznym buntownikiem, nawet po latach krążyły opowiadane z podziwem historie o tym, jak przewodził rozruchom wywołanym wzrostem cen chleba. Rodzina należała do sekty dysenterów, a ci nie byli w Lyme rzadkością — może dlatego, że z racji swego położenia na uboczu miasteczko zdawało się azylem dla niezależnych chrześcijan. Nie żywiłam niechęci do dysenterów. Zastanawiałam się jednak, czy Mary, pozbawiona teraz ojca, nie skorzystałaby na zaprowadzeniu w swoim życiu pewnej dyscypliny — fizycznej, jeśli nie duchowej.

Byłam gotowa znieść całkiem sporo brudu i bałaganu, żeby zobaczyć, co leży w otoczeniu świec na stole w środku izby — niczym pogańska ofiara. Ale świec nie starczyło, żeby dobrze oświetlić znalezisko. Postanowiłam poprosić Bessy, żeby zaniósła ich trochę Anningom, schodząc następnym razem ze wzgórza.

Na plaży, wśród tylu ludzi, okoliczności nie sprzyjały dokładnemu przyjrzeniu się czaszce. Gdy teraz widać było ją całą a nie tylko zarys, przypominała pełen zagłębień i wypukłości model górskiego krajobrazu, z którego wyrastały dwa pagórki niczym kurhany z epoki brązu. Uśmiech krokodyla, oglądany w całości, wydawał się nie z tego świata, zwłaszcza w migoczących płomieniach świec. Miałam wrażenie, że patrzę przez okno daleko w przeszłość, gdzie skrywały się te obce stworzenia.

Długo, w milczeniu, krążyłam wokół stołu, oglądając czaszkę pod wszystkimi kątami. Wciąż tkwiła w kamieniu i wymagała wielu zabiegów skrobakami, igłami i szczotkami Mary — a przede wszystkim młotkiem.

— Uważaj, Mary, żebyś jej nie połamiała przy czyszczeniu — powiedziałam dla przypomnienia sobie, że to jest praca, nie zaś scena z powieści grozy przyprawiającej Margaret o miły dreszczyk strachu.

— Na pewno nie połamie, proszę pani — odparła Mary z oburzeniem. Jej pewność siebie była jednak tylko na pokaz, bo po chwili dodała: — To zajmie dużo czasu. Nie wiem, od czego zacząć. Gdyby był tu tata, umiałby doradzić.

Widziałam, że przygniata ją doniosłość tego zadania.

— Przyniosłam ci Cuviera. Może tu znajdziesz jakieś wskazówki, choć nie wiem, na ile będą pomocne.

Otworzyłam książkę na stronie z rysunkiem krokodyla. Wcześniej dokładnie przestudiowałam tę ilustrację i teraz, stojąc przy czaszce i trzymając w ręku obrazek, uprzytomniłam sobie, że nie mamy do czynienia z krokodylem — ani żadnym znanym nam gatunkiem. Pysk krokodyla jest ścięty, linia szczęki pofałdowana, zęby są różnej wielkości, a oko jest małe jak koralik. Szczęka znaleziska była długa i gładka, zęby — jednakowe. Oczodoły wyglądały jak plastry ananasa, które podano podczas kolacji u dziedzica tego wieczoru, gdy zorientowałam się, jak mało wie o skamieniałościach. Henleyowie hodowali ananasy w szklarni, a dla mnie były one tak rzadkim smakołykiem, że nawet ignorancja gospodarza nie mogła zepsuć mi przyjemności.

Jeśli nie krokodyl, co to może być? Tym razem nie podzieliłam się swoimi wątpliwościami z Mary; wówczas na plaży zaczęłam to robić bez zastanowienia. Dziewczyna była za młoda, żeby roztrząsać takie niepokojące kwestie. Rozmawiając o skamieniałościach z mieszkańcami Lyme, przekonałam się, że niewielu chce wkraczać na nieznaną teren, że hołdują przesądom i pozostawiają woli bożej zagadnienia niezrozumiałe, zamiast szukać rozsądnych wyjaśnień, nawet jeśli podważają dawny sposób myślenia. Dlatego ludzie wolą nazwać to zwierzę krokodylem, niż zastanowić się nad inną możliwością: że są to szczątki stworzenia, które już nie istnieje.

Tak skrajnego poglądu większość ludzi w ogóle nie brała pod rozwagę. Nawet mnie, choć uważałam, że mam otwarty umysł, było trochę trudno przyjąć tę myśl, gdyż oznaczałoby to, że Bóg nie zaplanował, co zrobi ze wszystkimi zwierzętami, które stworzył. Jeśli był gotów nic nie robić i pozwolić

stworzeniom wymrzeć, to jakie były jego zamiary wobec nas? Czy i my mieliśmy wymrzeć? Patrząc na czaszkę, na wielkie oczodoły z obwódkami, czułam się tak, jak gdybym stała nad urwiskiem. Zabranie tam Mary byłoby niesłuszne.

Położyłam książkę obok czaszki.

— Szukałaś dziś rano reszty ciała? Udało ci się coś znaleźć?

Mary pokręciła głową.

— Kapitan Dziw tam węszył. Ale nie za długo... Osunęła się skała!

Wzdrygnęła się. Zauważyłam, że drżą jej ręce. Wzięła młotek, jak gdyby chciała je czymś zająć.

— Nic mu się nie stało?

Choć nie lubiałam kapitana Dziwa, nie życzyłam mu śmierci, zwłaszcza pod lawiną kamieni, która przyprawiała o przerażenie zarówno mnie samą, jak i innych poszukiwaczy.

— Z nim wszystko w porządku — mruknęła Mary — ale resztę krokodyla przywaliła skała. Przyjdzie na niego poczekać.

— Co za szkoda.

Powściągliwością pokryłam swoje rozczarowanie. Pragnęłam zobaczyć ciało takiego stworzenia. Może coś by się wyjaśniło.

Mary stuknęła młotkiem i odłupała kawałek kamienia przy szczęce. Najwyraźniej nie martwiła się zbyt wiele tą zwłoką, być może dlatego, że przywykła czekać nawet na rzeczy niezbędne: jedzenie, ciepło, światło.

— Posłuchaj, Mary. Odwiedził mnie dzisiaj pan dziedzic

i pytał o czaszkę. Chciałby ją obejrzeć z myślą o tym, że zapłaci ci za nią.

Spojrzała na mnie roziskrzonym wzrokiem.

— Naprawdę? Ile?

— Przypuszczam, że dostałabyś pięć funtów. Mogę uzgodnić za ciebie warunki. Sądzę, że pan dziedzic tego ode mnie oczekuje. Ale...

— Co takiego, panno Elizabeth?

— Wiem, że potrzebujesz pieniędzy teraz. Mimo to, gdybyś poczekała, znalazła resztę ciała i połączyła z łbem, to za cały okaz uzyskałabyś więcej pieniędzy niż za dwie części oddzielnie. Czaszka jest niezwykła sama w sobie, lecz w połączeniu z ciałem dopiero wywoła efekt.

Mówiąc to, zdałam sobie sprawę, że podjęcie takiej decyzji jest dla Mary za trudne. Czy dziecko umiałoby porzucić myśl o chlebie, który zaraz wypełni mu żołądek, i wyobrazić sobie pola pszenicy zapewniające mu pożywienie przez lata? Uznałam, że trzeba będzie usiąść i omówić tę sprawę z jej matką.

— Mary, pan Blackmore chce zobaczyć krokodyla! — zawołała z góry Molly Anning.

— Powiedz, żeby przyszedł za pół godziny! — odkrzyknęła Mary. — Panna Philpot jeszcze zostanie. — Odwróciła się do mnie i dodała z dumą: — Ciągle ktoś chce go obejrzeć.

U szczytu schodów widać było nogi Molly Anning.

— Wielebny Gleed ze zboru też czeka. Powiedz tej swojej pani, że nie jest jedyna. Ludzie walą tu jak do sklepu z najnowszą kolekcją sukien — burknęła.

Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, jak czaszka krokodyla mogłaby przynieść Anningom trochę pieniędzy,

gdyby zdecydowali się poczekać na wydobywanie reszty ciała. Co więcej, nie musieliby taszczyć łba do Colway Manor, by obejrzał go dziedzic Henley.

Następnego ranka Mary i Joseph, z pomocą dwóch silnych kolegów Josepha, zanieśli okaz do sal asamblowych, które mieściły się przy głównym placu, parę kroków od domu Anningów. Sale były rzadko wykorzystywane w okresie zimowym, co napawało Margaret nieutulonym żalem. W największym pomieszczeniu znajdowało się duże okno wykuszowe, które wychodziło na południe, na morze, i wpuszczało dość światła, by należycie wyeksponować znalezisko. Mieszkańcy napływali nieprzerwanie, płacąc pensa przy wejściu. Kiedy przybył pan Henley — wysłałam mu zaproszenie przez umyślnego — Mary chciała również od niego pobrać opłatę, a widząc moje karcące spojrzenie, zrobiła posępną minę i przestała się odzywać, co wzbudziło mój niepokój, że dziedzic zniechęci się przez to do zawarcia transakcji.

Niepotrzebnie się martwiłam. Nastawienie Mary było mi całkowicie obojętne. Tak naprawdę ledwie ją dostrzegłam, natomiast zrobił przedstawienie, oglądając czaszkę przez szkło powiększające. Mary paliła się z ciekawości, żeby wziąć do ręki lupę, więc przestała się dąsać i nie odstępowała dziedzica. Nie śmiała zwrócić się do niego z prośbą, zatem gdy wręczył mi lupę, podałam ją dziewczynie. W podobny sposób wypytywał o miejsce znalezienia czaszki i proces jej wydobywania — kierował pytania do mnie, a ja odpowiadałam za Mary.

Gdy zapytał, gdzie znajduje się reszta ciała, ubiegła mnie z odpowiedzią.

— Nie wiemy, panie dziedzicu. Skała się obsunęła. Jeżeli ciało w ogóle tam jest, to leży pod zwałami kamieni. Będę szukać. Wystarczy poczekać, jak odstłoni je porządny sztorm.

Dziedzic wlepił wzrok w Mary, pewnie nie mogąc zrozumieć, dlaczego ta dziewczyna się odzywa. Już zapomniał ojej roli w tym odkryciu. Poza tym nie wyglądała stosownie, by pokazywać się w dobrym czy jakim bądź towarzystwie: włosy w nieładzie na skutek długiego przebywania na powietrzu, a także braku szczotki, paznokcie połamane i obwiedzione gliną, buty zabłocone. Przez ostatni rok podrosła, ale wciąż nosiła tę samą sukienkę, przykusą, z za krótkimi rękawami. Na szczęście jej twarz, choć czerwona od wiatru i pokryta brudem, była żywa i radosna. Przywykłam do jej wyglądu, ale gdy spojrzałam oczami dziedzica Henleya, zrobiło mi się za nią wstyd i oblałam się rumieńcem. Jeśli taka osoba miała zajmować się okazem, który on już uznał za swoją własność, to z niepokojem musiał myśleć o skutkach jej działań.

— Wspaniała czaszka, nieprawdaż, panie dziedzicu? — wtrącałam. — Trzeba tylko oczyścić ją i spreparować. Oczywiście będę miała nad tym pieczę. Proszę jednak wyobrazić sobie ten niezwykły widok, gdy zostanie połączona z korpusem.

— Ile czasu przeznaczają pani na te prace?

Zerknęłam na Mary.

— Przynajmniej miesiąc — rzuciłam niepewnie. — Może dłużej. Nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia z takim dużym stworzeniem.

Dziedzic mruknął coś pod nosem. Spoglądał na czaszkę niczym na udziec sarni polany sosem porto. Nie ulegało

wątpliwości, że chciał natychmiast zabrać ją do Colway Manor — należał do ludzi, którzy po podjęciu decyzji nie lubią czekać na efekty. Ale nawet on zdawał sobie sprawę, że znalezisko wymaga żmudnych zabiegów, żeby prezentowało się jak najlepiej, a także zachowało się w dobrym stanie. Leżało ściśnięte warstwami skał, bez dostępu powietrza, w wilgoci. Wydobyte stamtąd, zacznie szybko wysychać, kurczyć się i zarazem pękać, jeśli Mary nie zasklepi go pokostem, którego jej ojciec używał do wyrobu mebli.

— Niech będzie — rzekł. — Miesiąc na czyszczenie, a potem ma się znaleźć u mnie.

— Nie oddamy czaszki, póki nie odnajdzie się reszta — oświadczyła Mary.

Spojrzałam na nią z niezadowoleniem i pokręciłam głową. Próbowiałam delikatnie podsunąć panu dziedzicowi myśl, żeby zapłacił za całość, a ona psuła mi subtelne negocjacje. Mary nie zwróciła na mnie uwagi.

— Łeb zostanie na Cockmoile Square — dodała.

Dziedzic Henley spojrzał na mnie.

— Panno Philpot, dlaczego to dziecko zabiera głos w sprawie tego okazu?

Odchrząknęłam w chusteczkę do nosa.

— No cóż, ona go znalazła... razem ze swoim bratem... zatem jej rodzina, można by sądzić, ma pewne prawa do znaleziska.

— W takim razie gdzie jest jej ojciec? To z nim powinienem rozmawiać, a nie z... — Urwał, jak gdyby uwłaczało mu wymówienie słowa „kobieta” czy „dziewczyna”.

— Zmarł przed kilkoma miesiącami.

— Wobec tego jej matka. Sprowadźcie ją tutaj. —

Zabrzmiało to jak polecenie wydane stajennemu, by przeprowadził konia.

Trudno było wyobrazić sobie pertraktacje Molly Anning z panem dziedzicem. Dzień wcześniej zgodziła się, bym spróbowała nakłonić go, żeby poczekał na wydobywanie całego okazu. Nie uwzględnialiśmy możliwości, że sama będzie z nim rozmawiać o interesach.

Westchnęłam i wysłałam Mary po matkę.

Czekaliśmy w niezręcznej ciszy, pokrywając konsternację oglądaniem czaszki.

— Jak na krokodyla ma dość duże oczy, nieprawdaż? — zaryzykowałam stwierdzenie.

Pan Henley zaszurał butami po podłodze.

— Wyjaśnienie jest proste, panno Philpot. To wczesny egzemplarz w dziele stworzenia. Następnym Bóg postanowił dać mniejsze oczy.

Uniosłam brwi.

— Chce pan powiedzieć, że to zwierzę Bóg odrzucił?

— Chcę powiedzieć, że pragnął stworzyć lepszy model... krokodyla, jakiego znamy... więc zastąpił nim tamto zwierzę.

Coś takiego słyszałam po raz pierwszy. Miałam chęć dowiedzieć się więcej o tej koncepcji, ale on zawsze ujmował swe myśli tak marnie, że trudno było zadawać pytania. Sprawiał, że czułam się jak półgłówek, choć wiedziałam, że on jest głupszy ode mnie.

Dobrze, że tę rozmowę przerwało nadejście Molly Anning — na szczęście bez kwilącego dziecka. Towarzyszyły jej Mary i zapach kapusty.

— Nazywam się Molly Anning, panie dziedzicu — powiedziała, wycierając ręce w fartuch i rozglądając się

wokoło, nigdy bowiem nie była w salach asamblowych. — Prowadzę sklep ze skamielinami. Czego pan sobie życzy?

Dorównywała wzrostem panu Henleyowi i patrzyła na niego z takim spokojem, że nieco się pohamował. Ja również byłam zaskoczona. Nigdy dotąd nie słyszałam, by warsztat nazywano sklepem i by Molly miała z nim cokolwiek wspólnego. Ale gdy została wdową z konieczności zapewne wzięła na siebie nowe obowiązki, do których należało również prowadzenie interesu.

— Chcę zabrać ten okaz. O ile pozwoli pani córka — dorzucił ironicznie. — Ale ona chyba odpowiada przed panią, prawda?

— Oczywiście. — Molly Anning ledwie spojrzała na czaszkę. — Ile jest pan gotów zapłacić?

— Trzy funty.

— To... — zaczęłam.

Nie dała mi dokończyć.

— Przypuszczam, że wielu dżentelmenów chętnie zapłaci więcej. Ale możemy przyjąć pana pieniądze jako zaliczkę na kupno całego stworzenia, gdy Mary je znajdzie.

— A jeśli jej się nie uda?

— Och, na pewno się uda. Zawsze znajdowała. Jest wyjątkowa... od małości, gdy uderzył w nią piorun. To było na polu pana dziedzica, tam ją uderzył, wie pan?

Nie posiadałam się ze zdumienia, że Molly Anning rozmawia z ziemianinem z taką pewnością siebie, że sprytnie skłoniła dziedzica do wymienienia kwoty, zbijając go z tropu i zarazem dowiadując się, na ile wycenia rzecz, której wartości nie znała, i na dodatek chytrze dała mu do zrozumienia, że powinien poczuwać się do odpowiedzial-

ności za uderzenie pioruna. A już w ogóle nie spodziewałam się, że tak pochwali Mary, gdy dziewczyna tego akurat potrzebuje. Obiło mi się o uszy, że ludzie mówili, jaki to oryginał z Molly Anning, i teraz zrozumiałam, co mieli na myśli.

Dziedzic Henley nie wiedział, jak się zachować, więc przysłałam mu z pomocą.

— Za sumę trzech funtów Anningowie oczywiście prze-
kazażą panu czaszkę tego stworzenia, jeśli reszta ciała nie
zostanie odnaleziona w ciągu, powiedzmy, dwóch lat.

Przeniósł wzrok z Molly Anning na mnie.

— W porządku — rzekł w końcu, kładąc rękę na swojej
zdobyczy.

. . .

Po zobaczeniu czaszki zaczęłam źle spać. Śniły mi się
oczy zwierząt, w które kiedyś patrzyłam: koni, kotów, mew,
psów. Były jakieś bez wyrazu, jakby pozbawione iskry
danej od Boga, i napełniały mnie takim strachem, że się
budziłam.

W niedzielę, gdy skończyło się nabożeństwo u Świętego
Michała, zwlekałam z wyjściem. Machnięciem ręki dałam
znak Bessy i siostrom, żeby wracały same, i powiedziałam,
że je dogonię. Stałam w tylnej części kościoła, czekając,
aż pastor pożegna się z parafianami. Wielebny Jones
wyglądał pospolicie; miał kanciastą głowę i krótko ostrzy-
żone włosy, a wąskie usta ciągle się krzywiły i wydymały,
nawet gdy pozostałe części ciała były nieruchome. Moje
dotychczasowe rozmowy z nim ograniczały się tylko do
wymiany uprzejmości, albowiem odprawiał nabożeństwa

bez natchnienia, piskliwym głosem, i wygłaszał bezbarwne kazania. Był jednak osobą duchowną, więc sądziłam, że mogę liczyć na jego przewodnictwo.

Wreszcie kościół opustoszał, jedynie młoda dziewczyna zamiatała podłogę. Pastor Jones chodził tam i z powrotem między ławkami, zbierał kartki ze spisem hymnów i sprawdzał, czy nie zostawiono rękawiczek lub modlitewników. Nie zauważył mnie. Właściwie wyglądało to tak, jak gdyby nie chciał mnie zauważyć. Wypełniwszy swe duszpasterskie obowiązki na ten dzień, niewątpliwie myślał o obiedzie, do którego wkrótce zasiądzie, i o późniejszej drzemce przy kominku. Gdy chrząknęłam, uniósł głowę i na jego zaciśniętych bezwiednie ustach pojawił się przelotny grymas.

— Czy to pani chusteczka, panno Philpot? — zapytał, wyciągając rękę, w której trzymał zwinięty w kulkę kawałek białej materii, i zapewne żywiąc nadzieję, że szybko się mnie pozbędzie.

— Nie, nie moja, pastorze.

— Aha. Czyżby pani czegoś szukała? Torebki? Guzika? Szpilki do włosów?

— Niczego nie szukam. Mam pewną sprawę, o której chciałabym z pastorem porozmawiać.

— Rozumiem. — Wydał wargi. — Zbliża się pora obiadu, a ja muszę tu jeszcze zająć się paroma rzeczami. Nie zrobiłoby pani różnicy...?

Wciąż chodził między ławkami i porządkował poduszki, a ja postępowalam za nim, cały czas słysząc szuranie szczotki po podłodze.

— Chcę zapytać, co pastor myśli o skamieniałościach.

Próbując przyciągnąć jego uwagę, odezwałam się głośniej,

niż powinnam była w pustym kościele. Szuranie szczotką ucichło, natomiast wielbny Jones skierował się w stronę dębowej ambony, wziął z balustrady własną chustkę do nosa i wsadził do kieszeni.

— Co myślę? W ogóle o nich nie myślę.

— Ale wie pastor, co to takiego?

— Szkielety, które pod długotrwałym naporem skał również zamieniły się w kamień. Wykształceni ludzie zazwyczaj to wiedzą.

— A te szkielety... czy należą do stworzeń, które nadal istnieją?

Wielbny Jones podszedł szybkim krokiem do ołtarza i zabrał świeczniki i obrus. Czułam się jak półgłówek, chodząc za nim krok w krok.

— Oczywiście, że istnieją— rzekł. — Istnieje całe boże stworzenie.

Otworzył drzwi po lewej stronie ołtarza, prowadzące z nawy do niewielkiej zakrystii. Patrząc nad jego ramieniem, zauważyłam na stole dzbanuszek z napisem „woda święcona”. Stałam przy drzwiach, gdy chował do szafki świeczniki i obrus.

— Przykro mi, ale nie rozumiem pani pytania, panno Philpot — rzucił przez ramię.

Sięgnęłam do torebki i wyłożyłam na dłoń kawałki skamielin, które jakoś tam trafiły. W istocie zalegały w większości moich torebek i po kieszeniach. Pastor skrzywił się z niesmakiem na widok amonitów, belemnitów, skamieniałego drewna i łodygi krynoidu. Zachował się tak, jak gdybym weszła do kościoła w butach ubrudzonych końskim łajnem.

— Dlaczego, u licha, nosi to pani przy sobie?

Puściłam pytanie mimo uszu i pokazałam mu amonita.

— Chciałabym wiedzieć, pastorze, gdzie znajdę żywe stworzenia takie jak to. Przyznam, że nigdy ich nie widziałam.

Gdy patrzyliśmy na tę skamieniałość, przez chwilę miałam wrażenie, że wpadam do wnętrza spirali, cofając się w czasie coraz dalej i dalej, aż w samym środku zanika przeszłość.

Na temat amonita usłyszałam bardziej prozaiczną odpowiedź.

— Nie widziała ich pani być może dlatego, że zamieszkują morza i dopiero po śmierci są wyrzucane na brzeg.

Wielebny Jones odwrócił się, zamknął drzwi i wprawnym ruchem, który najwyraźniej sprawił mu przyjemność, przekręcił klucz w zamku. Stanęłam przed pastorem, nie chcąc, by mi uciekł na obiad. Tak naprawdę nie mógł zrobić kroku, bo utknął w kłacie. Gdy zobaczył, że nie uwolni się ode mnie i moich kłopotliwych pytań, zaniepokoił się jeszcze bardziej niż na widok amonita.

— Fanny, skończyłaś już? — zawołał, rzucając głową na boki.

Nie otrzymał odpowiedzi. Dziewczyna pewnie poszła wynieść śmieci na dwór.

— Słyszał pastor o czaszce krokodyla, którą Anningowie znaleźli w skale i pokazują w salach asamblowych? — zapytałam.

Wielebny Jones zmusił się, by spojrzeć mi prosto w twarz. Choć spotkaliśmy się wzrokiem, miałam wrażenie, że jego wąskie oczy wypatrują horyzontu.

— Tak, słyszałem o tym.

— Widział ją pastor?

— Nie mam ochoty jej oglądać.

Nie byłam zdziwiona. Pastora interesowało tylko to, co miało wkrótce znaleźć się na jego talerzu.

— Ten okaz nie przypomina żadnego żyjącego obecnie stworzenia — zauważyłam.

— Panno Philpot...

— Pewien człowiek... w istocie jeden z tutejszych parafian... poddał myśl, że jest to zwierzę, które Bóg odrzucił na korzyść lepszej wersji.

Wielebny Jones osłupiał.

— Kto tak powiedział?

— To nieistotne. Zastanawiam się, czy w tej teorii jest ziarno prawdy.

Otrzeptał rękawy togi i zacisnął usta.

— To zdumiewające, panno Philpot. Sądziłem, że pani i jej siostry dobrze znają Biblię.

— Znamy Biblię...

— Więc powiem jasno: wystarczy sięgnąć do Pisma Świętego, a znajdzie pani odpowiedzi na swoje pytania. Proszę ze mną.

Poszedł z powrotem do ambony, gdzie leżała Biblia, z której czytał w czasie nabożeństwa. Przerzucał stronicę, gdy nadeszła młoda dziewczyna.

— Już zamiotłam, pastorze — odezwała się.

— Dziękuję, Fanny. — Przyglądał jej się przez chwilę i powiedział: — Chciałbym, dziecko, żebyś zrobiła dla mnie coś jeszcze. Podejdź tu i przeczytaj pannie Philpot fragment z Biblii. Dostaniesz za to następnego pensa. — Odwrócił się do mnie. — Przed kilkoma laty Fanny i pozostali

Millerowie przeszli od kongregacjonalistów do Świętego Michała, ponieważ byli poważnie zaniepokojeni poszukiwaniem skamieniałości przez Anningów. Kościół anglikański interpretuje teksty biblijne jaśniej niż niektóre sekty dys-senterów. Znalazłaś tu pokrzepienie, prawda, Fanny?

Dziewczyna kiwnęła głową. Miała duże, kryształowo niebieskie oczy i gładkie ciemne brwi, które stanowiły kontrast z jasnymi włosami. Ale to nie oczy, choć najładniejsze w jej twarzy, były u niej wiodące, lecz brwi, zmarszczone ze zdenerwowania, gdy spoglądała na Biblię.

— Nie bój się, Fanny — rzekł uspokajającym tonem wielebny Jones. — Bardzo dobrze czytasz. Słyszałem w szkółce niedzielnej. Zacznij od tego miejsca. — Pokazał palcem ustęp.

Fanny zaczęła czytać urywanym szeptem:

Potem Bóg rzekł: „Niechaj się zaroją wody od roju istot żywych, a ptactwo niechaj lata nad ziemią, pod sklepieniem nieba!”. Tak stworzył Bóg wielkie potwory morskie i wszelkiego rodzaju pływające istoty żywe, którymi zaroiły się wody, oraz wszelkie ptactwo skrzydlate różnego rodzaju. Bóg widząc, że były dobre, pobłogosławił je tymi słowami: „Bądźcie płodne i mnożcie się, abyście zapełniały wody morskie, a ptactwo niech się rozmnaża na ziemi”. I tak upłynął wieczór i poranek — dzień piąty.

— Doskonale, Fanny, wystarczy.

Sądziłam, że poleciwszy nieucznej dziewczynie odczytać ustęp z Księgi Rodzaju, wielebny Jones przestanie traktować mnie protekcjonalnie, ale już sam czytał dalej:

— „Potem Bóg rzekł: »Niechaj ziemia wyda istoty żywe różnego rodzaju: bydło, zwierzęta pełzające i dzikie zwierzęta według ich rodzajów!«. I stało się tak”.

Po kilku wersach przestałam słuchać. Dobrze je znałam, poza tym nie mogłam znieść głosu pastora, przypominającego brzmienie oboju i pozbawionego głębi, którą powinien się odznaczać człowiek z jego pozycją. Wolałam już niewprawną recytację Fanny. Gdy czytał, mój wzrok spoczął na stronicy księgi. Na lewo od tekstu znajdowały się zapisane na czerwono objaśnienia autorstwa biskupa Usshera, który umiejscowił w czasie wydarzenia biblijne. Według niego Bóg stworzył niebo i ziemię w noc z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego października cztery tysiące czwartego roku przed narodzinami Chrystusa. Zawsze zdumiewała mnie precyzja jego obliczeń.

— „...,I tak upłynął wieczór i poranek — dzień szósty”.

Gdy pastor Jones skończył czytać, zapadła cisza.

— Jak pani widzi, sprawa jest bardzo prosta — rzekł po chwili. Mając przy sobie Biblię, wydawał się teraz bardziej pewny siebie. — Wszystko, co pani widzi dokoła, wygląda tak, jak Bóg ustanowił na początku. Nie stworzył zwierząt, których miałyby się potem pozbyć. To by znaczyło, że popełnił błąd, a Bóg jest oczywiście wszytkowiedzący i nie popełnia błędu, nieprawdaż?

— Chyba nie — przyznałam.

— Chyba? — wykrzywił się.

— Naturalnie, że nie — poprawiłam się szybko. — Przepraszam, maci mi się w głowie. Mówi pastor, że to, co nas otacza, wygląda dokładnie tak, jak Bóg to stworzył,

dobrze zrozumiałam? Góry, morza, skały, wzgórze, cały krajobraz jest taki sam jak na początku?

— Oczywiście. — Wielebny Jones objął wzrokiem kościół, utrzymany w porządku i pełen spokoju. — Skończyliśmy, prawda, Fanny?

— Tak, pastarze.

Ale ja jeszcze nie skończyłam.

— A więc każda skała, którą teraz widzimy, wygląda jak w chwili stworzenia — mówiłam dalej z uporem. — A skały Bóg stworzył najpierw, tak jest napisane w Księdze Rodzaju, przed zwierzętami.

— Tak, tak.

Wielebny Jones zaczął się niecierpliwić, poruszał ustami, jakby przygryzał słomkę.

— Wobec tego jak szkielety zwierząt znalazły się w głębi skał i stały się skamieniałościami? Skoro skały istniały, zanim Bóg stworzył zwierzęta, jak to możliwe, że ich ciała leżą we wnętrzu skał?

Wbił we mnie wzrok, a jego usta wreszcie znieruchomiały, zmieniając się w cienką, prostą linijkę. Czoło Fanny Miller pokryło się bruzdami. W ciszy zaskrzypiała ławka.

— Bóg umieścił skamieniałości w skałach, gdy powstawały. Zrobił tak, żeby poddać próbie naszą wiarę — odezwał się w końcu. — A teraz niewątpliwie poddaje próbie pani wiarę, panno Philpot.

To moja wiara w ciebie jest poddawana próbie, pomyślałam.

— Nie mogę spóźnić się na obiad jeszcze bardziej — rzekł.

Sięgnął po Biblię takim ruchem, jakby się bał, że ją

ukradnę. Równie dobrze mógł powiedzieć: proszę mi nie zadawać trudnych pytań.

Nigdy więcej już nie rozmawiałam o skamieniałościach z wielbnym Jonesem.

Dziedzic Henley musiał czekać niemal dwa lata — jak było umówione — zanim wyłoniło się ciało krokodyla. Na początku, gdy widywaliśmy się w kościele, w salach asamblowych czy na ulicy, niezmiennie wykrzykiwał: „Gdzie jest ciało? Już wykopane?”. Tłumaczyłam mu, że osuwisko nadal uniemożliwia dostęp i trudno je ruszyć. Nie mieściło mu się to w głowie, więc pewnego dnia Mary, Joseph i ja zaprowadziliśmy go na plażę, żeby zobaczył na własne oczy. Widok zaskoczył go i rozżłościł.

— Nikt mnie nie poinformował, że zważyło się tyle kamienia! — zawołał z pretensją w głosie, tupiąc nogą i rozpryskując błotnistą kałużę. — Wprowadziła mnie pani w błąd, panno Philpot, razem z Anningami.

— Bynajmniej nie — odparłam. — Mówiliśmy, że to może potrwać nawet dwa lata i jeśli nie wydobydziemy ciała, czaszkę i tak pan dziedzic dostanie.

Wciąż rozgniewany, nie chciał słuchać, tylko dosiadł siwka, na którym wszędzie jeździł, i pogalopował z powrotem plażą, rozchlapując wodę.

Dopiero Molly Anning okiełznała dziedzica. Zrobiła niewiele, po prostu wysłuchała jego perory, a gdy zabrakło mu słów i tchu, powiedziała:

— Chce pan z powrotem swoje trzy funty, to je pan

dostanie. Wielu kupców, gotowych lepiej zapłacić, stanie w kolejce po czaszkę. Niech pan bierze te pieniądze.

Sięgnęła do kieszeni fartucha, jakby było w niej coś więcej niż powietrze — pieniądze rozeszły się już dawno temu. Dziedzic oczywiście dał za wygraną. Zazdrościłam Molly Anning pewności siebie, z jaką rozmawiała z człowiekiem takiego pokroju, ale nie wyjawiałam jej tego, bo odpowiedziałyby szyderczo: za to ja zazdroszczę pani stu pięćdziesięciu funtów rocznej pensji.

W końcu pan Henley przestał drażnić temat krokodyla. Poszukiwanie skamielin wymaga cierpliwości. Tylko Mary, William Lock i ja mieliśmy baczenie na osuwisko i oglądaliśmy je po każdym sztormie i pływie maksymalnym. Mary zawsze starała się ubiec Williama Locka, ale czasem on zakradał się tam przed nią.

Na szczęście zległ z gorączką w łóżku tego dnia, gdy wybrałyśmy się wczesnym rankiem na plażę i Mary znalazła resztę zwierzęcia. Przez dwa dni szalał tak silny sztorm, że nikt nie odważył się wyjść na dwór. Trzeciego dnia obudziłam się o świcie i spostrzegłam, że dokoła zalega dziwny spokój. Wiedziałam, co to oznacza. Wstałam z ciepłego łóżka, szybko się ubrałam, włożyłam płaszcz z pelerynką i budkę, po czym w pośpiechu wyszłam z domu.

Słońce wychynęło odrobinę zza Portland. Plaża była pusta, tylko w oddali rysowała się znajoma postać. Gdy znalazłam się na krańcu Church Cliffs, zobaczyłam, że osuwisko zniknęło. Sztorm wymył plażę do czysta, jak na powitanie wyjątkowego gościa. Mary już wdrapała się na półkę stanowiącą dno dziury i stukała młotkiem w skałę. Gdy zawołałam do niej, zaraz się odwróciła.

— Jest tutaj, panno Philpot! Znalazłam go! — krzyknęła, po czym zeskoczyła z półki.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie. W tej krótkiej chwili, zanim powstał rej wach, rozkoszowałyśmy się samotnością 0 poranku i tym czystym uczuciem, jakie przepełnia ludzi, gdy znajdują razem skarb.

Bracia Dayowie wydobywali korpus przez trzy dni, przerywając robotę na czas przyptywu. Każdy blok skalny ułożony na plaży przypominał element mozaiki powstającej na naszych oczach. Jak przy wyjmowaniu czaszki, tak I teraz zebrał się tłum gapiów, którzy chcieli zobaczyć Dayów przy pracy i przyjrzeć się krokodylowi. Kilka osób stało zaintrygowanych i żywo dyskutowało nad pochodzeniem stworzenia. Innych bawiło całe widowisko, ale krzywo spoglądali na szczątki.

— To potwór, bez dwóch zdań — mruknął jakiś mężczyzna.

— Uważajcie, bo jak będziecie niegrzeczne, przyjdzie krokodyl i was pożre! — krzyknęła matka do dzieci.

— Panie Przenajświętszy, co za paskuda — powiedziała inna kobieta. — Niech pan dziedzic zabiera go sobie do dworu.

Dziedzic Henley również przybył obejrzeć znalezisko, ale nawet nie zsiadł z konia.

— Doskonale — rzekł. Jego koń skręcał na boki, byle dalej od kamiennych bloków. — Przyślę powóz, gdy tylko skończycie.

Niechybnie zapomniał, że czyszczenie i mocowanie okazu zajmie kilka tygodni. A poza tym musiał jeszcze uzgodnić z Anningami, za jaką sumę go oddadzą.

Spodziewałam się, że będę uczestniczyć w pertraktacjach, ale niedługo po przewiezieniu okazu do warsztatu okazało się, że Molly Anning już ubiła interes: dziedzic zapłacił rodzinie dwadzieścia trzy funty. Ponadto sprytnie nakłoniła go, by zrzekł się praw do następnych skamielin znalezionych przez Anningów na jego ziemi. Nawet spisała wszystko na papierze — a sądziłam, że jest niepiśmienna — i pan dziedzic złożył swój podpis. Sama lepiej bym tego nie załatwiła.

Gdy reszta ciała została oczyszczona i połączona z czaszką, wreszcie zobaczyliśmy to zwierzę w całej okazałości: imponujący potwór z kamienia, miał osiemnaście stóp i nie przypominał niczego, o czym kiedykolwiek słyszeliśmy. To nie był krokodyl. Różnił się od krokodyla wielkimi oczami, długim gładkim pyskiem i równymi zębami. Zamiast łap miał płetwy. Korpus wyglądał jak podłużna baryłka spleciona z żeber odchodzących od mocnego kręgosłupa i był zakończony długim, częściowo zagiętym ogonem. Zwierzę kojarzyło mi się po trosze z delfinem, żółwiem i jaszczurką — z każdym z nich przy pewnych zastrzeżeniach.

Ciągle wracałam myślami do słów dziedzica Henleya — że to stworzenie jest jednym z wczesnych egzemplarzy odrzuconych przez Boga — i do odpowiedzi wielebnego Jonesa na moje pytanie. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Większość ludzi, którzy przychodzili obejrzeć okaz, nazywała go krokodylem, tak jak sami Anningowie. Prościej było uznać, że jest to jakiś niezwykły gatunek żyjący w odległych regionach świata, na przykład w Afryce. Ale ja wiedziałam, że jest inaczej, i zobaczywszy zwierzę w całości, przestałam mówić o krokodylu i po prostu zaczęłam używać określenia „stworzenie Mary”.

Gdy Mary oczyściła kości i pociągnęła je pokostem, Joseph Anning wykonał z drewna klatkę, w której osadzili na cemencie bloki skalne z zawartym w nich stworzeniem. Kontur okazu Mary obwiodła gipsem, żeby lepiej uwidocznić każdą kość i nadać całości ostateczny szlif. Była zadowolona z własnego dzieła. Gdy znalazło się w Colway Manor, słuch o nim zaginął. Można było odnieść wrażenie, że dziedzic Henley stracił zainteresowanie swoim nabytkiem, niczym myśliwy, któremu nie chce się jeść ubitej przez siebie sarny. Ale pan dziedzic nie był żadnym łowcą skamieniałości, rzecz jasna — on je kolekcjonował.

Kolekcjonerzy mają spis poszukiwanych przedmiotów i gablotę z osobliwościami, w której umieszczają efekty pracy innych ludzi. Zdarza im się wychodzić na spacer po plaży, gdzie ze zmarszczonymi czołami przyglądają się klifom, jak gdyby znaleźli się na wystawie nudnego malarstwa. Nie umieją na niczym skupić uwagi, ponieważ w ich oczach skały nie różnią się od siebie: kwarc wygląda jak krzemień, łupek z żyłkami kalcytowymi przypomina kość. Znajdą jakieś okruchy amonita czy belemnita i uważają się za znawców. Potem kupują od poszukiwaczy okazy ze sporządzonej listy. Mają nikłe pojęcie o swojej kolekcji i jeszcze mniejsze nią zainteresowanie. Wiedzą, że skamieniałości są w modzie, i to im wystarczy.

Poszukiwacze spędzają w terenie całe godziny, dzień po dniu, bez względu na pogodę. Mamy ogorzałe twarze, potargane włosy, ciągle zmrużone oczy i spierzchnięte ręce z połamanymi paznokciami i otartymi czubkami palców. Nasze buty są zabłocone i poplamione wodą morską, ubranie brudne u schyłku dnia. Często nie znajdujemy nic, lecz

cechują nas wytrwałość i pracowitość, nie zniechęca powrót z pustymi rękami do domu. Zdarza się, że mamy szczególne zainteresowania — szukamy nienaruszonego węzowidła albo belemnita z woreczkiem czernidłowym, albo skamieniałej ryby ze wszystkimi łuskami — ale zbieramy również inne okazy i jesteśmy otwarci na to, co oferują nam plaża i klif. Niektórzy, jak Mary, sprzedają swoje znaleziska. Inni, jak ja, zachowują. Opatrujemy okazy etykietkami, podając miejsce i datę ich znalezienia, i eksponujemy w gablotach ze szklanymi wiekami. Badamy i porównujemy okazy, a potem wyciągamy wnioski z naszych obserwacji. Panowie tworzą teorie i publikują je w czasopismach naukowych, które czytam, ale nie wolno mi do nich pisać.

Dziedzic Henley przestał kolekcjonować skamieniałości, gdy stał się właścicielem stworzenia Mary. Może uznał, że ten okaz jest zwieńczeniem jego zbiorów. Ludzie o poważniejszym nastawieniu zdają sobie sprawę, że ich poszukiwania nie mają końca. Ciągłe będzie się odkrywać i badać nowe okazy, ponieważ każda skamieniałość, jak człowiek, jest niepowtarzalna. Nigdy ich za wiele.

Niestety nie na tym miały ustać stosunki między mną a panem dziedzicem. Choć od czasu do czasu pozdrawialiśmy się skinieniem głowy na ulicy czy z kościelnej ławki, długo nie dochodziło do bezpośredniego spotkania. Gdy nastąpiło, jego przebieg był burzliwy.

Zaczęło się w Londynie. Udawałyśmy się w tę podróż co roku, wiosną, gdy drogi były już przejezdne. Traktowałyśmy to jako nagrodę za przetrwanie kolejnej zimy w Lyme. Mnie

nie doskwierały zbyt szturmy ani odosobnienie, gdyż takie warunki sprzyjają znajdowaniu skamieniałości. Natomiast Louise nie mogła uprawiać ogrodu i w rezultacie chodziła sfrustrowana i milcząca. Najgorzej było patrzeć na Margaret, melancholijną i szarą na twarzy. Nasza najmłodsza siostra uwielbiała lato, łaknęła ciepła i światła, szukała w życiu urozmaicenia. Nie cierpiała zimna i czuła się uwięziona w Morley Cottage, gdy kończył się sezon, w salach asamblowych cichło i przestawali przyjeżdżać spragnieni rozrywek goście. W zimowe miesiące miała za dużo czasu na rozmyślania o upływających latach i straconych szansach oraz przemijającej z wolna urodzie. Zniknęły już pulchne kształty, które nadawały jej dziewczęcej świeżości, zaczęła chudnąć i pojawiły się zmarszczki. Co roku, gdy nadchodził marzec, Margaret robiła się blada jak spłowiała, znoszona koszula nocna.

Londyn działał na nią krzepiąco. Każda z nas dostawała swoje remedia, jakimi były spotkania ze starymi przyjaciółmi, nowe stroje, przyjęcia z dobrym jedzeniem, świeżo wydane powieści dla Margaret i czasopisma przyrodoznawcze dla mnie. Mogłyśmy się również cieszyć z posiadania w domu dziecka, naszego małego bratanka, Johnny'ego, dzięki któremu przestawałyśmy na jakiś czas myśleć o sprawach związanych z wchodzeniem w wiek średni. Wyjeżdżałyśmy pod koniec marca, zazwyczaj na cztery do sześciu tygodni, zależnie od tego, jak bardzo irytowała nas nasza bratowa i my ją. Zbyt bojaźliwa, by otwarcie dać temu wyraz, żona naszego brata stawiała się z tygodnia na tydzień coraz bardziej oschła i wynajdywała liczne powody, by przebywać w swojej sypialni albo siedzieć z Johnnym

w pokoju dzieciennym. Moim zdaniem uznała, że nabrałyśmy prostackich manier, mieszkając w Lyme, my zaś uważałyśmy, że zbyt nie przejmujemy się opiniami innych ludzi. Lyme rozbudziło w nas ducha niezależności, który wywoływał zdziwienie wśród co bardziej konserwatywnych londyńczyków.

Dużo czasu spędzałyśmy poza domem — odwiedzałyśmy przyjaciół, chodziłyśmy do teatrów, do Akademii Królewskiej i, rzecz jasna, do Muzeum Brytyjskiego, które znajdowało się tak blisko domu naszego brata, że widać je było z okien salonu na pierwszym piętrze. Z niezmiennym zainteresowaniem stałam pochylona nad pełnymi skamienin gąbłotami, aż szkło pokrywało się parą od mojego oddechu, a strażnicy zaczęli spoglądać na mnie krzywo. Nawet ofiarowałam muzeum piękny, nieuszkodzony okaz *Dapedium*, skamieniałej ryby, która szczególnie mi się podobała. W dowód wdzięczności Charles Konig, kustosz działu historii naturalnej, zwolnił mnie od płacenia za wstęp podczas mojego miesięcznego pobytu w mieście. Na tabliczce informacyjnej z nazwiskiem kolekcjonera napisano jedynie: Philpot, zρέcznie pomijając kwestię mojej płci.

Wiosną któregoś roku, podczas pobytu w Londynie, zaczęły docierać do nas wielce pochlebne opinie o Muzeum Williama Bullocka w nowo otwartym Domu Egipskim przy Piccadilly. Rozrastająca się kolekcja zawierała dzieła sztuki, zabytki starożytne, wytwory kultury materialnej z różnych zakątków świata oraz zbiory przyrodnicze. Brat zabrał nas tam pewnego dnia. Fasadę utrzymano w stylu egipskim: wielkie okna i drzwi miały kształt trapezu, niczym wejście

do grobowca, żłobkowane kolumny były zwieńczone zwojami papirusów, na gzymsie nad drzwiami stały posągi Izydy i Ozyrysa, spoglądających z góry na Piccadilly. Cały fronton pomalowano na niepokojący żółty kolor i umieszczono wielki napis: MUZEUM. Uważałam, że w sąsiedztwie statecznych budynków z cegły ten wygląda zbyt teatralnie — ale przecież o to chodziło.

A może najzwyczajniej przywykłam do prostych, białych domów w Lymie i dlatego raziły mnie takie nowości. Ekspozyty wystawione w Domu Egipskim wywoływały jeszcze większe zdumienie. W owalnym westybulu znajdowały się najróżniejsze dziwności z całego świata. Były tam afrykańskie maski i pierzaste totemy z wysp Pacyfiku, gliniane figurki wojowników ozdobione paciorkami, kamienny oręż i podbite futrem płaszcze z północnych obszarów oraz długa, wąska łódź nazwana kajakiem, dla jednej osoby, z rzeźbionymi drewnianymi wiosłami. Egipska mumia leżała w otwartym sarkofagu oklejonym płatkami złota.

Kolejna sala była znacznie większa, wypełniona, jak nas poinformowano, obrazami „starych mistrzów”, ja miałam jednak wrażenie, że są to kopie wykonane przez miernych uczniów Akademii Królewskiej. Większe zainteresowanie budziły gabloty z wypchanymi ptakami: od naszej zwykłej sikorki modrej po egzotycznego czerwono-nogiego głuptaka, którego przywiózł z Malediwów kapitan James Cook. Margaret, Louise i ja oglądałyśmy je z ochotą, ponieważ po latach spędzonych w Lymie zwracałyśmy na ptaki większą uwagę, niż gdy mieszkaliśmy w Londynie.

Ptaki znudziły natomiast małego Johnny'ego, który razem z matką poszedł do sali o nazwie Pantherion, największej

w muzeum. Chwilę później przybiegł z powrotem, wołając: Ciociu Margaret, chodź zobaczyć wielgachnego słońia!

Chwycił dłoń Margaret i pociągnął ją do sąsiedniego pomieszczenia. Zaskoczeni poszliśmy za nimi.

Słoń rzeczywiście zdumiewał wielkością. Po raz pierwszy zobaczyłam to zwierzę, jak również hipopotama, strusia, zebkę, hienę i wielbłąda. Wszystkie były wypchane i ustawione na środku sali pod kopulastym świetlikiem, w zagrodzie porośniętej trawą i upstrzonej palmami, co miało obrazować ich siedlisko. Staliśmy, nie mogąc oderwać od nich oczu, bo zaiste stanowiły rzadki widok.

W młodym wieku nie docenia się niezwykłości, więc Johnny szybko porzucił te zwierzęta i zaczął ganiać po sali. Podbiegł do mnie, gdy przyglądałam się boa dusicielowi owiniętemu wokół palmy nad moją głową.

— Tam jest twój krokodyl, ciociu Elizabeth! Chodź zobaczyć!

Szarpnął mnie za rękę i wskazał eksponat znajdujący się pod przeciwległą ścianą. Mój bratanek wiedział o zwierzu z Lyme i podobnie jak inni z uporem nazywał go krokodylem. W prezencie urodzinowym namalowałam mu dwie akwarele: jedna przedstawiała znaleziony okaz, a druga — moje wyobrażenie, jak wyglądało to zwierzę za życia. Poszłam z chłopcem na drugą stronę sali, chcąc zobaczyć prawdziwego krokodyla i porównać go ze stworzeniem Mary.

Ale Johnny nie mylił się: to rzeczywiście był „mój” krokodyl. Stałam przed nim z otwartymi ustami. Leżał na żwirowej plaży przy stawie, nad którym rosły trzciny. Gdy Mary go znalazła, był spłoszczony, kości się przesunęły, ale

uważała, że należy je zostawić w takim stanie, i nie podjęła próby rekonstrukcji. William Bullock najwyraźniej nie narzucił sobie takich ograniczeń: wyjął całe ciało z kamiennych bloków, ustawił kości tak, żeby uwidocznić płetwy, ułożył kręgi w linii prostej, a nawet wstawił brakujące żebra, zrobiwszy je zapewne z gipsu. Co gorsza, ubrano zwierzę w kamizelkę okrywająca pierś, tak żeby z otworów na ręce wystawały płetwy, i nasadzono wielki monokl na oczodół. Przy paszczy wyłożono jadło — króliki, żaby i ryby — na które mógłby się skusić krokodyl. Przynajmniej nie próbowano rozewrzeć pyska i wepchnąć żeru do żołądka.

Na tabliczce widniał napis:

KAMIENNY KROKODYL

znaleziony przez Henry'ego Hoste'a Henleya
na pustkowiu w hrabstwie Dorset

Cały czas przypuszczałam, że okaz wciąż znajduje się w którejś z licznych komnat Colway Manor, przymocowany do ściany albo postawiony na stole. Widząc go na wystawie w Londynie, w teatralnej aranżacji, która nijak się miała do mojej wiedzy o tym stworzeniu, przeżyłam taki wstrząs, że krew zastygła mi w żyłach.

Gdy do Johnny'ego i do mnie dołączyła reszta rodziny, pierwsza odezwała się Louise.

— To woła o pomstę do nieba.

— Dlaczego dziedzic Henley kupił go, skoro zamierzał przekazać właścicielowi tego... cyrku? — Powiodłam wzrokiem dokoła i zatrzęśłam się z oburzenia.

— Pewnie dla okazałego zysku — rzekł mój brat.

— Jak on mógł zrobić coś takiego ze stworzeniem Mary? Popatrz, Louise, wyprostowali ogon, który ona tak usilnie starała się zachować w pierwotnej pozycji. — Wskazałam ręką ogon, który już nie był zakrzywiony w trzech czwartych długości.

Chyba najbardziej przygnębiające było to, że pokazanie stworzenia Mary w tak niewybredny sposób spłycało prezycia, które wzbudzał w widzu jego widok. W Lyme jego osobliwość robiła wrażenie i mieszkańcy z szacunkiem ściszcili głos. W Muzeum Bullocka było ono jednym z wielu eksponatów i nawet nie budziło wyjątkowego podziwu. Choć oburzała mnie niedorzeczna prezentacja okazu i jego groteskowy strój, złościł mnie ludzie, którzy obrzucali go pobieżnymi spojrzeniami i biegli w kierunku bardziej efektownego słonia czy hipopotama.

John zamienił kilka słów z pracownikiem muzeum i dowiedział się, że okaz został wystawiony zeszłej jesieni, co oznaczało, że dziedzic Henley miał go w posiadaniu zaledwie kilka miesięcy, a potem sprzedał.

Byłam taka rozzłoszczona, że dalsze zwiedzanie nie sprawiło mi przyjemności. Mój nastrój sprzykrzył się Johny'emu oraz wszystkim pozostałym prócz Louise, która zabrała mnie na herbatę do Fortnuma i Masona, gdzie mogłam pieklić się do woli, nie irytując nikogo z rodziny.

— Jak on mógł go sprzedać! — powtarzałam, nerwowo mieszając herbatę malutką łyżeczką. — Jak on mógł sprzedać coś tak wyjątkowego, tak niezwykłego, tak związanego z Lyme i z Mary, na dodatek człowiekowi, który wystroił to stworzenie jak lalkę i wystawił na pośmiewisko! Jak on miał czelność to zrobić?

Louise położyła dłoń na mojej ręce, nie chcąc, żebym uszkodziła firmową filizankę. Odłożyłam łyżeczkę i pochyliłam się w przód.

— Wiesz, Louise — szepnęłam — wydaje mi się... że to wcale nie jest krokodyl. Widać znaczne różnice anatomiczne, ale nikt nie chce powiedzieć tego publicznie.

Jej szare oczy patrzyły na mnie spokojnie, nieruchomo.

— Więc co to jest, jeśli nie krokodyl?

— Stworzenie, które już nie istnieje.

Odczekałam chwilę, żeby zobaczyć, czy Bóg spuści sufit na moją głowę. Nic się jednak nie stało, tylko kelner przyszedł dolać nam herbaty do filizanek.

— Jak to możliwe?

— Znasz pojęcie wymierania?

— Wspomniałaś o tym podczas lektury Cuviera, ale Margaret tak to wytrąciło z równowagi, że zabroniła ci mówić dalej.

Kiwnęłam głową.

— Cuvier twierdzi, że pewne gatunki zwierząt wymierają, gdy już nie pasują do świata, w którym żyją. Ludzi niepokoi ta koncepcja, ponieważ oznacza, że Bóg nie ma w tym udziału, że stworzył zwierzęta, a potem nie zrobił nic i pozwolił im umrzeć. Inni, jak na przykład dziedzic Henley, powiadają z kolei, że stworzenie Mary jest wczesnym egzemplarzem krokodyla, że Bóg stworzył je i odrzucił. Niektórzy uważają, że Bóg zesłał na ziemię potop, żeby usunąć z tego świata zwierzęta, których nie chciał zachować. Z tych teorii wynika, że Bóg nie jest nieomylny i musi naprawiać swoje błędy. Rozumiesz? Każda z tych teorii komuś się nie podoba. Wielu ludzi, jak na przykład pastor

Jones ze Świętego Michała, wybiera najprostsza drogę i przyjmuje Biblię dosłownie; według nich Bóg stworzył świat i to, co na nim żyje, w sześć dni i dziś wszystko nadal wygląda tak jak wówczas, i te zwierzęta też gdzieś żyją. Wyliczenia biskupa Usshera, że świat ma sześć tysięcy lat, podnoszą tych ludzi na duchu, wcale nie zawężają ich horyzontów ani nie wydają im się nonsensowne.

Wzięłam biskopt z talerzyka, który stał między Louise a mną, i przełamałam na pół, myśląc o swojej rozmowie z wielbnym Jonesem.

— W takim razie co nasz pastor sądzi o stworzeniu Mary?

— Uważa, że takie zwierzęta pływają u wybrzeży Ameryki Południowej, a my ich jeszcze nie odkryliśmy.

— Czy to możliwe?

Pokręciłam głową.

— Zauważyliby je marynarze. Żeglujemy po świecie od setek lat i nie widzieliśmy takich stworzeń.

— Zatem uważasz, że w Muzeum Bullocka oglądaliśmy skamieniałe szczątki nieistniejącego zwierzęcia. Gatunek wymarł, co może było albo nie było zgodne z zamiarami Pana Boga.

Louise powiedziała to wolno, starannie dobierając słowa, jakby chciała, żeby zabrzmiały jasno w jej własnych uszach i w moich.

— Tak.

Zaśmiała się cicho i wzięła herbatnik.

— Taki pogląd niewątpliwie zdumiałby niektórych członków parafii Świętego Michała. Wielbny Jones być może poprosiłby cię o opuszczenie Kościoła i przyłączenie się do dyssententów!

Zjadłam drugi kawałek biszkopta.

— Nie jestem pewna, czy dysenterzy istotnie wyznają odmienne poglądy. Może są między nimi a anglikanami różnice doktrynalne, ale ci, których znam w Lyme, biorą słowa Biblii tak samo dosłownie jak pastor Jones. Nigdy nie uznaliby koncepcji wymierania. — Westchnęłam. — Stworzenie Mary powinno być zbadane przez znawców anatomii, na przykład Cuviera z Paryża, albo geologów z Oksfordu czy Cambridge. Oni mogliby udzielić przekonujących odpowiedzi. Ale tak się nie stanie, jeśli to stworzenie występuje w Muzeum Bullocka w przebraniu egzotycznego krokodyla z Dorset.

— I tak dobrze, że nie osiada na nim kurz gdzieś w Colway Manor — rzekła Louise. — Przynajmniej tu można je zobaczyć. A jeśli przyjdą odpowiedni ludzie, ci twoi uczeni geolodzy, i rozpoznają jego wartość, to może dojdą do wniosku, że warto przeprowadzić badania.

Nie pomyślałam o tym. Louise zawsze miała więcej rozsądku ode mnie. Rozmowa z siostrą przyniosła mi ulgę i trochę poprawiła nastrój, ale nie na tyle, bym pohamowała w sobie wściekłość na dziedzica.

. . .

Gdy po miesiącu wróciliśmy do Lyme, poszłam zmierzyć się z panem Henleyem jeszcze przed spotkaniem z Mary. Nie uprzedziłam go o swojej wizycie ani nie powiedziałam siostrze, dokąd się wybieram. Marszowym krokiem przemierzyłam pola między Morley Cottage a Colway Manor, nie zwracając uwagi na polne kwiaty i kwitnące żywopłoty, za którymi tęskniłam podczas pobytu w Londynie. Dziedzica

nie zastałam w domu. Polecono mi iść na kraniec posiadłości, gdzie nadzorował kopanie rowu odwadniającego. Podczas naszej nieobecności dużo tu padało, więc gdy dotarłam na miejsce, buty i brzeg sukni ubrudziły mi się i zabłocily.

Pan dziedzic siedział na swoim siwku i pilnował parobków. Zirykowałam się, widząc, że nie zsiadł z konia i nie stanął wśród nich. Ale teraz cokolwiek by zrobił, i tak bym się zezłościła, miałam bowiem cały miesiąc na podsycanie w sobie gniewu. Ze względu na mnie zsiadł jednak z konia, uklonił się i powitał po powrocie do Lyme.

— Jak było w Londynie? — zapytał, obrzucając wzrokiem pochlapany błotem kraj sukni, i zapewne przeszło mu przez myśl, że jego małżonka nigdy nie pokazałaby się publicznie w takim brudnym odzieniu.

— Doskonale, proszę pana, dziękuję. Odwiedziłyśmy Muzeum Bullocka i ze zdumieniem ujrzałam tam pewien eksponat. Sądziłam, że skamieniałość, którą kupił pan od Anningów, nadal znajduje się w Colway Manor, ale okazało się, że sprzedał ją pan panu Bullockowi.

Rozjaśniła mu się twarz.

— O, zatem krokodyl jest umieszczony na wystawie. Jak się prezentuje? Mam nadzieję, że poprawnie napisali moje nazwisko.

— Rzeczywiście, pana nazwisko widnieje na tabliczce. Byłam jednak zaskoczona, że nie wspomniano o Mary Anning ani nawet o Lyme Regis.

Dziedzic Henley wyglądał na skonsternowanego.

— Dlaczego miałyby się pojawić tam jej nazwisko? Przecież okaz nie jest jej własnością.

— Ale ona go znalazła. Nie pamięta pan?

— Mary Anning jest robotnicą — prychnął dziedzic. — Znalazła tego krokodyla na mojej ziemi. Jak pani wiadomo, teren Church Cliffs należy do mojego majątku. Czy pani zdaniem ci ludzie... — Kiwnął głową w kierunku mężczyzn, którzy przenosili grudy błota. — ...Czy oni stają się posiadaczami znajdujących się na tej ziemi rzeczy tylko dlatego, że je wykopali? Oczywiście, że nie. One są moją własnością. Poza tym Mary Anning jest kobietą. Jest nikim. Muszę ją reprezentować, tak samo jak wielu mieszkańców Lyme, którzy nie mogą reprezentować samych siebie.

Przez chwilę miałam wrażenie, że powietrze gęstnieje i przelatują w nim iskry, a opasła twarz pana Henleya wydyma się, napierając na mnie. Przepełniający mnie gniew wszystko zniekształcał.

— Po co robił pan tyle zamieszania, by kupić ten okaz, skoro zamierzał sprzedać go dalej? — zapytałam zdecydowanym tonem, gdy wreszcie zapanowałam nad swoimi uczuciami.

Siwek zaczął się niecierpliwić, więc pan dziedzic uspokajająco pogładził go po szyi.

— Zagracał mi bibliotekę. Muzeum Bullocka jest dla niego lepszym miejscem.

— Niewątpliwie tak, zważywszy na pańskie niefrasobliwe podejście do sprawy. Nie spodziewałam się, że pan dziedzic jest taki zmienny w zachowaniu. To panu nie przystoi. Do widzenia.

Odwrociłam się, nie patrząc, jaki skutek odniosą moje nieporadne słowa. Gdy potykając się, ruszyłam w drogę powrotną przez pole, usłyszałam rehotliwy śmiech dziedzica. Nie zawołał do mnie, jak zapewne zrobiliby inni

mężczyźni. Niewątpliwie ucieszył się, że ta umorusana stara panna, która wylewa swą żółć i miesza człowieka z błotem, już nie będzie zwracać mu głowy.

Szłam, miotając przekleństwa pod nosem, a potem na głos, skoro nikt mnie słyszał.

— Niech cię diabli wezmą, ty durniu zatracony!

Nigdy dotąd nie wypowiedziałam głośno takich słów, nawet tak nie pomyślałam, ale przepełniona gniewem musiałam zrobić coś nadzwyczajnego. Byłam zła na dziedzica Henleya za to, że nie docenia wagi odkryć naukowych, że tajemnicę tego świata przedstawia jako coś głupiego i trywialnego, że wyrzuca mi, iż jestem kobietą, jakby był to powód do wstydu. Jestem nikim — akurat!

Jeszcze bardziej złościłam się na samą siebie. Po dziewięciu latach zamieszkiwania w Lyme Regis nauczyłam się cenić własną niezależność i bezpośredniość. Nie umiałam jednak stawić czoła takim dziedzicom Henley om. Nie potrafiłam dobitnie powiedzieć mu, co myślę o sprzedaży stworzenia Mary. A on wyśmiewał się ze mnie i traktował tak, że czułam się, jakbym to ja zrobiła coś złego.

— Dureń! Dureń zatracony! — powtarzałam na okrągło.

— Och!

Podniosłam głowę. Szłam mostkiem przez rzekę, a po drugiej stronie Fanny Miller schodziła ścieżką prowadzącą do środka miasteczka. Dziewczyna na pewno mnie usłyszała, gdyż zaczerwieniła się, zmarszczyła czoło, a jej dzieciinne oczy rozszerzyły się i wyglądały jak płytkie kałuże bez głębi.

Utkwiłam w niej wzrok, nie mówiąc słowa przeprosin. Fanny podreptała dalej, przyspieszając kroku i co rusz

spoglądając w tył, jakby się bała, że pójde za nią i będę nadal złorzeczyła. Choć była przerażona, niewątpliwie chciała również powiedzieć rodzinie i znajomym, co ta dziwaczna panna Philpot wygadywała do siebie.

Lękiem napawała mnie myśl, że będę musiała poinformować Mary o tym, co się stało z jej stworzeniem; należą jednak do osób, które nie zwlekają z przekazywaniem złych wiadomości — moim zdaniem czekanie tylko pogarsza sprawę. Tego samego popołudnia poszłam na Cockmoile Square. Molly Anning poleciła mi udać się nad Pinhay Bay, na zachód od Monmouth Beach, gdzie Mary miała wydobyć ogromnego amonita na zlecenie kogoś z przyjezdnych.

— Ma być ozdobą ich ogrodu — powiedziała z drwiną pani Ahning. — Bez sensu.

Skrzywiłam się. W naszym ogrodzie znajdował się ogromny amonit o średnicy jednej stopy, wykopany z pomocą Mary, który dałam Louise w prezencie gwiazdkowym. Przypuszczam, że Molly Anning nie wiedziała o tym, jako że jeszcze nigdy nie odwiedziła nas na Silver Street. „Po co wspinąć się na wzgórze, jeśli nie ma takiej potrzeby?” — często powtarzała.

Sztydziła z przyjezdnych, ale zapłatę za tego amonita przyjęłaby z zadowoleniem. Po sprzedaniu potwora panu Henleyowi Mary bez powodzenia szukała następnego nieuszkodzonego okazu. Znajdowała jedynie obiecujące fragmenty — szczękę, zrośnięte ze sobą kręgi i wachlarzowato ułożone kostki płetwy — z których miała jakiś dochód, choć znacznie mniejszy, niż gdyby leżały w jednym miejscu.

Zobaczyłam Mary nieopodal Cmentarzyska Węzów — teraz nazywałam je Cmentarzyskiem Amonitów — które przed laty nastawiło mnie przychylnie do Lyme. Zdążyła już wydłubać amonita z półki skalnej i właśnie wkładała go do worka, żeby zaciągnąć znalezisko do domu — ciężka praca dla dziewczyny, nawet jeśli przywykła znosić trudy.

Mary powitała mnie z radością; wielokrotnie mówiła, że z utęsknieniem czeka na mój powrót z Londynu. Opowiedziała mi, jakie skamieliny znalazła podczas mojej nieobecności, co udało się sprzedać, kto jeszcze kręcił się po plaży w poszukiwaniu okazów.

— Jak było w Londynie, panno Elizabeth? — zapytała w końcu. — Kupiła pani nowe suknie? O, ma pani nową budkę.

— To prawda. Jesteś bardzo spostrzegawcza.

Wzięłam głęboki oddech i opowiedziałam, jak to w Muzeum Bullocka zobaczyłam jej stworzenie. Rzetelnie opisałam stan okazu, nie pomijając szczegółów, takich jak kamizelka i monokl.

— Dziedzic Henley nie powinien był sprzedać go człowiekowi, który tak niefrasobliwie odnosi się do swoich eksponatów, choć ogląda je mnóstwo zwiedzających — zaznaczyłam na koniec. — Mam nadzieję, że już więcej nie zwrócisz się do niego z żadną propozycją sprzedaży. — Nie wspomniałam, że dopiero co widziałam się z nim i zostałam wyśmiana.

Mary słuchała uważnie. Jej brązowe oczy rozszerzyły się dopiero wtedy, gdy powiedziałam, że stworzeniu wyprostowano ogon. Poza tym przyjęła moje informacje w zaskakujący dla mnie sposób. Myślałam, że będzie zła, iż pan

Henley zarobił na jej znalezisku, a tymczasem bardziej ciekawiło ją zainteresowanie, jakie ono wzbudziło.

— Dużo ludzi przyszło go zobaczyć? — zapytała.

— Całkiem sporo.

— Bardzo, bardzo dużo? Więcej niż mieszka w Lyme?

— Znacznie więcej. Pokazywano go przez kilka miesięcy, więc przypuszczam, że przewinęły się przez tę salę tysiące zwiedzających.

— Takie tłumy widziały mojego krokodyla. — Uśmiechnęła się.

Rozpromienionym wzrokiem spojrzała na morze, jakby dostrzegła na horyzoncie widzów stojących w kolejce, by zobaczyć jej następne znalezisko.

5

Staniemy się
skamieniałościami,
które ugrzęzły na plaży
po wsze czasy

Znalezienie tego krokodyla zmieniło wszystko. Czasem próbuję sobie wyobrazić, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby nie te duże, śmiałe zwierzęta ukryte w klifach i na półkach skalnych. Jeżeli znajdowałabym tylko kamienie węzowe, strzałki piorunowe, lilie morskie i diabelskie pazury, byłoby ono równie zwyczajne jak te dziwy, nie czułabym uderzeń pioruna, które wywracały mnie na drugą stronę niczym pończochę, sprawiały radość i zarazem ból.

Zmianę przyniosła nie tylko gotówka ze sprzedaży krokodyla. Przekonałam się, że jest czego szukać i że robię to lepiej od innych — na tym polegała różnica. Gdy teraz patrzyłam przed siebie, widziałam coś więcej niż bezładne usypisko kamieni — widziałam drogę swojego życia.

Gdy pan dziedzic zapłacił nam dwadzieścia trzy funty za całego krokodyla, zamarzyły mi się najróżniejsze rzeczy. Chciałam kupić tyle worków ziemniaków, żeby ułożone jeden na drugim sięgnęły powały. Chciałam kupić tyle jardów wełny, żeby starczyło na nowe sukienki dla mamy i dla mnie. Chciałam codziennie zjeść całą babkę drożdżową

i wypalić tyle węgla, żeby węglarz musiał co tydzień go dowozić. Takie były moje pragnienia. Sądziłam, że tego samego chcą moi najbliżsi.

Pewnego dnia, po zawarciu umowy z dziedzicem Henleyem, panna Elizabeth przyszła do mamy i razem z Joem usiadły przy stole w kuchni. Panna Elizabeth nie wspomniała ani o wełnie, ani o węglu, ani o cieście drożdżowym, tylko zaczęła rozmawiać o pracy.

— Uważam, że gdyby Joe poszedł do terminu, byłoby to najlepsze rozwiązanie dla całej rodziny. Stać was teraz na opłacenie nauki. Bez względu na to, jaki zawód wybierze, może liczyć na bardziej regularny dochód niż ze sprzedaży skamielin.

— Ale my będziemy razem szukać następnych krokodyli — wtrąciłam się. — Zarobimy na tym dość pieniędzy. Jest dużo ludzi tak bogatych jak dziedzic Henley, którzy też będą chcieli mieć swojego krokodyla. Ci wszyscy dżentelmeni z Londynu tylko czekają z gotówką w ręku!

Na koniec niemal krzyczałam. Musiałam bronić swojego wielkiego planu, który pozwoli Joemu i mnie wzbogacić się na krokodylach.

— Cicho bądź, dziecko — odezwała się mama. — Panna Philpot mówi do rzeczy.

— Skąd wiesz, że będą następne? — zwróciła się do mnie panna Elizabeth.

— Wiem, proszę pani. Pani pomyśli o tych wszystkich kawałeczkach, które kiedyś znajdowaliśmy: kręgach i zębach, częściach żeber i szczęk. Nie wiedzieliśmy, co to takiego, a teraz wiemy! Wydobyliśmy zwierza i wiemy, gdzie pasuje każda z tych części i jak jest zbudowane całe

ciało. Zrobiłam rysunek, żebyśmy wiedzieli, co gdzie pasuje. Jestem pewna, że w klifach i półkach skalnych wszędzie są krokodyle!

— Skoro twierdzisz, że jest ich tyle, to dlaczego dotychczas nie znajdowaliście całych okazów?

Spojrzałam na nią ze złością. Zawsze była dla mnie dobra. Dawała mi zarobić na czyszczeniu dziwów, przynosiła nam jedzenie, świece i stare ubrania, namawiała mnie, żebym poszła do szkółki niedzielnej i nauczyła się pisać i czytać, pokazywała mi swoje znaleziska i interesowała się moimi. Nie wydobylibyśmy krokodyla, gdyby nie zapłaciła Dayom za robotę. To ona urobiła dziedzica, razem z mamą.

W takim razie dlaczego nie chciała się ze mną zgodzić, akurat gdy poszukiwania stały się takie ciekawe? Panna Elizabeth mogła sobie mówić, co chciała, ale ja byłam pewna, że w tych skałach siedzą potwory.

— Nie wiedzieliśmy, czego szukać — powtórzyłam. — Ale już wiadomo, jak wygląda to stworzenie, jakiej jest wielkości. I teraz łatwo je znajdziemy, prawda, Joe?

Joe nie odpowiedział od razu. Bawił się sznurkiem, skręcając go palcami.

— Joe?

— Nie mam ochoty szukać krokodyli — odezwał się półgłosem. — Chcę być tapicerem. Pan Reader jest gotów mnie przyjąć.

Ze zdziwienia nie mogłam wykrztusić słowa.

— Tapicerstwo? — Panna Philpot zaraz włączyła się do rozmowy. — Pożyteczny fach, ale dlaczego akurat taki wybrałeś?

— Mogę to robić pod dachem, nie muszę być na dworze.

Odzyskałam głos.

— Jak to, Joe, nie chcesz szukać ze mną krokodyli? Czy nie było wspaniale, gdy go wykopywaliśmy?

— Było zimno.

— Zgłupiałeś? Zimno to betka!

— Nie dla mnie.

— Bardziej przejmujesz się zimnem niż tym, że te stworzenia siedzą tam i czekają, żebyśmy je znaleźli? Na plaży roi się od skarbów. Możemy dorobić się na krokodylach! A ty narzekasz na zimno?

Joe odwrócił się do mamy.

— Naprawdę chcę pracować u pana Readera. Co ty na to?

Mama i panna Elizabeth nie odzywały się podczas mojej sprzeczki z Joem. Pewnie nie musiały się wtrącać, bo Joe najwyraźniej podjął taką decyzję, jaka im pasowała. Nie czekałam na ich odpowiedź. Poderwałam się z miejsca i pobiegłam do warsztatu. Wolałam zajmować się krokodylem, niż wysłuchiwać planów, które doprowadzą do tego, że Joe przestanie chodzić na plażę. Czekala mnie praca.

Po złączeniu łba z resztą ciała potwór miał prawie osiemnaście stóp długości. Wymowanie go ze skały trwało trzy dni. Razem z Dayami harowałam od rana do wieczora, gdy pozwalał na to przypływ. Całe stworzenie nie mieściło się na stole, więc ułożyliśmy je na podłodze. W mętym świetle wyglądało jak płatanina kamiennych kości. Choć czyściłam je już miesiąc, wydłubywanie stworzenia wcale nie miało się ku końcowi. Dostałam zapalenia spojówek od ciągłego mrużenia oczu i wcierania pyłu.

Byłam za młoda, żeby zrozumieć, dlaczego Joe podjął taką decyzję, ale później dotarło do mnie, że postanowił żyć

zwyczajnie. Nie chciał, by ludzie gadali o nim tak jak o mnie, naśmiewali się z dziwacznego ubioru i przebywania godzinami na plaży jedynie w towarzystwie kamieni. Pragnął tego, co mieli inni mieszkańcy Lyme — poczucia bezpieczeństwa i sposobności, by stać się szanowanym człowiekiem — i dlatego był taki ochotny do nauki zawodu. Nijak nie mogłabym mu w tym przeszkodzić. Gdyby mnie dano taką możliwość — gdyby dziewczyna mogła pójść do terminu — czy też zdecydowałabym tak samo i wybrała krawiectwo, rzeźnictwo albo piekarstwo?

Nie. Szukanie dziwów miałam we krwi. Choć przebywanie na tych plażach przyniosło mi tyle cierpienia, nie porzuciłabym dziwów dla igły, noża czy pieca.

— Mary — usłyszałam nad uchem głos panny Philpot.

Nie odpowiedziałam, wciąż zła na nią, że stanęła po stronie Joego. Wzięłam skrobak i zaczęłam czyścić jeden z wielu kręgów ciągnących się długim rzędem jak oparte o siebie spodeczki.

— Joseph dokonał rozsądnego wyboru — powiedziała. — Tak będzie lepiej dla ciebie i twojej matki. A ty możesz dalej szukać tych stworzeń. Do tego Joe nie jest ci potrzebny. Sama wiesz, czego szukać. Możesz to robić samodzielnie i najmować Dayów do kucia w skale, jak tym razem. Będę ci pomagać w rozmowach z nimi, aż dorośniesz i nauczysz się radzić sobie z mężczyznami. Zaofiarowałam twojej matce wsparcie podczas negocjacji, ale woli sama tym się zajmować. Zupełnie dobrze poszło jej z dziedzicem Henleyem.

Panna Philpot uklękła przy krokodylu i przejechała ręką po jego żebrach, spłaszczonych i krzyżujących się jak plecionka koszyka.

— Jaki piękny — szepnęła miękko, już nie tak roztropnie. — Wciąż zdumiewa mnie to, że jest taki duży... i taki dziwny.

Przytaknęłam. Ja też czułam się przy nim nieswojo. Przez ten ostatni miesiąc, gdy go czyściłam, częściej chodziłam do zboru. Siedząc z tym stworzeniem sama w warsztacie, nieraz czułam się pusta w środku na myśl, że nie ogarniam umysłem rzeczy, które są na tym świecie, i wtedy szukałam pocieszenia.

Może i straciłam Joego, ale to nie znaczy, że na plaży nie było nikogo prócz mnie. Pewnego dnia szłam brzegiem w stronę osuwiska Black Ven i zobaczyłam nieznanym ludzi, którzy szukali skamielin przy klifie. Ledwie podnieśli oczy, tak byli przejęci machaniem młotkami i grzebaniem w mule. Dzień później pojawiło się tam pięciu panów; minęły jeszcze dwa dni i było ich dziesięciu. Żadnego nie znałam. Ze słów, które mnie dolatywały, wynikało, że ci mężczyźni chcą mieć swojego krokodyla. Moje znalezisko ściągnęło ich na tutejsze plaże, kusząc obietnicą znalezienia skarbów.

W ciągu następnych kilku lat zrobiło się u nas tłoczno od poszukiwaczy skamielin. Byłam przyzwyczajona do widoku pustej plaży i do własnego towarzystwa albo obecności panny Elizabeth czy Joego, oni jednak prowadzili poszukiwania w pojedynkę, więc i tak wydawało mi się, że jestem sama. Teraz na całym wybrzeżu od Lyme do Charmouth i także na Monmouth Beach słyszało się stukanie młotków o kamień; panowie dokonywali pomiarów, patrzyli przez szkła powiększające, robili notatki i rysunki. Można było

boki zrywać. Tyle zamieszania, a żaden nie znalazł całego krokodyla. Któryś z nich wydawał okrzyk; reszta zbiegała się, żeby zobaczyć, co to takiego; a tam nic, najwyżej jakiś ząb, kawałek szczęki albo kręg — jeśli mieli szczęście.

Pewnego dnia akurat przechodziłam koło jednego z tych panów, gdy podniósł z ziemi okrągły ciemny odłamek skalny.

— Chyba znalazłem kręg! — zawołał do swojego towarzysza.

Nie wytrzymałam — musiałam wyprowadzić go z błędu, choć nie odezwał się do mnie.

— To łupki z żyłkami kalcytowymi, proszę pana.

— Słucham?

— Czyli zwapniałe łupki. Odłamki często wyglądają jak kręgi, ale warstewki łupków są pocięte pionowymi kreskami, trochę podobnymi do włókien sznura. Poza tym kręgi mają ciemniejszy kolor. Kawałki krokodyla zawsze są ciemniejsze. Proszę zobaczyć. — Wyjęłam z koszyka kręg znaleziony wcześniej tego dnia. — Widzi pan, kręg ma sześć boków, jak ten. Czasem widać je dopiero po oczyszczeniu. I jest wklęsły, jakby ktoś ścisnął go na środku palcami.

Mężczyzna podał kręg swemu koledze, jakby to była jakaś cenna moneta — w pewnym sensie nie bez racji.

— Gdzie to znalazłaś? — zapytał jeden z nich.

— O tam. Mam jeszcze inne.

Ze zdumieniem oglądali moje znaleziska. Gdy pokazali mi swoje, okazało się, że to przede wszystkim łupki z żyłkami kalcytowymi, więc musieliśmy je wyrzucić. Cały dzień przynosili mi niby-dziwy, pytając, co to takiego. Wkrótce inni poszli za ich przykładem, a ja musiałam

biegać raz tu, raz tam i mówić im, co znaleźli albo czego nie znaleźli. Potem zaczęli wypytywać, gdzie najlepiej szukać, i nie minęło wiele czasu, a prowadziłam ich na wyprawę.

Tak zetknęłam się z geologami i dżentelmenami o zainteresowaniach geologicznych. Prosili, żebym przeglądała ich zbiory, wskazując pomyłki, i szukała dla nich dziwów. Kilku panów mieszkało w Lyme i w Charmouth — na przykład Henry De La Beche, starszy ode mnie o kilka lat, który niedawno wprowadził się z matką do domu na Broad Street. Ale większość z nich przyjechała z dalszych miejscowości: z Bristolu, Oksfordu i Londynu.

Nigdy dotąd nie przebywałam w towarzystwie wykształconych dżentelmenów. Czasami dołączała do nas panna Elizabeth i wtedy czułam się swobodniej, bo była starsza, z tej samej sfery co oni i w razie potrzeby mogła być pośredniczką. Gdy byłam z nimi sama, z początku czułam się nieswojo, nie wiedziałam, jak się zachować i co powiedzieć. Ale oni traktowali mnie jak służącą, co ułatwiało sprawę, bo taką rolę umiałam odegrać bez trudu — postępowałam jak sługa, choć zdarzało mi się, ku ich zdziwieniu, wygłaszać swoje zdanie.

Mimo to sytuacja zawsze była trochę krępująca, zwłaszcza gdy z wiekiem zaokrągliła mi się figura. Potem ludzie zaczęli gadać.

Może gadaliby mniej, gdybym postępowała rozważnie. Ale gdy zaczęłam dorastać, coś mnie napadło i trochę zgłupiałam, jak to bywa z dziewczynkami wychodzącymi z dzieciństwa. Po głowie krążyły mi myśli o tych panach, patrzyłam, jakie mają nogi i jak się ruszają. Ni stąd, ni

zowąd wybuchalam płaczem albo bez powodu krzyczalam na mamę. Zaczęłam bardziej lubić pannę Margaret niż pozostałe siostry Philpot, ponieważ z większym zrozumieniem traktowała moje humory. Opowiadała mi historie z przeczytanych powieści, pomagała czesać ładniej włosy i w bawialni Morley Cottage uczyła mnie tańczyć — co nie znaczy, że miałabym sposobność tańczyć kiedykolwiek z mężczyzną. Czasami stałam na dworze przed budynkiem, gdzie mieściły się sale asamblowe, i patrzyłam przez okno wykuszowe na pary wirujące pod szklanymi żyrandolami, wyobrażając sobie, że tańczę tam ubrana w jedwabną suknię. Robiło mi się wtedy tak smutno, że puszczałam się biegiem drogą spacerową, którą bracia Dayowie zbudowali wzdłuż plaży, żeby połączyć dwie części miasteczka. Biegłam do cypla Cobb i chodziłam tam i z powrotem po molo, gdzie wiatr osuszał mi łzy i nikt nie cmokał na mnie z przyganą że tak głupio się zachowuję.

Mama i panna Elizabeth załamywały ręce, ale nie umiały przywołać mnie do porządku, ponieważ ja nie uważałam, że ze mną jest coś nie w porządku. Dorastanie przychodziło mi z trudem. Musiałam dwa razy zetknąć się ze śmiercią — raz kobiety i raz mężczyzny — zanim panna Elizabeth wydobyła mnie spod zwałów błota i naprawdę weszłam w świat dorosłych.

Zajednym i za drugim razem działo się to na tym samym kawałku wybrzeża, na końcu Church Cliffs i przed skrzyżowaniem w kierunku Black Ven. Był początek wiosny. Szłam plażą przy odpływie, rozglądając się za dziwami i rozmyślając o panu, któremu pomagałam poprzedniego dnia, a on uśmiechnął się potem do mnie, odsłaniając białe jak kwarc

zęby. Skały i myśli tak mnie zaślepiły, że zauważyłam kobietę dopiero wtedy, gdy na nią prawie nastąpiłam. Stałam jak wryta, czując uderzenie w brzuch, jakby kopnęło mnie wyrwijące się z objęć dziecko, które chcę od czegoś odciągnąć.

Leżała tam, gdzie zostawił ją odpływ, twarzą do ziemi, z wodorostami we włosach. Jej elegancka suknia nasiąkła wodą, zapiaszczyła się i zabłociła. Mimo to byłam pewna, że kosztowała więcej niż wszystkie ubrania członków naszej rodziny. Przez długi czas stałam nad tą panią, bacznie patrząc, czy nie nabierze tchu i oszczędzi mi widoku śmierci, gdy spojrzę na jej twarz. Uprzytomniłam sobie, że będę musiała jej dotknąć i przewrócić na plecy, żeby sprawdzić, czy jest martwa i czy ją znam.

Nie miałam ochoty jej dotykać. Niemal każdego dnia swojego życia zbierałam nad brzegiem morza martwe okazy. Gdyby ta kobieta była z kamienia jak krokodyl czy amonit, przewróciłabym ją raz-dwa. Ale jeszcze nie zdarzyło mi się dotykać martwego ciała, które przedtem było żywym stworzeniem. Wiedziałam jednak, że muszę to zrobić, więc wzięłam głęboki oddech, szybko chwyciłam ją za ramiona i odwróciłam.

Ledwie zobaczyłam jej piękną twarz, byłam pewna, że to jakaś lady. Ludzie śmiali się, gdy im to potem mówiłam, ale ja widziałam to po szlachetnym czole i delikatnych, słodkich rysach. Nazwałam ją Lady, i słusznie.

Uklękałam przy głowie, zamknęłam oczy i pomodliłam się, żeby Bóg wziął ją do siebie i miał w opiece. Następnie zawlokłam ciało pod klif, bo morze mogło je porwać, gdy pójdę po pomoc. Za nic nie chciałam zostawić jej w takim

nieładzie — to byłoby oznaką braku szacunku. Teraz już bez lęku dotykałam twardego, zimnego ciała jak u ryby. Wyjęłam z włosów wodorosty, wyciągnęłam ręce i nogi, wyprostowałam suknię i złożyłam dłonie na piersi, tak jak widziałam u leżących na marach. Nawet zaczęła mi się podobać ta ceremonia — aż tak dziwnie zachowywałam się w tamtym okresie.

W pewnej chwili zauważyłam elegancki łańcuszek na szyi tej pani. Pociągnęłam go i spod sukni wysunął się mały złoty medalion, na którym wryto ozdobne litery MJ. W środku był pusty — jeśli znajdował się tam czyjś wizerunek albo pasmo włosów, wymyło je morze. Nie śmiałam wziąć go na przechowanie. Gdyby zobaczono go u mnie, zostałabym oskarżona o kradzież. Schowałam medalion pod suknię, mając nadzieję, że nikt nie znajdzie tej pani i nie ograbi jej podczas mojej nieobecności.

Gdy uznałam, że prezentuję się należycie, odmówiłam jeszcze jedną krótką modlitwę, a potem posłałam Lady całusa i pobiegłam zawiadomić mieszkańców Lyme o znalezieniu topielicy.

Zwłoki wystawiono w kościele Świętego Michała i zamieszczono ogłoszenie w „Western Flying Post”, licząc na to, że ktoś zidentyfikuje zmarłą. Codziennie szłam ją zobaczyć. Nie mogłam się powstrzymać. Przynosiłam zebrane przy drodze kwiatki — żonkile, narcyzy i pierwiosnki, układałam je dokoła Lady i rozsypywałam płatki na sukni. Lubiłam siedzieć w kościele, choć nie przychodziliśmy tu na nabożeństwa. Dokoła panowała cisza, a Lady leżała tam taka spokojna i taka piękna. Czasami trochę popłakałam nad jej losem albo nad swoim.

W tamtych dniach po znalezieniu tej pani trawiło mnie coś jakby choroba, choć nie miałam gorączki ani dreszczy. Jeszcze nigdy nic nie wzbudziło we mnie tak silnych odczuć. Nie umiałam ich nazwać. Wiedziałam tylko tyle, że Lady spotkał tragiczny los i że w moim życiu również może wydarzyć się coś tragicznego. Ona umarła i gdybym jej nie znalazła, mogłaby stać się skamieliną, jej kości przemieniłyby się w kamień, jak to wszystko, co znajdowałam na plaży.

Któregoś dnia przyszedłam do kościoła i zobaczyłam, że wieko przybito gwoździami do trumny. Rozpłakałam się, że już nie zobaczę tej pięknej twarzy. Byle co przyprawiało mnie o łzy. Położyłam się na ławce i zmęczona płaczem zasnęłam. Nie wiem, jak długo spałam. Gdy się obudziłam, siedziała przy mnie Elizabeth Philpot.

— Mary, wstań i idź do domu. Nie przychodź tu więcej — powiedziała cicho. — Wystarczy.

— Ale...

— Przede wszystkim to szkodzi zdrowiu.

Miała na myśli zapach, ale tym w ogóle się nie przejmowałam, ponieważ gorzej śmierdziało na plaży, no i w warsztacie, gdy przywiozłam bloki wapienia i siedzące w tunelach skałotocze zdechły z braku wody.

— Nieważne.

— Emocje tego rodzaju przeżywają jedynie bohaterowie powieści grozy, które czyta Margaret. Do ciebie nie pasuje takie zachowanie. Poza tym zidentyfikowano już tę panią i jej rodzina wkrótce zabierze zwłoki. Niedaleko Portland zatonął statek z Indii. Płynęła nim razem z dziećmi. I pomyśleć, że odbyła taką długą podróż i zginęła niemal u celu.

— Wiadomo, kim ona jest? Jak się nazywa?

— Lady Jackson.

Klasnęłam w dłonie, ciesząc się, że nie bez racji uznałam ją za lady.

— Jak ma na imię? Co oznacza M na medalionie?

Panna Elizabeth się zawahała. Chyba uprzytomniła sobie, że odpowiedź na te pytania podsyci moje obsesje. Ale kłamanie przychodziło jej z trudem.

— Mary.

Kiwnęłam głową i wybuchnęłam płaczem. Tak coś czułam.

Panna Elizabeth ciężko westchnęła, jakby powstrzymywała się od krzyku.

— Nie bądź śmieszna, Mary. To niewątpliwie smutna historia, ale nie znasz tej kobiety, a fakt, że macie tak samo na imię, nie oznacza, że jest między wami jakiegokolwiek podobieństwo.

Zakryłam twarz rękami i dalej płakałam, teraz również z zażenowania, że nie potrafię zapanować nad sobą w obecności panny Elizabeth. Siedziała przy mnie jakiś czas, potem wstała i zostawiła mnie zapłakaną. Nie powiedziałam jej tego, ale zalewałam się łzami, bo coś łączyło mnie z lady Jackson. Tak samo miałyśmy na imię i tak samo czekała nas śmierć. Bez względu na to, czy ktoś jest urodziwy, czy pospolicity, Pan Bóg i tak zabierze go do siebie.

Gdy wywieziono lady Jackson, przez tydzień nie mogłam wziąć do ręki leżących na plaży dziwów — zaraz przypominało mi się, czym one są: biednymi stworzeniami, które spotkała śmierć. W tym krótkim czasie byłam strachliwa i przesadna jak moja dawna koleżanka Fanny Miller.

Uciekałam przed panami, którzy szukali skamielin, i ukrywałam się na spokojniejszej Monmouth Beach.

Ale jak nie ma dziwów, to nie ma co jeść. Mama wysłała mnie z powrotem na plażę i powiedziała, że z pustym koszykiem mogę nie wracać do domu. Dość szybko odepchnęłam od siebie śmierć, ale następnym razem podeszła do mnie dużo bliżej.

. . .

Późną wiosną wreszcie znalazłam drugiego krokodyla. Trwało to tak długo chyba dlatego, że musiałam się zajmować tymi wszystkimi panami. Elizabeth Philpot pewnie miała satysfakcję, gdy potwierdziły się jej słowa, że klify i półki skalne nie uwalniają swoich potworów tak łatwo, jak sądziłam. Znalazłam go majowym popołudniem, chodząc po Gun Cliff i myśląc wcale nie o krokodylu, lecz o swoim żołądku pustym od rana. Nadchodził przypływ i już byłam prawie pod domem, gdy poślizgnęłam się na pokrytym wodorostami występie skalnym. Ciężko upadłam na kolana i podparłam się rękami. Podnosząc się, wyczułam dłonią jakieś wypukłości jedna za drugą. I raptem wiedziałam, że dotykam długiego rzędu kręgów. To stało się tak po prostu, że nawet nie byłam zdziwiona. Ulżyło mi, gdy znalazłam tego krokodyla, bo potwierdził, że jest ich więcej i że się z nich utrzymam. Ten drugi krokodyl przyniósł mi pieniądze, szacunek i nowego pana.

Stało się to tydzień, może dwa, po przeniesieniu krokodyla do warsztatu. Miałam go czyścić, ale po sztormie poprzedniej nocy spadł kawał skały u podnóża Black Ven, więc chciałam przyjrzeć się temu miejscu. Panowie nie kręcili się w pobliżu,

panna Elizabeth zapadła na przeziębienie, a Joe zliczał gwoździe albo bejcował drewno, w każdym razie robił coś związanego z tapicerstwem — byłam więc sama na plaży. Grzebałam wśród kamieni na osuwisku, liasowy muł włożył mi pod paznokcie i oblepiał buty, gdy raptem usłyszałam stuk kamieni i uniosłam głowę. Ktoś nadjeżdżał na karym koniu od strony Charmouth. Nie rozpoznałam kto to taki, bo w jaskrawym słońcu widać było jedynie sylwetkę, ale z bliższej odległości okazało się, że mężczyzna jedzie na człapiącej kobyle, jest ubrany w cylinder i pelerynę okrywającą spadziste ramiona i ma u boku worek. Gdy zobaczyłam, że worek jest niebieski, wiedziałam, że to William Buckland.

Przypuszczałam, że mnie nie pozna, ale ja go znałam: kiedyś kupował u taty dziwy. Wyróżniał go ten niebieski worek, który zawsze nosił przy sobie i do którego wkładał okazy, uszyty z mocnego materiału — i słusznie, bo ciągle był wypchany kamieniami. Pan Buckland pokazywał je tacie, lecz tata patrzył na nie bez zainteresowania, bo nie zawierały skamielin. Ale pan Buckland zachwycał się nimi, jak wszystkim.

Dorastał w miejscowości oddalonej o kilka mil od Axminster i dobrze znał Lyme. Teraz mieszkał w Oksfordzie, gdzie uczył geologii. Został też ordynowany na duchownego, choć nie wiem, co za Kościół by go chciał. Jak na pastora William Buckland był człowiekiem nieprzewidywalnym ponad miarę.

Gdy pokazywaliśmy czaszkę krokodyla w salach asamblowych, przyjechał ją obejrzeć. Uśmiechnął się wtedy do mnie, ale porozmawiał tylko z panną Philpot. Dwa lata

później, po złączeniu łba z resztą ciała, oczyszczeniu i sprzedaniu całości dziedzicowi Henleyowi, pan Buckland podobno przyjechał zobaczyć stworzenie w Colway Manor. Widziałam go czasem wśród dżentelmenów poszukujących na plaży skamielin, ale on nie zwracał na mnie uwagi. Dlatego zdziwiłam się, gdy tamtego dnia zawołał:

— Mary Anning! Właśnie ciebie chciałem spotkać!

Jeszcze nikt nie wykrzyknął mojego imienia z takim zapałem. Wstałam zmieszana i szybko opuściłam spódnice — na pustej plaży często zatykałam kraj spódnicy za pas, nie chcąc ubrudzić się mułem. Nie wypadało, żeby pan Buckland zobaczył moje guzowate w kostkach nogi i ubłoczone łydki.

— Tak, proszę pana?

Zrobiłam coś jakby dyg, ale nie wyszło mi to zbyt zgrabnie. W Lyme rzadko przed kim dygałam, najwyżej przed dziedzicem Henleyem. Ale teraz — wiedząc, że sprzedał mojego krokodyla i zarobił na tym dużo więcej, niż nam zapłacił — nie zrobiłabym tego. Przed nim nie ugięłabym nogi w kolanie, nawet gdyby panna Philpot syknęła na mnie, wymagając uprzejmości.

Pan Buckland zsiadł z konia i potykając się, przeszedł po kamieniach. Zwierzę, pewnie przywykłe do nieustannego zatrzymywania się, stało w miejscu i nawet nie trzeba było go przywiązywać.

— Słyszałem, że znowu znalazłaś potwora. Odbyłem długą drogę z Oksfordu, żeby go zobaczyć — oznajmił, natychmiast przeszukując wzrokiem miejsce, gdzie zwała się skała. — Odwołałem ostatnie wykłady, żeby przyjechać tu jak najszybciej.

Mówił do mnie, nie przystając ani na chwilę i cały czas się rozglądając. Podniósł grudę mułu, dokładnie obejrzał i wyrzucił, a potem podniósł następną. Za każdym razem gdy się pochylał, widziałam łysy placek na czubku jego głowy. Pan Buckland miał okrągłajak dziecko twarz, grube usta i roziskrzzone oczy, do tego spadziste ramiona i wystający brzuch. Rozśmieszał mnie, nawet gdy nie stroił sobie żartów.

Rozglądał się z przejęciem, niecierpliwie, rzucał okiem tu i tam. W końcu dotarło do mnie, że spodziewa się zobaczyć tego krokodyla na plaży.

— Tutaj go nie ma, proszę pana. Jest w warsztacie. Teraz go czyszczę — dodałam z dumą.

— Ach tak? Wyśmienicie, wyśmienicie.

Pan Buckland wyglądał na zawiedzionego, że nie zobaczy krokodyla tu na miejscu, ale szybko odzyskał humor.

— Chodźmy zatem do warsztatu, Mary, a po drodze pokażesz mi, gdzie wykopałaś to stworzenie.

Gdy ruszyliśmy plażą w stronę Lyme, zauważyłam, jaką masą młotków i toreb było obwieszona to cierpliwe konisko. Na dodatek o jego bok objęła się martwa mewa przywiązana do wodzy.

— Po co panu ta mewa? — zapytałam.

— Poproszę kucharkę w gospodzie Three Cups, żeby upiekła mi ją na obiad! Przeżeram się przez królestwo zwierząt. Jadłem już jeże, myszy polne i węże, ale nigdy dotąd nie smakowałem zwykłej mewy.

— Pan jadł myszy?!

— O tak. Grzanka z myszą jest całkiem smaczna.

Zmarszczyłam nos, wyobrażając sobie takie jedzenie — i czując zapach ptaka.

— Ale... ta mewa cuchnie!

— Naprawdę? — zdziwił się, pociągając nosem.

Jak na takiego bystrego obserwatora świata, zbyt często umykały mu rzeczy oczywiste.

— Nic nie szkodzi, każę ją ugotować, a szkielet zaprezentuję na swoich wykładach — trajkotał. — Co tam dzisiaj znalazłaś?

Podekscytowany oglądał moje okazy: kilka złotych kamieni węzowych, pokryty łuskami rybi ogon, który potem dałam pannie Elizabeth, i krąg wielkości gwinei. Pan Buckland zasypał mnie tyloma pytaniami, dorzucając własne przemyślenia, że czułam się jak kamyk toczony tam i z powrotem falami pływów. Potem uparł się, żebyśmy wrócili na osuwisko i trochę tam pogrzebali. Szłam za nim razem z kobyłą, aż tu nagle zatrzymał się o rzut kamieniem od zwalonej skały i powiedział:

— Nic z tego, nie zdążę... Wkrótce mam się spotkać z doktorem Carpenterem w gospodzie Three Cups. Przyjdźmy tu po południu.

— Nie możemy, proszę pana... Plażę zaleje morze.

Zrobił zdziwioną minę, jakby przypływ był sprawą niewartą uwagi.

— Od tej strony nie dojdziemy do osuwiska podczas przypływu — zaczęłam wyjaśniać. — Z powodu tamtych sterczących skał. Plaża będzie odcięta.

— A gdyby dostać się tu od strony Charmouth?

— Można... ale będzie trzeba zrobić kółko, najpierw pójść do Charmouth drogą albo ścieżką na klifie, która jest teraz niepewna, sam pan widzi.

Wskazałam głową na oberwaną skałę.

— A gdybyśmy pojechali do Charmouth na koniu? Po to go mam. Będziemy na miejscu w mgnieniu oka.

Wiele razy chodziłam z panami po plaży, ale z żadnym nie siedziałam na koniu. Miejscowi na pewno rozpuściliby języki. Choć dobry nastrój pana Bucklanda wydawał mi się całkiem niewinny, inni mogli tak nie uważać. Poza tym niechętnie przebywałam na plaży podczas przypływu, spychana przez morze na klif. Gdyby znowu osunęła się skała, nie byłoby dokąd uciec.

Trudno rozmawiało się z panem Bucklandem, bo w swoim zapale nie liczył się z niczym. Za to często zmieniał zdanie, jak wkrótce zauważyłam. Gdy znalazł się w Lyme, miał mnóstwo innych pomysłów, jak spędzi popołudnie, i tego dnia już nie wróciliśmy na osuwisko.

Pan Buckland nie zobaczył miejsca, gdzie wydobyłam drugiego krokodyla — gdy je mijaliśmy, przypływ sięgał ponad półkę. Za to pokazałam mu skałę, w której tkwiło pierwsze zwierzę, i narysował ją pobieżnie. Ciągłe przystawał i przyglądał się różnym rzeczom — także całkiem zwyczajnym, jak na przykład występom skalnym z odciskami amonitów, które na pewno widział już wiele razy — wobec tego musiałam przypomnieć mu o spotkaniu z doktorem Carpenterem w gospodzie oraz o dużo ciekawszym okazie znajdującym się w warsztacie.

— Wie pan — dodałam — że doktor Carpenter uratował mi życie, gdy byłam niemowlakiem?

— Ach tak? Na tym między innymi polega praca lekarzy: dają lekarstwa gorączkującym maluchom.

— To było coś więcej. Uderzył we mnie piorun, wie pan, i doktor kazał rodzicom zanurzyć mnie w letniej wodzie...

Pan Buckland przystanął na kamieniu, z którego już miał zeskoczyć.

— Uderzył w ciebie piorun?! — krzyknął z zachwytem, szeroko otwierając oczy.

Też przystanąłam, trochę zawstydzona, że o tym wspominałam. Zwykle nie rozmawiałam z nikim o piorunie, ale chciałam się popisać przed tym mądrym dżentelmenem z Oksfordu i pomyślałam sobie, że tylko to robi na nim wrażenie. Tak naprawdę zachowałam się głupio; okazało się potem, że nie dorównuje mi w znajdowaniu i rozpoznawaniu skamielin, a jego znajomość anatomii nieraz budziła mój śmiech. Wtedy jednak nie wiedziałam tego i musiałam ścierpieć, jak pytał, co mi się przytrafiło tam na polu, gdy byłam mała.

Ta wiadomość odniosła jednak skutek, bo wyraźnie zyskałam u niego poważanie.

— W istocie niezwykle zdarzenie — rzekł w końcu. — Bóg cię oszczędził, Mary, pozwalając ci przeżyć coś bardzo rzadkiego na tym świecie. Piorun ulokował się w twoim ciele i niewątpliwie przyniósł ci wiele pożytku.

Popatrzył na mnie z góry na dół, a ja zarumieniłam się, że poświęca mi tyle uwagi.

Gdy dotarliśmy wreszcie do domu, zostawiłam pana Bucklanda w warsztacie. Obskakiwał krokodyła ze wszystkich stron i wykrzykiwał do mnie pytania, nawet gdy poszłam na górę do kuchni. Mama stała przy palenisku, na którym gotowała się czyjaś pościel i obrusy. Praniem cudzych rzeczy zarabiała akurat tyle, by zapłacić za węgiel do palenia w piecu, na którym mogła wygotować kolejny tobół bielizny. Patrzyła na mnie krzywo, gdy dowodziłam, że to błędne koło.

— Kto jest na dole? — zapytała stanowczo, usłyszawszy dochodzący z warsztatu głos. — Wzięłaś dwa pensy za obejrzenie?

Pokręciłam głową.

— Nie od pana Bucklanda.

— Właśnie że tak. Kto chce zobaczyć, ma zapłacić. Biedny pensa, bogaty dwa pensy.

— Sama mu policz.

— Żebyś wiedziała, że policzę — powiedziała, marszcząc z niezadowoleniem brwi.

Podawała mi łopatkę, którą mieszała pranie, wytarła ręce o fartuch i poszła do warsztatu. Rozgarniałam bieliznę zadowolona, że choć przez chwilę mogę odpocząć od pytań pana Bucklanda, i zastanawiałam się z rozbawieniem, jak mama da sobie z nim radę. Z niektórymi panami szło jej całkiem dobrze. Henrym De La Beche dyrgowała, jakby był jej drugim synem. Ale William Buckland pokonał nawet moją mamę. Po jakimś czasie wróciła na górę wymęczona jego ciągłą paplaniną — i bez dwóch pensów.

— Twój tata mówił mi — odezwała się, kręcąc głową — że gdy ten człowiek przychodził do warsztatu, on sam odkładał robotę i ucinał sobie drzemkę, a tamten gadał i gadał. Chce, żebyś opowiedziała mu o czyszczeniu i o naszych planach co do tego stworzenia. Powiedz, że sprzedamy za dobrą cenę I tym razem nie damy się oszukać jakiemuś dżentelmenowi!

Gdy zeszłam na dół, pan Buckland akurat stamtąd wychodził.

— Zaraz wracam, Mary. Przyprowadzę doktora Carpentera, żeby go zobaczył. Po południu przyjdę z kilkoma osobami, które z pewnością zainteresuje ten okaz.

— Byle tylko nie z dziedzicem Henleyem! — zawołałam za nim.

— Dlaczego?

Powiedziałam mu o pierwszym krokodylu, o monoklu, kamizelce i wyprostowanym ogonie, tak jak opisała go panna Philpot.

— Co za głupiec! — wykrzyknął pan Buckland. — Powinien był go sprzedać do Oksfordu albo do Muzeum Brytyjskiego, a nie do Muzeum Bullocka. Jestem przekonany, że udałoby mi się namówić tamtych. Tak zrobię tym razem.

Nie pytając o zgodę, pan Buckland wyręczył mamę i pannę Philpot w sprzedaży krokodyla. Zanim mama zdołała się wtrącić, napisał entuzjastyczne listy do ewentualnych kupców. Z początku była na niego zła, ale przeszło jej, gdy znalazł bogatego dżentelmena z Bristolu, gotowego zapłacić czterdzieści funtów — muzea odmówiły. Te pieniądze wynagrodziły nam wszystko, co musiałyśmy znieść ze strony pana Bucklanda. Spędził bowiem w Lyme całe lato, podekscytowany myślą o zawartych we wnętrzu skał krokodylach, które czekają, by je uwolnić. Gdy nasz znajdował się w warsztacie, pan Buckland co rusz wpadał tam jak do siebie, sprowadzał panów, którzy kręcili się po izbie, mierzyli i szkicowali znalezisko, i ciągle o nim rozmawiali. Zauważyłam, że pan Buckland ani razu nie nazwał go krokodylem. Zupełnie jak panna Elizabeth. Powoli zaczęłam przyzwyczajać się do myśli, że jest to coś innego — ale dopóki nie dowiedzieliśmy się, co to takiego, nadal mówiłam „krokodyl”.

Pewnego dnia, gdy byliśmy tylko we dwoje w warsztacie,

pan Buckland zapytał, czy nie mógłby sam poczyścić krokodyla. Zawsze miał ochotę spróbować czegoś nowego. Oddałam mu skrobak i szczotki, bo nie mogłam odmówić, ale bałam się, żeby nie narobił szkody. Nie narobił, choć tylko dlatego, że co chwila przerywał pracę, żeby czemuś się przyjrzeć, a przy tym tyle gadał, że chciało mi się wyć. Nasza rodzina musiała jeść i płacić czynsz. Wciąż miała do zwrócenia długi taty, które nie pozwalały zapomnieć, że możemy trafić do przytułku, gdzie przyjdzie nam pracować w zamian za wikt i dach nad głową. Nie mogliśmy sobie pozwolić, by tracić czas na pogawędki. Zależało nam na sprzedaży krokodyla.

Wreszcie udało mi się wpaść mu w słowo.

— Przepraszam, pozwoli pan, że ja będę pracowała, a pan niech mówi, inaczej to stworzenie nigdy nie będzie gotowe do sprzedania.

— Naturalnie, Mary, masz słuszość.

Oddał mi skrobak, usiadł wygodnie i patrzył, jak zdrapuję i zmiatom warstwę wapienia zalegającą na całej długości żebra. Wyłaniało się z wolna. Ponieważ pracowałam starannie, było gładkie i nienaruszone, bez żadnego zadraśnięcia ani zarysowania. Przynajmniej raz pan Buckland zamilkł i mogłam zadać pytanie, które cisnęło mi się na usta od kilku dni.

— Proszę pana, czy to jest jedno ze stworzeń, które Noe zabrał do arki?

Pan Buckland miał zaskoczona minę.

— Hm, a dlaczego pytasz?

Już nie trajkotał, jak to on, tylko czekał na odpowiedź, wprawiając mnie w onieśmienie.

— Bo ja wiem, proszę pana, tak tylko pomyślałam...

— Co pomyślałaś, Mary?

Chyba zapomniał, że rozmawia nie ze studentem, tylko z dziewczyną zarabiającą na chleb.

— Panna Philpot pokazała mi rysunki krokodyli zrobione przez Cruvera... to znaczy Cuvera, tego Francuza, co to prowadzi tyle badań nad zwierzętami.

— Georges'a Cuviera?

— Tak. Porównaliśmy jego rysunki z tym stworzeniem i znalazłyśmy wiele różnic. Nasze ma długi spiczasty pysk jak delfin, a krokodyl ma ścięty. No i nasze ma płetwy zamiast pazurów, zwrócone na zewnątrz, a nie do środka jak łapy krokodyla. I jeszcze to duże oko. Krokodyle nie mają takich oczu. Zastanawialiśmy się z panną Philpot, co to takiego, jeśli nie krokodyl. A potem słyszałam pana rozmowę z tym dżentelmenem, wielebnym Conybear'em, którego pan tu sprowadził nie tak dawno. Panowie mówili o potopie...

Właściwie użyli słów „dyluwium” i „dyluwialny”. Nie wiedziałam, co znaczą, i musiałam spytać pannę Elizabeth.

— I wtedy pomyślałam sobie: jeśli to nie krokodyl, którego Noe wziął do arki, to co to takiego? Czy Bóg stworzył coś, co znajdowało się w arce, a my o tym nie wiemy? Dlatego pana pytam.

Pan Buckland zamilkł na dłużej, niż sądziłam, że mu się kiedykolwiek uda. Już zaczęłam się martwić, że nie zrozumiał, o co mi chodzi — może taka niewykształcona dziewczynajak ja nie umie wyrażać się w sposób zrozumiały dla uczonego z Oksfordu. Wobec tego zapytałam inaczej:

— Dlaczego Bóg miałby stworzyć zwierzęta, które teraz nie istnieją?

Utkwił we mnie duże oczy i zauważyłam w nich błysk niepokoju.

— Nie ty jedna zadajesz to pytanie — odrzekł. — Wielu uczonych rozważa tę kwestię. Zdaniem samego Cuviera zdarza się, że pewne zwierzęta wymierają co do jednego. Ja jednak nie jestem o tym przekonany. Nie rozumiem, dlaczego Bóg chciałby wybić to, co stworzył. — Po chwili rozpogodził się i już nie patrzył na mnie z niepokojem. — Wielebny Conybeare, z którym jestem zaprzyjaźniony, twierdzi, że choć Pismo Święte mówi, iż Bóg stworzył niebo i ziemię, nie opisuje, jak tego dokonał. Tę sprawę można więc różnie interpretować. Jestem tu dlatego, żeby poznać to niezwykle stworzenie, odkryć następne i prowadzić nad nimi badania. Po wnikliwych rozmyślaniach znajdziemy w końcu odpowiedź. Geologia ma być zawsze wykorzystywana w służbie religii, zajmować się cudownością dzieła stworzenia i podziwiać geniusz Boga. — Powiódł ręką po grzbiecie krokodyla. — Bóg w swej nieskończonej mądrości naszpikował ten świat tajemnicami, które człowiek ma rozwiązać. Oto jedna z nich, a ja jestem zaszczycony, biorąc na siebie to zadanie.

Ładnie to zabrzmiało, ale nie odpowiedział na moje pytania. Może nie było na nie odpowiedzi. Po zastanowieniu spytałam:

— Czy pan uważa, że świat został stworzony w sześć dni, jak mówi Biblia?

Pan Buckland potrząsnął głową — ani na tak, ani na nie.

— Słysząc głosy, że słowa „dzień” nie należy rozumieć dosłownie. Gdyby myśleć nie o dniu, lecz raczej o epoce, kiedy Bóg stworzył i udoskonał poszczególne części nieba i ziemi, wówczas zniknęłyby niektóre punkty sporne między

geologią a Biblią. Po pięciu epokach, gdy już osadziły się skały i skamieniały zwierzęta, stworzony został człowiek. Dlatego, jak widzisz, nie ma ludzkich skamielin. Tak więc szóstego „dnia” pojawili się ludzie, a potem nastąpił potop, a gdy wody opadły, wyłonił się świat, taki jaki znamy dzisiaj, w całej swej wspaniałości.

— A co się stało z tą masą wody?

Pan Buckland umilkł i znów zobaczyłam w jego oczach błysk zaniepokojenia.

— Znalazła się z powrotem w chmurach, skąd spadł deszcz — odrzekł.

Wiedziałam, że należy mu wierzyć, bo przecież nauczał w Oksfordzie, ale jego odpowiedzi wydawały mi się niepełne. Czułam się tak, jakbym dostała jeść, ale nie była najedzona. Zabrałam się znów do czyszczenia krokodyla i nie zadawałam więcej pytań. Wyglądało na to, że przebywając ze swoimi potworami, zawsze będę się czuła trochę pusta w środku.

. . .

Pan Buckland mieszkał w gospodzie Three Cups przez dużą część lata, także po tym, jak drugi krokodyl został oczyszczony, zapakowany i wyekspediowany do Bristolu. Często posyłał wiadomość na Cockmoile Square, żebym spotkała się z nim na plaży. Uznał za pewne, że będę mu towarzyszyć i służyć pomocą, pokazywać miejsca ze skamielinami, a czasem znajdować je dla niego. Przede wszystkim zależało mu na kolejnym potworze, którego zabrałby do Oksfordu i dołączył do swojej kolekcji. Ponieważ też chciałam go znaleźć, nie wiedziałam, co będzie, jeżeli to

się stanie podczas wspólnych poszukiwań. Miałam dobre oko i chyba pierwsza bym go dostrzegła. Czy w takim razie pan Buckland powinien zapłacić mi za niego? To nie było oczywiste, bo nigdy nie rozmawiał ze mną o pieniądzach, ale nie zwlekał z podziękowaniami, gdy przynosiłam mu dziwy. Nawet mama nic nie mówiła na ten temat. Jakby pan Buckland był ponad takie sprawy — prawdziwy uczony, który żyje w świecie, gdzie pieniądze są bez znaczenia.

Joe terminował już dość długo i nie chodził ze mną na plażę, chyba że trzeba było przynieść ciężkie znalezisko albo wyjąć je ze skały. Czasem szła z nami mama. Siadała na kamieniu i robiła na drutach, a my krążyliśmy wokół niej. Pan Buckland chciał chodzić dużo dalej, mama z kolei wołała nie oddalać się zanadto, bo musiała robić pranie, zajmować się domem i sklepem — nadal wystawialiśmy nasze dziwy w kramie przed warsztatem, jak za czasów taty, i mama sprzedawała je przyjezdnym.

Niekiedy również panna Elizabeth wybierała się na poszukiwania. Wtedy było inaczej niż na wyprawach z tamtymi drugimi panami, którzy popełniali amatorskie pomyłki, a my podśmiewaliśmy się ukradkiem, gdy zbierali łupki z żyłkami kalcytowymi albo kawałki skamieniałego drewna, myśląc, że to kości. Pan Buckland był bystrzejszy i do tego uprzejmiejszy; widziałam, że panna Elizabeth go lubi. Czasami miałam wrażenie, że konkurujemy ze sobą o jego względy — już nie byłam dzieckiem, więc wyczuwałam takie rzeczy. Odrywałam wzrok od ziemi i widziałam, że jej oczy spoczywają na nim. Chętnie bym sobie z niej pożartowała, ale wiedziałam, że będzie jej przykro. Panna Elizabeth była mądra, a pan Buckland to doceniał. Umiała

z nim rozmawiać o skamieniałościach i o geologii, czytała naukowe artykuły, które jej pożyczają. Ale była starsza od niego o pięć lat, za stara, żeby zakładać rodzinę. Co więcej, nie miała ani pieniędzy, ani urody, którymi by go skusiła. Poza tym on kochał się w skałach, prędkiej by czule gładził śliczny kawałek kwarcu, niż zalecał się do kobiety. Panna Elizabeth nie miała szans. Swoją drogą ja też.

Gdy byliśmy w trójkę, rzadko się odzywała, a jeśli już, to ostrzejszym tonem. Po jakimś czasie zostawiała nas, usprawiedliwiając się, i szła sama dalej plażą. Widziałam jej sylwetkę w oddali, zawsze z prostymi plecami, nawet gdy się pochylała, żeby coś obejrzeć. Albo mówiła, że woli prowadzić poszukiwania nad Pinhay Bay lub na Monmouth Beach, a nie przy Black Ven, i po prostu znikła.

No więc zwykle zostawialiśmy sami, pan Buckland i ja. Chociaż spotykaliśmy się tylko po to, żeby szukać dziwów, było tego za wiele nawet dla mieszkańców Lyme. W końcu dotarły do nas krążące po mieście plotki, bez wątpienia podsycane przez kapitana Dziwa. Od czasu gdy oberwanie skały niemal zabiło nas oboje i zasypało pierwszego krokodyla, kapitan Dziw zostawił mnie w spokoju, ale nadal śledził moje kroki, chcąc wreszcie natrafić na całego krokodyla. Gdy zobaczył, że chodzę na poszukiwania razem z panem Bucklandem, nie krył zazdrości. Mijając nas na plaży, uderzał łopata o skałę i mówił filuternie: „Dobrze się bawicie we dwoje? Dogadza wam samotność?”.

Pan Buckland przyjmował to jako przejaw zainteresowania i śpieszył pokazać mu nasze znaleziska. Od razu zaczynał opowiadać kapitanowi o swoich teoriach i zasypywać go naukowymi terminami, a tamten stał przez chwilę za-

skoczony i zakłopotany, a potem pod byle pretekstem odchodził wielkimi krokami, patrząc na mnie szyderczo przez ramię, gotów wszystkim powiedzieć, że widział nas razem.

Nie przejmowałam się plotkami, ale mama usłyszała na targowisku, jak ktoś nazwał mnie dziwką wielmożnego pana. Pomaszerowała prosto pod Church Cliffs, gdzie razem z panem Bucklandem wydłubywaliśmy szczękę krokodyla.

— Zabieraj swoje rzeczy i wracamy! — zawołała, nie odpowiadając na powitanie pana Bucklanda.

— Co ty, mamo! Została tylko godzina do przypływu. Musimy wyjąć szczękę. Popatrz, już widać wszystkie zęby.

— Jazda! Rób, co mówię.

Potrafiła wzbudzić we mnie poczucie winy, nawet gdy nic nie zrobiłam. Szybko wstałam i strzepnęłam błoto ze spódnicy. Mama obrzuciła pana Bucklanda piorunującym wzrokiem.

— Żeby pan nigdy więcej nie przebywał tu sam na sam z moją córką.

Pierwszy raz słyszałam, że tak niegrzecznie zwraca się do dżentelmena. Na szczęście pan Buckland nie był obraźliwy. Być może nie zrozumiał, o co jej chodzi, bo nie myślał w tych samych kategoriach co mieszkańcy Lyme.

— Znaleźliśmy wspaniałą szczękę, pani Anning! Proszę dotknąć tych zębów, równe jak w grzebieniu. Zaręczam pani, że czas, który poświęca mi Mary, nie idzie na marne. Razem dokonujemy wielkiego odkrycia naukowego.

— Co mi tam wasze naukowe trele-morele — burknęła mama. — Muszę dbać o dobre imię córki. Nasza rodzina dość już przeszła i nie pozwolimy, żeby dziewczynie zniszczył życie jakiś pan, który chce tylko wyciągnąć z niej jak najwięcej.

Pan Buckland skierował na mnie spojrzenie, które mówiło, że nigdy nie myślał o mnie w taki sposób. Obląłam się rumieńcem i skuliłam ramiona, żeby ukryć piersi. Pan Buckland spuścił oczy, jakby nagle coś sobie uprzytomnił. Wyglądałoby to zabawnie, gdyby już nie wyszła z tego tragedia.

Mama ruszyła do domu, okrążając kałuże.

— Chodź, Mary — powiedziała przez ramię.

— Proszę pani, niech pani zaczeka! — zawołał pan Buckland. — Mam wielki szacunek dla pani córki. W żadnym wypadku nie chciałbym zepsuć jej dobrego imienia. Czy kłopot polega na tym, że jesteśmy we dwoje? Łatwo temu zaradzić, znajdę przyzwoitkę. Zapytam w gospodzie i na pewno kogoś mi dadzą.

Mama przystanęła, ale się nie odwróciła. Zastanawiała się. Ja też. Słowa mamy uzmysłowiły mi coś o mnie samej, co nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy. Że mam przyszłość. Że dżentelmen może się mną zainteresować. Że być może nie będę klepać biedy przez całe życie.

— Dobrze — odezwała się wreszcie. — Jeśli nie pójdzie z wami panna Elizabeth albo ja, weźmie pan kogoś innego. Idziemy, Mary.

Wzięłam koszyk i młotek.

— Mary! Co zrobimy ze szczęką? — zawołał trochę zdesperowany.

Cofnęłam się parę kroków, żeby na niego spojrzeć.

— Pan się nią zajmie. Tyle lat zbiera pan skamieliny, więc da pan sobie radę beze mnie.

— Ależ skąd, Mary! Jesteś mi potrzebna.

Uśmiechnęłam się i machając koszykiem, poszłam za mamą.

I tak w moim życiu znowu pojawiła się Fanny Miller. Gdy następnego ranka pan Buckland przyszedł zabrać mnie z domu, Fanny kręciła się za jego plecami i wyglądała tak żałośnie jak woźnica podczas ulewy. Nie odrywała oczu od swoich butów, stukając nimi o bruk na Cockmoile Square, żeby odpadło błoto. Jak ja stawała się kobietą, jej kragłości zaznaczały się mniej wyraźnie niż moje, jajowatą twarz okalała sfatygowana budka z niebieską wstążką pod kolor oczu. Fanny była biedna, ale tak ładna, że miałam chęć ją trzepnąć.

Pan Buckland nie dostrzegał tego, nie widział też lodowatych spojrzeń, jakimi się obrzuciłyśmy.

— Widzisz, mamy przyzwoitkę — oznajmił. — Pracuje w kuchni w gospodzie Three Cups, ale powiedzieli, że mogę ją wziąć na parę godzin podczas odpływu. — Promieniał z zadowolenia. — Jak masz na imię, dziewczyno?

— Fanny — szepnęła tak cicho, że pan Buckland chyba w ogóle nie usłyszał.

Westchnęłam, nie mogąc nic zrobić. Mama tyle mu nagadała, żeby znalazł kogoś do towarzystwa, że nie wypadało narzekać na ten wybór. Musiałam znieść obecność Fanny, a ona moją. Na pewno była tak samo niezadowolona jak ja i wcale nie uśmiechało jej się chodzenie na plażę, ale dla zarobku wykonałaby każde polecenie.

Poszliśmy pod Church Cliffs, gdzie znajdowała się szczeka krokodyla, a Fanny powlokła się za nami. Gdy pracowaliśmy, siedziała spory kawałek od nas i grzebała w kamieniach wokół nóg. Być może nadal podobały jej się lśniące kamyki. Miała tak znudzoną i wystraszoną minę, że zrobiło mi się jej prawie żal.

Panu Bucklandowi też. Prawdopodobnie uważał, że bezczynność jest złem, którego każdy powinien się wystrzegać. Kiedy zobaczył, że Fanny bawi się kamykami, podszedł do niej i zaczął rozmawiać o „podziemiologii”, jak nazywał geologię.

— Hm... Fanny, tak ci na imię, prawda? — odezwał się. — Chcesz się dowiedzieć, co za kamienie tu układasz? Większość z nich to wapień i krzemień, ale ten ładny biały to kwarc, a ten brązowy w prążki to piaskowiec. Skała przy tej plaży składa się z wielu warstw. Wyglądają tak. — Patykiem narysował na piasku warstwy granitu, wapienia, łupku, piaskowca i kredy. — W całej Brytanii, a także na kontynencie, znajdujemy te warstwy, zawsze w tej samej kolejności. Czy to nie zadziwiające?

Gdy Fanny nic nie powiedziała, zaproponował:

— Może chciałabyś zobaczyć, co wykopujemy.

Fanny podeszła niechętnie, cały czas patrząc w górę na lico skały. Najwyraźniej nie przełamała w sobie strachu przed spadającymi kamieniami.

— Widzisz tę szczękę? — Pan Buckland przejechał po niej palcem. — Piękna, prawda? Czubek się odłamał, ale reszta jest nietknięta. Doskonały egzemplarz, który będę pokazywał na swoich wykładach o odkrywaniu skamieniałości.

Zerknął na Fanny, jakby zamierzał delektować się jej miną i ku swojemu zdziwieniu zobaczył wykrzywioną z obrzydzenia twarz. Panu Bucklandowi trudno było zrozumieć, że inni nie podzielają jego nastawienia do skamielin i skał.

- Ale chyba poszłaś zobaczyć stworzenie, które znalazła

Mary, to wystawione na pokaz w miasteczku? — nie dawał za wygraną.

Pokręciła głową.

— A może chciałybyś nam pomóc? — Jeszcze raz spróbował wzbudzić jej zainteresowanie. — Mogłabyś trzymać młotki. Albo Mary pokazałaby ci, jak szukać skamielin.

— Nie, dziękuję, proszę pana. Mam swoją pracę.

Z nasrożoną miną wracała na bezpieczne miejsce z dala od skały. Dawniej bym ją uszczypnęła, ale teraz widziałam, że dostateczną karą jest dla niej przebywanie z nami na plaży i obecność przy odkrywaniu tego, czym gardziła ponad wszystko. Pewnie nie mogła ścierpieć, że znalazła się w takiej sytuacji, i wolałaby szorować gary w gospodzie.

Jakiś czas później przechodziła obok nas panna Elizabeth, która w pojedynkę wybrała się na poszukiwania. Zmarszczyła brwi na widok Fanny zajętej robieniem koronki — nie do wiary, że nie zabrudziła robótki, choć tyle tu było błota.

— Skąd ona się tu wzięła? — stanowczym tonem zapytała panna Elizabeth.

— Jest przyzwoitką — powiedziałam.

— Ooo! — Przez chwilę przyglądała się Fanny, a potem pokręciła głową. — Biedactwo — mruknęła i poszła dalej.

To przez ciebie tak się stało, pomyślałam. Gdybyś nie zachowywała się dziwnie w obecności pana Bucklanda, mogłabyś zostać z nami, a Fanny nie musiałaby się tak męczyć. I ja też bym się nie dręczyła, mając ją dzień w dzień przed oczami i wiedząc, że nigdy nie będę taką kobietą jak ona.

Fanny towarzyszyła nam przez całe lato. Zwykle siedziała na kamieniu z dala od nas albo wlokła się w tyle. Choć nie narzekała, wiedziałam, że bardzo nie lubiła naszych długich wypraw, do Charmouth i jeszcze dalej. Wolała trzymać się Lyme, nie zapuszczać się dalej niż Gun Cliff albo Church Cliffs. Wtedy przychodziła do niej któraś z przyjaciółek, a Fanny ożywiała się i nabierała pewności siebie. Siedziały na kamieniach i zerkały na nas spod czepków, rozmawiając szeptem i chichocząc.

Pan Buckland próbował zainteresować Fanny naszymi znaleziskami albo pokazać jej, czego ma szukać, ale ona zawsze odpowiadała, że jest zajęta czym innym, i zaczynała dziergać lub szyć. Pewnego dnia, gdy znów mu odmówiła i usiadła ze swoją robótką powiedziałam przyciszonym głosem:

— Ona uważa, że skamieniałości to czarcie dzieło. Boi się ich.

— Co za absurd! — odparł pan Buckland. — To są boże stworzenia z przeszłości. Nie ma powodu do niepokoju.

Wstał z kolan. Pomyślałam, że chce podejść do niej, więc złapałam go za ramię.

— Proszę ją zostawić. Tak będzie lepiej.

Gdy spojrzałam na Fanny, ona wpatrywała się we mnie — widziała, jak trzymam pana Bucklanda za rękaw. Chyba nigdy jej nie umknęło, że dotknął mnie, podając mi jakąś skamielinę, albo że chwyciłam go za łokieć, gdy się poślizgnął. Któregoś razu, gdy wydobyliśmy ze skały szczękę krokodyla i pan Buckland mnie uściśnął, aż wydała stłumiony okrzyk zdumienia. W tym względzie jej obecność podczas naszych poszukiwań tylko pogorszyła sytuację —

podejrzewałam, że Fanny rozpuszczała wiele plotek. Byłoby lepiej, gdybyśmy zostali sami, bez świadka, który donosił o wszystkim, co widział i czego nie rozumiał. Mieszkańcy miasta i tak wciąż rzucali mi dziwne spojrzenia i śmiali się za moimi plecami.

Biedna Fanny. Powinnam była okazywać jej więcej życzliwości, bo zapłaciła wysoką cenę za chodzenie z nami na poszukiwania.

W moim fachu najlepiej pracuje się przy złej pogodzie. Deszcz wypłukuje skamieniałości ze skał, a sztormowe fale zmywają wodorosty i piasek z półek skalnych, odsłaniając to, co w nich siedzi. Może i ze względu na pogodę Joe rzucił zbieranie skamielin dla tapicerstwa, ale ja byłam podobna do taty — nie przeszkadzało mi zimno ani wilgoć, byle tylko znajdować dziwy.

Pan Buckland też chętnie chodził na poszukiwania nawet w deszcz. Fanny musiała nam towarzyszyć; nieszczęsna kuliła się pod chustą i wciskała się między głazy, szukając osłony przed wiatrem. W takie dni byliśmy często jedynymi osobami na plaży, bo przyjezdni woleli wtedy iść do łaźni, gdzie była podgrzewana woda, albo grać w karty i czytać gazety w salach asamblowych, albo siedzieć przy kieliszku w gospodzie Three Cups. Tylko poważni poszukiwacze wychodzili z domu, gdy padało.

Pewnego deszczowego dnia pod koniec lata byłam razem z panem Bucklandem i Fanny na plaży przy Church Cliffs, pustej jak okiem sięgnąć. Jedynie kapitan Dziw minął nas w którymś momencie, podglądając, co robimy. Kilka dni

wcześniej pan Buckland zauważył podłużną wypukłość niedaleko miejsca, gdzie znaleźliśmy szczękę, i uznał, że to może być rząd kręgów tego samego zwierzęcia.

Dłubałam w skale, żeby odsłonić kości, i w pewnej chwili pan Buckland się oddalił. Gdy niedługo potem stanęła przy mnie Fanny, domyśliłam się, że pan Buckland sika do wody. Zawsze starał się nie wprawiać mnie w zakłopotanie i szedł za potrzebą tak daleko, żebym go nie widziała. Przyzwyczałam się do jego zachowania, ale Fanny wciąż ono krępowało i wtedy, tylko wtedy, przychodziła do mnie pod klif. Choć spędziła już tyle tygodni z panem Bucklandem, nadal miała przed nim trochę stracha. Jego przyjazne nastawienie i ciągłe zadawanie pytań były trudne do wytrzymania dla kogoś takiego jak ona.

Zrobiło mi się żal Fanny. Padał gęsty deszcz i ściekał z otoka budki na jej twarz. Nie dało się szyć ani robić na drutach, a przecież nie ma nic gorszego niż brak zajęcia w niepogodę.

— Dłaczego po prostu nie odwrócisz się, gdy on tam stoi? — zapytałam z całą życzliwością. — Nie będzie nim wymachiwał na twoich oczach. Umie się zachować.

Fanny wzruszyła ramionami.

— Widziałaś toto kiedyś? — odezwała się po chwili.

Chyba pierwszy raz od dziesięciu lat zadała mi pytanie. Może była znudzona deszczem.

Przypomniałam sobie, jak w tym samym miejscu, przed laty, panna Elizabeth pokazała Jamesowi Footowi belemnita, i się uśmiechnęłam.

— Nie. Tylko u Joego, jak był mały. A ty?

Nie spodziewałam się odpowiedzi.

— Raz, w gospodzie. Jakiś gość tak się spił, że ściągnął spodnie w kuchni, myślał, że jest w wychodku!

Parsknęłyśmy śmiechem. Przeleciało mi przez myśl, że sprawy między nami może zaczną się układać.

Los chciał inaczej. Nie było żadnej zapowiedzi, nie popyły się z góry kamyki, nie rozległ się trzask pękającego kamienia. Stało się to nagle: rozbawione gadałyśmy pod klifem o męskim przyrodzeniu, a chwilę później runęła skała i upadłam przywalona gęstą, kamienistą gliną.

Nie pamiętam tego, ale gdy leciał na mnie kawał klifu, uniosłam rękę do ust i dzięki temu zrobiło się trochę miejsca, żeby oddychać. Nic nie widziałam i w ogóle nie mogłam się ruszyć, przygnieciona zimną, mokrą i ciężką gliną. Nie mogłam nawet krzyknąć. Mogłam tylko myśleć, że umrę, i zastanawiać się, co powie mi Bóg, gdy przed Nim stanę.

Przez długi, długi czas nic się nie działo. Potem usłyszałam chrobot i poczułam, jak ktoś wczepia się we mnie palcami i wyciera mi oczy. Uniosłam powieki i zobaczyłam przerażoną twarz pana Bucklanda, i wtedy pomyślałam, że chyba jeszcze nie stanę przed Bogiem.

— Mary! — zawołał pan Buckland.

— Proszę pana! Niech mnie pan wyciągnie!

— Nie mogę... nie... — Szarpał za kamienie i grudy błota, ale ani drgnęły. — Za ciężkie. Nie dam rady bez narzędzi. — Wyglądał jak otumaniony, jakby nie mógł zebrać myśli.

I wtedy rozległ się krzyk. Przypomnieliśmy sobie o Fanny. Znajdowała się zaledwie kilka stóp od nas; nie zasypało jej tak bardzo jak mnie, ale miała krew na twarzy. Gdy zaczęła wrzeszczeć, pan Buckland zaraz doskoczył do niej. Leżała

przywalona rzadszą gliną, więc zdołał odgarnąć jej tyle, żeby wyciągnąć Fanny. Wycierając jej zakrwawioną twarz, stracił jej z głowy budkę, taki był wystraszony i niezdarny. Silny wiatr porwał czepek, co przybiło dziewczynę bardziej niż cała reszta.

— Moja budka! — zawołała. — Nie mogę jej zgubić. Mama mnie zabije!

Znowu krzyknęła, gdy pan Buckland starał się ją podnieść.

— Ma złamaną nogę — wysapał. — Muszę was zostawić i wezwać pomoc.

Wtedy oderwał się kawał skały i zwałił na ziemię trochę dalej. Fanny znowu wrzasnęła.

— Proszę, niech pan mnie nie zostawia w tym miejscu porzuconym przez Boga!

Też nie chciałam, żeby mnie zostawił, ale nie narobiłam krzyku.

— Może uda się panu wziąć ją na ręce — powiedziałam. — Przynajmniej uratuje pan jedną z nas.

— Ależ to byłoby niestosowne — odparł zgorzony.

Okazało się, że nawet on, człowiek, który jadł polne myszy, nosił jaskrawoniebieski worek i sikał do morza, speszył się tym, że będzie trzymał w ramionach dziewczynę. Ale nie pora było przejmować się, co jest stosowne, a co nie.

— Niech pan wsunie jedną rękę pod jej ramiona, drugą pod kolana i podniesie — pouczyłam go. — Ona jest drobną dziewczyną. Nawet taki uczony człowiek jak pan da radę ją zanieść.

Zrobił, jak powiedziałam, i dźwignął Fanny. Znowu wrzasnęła — z bólu i ze wstydu. Opuściła bezwładnie ręce i odwróciła głowę od pana Bucklanda.

— Na miłość boską, Fanny, weź go za szyję! — zawołałam. — Jak mu nie pomożesz, nie zdoła zanieść cię do domu.

Posłuchała mnie. Zarzuciła mu ręce na szyję i schowała twarz na jego piersi.

— Niech pan zanieś ją do łaźni, jest najbliżej, i przyśle ludzi z łopatami. — Nigdy nie śmiałabym tak dyrygować dżentelmenem, ale pan Buckland chyba nie mógł zebrać myśli. — Proszę się pośpieszyć. To straszne tak tu tkwić samej.

Kiwnął głową i wtedy oberwał się kolejny kawał skały. Panem Bucklandem wstrząsnął dreszcz, przerażenie malowało się na jego twarzy. Spojrzałam mu w oczy.

— Pan się za mnie modli. A jeżeli umrę, niech pan powie mamie i Joemu...

— N-n-nie mów takich rzeczy, Mary. Wróć rychło.

Nie słuchał dalej, tylko ruszył chwiejnym krokiem w stronę Lyme. Zza jego ramienia Fanny patrzyła na mnie szklistym wzrokiem. Zapadła się w ramionach pana Bucklanda i już nic jej nie obchodziło. Potem doktor Carpenter nastawił kość, ale złamanie było skomplikowane, noga nie zrosła się jak należy i na zawsze pozostała krótsza od drugiej. Fanny nie mogła już daleko chodzić ani długo stać; nigdy więcej nie poszła z nami na plażę — i wcale tego nie żałowała. Ilekroć widziałam, jak kuśtykając, idzie Broad Street do gospody Three Cups, zawsze pochylałam głowę, żeby uniknąć straszliwego spojrzenia jej niebieskich oczu.

O tym wszystkim nie miałam oczywiście pojęcia, gdy leżałam unieruchomiona zwałami gliny. Patrzyłam, jak pan Buckland zatacza się, dźwigając swój ciężar, i oddala się

nie tak szybko, jak bym chciała — i zadawałam sobie pytanie, dlaczego ładne dziewczyny zawsze doczekają się ratunku prędzej niż nieładne. Tak już jest na tym świecie: obdarzona dużymi oczami i delikatną buzią Fanny nie tkwiła w błocie, a ja tkwiłam, mając nad sobą skałę, która w każdej chwili mogła mnie przywalić.

Miałam dużo czasu na rozmyślania. Myślałam o panu Bucklandzie — jakie to dziwne, że osoba duchowna, którą tak bardzo ciekawią zamiary, jakie Bóg miał w dawnych czasach, nie znajduje pociechy w modlitwie, a nawet jej unika. Zamknęłam oczy i sama odmówiłam długą modlitwę, prosząc, żeby Bóg mnie oszczędził, pozwolił mi żyć dalej, żebym mogła pomagać mamie i Joemu, znajdowała następne krokodyle, miała dość jedzenia i węgla na opał i pewnego dnia może nawet została mężatką i matką. „Panie Boże, spraw, żeby pan Buckland chodził dzisiaj szybkim, a nie wolnym krokiem. Żeby prędko kogoś znalazł i wrócił tutaj”. Pan Buckland — choć chętnie przemierzał mile wzdłuż klifu i odbywał regularne wędrówki do Axminster i z powrotem, ilekroć przebywał w Lyme — chodził wolno. Jak przystało na uczonego, miał spory brzuch, a poza tym martwiłam się, że taszcząc Fanny, nie zdoła wrócić rychło i mnie ocalić.

Na plaży zrobiło się spokojnie. Wiatr ucichł, lekka jak mgiełka mżawka skrapiała mi twarz. Od czasu do czasu rozlegał się słaby szurgot odłamków osuwających się z klifu na ziemię. Nie widziałam, co się dzieje, bo skała znajdowała się za mną i nie mogłam aż tak przekręcić głowy do tyłu. To było najgorsze — słyszałam lecące kamienie, ale nie wiedziałam, czy są blisko i czy mnie przygniotą.

Błoto, w którym ugrzęzłam, było zimne i ciężkie, uciskało mi pierś tak bardzo, że z trudem oddychałam. Zamknęłam oczy z nadzieją, że usnę i szybciej minie mi czas. Ale nie zmorzył mnie sen, wobec tego w myślach śledziłam wędrówkę pana Bucklanda do Lyme. Teraz minął miejsce, gdzie znaleźliśmy pierwszego krokodyla. A teraz doszedł do półki z kamieniami węzowymi. Znalazł się na zakręcie, gdzie zaczyna się ścieżka. Już widzi łąźnię Jefferda. Może pan Jefferd jest tam i przybiegnie szybciej niż pan Buckland. Wytyczyłam drogę do Lyme i z powrotem — to nie było tak daleko — ale nikt nie nadchodził.

Otworzyłam oczy. Postać pana Bucklanda wyglądała jak kropka przy Church Cliffs. Nie mogłam uwierzyć, że nie uszedł dalej. Ale nie wiedziałam też, ile minęło czasu: może minuty, może godziny. Spojrzałam w drugą stronę, w kierunku Charmouth. Nie wypłynęły łodzie, nie pojawili się rybacy, żeby obejrzeć więcierze na kraby — morze było zbyt wzburzone. Plaża zupełnie opustoszała. No i zaczął się przypływ, który powoli podchodził pod klif.

Przestałam szukać wzrokiem pomocy i zaczęłam przyglądać się temu, co mnie otaczało. Na skutek obrywu przemieściły się odłamki skalne zagrzebane w rozmięklej niebiesko-szarej glinie. Przeskakiwałam spojrzeniem z kamienia na kamień niedaleko mnie i w odległości może czterech stóp zauważyłam znajomy kształt: kostne łuski wielkości mojej pięści, ułożone w koło i zachodzące na siebie. Oko krokodyla. Wydawało się, że patrzy prosto na mnie. Aż krzyknęłam ze zdumienia. A chwilę później zobaczyłam, że coś się porusza kilka stóp dalej od oka. Ruch był słaby, ale gdy krzyknęłam jeszcze raz, znów coś

drgnęło, jakby różowa plamka na glinie. Deszcz mącił mi wzrok, więc nie byłam pewna, co to takiego. Może jakiś krab wyłaził z błota.

— Halo! — zawołałam.

To coś znowu się poruszyło. Nie krab, tylko palec. Poczulałam wielką ulgę, a jednocześnie zrobiło mi się niedobrze i chyba zemdlałam. Gdy wróciła mi przytomność i spojrzałam na różową plamkę, nie ruszała się. Odchrząknęłam.

— Kto to? — zapytałam, ale za cicho. — Kto to? — powtórzyłam, natężając głos.

Palec się ruszył. Z radości, że nie jestem sama, zaśmiałam się głośno.

— Joe? To ty? — Palec nie drgnął.

— Mama? Panna Philpot?

Nic się nie poruszyło. Zdawałam sobie sprawę, że to nie może być żadne z nich, bo wiedziałabym, że przebywa na plaży. Ale kto inny mógł tu przyjść w taką pogodę? Dzieciak z Lyme, który chciał podejrzeć Mary Anning i jej pana, licząc na to, że będzie mógł donieść o jakimś skandalicznym wydarzeniu? Mało prawdopodobne. Dostrzeglibyśmy go, chodząc po plaży. Chyba że szedł klifem — wobec tego spadł razem ze skałą. Cud, że przeżył.

Po głowie krążyły mi różne myśli o klifie i osuwiskach, aż w końcu nabrałam pewności, kto to taki.

— Kapitan Dziw? — Przypomniało mi się, że widziałam go trochę wcześniej.

W chwili gdy zamachał palcem, zobaczyłam trzonek łopaty wystający z gliny. Byłam taka zadowolona, mając koło siebie tego człowieka, że uszła ze mnie cała złość na niego.

— Kapitanie Dziw! Pan Buckland poszedł po pomoc. Przyjdą nas odkopać.

Palec poruszył się, ale słabiej.

— Był pan na klifie i spadł razem ze skałą?

Palec się nie poruszył.

— Słyszysz mnie pan, kapitanie? Coś się panu stało? Fanny chyba ma złamaną nogę. Zabrał ją pan Buckland. Niedługo wróci — trajkotałam, żeby ukryć przerażenie.

Palec wciąż był nieruchomy, skierowany w niebo. Wiedziałam, co to znaczy, i wybuchnęłam płaczem.

— Niech pan nie odchodzi! Niech pan zostanie ze mną! Proszę, kapitanie!

Znajdujące się między mną a kapitanem oko krokodyla patrzyło na nas oboje. Będziemy tacy jak ten krokodyl, pomyślałam, staniemy się skamieniałościami, które ugrzęzły na plaży po wsze czasy.

Po chwili oderwałam wzrok od palca, nieruchomego jak odłamki wbite w glinę. Ponieważ nie mogłam znieść widoku morza podnoszącego się miarowo, obserwowałam płaskie białe niebo z paroma ołowianymi chmurami. Tak dużą część swego życia spędziłam, patrząc w dół na kamienie, że teraz dziwnie się czułam, patrząc do góry w pustkę. Dostrzegłam kołującą wysoko mewę. Miałam wrażenie, że nigdy nie przyfrunie bliżej, że zawsze będzie punktem w oddali. Utkwiłam w niej wzrok i już więcej nie spozrzałam na palec ani na krokodyla.

Dokoła panowała zakłeta cisza. Aż chciałam ją przerwać. Chciałam, żeby przeszył mnie piorun, wstrząsnął mną i spowodował, że wrócę do żywych — czułam jednak, że dzieje się coś odwrotnego: moje ciało kawałek po kawałku zastyga w ciemności.

Wiele razy śmierć stanęła w progu naszego domu — zabrała tatę i moje rodzeństwo. Większość życia minęła mi na zbieraniu szczątków zwierząt. Ale dotychczas rzadko myślałam o swojej śmierci. Nawet gdy chodziłam do lady Jackson, tak naprawdę bardziej myślałam o jej odejściu niż o swoim, a w śmierci widziałam dramat, którym się upajałam. Za to w umieraniu nie widziałam nic dramatycznego. Było zimne, ciężkie i przykre, na dodatek nudne. Za długo się ciągnęło. Byłam wyczerpana i zubożona. Miałam za dużo czasu na rozmyślania, jaka spotka mnie śmierć: czy zaleje mnie przypływ i utonę jak lady Jackson, czy zadusi mnie błoto jak kapitana Dziwa, czy trafi mnie spadający kamień. Nie mogłam długo o tym myśleć, bo było zbyt bolesne, jakbym dotykała lodu. Zaczęłam więc myśleć o Bogu i o tym, jak mi pomoże przez to przejść.

Nigdy nikomu tego nie mówiłam, ale rozmyślając wtedy o Bogu, wcale nie bałam się mniej.

Błoto tak mnie przygniatało, że ledwie łąpałam powietrze. Oddech robił się coraz wolniejszy, bicie serca też. Zamknęłam oczy.

Gdy się ocknęłam, ktoś rozkopywał wokół mnie glinę. Uniosłam powieki i się uśmiechnęłam.

— Dziękuję. Wiedziałam, że przyjdziesz. Dziękuję, że jesteś.

6

Sama trochę w nim
zakochana

Można by sądzić, że gdy człowiek uratuje komuś życie, jest z nim związany na zawsze. Z Mary i ze mną tak się nie stało. Nie winię jej. Wyrzebanie Mary spod osuwiska za pomocą łopaty kapitana Dziwa i zarazem ściganie się z przypływem i skałą, z której na lewo i na prawo leciały kamienie, raczej oddaliło nas od siebie, niż zbliżyło.

To cud, że przeżyła, przy tym właściwie bez szwanku, podczas gdy kapitan Dziw poniósł okropną śmierć przez uduszenie zaledwie parę kroków od niej. Była mocno potłuczona na całym ciele, ale złamała sobie tylko żebra i obojczyk. Z tego powodu przeleżała w łóżku kilka tygodni — za krótko, by zadowolić doktora Carpentera, ale sprzeciwiła się dłuższej rekonwalescencji i niebawem zjawiła się na plaży, mocno obwiązana bandażami, żeby unieruchomić kości.

Byłam zdumiona, że po takich przejściach znowu chce podejmować poszukiwania. Co więcej, nie zmieniła swoich zwyczajów — jak dawniej trzymała się blisko podnóża

klifu, gdzie mogły spadać kawałki skał. Gdy jej powiedziałam, że matka i brat na pewno przyjmą ze zrozumieniem jej decyzję o zaprzestaniu poszukiwań, Mary oświadczyła:

— Raził mnie piorun i zasypały odłamki skał, ale za każdym razem przeżyłam. Jak widać, Pan Bóg ma co do mnie inne plany. Poza tym — dodała — muszę z czegoś żyć.

Do długów zaciągniętych przez jej ojca, z którymi mimo upływu lat rodzina wciąż się borykała, doszło teraz honorarium dla doktora Carpentera. Doktor darzył Mary sympatią z racji wspólnych zainteresowań skamieniałościami, a poza tym miał satysfakcję, wiedząc, że jego zalecenia uratowały dziewczynie życie po uderzeniu pioruna. Niemniej należała mu się zapłata za opiekę nad Mary oraz nad Fanny Miller, czego domagali się jej rodzice. Anningowie nie wyrazili sprzeciwu. Co dziwniejsze, nie oczekiwali, że koszty leczenia Fanny pokryje William Buckland. Molly Anning nie pozwoliła mi napisać do niego w ich imieniu i poruszyć tej kwestii.

— W przeciwieństwie do was, jego na to stać — przekonywałam ją, gdy pewnego dnia odwiedziłam Mary, żeby pożyczyć jej Biblię, którą chciała poczytać, jeszcze leżąc w łóżku. — Przecież to z jego powodu Fanny w ogóle znalazła się na plaży.

Molly Anning ani na chwilę nie przestała liczyć wyspanych na stos pensów ze sprzedaży skamielin.

— Gdyby pan Buckland uważał, że powinien zapłacić, zaproponowałby to przed wyjazdem do Oksfordu. Nie będę za nim latać i upominać się o pieniądze.

— Nie przypuszczam, że w ogóle przyszło mu to do głowy — odrzekłam. — Naukowcy nie myślą praktycznie.

Ale jeśli przedstawię mu sprawę, jestem pewna, że uzna dług i zapłaci doktorowi zarówno za leczenie Mary, jak i Fanny.

— Nic z tego.

W jej nieustępliwości przejawiała się swego rodzaju duma, która mnie zaskoczyła. Molly Anning oceniała większość rzeczy, zastanawiając się, jaką mają wartość w pieniądzu i na ile odsuwają od jej rodziny widmo przytułku. Ale w tym wypadku uznała, jak sądzę, że pieniądze nie są najważniejsze. Bez względu na to, czy sprawa dotyczyła Williama Bucklanda, czy nie, Anningowie narazili niewinną dziewczynę na niebezpieczeństwo i w gruncie rzeczy przyprawili o kalectwo. Fanny nie mogła już liczyć na korzystne zamążpójście ani w ogóle na zamążpójście. Jej uroda zapewne zrekompensowałaby wiele braków, ale większość mężczyzn z klasy pracującej szukała żony, która była dobrym piechurem. Żadne pieniądze nie wynagrodziłyby Fanny tego, co straciła. Molly Anning wzięła dług na siebie jako swego rodzaju karę.

Mary ani razu nie wspomniała o tej półgodzinie, gdy leżała przywalona gliną i kamieniami, zanim na nią natrafiłam. Ale to przeżycie ją zmieniło. Często przyłapywałam ją na tym, że wpatruje się w dal nieobecny spojrzeniem, jakby słuchała głosu przyzywającego ją z wierzchołka Black Ven albo krzyku mewy gdzieś nad morzem. Poczwała tchnienie śmierci, gdy ta usadowiła się przy niej na plaży, a potem zabrała kapitana Dziwa, natomiast ją oszczędziła, przypominając w ten sposób o swojej obecności i jej własnych ograniczeniach. W życiu każdego z nas przychodzi taka chwila, kiedy silnie odczuwamy fakt, iż jesteśmy śmiertelni,

ale zazwyczaj ta myśl dociera do nas w późniejszym wieku, niż to było w wypadku Mary.

U Mary spotkanie ze śmiercią zbiegło się z okresem dojrzwania. Pewnego dnia pomagałam Molly Anning zdejmować bandaże, którymi Mary była obwiązana, żeby unieruchomić złamane kości, i pod jej niedopasowaną sukienką zauważyłam kobiece kształty: talię, piersi i biodra, wszystko w odpowiednich proporcjach. Może tylko miała nieco pochylone ramiona od wpatrywania się w ziemię, a ponadto obtarte knykcie i szorstką, popękaną skórę na palcach. Nie poruszała się z gracją, jak Margaret w jej wieku. Ale odznaczała się świeżością i śmiałością, co mogło pociągać mężczyzn.

Sama też zaczęła to wyczuwać. Coraz bardziej dbała o twarz i ręce, a nawet poprosiła Margaret o maść, którą ta sporządziła, żeby ratować moje dłonie, wysuszone od gliny błękitnego liasu. Maść, zrobiona z wosku pszczelego, terpentyny, lawendy i krwawnika, przyspieszała gojenie ran i wygładzała spierzchniętą skórę. Mary smarowała nią jednak ręce, łokcie i policzki. Odtąd kojarzyła mi się z zapachem maści — osobliwą mieszanką woni lekarstwa i kwiatu.

Brazowe włosy Mary miały na zawsze pozostać matowe i zmierzwione od wiatru; nie zwijały się w loczki, jak to było w modzie. Ale przynajmniej czesała codziennie grzywkę i robiła sobie kok, który przykrywała cienkim kapturkiem i budką. Nie wiem, ile dobrego wynikło z tych zabiegów, albowiem reputacji Mary już zaszkodziły wędrowniki z panem Bucklandem, a obecność nieszczęsnej Fanny nie poprawiła sytuacji. W normalnych okolicznościach, po takim wypadku

mówiono by o Mary ze współczuciem, ale pracująca ludność miasteczka przejęta kalectwem Fanny stanęła po jej stronie i z oburzeniem obarczyła winą Mary. Zmiękcżając skórę na łokciach i poskramiając włosy, Mary nie robiła tego z myślą o usidleniu mężczyzny, który wpadł jej w oko. Aż nazbyt otwarcie lekceważyła normy postępowania obowiązujące dziewczynę z jej pozycją społeczną. Teraz więc, gdy jej zachowanie pociągnęło za sobą widoczny skutek, jakim był kulawy chód Fanny, luźne uwagi pod adresem Mary przybrały formę surowej krytyki.

Mary mało się przejmowała opiniami na swój temat. Wprawiało mnie to w podziw, ale również trapiło. Może byłam trochę zazdrosna, że gardząc zasadami funkcjonowania społeczeństwa, Mary cieszyła się swobodą, jakiej nie mogła zaznać kobieta z mojej sfery. Aż nazbyt wyraźnie widziałam, jak nawet mieszkańcy Lyme, ludzie o niezależnych umysłach, osądzali tych, którzy byli nie na swoim miejscu.

Może Mary nie chciała wieść takiego życia, jakie wyznaczyło jej Lyme. Spędziła dużo czasu w towarzystwie osób przewyższających ją pozycją społeczną — przede wszystkim ze mną, a także z Williamem Bucklandem i różnymi dżentelmenami, którzy zawitali do Lyme, zobaczywszy znalezione przez nią stworzenia lub o nich usłyszawszy. To za bardzo przewróciło jej w głowie i obudziło nadzieję, że zdobędzie wyższą pozycję w świecie. Nie sądzę, by serio traktowała któregokolwiek z tych panów jako potencjalnego konkurenta do swojej ręki — dla większości z nich była niewiele więcej niż służącą, która zna się na skamieniałościach. William Buckland bardziej doceniał

jej zdolności, ale zaabsorbowany własnymi myślami nie dostrzegał w niej kobiety. Taki mężczyzna może być wielce irytujący, o czym na własne życzenie szybko się przekonałam.

Zainteresowanie, jakie wzbudzali w Mary mężczyźni, udzieliło się bowiem i mnie. Sądziłam, że już wygasło, ale przekonałam się, że tylko było w stanie uśpiania, jak krzak róży, który potrzebuje odrobiny uwagi, by zakwitnąć. Pewnego razu zaprosiłam Williama Bucklanda na kolację do Morley Cottage, proponując mu obejrzenie swojej kolekcji. Zgodził się z zapałem. Przypuszczałam, że zaciekawili go moje skamieliny, ale nie wykluczałam, że również moja osoba. Myśl, że moglibyśmy się pobrać, nie była taka szalona. To prawda, że miałam kilka lat więcej niż on i w tym wieku już nie urodziłabym wielu dzieci. Ale istniała możliwość. Molly Anning urodziła ostatnie dziecko, mając czterdzieści sześć lat. Należeliśmy do tej samej klasy i odznaczaliśmy się podobnymi walorami umysłu. Oczywiście nie dorównywałam mu wykształceniem, ale byłam czytana. Dostatecznie dobrze znałam się na geologii i na skamieniałościach, żeby być żoną która wspomaga męża w pracy.

Margaret, jak zawsze spostrzegawcza, gdy chodziło o możliwości sercowe rysujące się nawet przed starszawymi pannami, podsyciała takie myślenie, rozwodząc się o żywym spojrzeniu pana Bucklanda i zadręczając mnie pytaniami, jak ubiorę się na kolację. Lekkie początkowo zainteresowanie przemieniło się w niemą ekscytację o takim nasileniu, że w umówiony dzień ścisnęło mnie w żołądku ze zdenerwowania.

Po dwóch godzinach oczekiwań, kiedy Bessy przestawiała garnki w kuchni i burczała pod nosem, z rezygnacją usiadłyśmy do zmarnowanego posiłku, który jadłam na siłę. Musiałam przynajmniej podziękować Bessy za jej starania. Po raz kolejny była bliska odejścia i z pewnością by to zrobiła, gdybym odmówiła zjedzenia kolacji. Nie chciałam również pokazać siostrze, jaka jestem zawiedziona, choć każdy kęs stawał mi w gardle.

Następnego dnia nie zamierzałam szukać Williama Bucklanda, ale i tak natknęłam się na niego na plaży. Tym razem nie było z nim Mary. Powitał mnie serdecznie. Gdy wspomniałam, jaką przykrość sprawiła nam jego nieobecność, zrobił zdziwioną minę.

— Miałem być u pań na kolacji? Jest pani pewna? Bo widzi pani, dowiedziałem się wczoraj, że jakiś człowiek znalazł w Seatown fragment długiego ciągu kręgów, więc musiałem pojechać i zobaczyć je na własne oczy. I wie pani, cieszę się z tego wyjazdu, bo kręgi są dobrze zachowane, a przy tym zupełnie niepodobne do kręgów stworzenia, które znalazła Mary. Zastanawiam się, czy nie należały do zupełnie innego zwierzęcia.

Nie dość, że nie okazał skruchy z powodu uchybienia towarzyskiego, to jeszcze nie wyczuł, jak mi było przykro. Uznał za rzecz całkiem normalną, iż obejrzenie kawałka niezwykłego kręgosłupa jest ważniejsze niż kolacja z paniami.

Powiedziałam jedynie: „Do widzenia panu” i odeszłam. Zrozumiałam, że tylko kobiecie tak urodziwej, by przykuć jego uwagę, albo tak cierpliwej, by znieść jego zachowanie, uda się poślubić Williama Bucklanda.

Sądziłam, że na tym skończy się to nowe dla mnie zainteresowanie mężczyznami. Nigdy bym nie pomyślała, że pojawi się niejaki pułkownik Birch.

Tamtego lata gdy pułkownik Birch przybył do Lyme, Mary znajdowała się w dziwnym stanie rozchwiania. Stworzenie, które znalazła razem z Josephem, zyskało spory rozgłos. Od Bullocka okaz odkupił Charles Konig i wystawił w Muzeum Brytyjskim. Nazwał zwierzę ichtiozaurem — co znaczy rybi jaszczur — gdyż pod względem budowy anatomicznej plasowało się gdzieś pomiędzy rybą a jaszczurką. Grupa uczonych, wraz z panem Konigiem, przeprowadziła badania i opublikowała wyniki w artykułach, snując przypuszczenia, że zwierzę jest morskim gadem, gdyż oddycha powietrzem jak ssak, ale pływa jak ryba. Z ogromnym zaciekawieniem przeczytałam te prace, udostępnione mi przez Williama Bucklanda, i zauważyłam, że nigdzie nie poruszono drażliwego tematu wymarcia lub udziału Boga w zniknięciu tego stworzenia. Tak naprawdę w ogóle nie podjęto kwestii religijnych. Prawdopodobnie uczeni poszli śladem Cuviera, który w swoich pismach nigdy nie wspomniał o boskich zamiarach. Z ulgą przyjęłam, że stworzenie jest morskim gadem i ma swoją nazwę.

Mary nie przyszło to tak łatwo; wciąż często nazywała je krokodylem, tak jak większość mieszkańców miasteczka, i dopiero po pewnym czasie zaczęła mówić o nim „ichtek”. Kiedy nadano mu naukową nazwę, poczuła, że stworzenie oddala się od niej jeszcze bardziej niż wtedy, gdy została zabrane z warsztatu. Uczeni dyskutowali o nim na spotka-

niach, pisali o nim referaty, a Mary nie była dopuszczona do współpracy. Polegano na niej, gdy chodziło o znajdowanie okazów, ale nie pozwalano jej uczestniczyć w badaniach. Co więcej, same poszukiwania przynosiły marne rezultaty — od ponad roku nie znalazła całego ichtiozaura, choć codziennie przeczesywała Church Cliffs i Black Ven.

Któregoś dnia zaproponowałam, żebyśmy poszukały węzowideł i krynoidów na plaży nieopodal Seatown, kilka mil na wschód od Charmouth. Zazwyczaj nie wybierałyśmy się tak daleko, ale uznałam, że zmiana otoczenia dobrze Mary zrobi, a Seatown będzie lepsze niż nieustanne włączanie się tam i z powrotem po tym samym odcinku plaży w pogoni za nieuchwytnym potworem. Na wędrowkę wybrałyśmy słoneczny dzień, gdy przypływ pozwalał ruszyć wczesnym rankiem. Mary chętnie zostawiła za sobą Church Cliffs i Black Ven, ale kiedy doszłyśmy do Gabriel's Ledge, tuż za Charmouth, zaczęła się co chwila odwracać, tak jakby przyzywał ją klif.

— Coś tam wyraźnie rozbłysło — upierała się. — Nie widziała pani?

Nie zatrzymując się, pokręciłam głową z nadzieją, że Mary pójdzie za mną.

— O, znowu — powiedziała. — Proszę spojrzeć, panno Philpot, myśli pani, że on chce coś od nas?

Plażą kroczył jakiś mężczyzna. Choć dokoła przechadzali się spacerowicze korzystający z ładnej pogody i porannego słońca, mężczyzna minął ich, tak jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza — w naszym kierunku. Był wysokiego wzrostu i trzymał się prosto; miał na sobie mundur wojskowy: buty z cholewami i długą czerwoną kurtkę. Mosiężne

guziki lśniły w słońcu. Nieczęsto robi na mnie wrażenie widok mężczyzny, ale to, że ten pan przyszedł tu specjalnie, z zamiarem spotkania się z nami, wywołało emocje, które na długo pozostały w mojej pamięci.

Uśmiechnął się, podchodząc bliżej. Był koło pięćdziesiątki, niezwykle przystojny, i nosił się po wojskowemu — na takiego mężczyznę zawsze przyjemnie popatrzeć — szczupły, wyprostowany i pewny siebie. Miał ogorzałą twarz i zmrużone od słońca i wiatru oczy, ale dodawało mu to uroku. Gdy zdjął dwurożny kapelusz i skłonił się, zobaczyłam gęste kruczne włosy z widocznymi przy przedziałku nitkami siwizny.

— Szanowne panie — odezwał się — szukam pań od samego rana. Nie posiadam się z radości, że wreszcie je znalazłem.

Włożył kapelusz, machając ozdobnymi białymi piórami. Miał tak gęste, faliste włosy, że kapelusz ledwie trzymał się na głowie.

Nigdy nie miałam zaufania do mężczyzny, u którego wiodące są włosy. Świadczy to o próżności i zbytnej pewności siebie.

— Jestem pułkownik Birch, do niedawna pierwszy regiment królewskiej gwardii przybocznej. — Urwał, wodząc między nami wzrokiem i w końcu skupiając uwagę na Mary. — To pani jest tą niezwykłą Mary Anning, która znalazła kilka okazów ichtiozaura. Mam rację?

Mary kiwnęła głową, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Ktokolwiek słyszał o Mary, oczywiście wiedział również, że jest młodą dziewczyną skromnego pochodzenia. Trudno byłoby wziąć mnie za nią, skoro miałam dwadzieścia lat

więcej wypisane na twarzy, eleganckie ubranie i dystyngowaną postawę. A jednak poczułam ostre ukłucie zazdrości na myśl, że nie dla mnie ten przystojny mężczyzna przemierzał plażę, i nie zdołałam pohamować irytacji.

— Pewnie zaraz pan poprosi, by go panu znalazła. W pana rozumieniu, jak sędzę, sprawienie sobie ichtiozaura jest tym samym co zamówienie u handlarza rycinami sztychu, który będzie dobrze prezentował się na konkretnej ścianie.

Mary posłała mi gniewne spojrzenie, nie pojmując, skąd to niegrzeczne zachowanie zupełnie do mnie niepodobne. Natomiast pułkownik Birch się roześmiał.

— Tak się złożyło, że istotnie chcę prosić Mary, by pomogła mi znaleźć ichtiozaura, i mam nadzieję, że się zgodzi.

— Naturalnie, proszę pana!

— Będzie pan musiał zwrócić się o pozwolenie do jej matki i brata — oświadczyłam. — W przeciwnym razie byłoby to niestosowne — dodałam, nie mogąc się powstrzymać od kąśliwej uwagi.

— Och, to drobiazg... Zgodzą się — wtrąciła Mary.

— Niewątpliwie porozmawiam z jej rodziną — powiedział pułkownik. — Z mojej strony nic ci nie grozi, Mary... pani również, panno...

— Philpot.

Oczywiście uznał, że jestem starą panną. Czy zamężna kobieta dobrego pochodzenia chodziłaby po plaży, daleko od domu, i szukała skamieniałości? Pochyliłam się, żeby podnieść coś z ziemi. Był to zwykły kawałek łupku z żyłkami kalcytowymi, podobny w kształcie do kości z płuety

ichtiozaura, ale przyglądałam mu się z większą uwagą, niż należało, byle tylko nie patrzeć na pułkownika Bircha.

— Więc od razu chodźmy zapytać mamę — zaproponowała Mary.

— Przecież miałyśmy iść do Seatown po węzowidła i lilie morskie — przypomniałam jej. — Jeżeli wrócisz do Lyme, stracimy dzień.

— Mógłbym towarzyszyć paniom do Seatown — odezwał się pułkownik. — To dość daleko. Damy nie powinny odbywać takich długich wędrówek samotnie, nieprawdaż?

— Siedem mil — burknęłam. — Na pewno zdołamy tyle przejść. Ciągłe pokonujemy takie odległości. Z powrotem weźmiemy dylizans.

— Odprowadzę panie do dylizansu — zaoferował się pułkownik. — Nie chcę mieć wyrzutów sumienia, że zostawiłem panie bez opieki.

— Nie potrzebna nam...

— Och, bardzo dziękujemy, panie pułkowniku! — wpadła mi w słowo Mary.

— Lilie morskie, mówi pani? — kontynuował pułkownik Birch. — Sam mam kilka ślicznych liliowców. Pokażę paniom, jeśli panie sobie życzą. Są w moim hotelu w Char-mouth.

Zmarszczyłam brwi, słysząc tę niestosowną propozycję. Natomiast Mary zabrakło rozwagi.

— Chętnie zobaczę — powiedziała. — A ja mam w domu jeszcze inne krynoidy, które może pan obejrzeć. Krynoidy i amonity, i kawałki krok... to znaczy ichtiozaura, i różne takie.

Dziewczyna już się w nim zadurzyła. Pokręciłam głową

i pomaszerowałam dalej plażą, patrząc pod nogi i udając, że szukam skamieniałości. Szłam jednak za szybko, żeby cokolwiek znaleźć. Po chwili tamci ruszyli za mną.

— Co to jest węzowidło? — zapytał pułkownik. — Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

— Środek wygląda jak kwiat z pięcioma płatkami i z każdego płatka odchodzi długie, węzowate ramię. Trudno znaleźć okaz, który ma wszystkie ramiona nienaruszone. Jeden z kolekcjonerów prosił mnie o taki właśnie, kompletny egzemplarz. Dlatego wybrałyśmy się tak daleko. Zwykle chodzę między Lyme a Charmouth, u podnóża Black Ven albo przy półkach skalnych blisko miasta.

— To tam znalazła pani ichtiozaury?

— Tak, a jednego na Monmouth Beach, tuż przy Lyme, idąc na zachód. Ale mogą być też tutaj. Tu ich jeszcze nie szukałam. Widział pan ichtiozaura, panie pułkowniku?

— Nie w naturze. Widziałem na rysunkach i czytałem o nich.

Prychnęłam.

— Przyjechałem tu na całe lato, żeby powiększyć swoje zbiory skamielin. Mam nadzieję, że mi w tym pomożesz, Mary... O, zobacz!

Pułkownik przystanął. Spojrzałam za siebie. Pochylił się i podniósł kawałek krynoиду.

— Doskonale, panie pułkowniku — powiedziała Mary. — Właśnie miałam się temu przyjrzeć, ale pan mnie ubiegł.

Podał jej znalezisko.

— To dla ciebie, Mary. Nie chciałbym pozbawić cię takiego ślicznego okazu. Przyjmij go w prezencie.

Okaz był rzeczywiście bardzo ładny: ramiona rozchyłały

się jak płatki lilii, od której nazwano to stworzenie lilią morską.

— Nie mogę, proszę pana. To pana znalezisko. Nie chcę, żeby pan je stracił.

Pułkownik Birch wziął Mary za rękę, położył krynoid na jej dłoni i zagiął jej palce.

— Nalegam.

Przykrył dłonią jej pięść i spojrzał na Mary.

— Wiesz, że krynoidy nie są roślinami, jak można by sądzić? To zwierzęta.

— Naprawdę, proszę pana? — zdziwiła się, patrząc mu w oczy.

Oczywiście wiedziała. Sama ją tego nauczyłam.

Zrobiłam krok w przód.

— Proszę się zachowywać z należnym szacunkiem, pułkowniku, w przeciwnym razie będzie pan łaskaw nas opuścić.

Pułkownik Birch odsunął rękę.

— Pani wybaczy, panno Philpot. Poszukiwanie skamieniałości jest takie ekscytujące, że trudno mi okiełznać emocje.

— Będzie pan musiał zdobyć się na ten wysiłek, jeśli nie chce pan stracić przywilejów, o które się ubiega.

Kiwnął głową i cofnął się na stosowną odległość. Przez pewien czas szliśmy bez słowa. Ale pułkownik Birch nie potrafił długo milczeć. Wkrótce razem z Mary pozostał w tyle i zaczął wypytywać ją o ulubione skamieniałości, metody poszukiwań, a nawet o to, czym jej zdaniem jest ichtiozaur.

— Nie wiem, proszę pana — odpowiedziała, po czym

spróbowała opisać swoje najbardziej efektowne znalezisko. — Ichtek ma trochę z krokodyla, trochę z jaszczurki i trochę z ryby. Ale też ma coś swojego. I właśnie to sprawia kłopot. Nie wiadomo, do czego go zaliczyć.

— Przypuszczam, że twój ichtiozaur ma swoje miejsce w Arystotelesowskim wielkim łańcuchu bytu.

— A co to takiego, proszę pana?

Cmoknęłam z niezadowoleniem. Nie potrzebowała jego wyjaśnień, gdyż sama kiedyś jej wytłumaczyłam, na czym polega ta teoria. Mary flirtowała z pułkownikiem. A on, oczywiście, był zachwycony, mogąc zaprezentować swoją wiedzę. Mężczyźni tacy już są.

— Grecki filozof Arystoteles twierdził, że wszystkie stworzenia można ułożyć w łańcuch istnień: od roślin, które znajdują się najniżej, do człowieka, który jest doskonałością. A zatem możliwe, że w tym łańcuchu twój ichtiozaur lokuje się na przykład między jaszczurką a krokodylem.

— Bardzo ciekawe. — Mary umilkła i po namyśle dodała: — Ale wciąż nie wiadomo, jak wyjaśnić to coś szczególnego, co nie pasuje do żadnej kategorii. Skoro ichtek czymś różni się od innych stworzeń, to jak znaleźć jego miejsce w łańcuchu?

Nagle pułkownik Birch przystanął, kucnął i podniósł kamień.

— Czy to jest...? Nie, nie, pomyliłem się.

Wrzucił kamień do morza.

Uśmiechnęłam się. Ten mężczyzna może ma olśniewającą czuprynę, ale jego wiedza jest powierzchowna. Mary już to zauważyła.

— A pani, panno Philpot? Co pani lubi zbierać?

Pułkownik zrobił dwa szybkie kroki i zrównał się ze mną, unikając odpowiedzi na pytanie Mary. Nie chciałam być przedmiotem jego uwagi, bo nie wiedziałam, czy to wytrzymam, ale nie mogłam zachować się niegrzecznie.

— Ryby — odrzekłam najzwyczajniej, jak się dało.

— Ryby?

Choć wcale nie chciałam wdawać się z nim w rozmowę, skorzystałam z okazji, by popisać się swoją wiedzą.

— Przede wszystkim z rodzaju *Eugnathus*, *Pholidophorus*, *Dapedius* i *Hybodus*... Ten ostatni to pradawny rekin — dodałam, widząc, jak na dźwięk łacińskich nazw robi głupią minę. — Podałam nazwy rodzajowe, gdyż jeszcze nie zidentyfikowano poszczególnych gatunków.

— Panna Philpot ma w domu dużą kolekcję skamieniałych ryb — dorzuciła Mary. — Ciągłe ktoś przychodzi je obejrzeć, prawda, panno Elizabeth?

— Ach, tak? Fascynujące — mruknął pułkownik Birch. — I ja na pewno przyjdę je zobaczyć.

Starał się, żebym nie zarzuciła mu nieuprzejmości, ale w jego głosie wyczuwało się nutę sarkazmu. Wolał śmiałego ichtiozaura od cichej ryby. No cóż, jak prawie wszyscy. Ludzie nie widzą, że precyzyjnie zarysowany kształt ryby i faktura jej skóry z dołeczkami, jej zachodzące na siebie łuski i zgrabne płetwy stanowią o pięknie okazu — pięknie, które charakteryzuje się prostotą i wyrazistością. Ze swoimi błyszczącymi guzikami i nachalnymi włosami pułkownik Birch nigdy by nie pojął takich subtelności.

— Powinien pan ruszać w drogę — powiedziałam opryskliwie — bo przypływ zaskoczy nas, zanim dojdziemy do Seatown. A ty — zwróciłam się do Mary — przestań

rozmawiać, jeśli chcesz znaleźć węzowidło dla swojego kolekcjonera.

Mary skrzywiła się z niezadowoleniem, ale ja nie mogłam już znieść pułkownika Bircha. Odwróciłam się i pomaszrowałam w kierunku Seatown, ślepa na przydeptywane skamieniałości.

Pułkownik Birch przeznaczył kilka tygodni na pobyt nad morzem i powiększenie swojej kolekcji. Wynajął pokój w Charmouth, ale każdego dnia był w Lyme. Zawładnął czasem Mary nagle i bez reszty. Dzień w dzień szła z nim na plażę. Początkowo im towarzyszyłam, bo choć Mary nie przywiązywała do tego wagi, martwiłam się, co sobie pomyśla mieszkańcy miasteczka. Gdy byliśmy w trójkę, starałam się odnaleźć spokojny rytm, w jakim wędrowaliśmy tylko we dwie, koncentrując się każda na swoich poszukiwaniach i jednocześnie czując pokrzepiającą obecność towarzyski. Pułkownik zaburzał ten rytm, ponieważ chętnie trzymał się blisko Mary i wciągał ją w rozmowę. Za świadectwo jej umiejętności należy uznać to, że i tak coś znalazła owego lata, choć ciągle słyszała jego trajkotanie nad uchem. A jednak mu pobłażała. Mało tego — ona była w niego zapatrzona. Przy nich nie wiedziałam, co ja w ogóle robię na tej plaży. Równie dobrze mogłam być pustą skorupą kraba. Po trzech wspólnych wyprawach uznałam, że mam tego dość.

Pułkownik Birch był bowiem oszustem. Dla ścisłości powinnam powiedzieć: podpułkownik. To był jeden z jego drobnych forteli — pominięcie cząstki „pod” dla dodania

sobie rangi. Nie ujawnił również, że dawno temu przeszedł w stan spoczynku, ale każdy, kto miał choć trochę rozeznanania w sprawach wojskowych, rozpoznał stary mundur, składający się z długiej kurtki i skórzanych bryczesów, i wiedział, że teraz żołnierze gwardii noszą krótsze kurtki i niebieskoszare spodnie spięte przy kostce. Pułkownik Birch chętnie pławił się w blasku sławy, którą okryła się gwardia przyboczna pod Waterloo, aczkolwiek w bitwie nie brał udziału.

Co gorsza, podczas tych trzech dni na plaży przekonałam się, że pułkownik nie znajduje skamielin samodzielnie. Nie wodził oczami po ziemi, jak to robiłyśmy z Mary, ale przyglądał się bacznie naszym twarzom i śledził nasze spojrzenia, żeby w chwili gdy się zatrzymałyśmy i pochylałyśmy, ubiec nas i samemu podnieść znalezisko. Wobec mnie spróbował zastosować tę sztuczkę tylko raz i wycofał się, gdy spiorunowałam go wzrokiem. Mary była bardziej tolerancyjna — albo zaślepiona uczuciem — i pozwoliła, by ograbił ją z wielu okazji, uznając je za swoje znaleziska.

Bulwersowała mnie amatorszczyzna pułkownika Bircha. Choć deklarował zainteresowanie skamieniałościami i wyglądał na człowieka o żołnierskiej konstytucji, wytrzymałego na wszelkie trudy, nie był typem, który grzebie w błocie w poszukiwaniu okazów. Gromadził je, korzystając z zawartości swego portfela, roztaczając wdzięk albo podbierając znaleziska innym ludziom. Pod koniec lata miał już okazały zbiór skamielin, ale to Mary znalazła je, naprowadziła go na nie albo mu je dała. Podobnie jak dziedzic Henley i panowie przyjeżdżający do Lyme był bardziej kolekcjonerem niż poszukiwaczem, kupował wiedzę, a nie nabywał

jej własnymi oczami i rękami. Nie mogłam zrozumieć, czym on pociąga Mary.

Nieprawda — rozumiałam. Sama byłam trochę w nim zakochana. Choć miałam mu wiele za złe, uważałam, że jest bardzo atrakcyjny — nie tylko fizycznie, choć z tego też zdawałam sobie sprawę, ale również ze względu na autentyczne i głębokie zainteresowanie skamieniałościami. Gdy nie flirtował z Mary, potrafił dyskutować — i to z zapałem — o pochodzeniu ichtiozaurów oraz o znaczeniu pojęcia „wymieranie”. Jasno wypowiadał się także o roli Boga, bez nieposzanowania i bluźnierstw.

— Jestem przekonany, że Pan Bóg ma lepsze zajęcia niż pilnowanie każdego stworzenia żyjącego na tej ziemi — powiedział pewnego razu, gdy przypływny odciął nam drogę powrotną do Lyme i musieliśmy iść ścieżką na klifie. — Wykonał zdumiewającą pracę, stwarzając to wszystko, więc już nie musi śledzić rozwoju każdego robaka i rekina. Przede wszystkim troszczy się o nas, co widać po tym, że stworzył nas na swoje podobieństwo i zesłał nam swojego syna.

Mówił to tak klarownie i rozsądnie, że załowałam, iż nie słyszy go wielebny Jones.

Oto mężczyzna, który rozmyślał i rozmawiał o skamieniałościach, zachęcał kobiety, by ich poszukiwały, i nie przejmował się, że ciągle niszczy rękawiczki. Moją złość wywołała nie tyle irytacja, że większy z niego kolekcjoner niż poszukiwacz, ile oburzenie, że ani przez chwilę nie widział we mnie — osobie bliższej mu wiekiem i podobnego pochodzenia — kobiety, do której mógłby się zalecać.

Pomijając już moją opinię o pułkowniku Birchu, nie mnie

było decydować, co Mary robi albo czego nie robi podczas wędrówek z nim po plaży. To należało do Molly Anning. Z biegiem lat coraz lepiej się rozumiałyśmy — Molly stała się mniej podejrzliwa, a ja mniej onieśmielona. Choć brakowało jej wykształcenia i nie dostrzegała uroku ani sensu naszych poszukiwań, przyjęła do wiadomości, że są one istotne dla mnie i dla innych. Znaczenie skamielin może i mierzyła pieniądzem, który zapewniał strawę, odzienie i bezpieczeństwo jej rodzinie, ale nie sztychowała z ich wartości. Stały się towarem na sprzedaż, równie ważnym jak guziki czy marchew, beczki czy gwoździe. Nawet jeśli się dziwiła, że nie sprzedaję swoich znalezisk, ani razu tego nie okazała. W jej wyobrażeniu przecież nie musiały ich sprzedawać — Louise, Margaret i ja nie mogłyśmy sobie pozwolić na rozrzutność, ale nigdy nie myślałyśmy ze strachem o komorniku lub przytułku. Natomiast Anningom głód zaglądał w oczy, a to może wyostrzyć umysł. Molly była już całkiem sprytną handlarką, potrafiła wycisnąć dodatkowe szylingi czy pensy z tego i owego.

Zazdrościła mi dochodu i pozycji towarzyskiej — o ile można było mówić o jakimkolwiek towarzystwie w Lyme — ale również współczuła mi, bo nie zaznałam mężczyzny, bezpieczeństwa w małżeństwie ani miłości do trzymanego w ramionach dziecka. Szale się równoważyły i Molly przyjmowała wobec mnie postawę neutralną i dość tolerancyjną. Ja zaś podziwiałam jej zmysł handlowy i umiejętność radzenia sobie w trudnych warunkach. Rzadko się skarżyła, choć miała po temu powody, zważywszy na jej ciężkie życie.

Niestety, Molly Anning uległa czarowi pułkownika Bircha niemal w równej mierze jak jej córka. Zawsze uważałam,

że zna się na ludziach, i sądziłam, że dostrzeże w nim chciwego intryganta. Ale może czuła, jak Mary, że jest on pierwszą — i prawdopodobnie jedyną — osobą, dzięki której jej córka ma realną sposobność uniknąć nędznego losu, jaki czeka ludzi z jej klasy, i przenieść się do bardziej łaskawego i zamożnego świata.

Nie sądzę, że pułkownik Birch od początku zamierzał umizgiwać się do Mary. Do Lyme ściągnęła go gorączka, której uległo wielu poszukiwaczy skarbów na plaży, gdzie stare kości przywodzące na myśl dawne światy stały się cenne niczym srebro. Gdy człowiek już się zarazi, trudno mu potem zarzucić poszukiwania. Pułkownikowi trafiła się również niezwykła okazja spędzać całe dnie w towarzystwie samotnej kobiety — i nie potrafił tego sobie odmówić.

Ale najpierw musiał pozyskać matkę. Wobec tego zaczął z nią bezwstydnie flirtować i Molly Anning chyba jedyny raz w życiu straciła głowę. Przygnieciona biedą i stratą męża zaznała niewiele szczęścia w latach wdowieństwa, za to ustawicznie dręczyły ją kłopoty finansowe i strach na myśl, że zostanie wysłana do przytułku dla dłużników. A tu pojawił się przystojny żołnierz w stanie spoczynku, który całował ją w rękę, chwalił prowadzenie domu i prosił o pozwolenie na wędrowki po plaży z jej córką. Choć przedtem wielce się oburzała na Williama Bucklanda za jego niewinne wyciąganie Mary nad morze, teraz wystarczyło kilka miłych słów i pocałunek w rękę, by zapomniała o przeczności. A może po prostu miała już dosyć mówienia „nie”.

W kramie Anningów zaczęło brakować nawet podstawowych okazów, amonitów i belemnitów, ponieważ Mary

przestała zbierać inne skamieniałości: zostawiała poszukiwaczom nierozłupane konkrety i nie realizowała zamówień kolekcjonerów na jeżowce, małże i węzowidła. Gdy natrafiała na nieuszkodzone okazy, ofiarowywała je pułkownikowi Birchowi albo ułatwiała mu ich znalezienie. Molly nie robiła wyrzutów córce. W miarę możliwości starałam się im pomóc, oddając własne znaleziska — do swojej kolekcji zbierałam przede wszystkim ryby, resztę zostawiałam innym poszukiwaczom. Ale Anningom i tak brakowało pieniędzy. Zadłużyli się u piekarza i rzeźnika i nie ulegało wątpliwości, że będą mieli dług u węglarza, gdy zrobi się zimno. A Molly Anning nadal nic nie mówiła — prawdopodobnie uważała, że czas, jaki Mary spędza z pułkownikiem Birchem, jest inwestycją w przyszłość.

Skoro matka nie chciała porozmawiać z Mary o pułkowniku, postanowiłam zrobić to sama. Podczas przypływu nie mogli chodzić na plażę, więc pułkownik przesiadywał jeśli nie w gospodzie Three Cups, to w salach asamblowych, gdzie Mary oczywiście by nie wpuszczono. W takie dni pomagała matce albo czyściła pułkownikowi okazy, albo po prostu spacerowała półprzytomna po Lyme. Któregoś dnia spotkałam ją, idąc w górę Sherborne Lane, wąskim zaułkiem prowadzącym od środka miasteczka do Silver Street. Chodziłam tamtędy, gdy nie byłam usposobiona towarzysko i nie chciało mi się pozdrawiać wszystkich przechodniów na Broad Street. Mary snuła się, zapatrzona w Golden Cap, uśmiechnięta i promieniejąca wewnętrzną radością. Wyglądała tak powabnie, iż przez chwilę byłam prawie przekonana, że pułkownik zaleca się do niej na poważnie.

Na widok pełnej szczęścia Mary zazdrość ścisnęła mi

serce i opryskliwie odpowiedziałam na powitanie, nie hamując się i nie wdając w towarzyską pogawędkę, która ułatwiłaby podjęcie drażliwej kwestii.

— Mary, czy dostajesz zapłatę za czas spędzony z pułkownikiem Birchem?

Potrząsnęła głową, jakby próbując oprzytomnieć, i spojrzała mi w oczy z całą uwagą.

— Co pani ma na myśli? — zapytała.

Przełożyłam koszyk na drugie ramie.

— Zajmuje ci cały czas, który przeznaczłaś na poszukiwania. Czy on ci za to płaci, a przynajmniej za otrzymane od ciebie skamieniałości?

Oczy Mary się zwęziły.

— Nigdy mnie pani o to nie pytała, gdy zabierałam nad morze pana Bucklanda, Henry'ego De La Beche czy innych dżentelmenów. Czy z pułkownikiem Birchem jest inaczej?

— Wiesz, że tak. Przede wszystkim tamci sami szukali sobie skamielin albo płacili ci za te, które im znajdowałaś. Czy od pułkownika Bircha dostajesz zapłatę?

Przez jej twarz przemknął cień wątpliwości, które pokryła wzgardą.

— Sam znajduje dziwy. Nie musi mi płacić.

— Tak? A co ty znalazłaś na sprzedaż? — Milczała, więc dodałam: — Widziałam kram twojej matki przy Cockmoile Square. Niewiele tam do kupienia. Jakieś ułamane amonity, które dawniej wyrzuciłabyś do morza.

Radosne uniesienie na jej twarzy zniknęło bez śladu. Jeśli na tym mi zależało, dopięłam celu.

— Pomagam pułkownikowi — oświadczyła Mary. — Nie ma w tym nic złego.

— A on powinien ci za to płacić. Jeśli tego nie robi, wykorzystuje cię dla własnego zysku, nie zważając, że ty i twoja rodzina jesteście coraz biedniejsi.

Należało na tym poprzestać w chwili, gdy moje słowa mogły odnieść pozytywny skutek. Ale nie mogłam się powstrzymać, by nie przycisnąć jej jeszcze mocniej.

— Tego rodzaju postępowanie nie świadczy dobrze o jego charakterze, Mary. Byłoby lepiej, gdybyś nie przestawała z takim mężczyzną, bo w końcu spotka cię przykrość. W miasteczku już gadają, o wiele gorzej niż wtedy, gdy pomagałaś panu Bucklandowi.

Mary spojrzała na mnie z gniewem.

— Co za bzdury! Pani go w ogóle nie zna, a ja go znam. Niech pani nie słucho plotek, bo sama stanie się plotkarą!

Przecisnęła się obok mnie i pobiegła w dół Sherborne Lane. Pierwszy raz zachowała się wobec mnie niegrzecznie. Wyglądało to tak, jakby dziewczyna z ludu, która dotychczas liczyła się ze mną, nagle zaczęła mnie traktować jak kogoś równego sobie.

Później miałam wyrzuty sumienia na myśl o tym, co powiedziałam i jak to powiedziałam. Chcąc odpokutować, zmusiłam się, żeby znowu pójść z Mary i pułkownikiem Birchem na poszukiwania i stępić cięte języki mieszkańców Lyme. Mary chętnie przyjęła ten gest, gdyż miłość sprzyja wybaczeniu.

I dlatego byłam z nimi przy Black Ven, gdy w końcu znaleźli ichtiozaura, którego pułkownik tak pragnął mieć w swojej kolekcji. Sama nie znalazłam wtedy prawie nic, ponieważ rozpraszało mnie zachowanie Mary i pułkownika, którzy okazywali sobie czułość bardziej otwarcie niż przed

paroma tygodniami: jedno dotykało ramienia drugiego, żeby przyciągnąć jego uwagę, rozmawiali ze sobą szeptem, posyłali sobie uśmiechy. Przeżyłam straszną chwilę, zastanawiając się, czy Mary nie uległa mu całkowicie. Ale zaraz uznałam, że gdyby do tego doszło, aż tak nie starałaby się udawać, że przypadkiem dotknęła jego ramienia. Żadna ze znanych mi par małżeńskich nie obdarzała się pieścizotami tak ochoczo. Nie miały potrzeby.

W trakcie tych rozmyślań zauważyłam, że Mary zatrzymała się na występie skalnym i popatrzyła w dół. Setki razy widziałam, jak to robiła podczas naszych wędrówek. Jej nieruchoma sylwetka miała jakiś szczególny wyraz świadczący o tym, że Mary coś znalazła.

Pułkownik Birch poszedł kilka kroków, po czym zatrzymał się i cofnął.

— Co się stało, Mary? Zauważyłaś coś?

Mary zawahała się. Gdyby wiedziała, że na nią patrzę, zapewne postąpiłaby inaczej.

— Nie, proszę pana — odparła. — Tylko... — Wypuściła z ręki młotek, który upadł z brzękiem na ziemię. — Przepraszam, trochę mi się kręci w głowie. Pewnie od słońca. Czy mógłby pan podać mi młotek?

— Oczywiście.

Pułkownik schylił się, znieruchomiał i padł na kolana. Spojrzał w górę na Mary, jakby chciał wyczytać coś z jej twarzy.

— Znalazł pan coś?

— Wiesz, Mary, chyba tak!

— To krąg grzbietowy, prawda? Gdy się go zmierzy, będzie wiadomo, jak długi jest stworzenie, które pan

znalazł. Ponieważ na każdy cal średnicy przypada pięć stóp długości ichtka. Ten ma jakieś półtora cala średnicy, a więc z osiem stóp długości. Niech się pan rozejrzy, czy nie wystają tu gdzieś inne części. Proszę użyć mojego młotka.

Ona dawała mu ichtiozaura, a on dobrze o tym wiedział. Odwróciłam się przepełniona odrazą. Gdy oboje z przejęciem próbowali odnaleźć na skale zarys kształtu stworzenia, rozłupywałam kamienie, które wpadły mi w ręce, byle tylko czymś się zająć. W końcu zawołali mnie, żebym zobaczyła znalezisko pułkownika Bircha. Ledwie mogłam na nie patrzeć — wielka szkoda, bo był to chyba najwspanialszy ze wszystkich ichtiozaurów, które znalazła Mary, a poza tym widok tego stworzenia w jego naturalnym środowisku, zanim zostanie wydobyte ze skały, zawsze robi ogromne wrażenie. Musiałam jednak zachować się przyzwoicie i pogratulować znalazcy.

— Brawo, panie pułkowniku. To będzie fascynujący eksponat w pańskiej kolekcji.

Pozwoliłam sobie na leciutką drwinę, ale żadne z nich tego nie zauważyło, gdyż pułkownik chwycił Mary w ramiona i wywijał nią jak na balu w salach asamblowych.

Przez następne dwa tygodnie doglądali braci Dayów podczas wydobywania ichtiozaura, a potem czyścili stworzenie w warsztacie, przy czym całą precyzyjną robotę, by nadawało się do pokazania, wykonywała Mary. Pracowała tak ciężko, że miała czerwone oczy. W tym czasie nie odwiedzałam jej i nie zbliżałam się do warsztatu, żeby nie natknąć się na pułkownika Bircha. I rzeczywiście udało mi się uniknąć spotkania z nim. Do czasu.

Pewnego razu Margaret namówiła mnie, żebyśmy spędziły

popołudnie na kartach w salach asamblowych. Rzadko tam chodziłam, gdyż pokoje były pełne młodych dam i kawalerów, flirtujących ze sobą, oraz matek obserwujących przebieg zalotów. Grono moich doborowych przyjaciół poznanych w Lyme — wśród nich młody Henry De La Beche i doktor Carpenter z małżonką — odznaczało się większymi walorami umysłu. Woleliśmy spotykać się w domu któregoś z nas, a nie w salach asamblowych. Ale tamtego dnia Margaret nie miała partnera i uparła się, żebym z nią poszła.

W trakcie gry przybył pułkownik Birch. Oczywiście zauważyłam go natychmiast, a on mnie — nasze spojrzenia spotkały się, zanim zdążyłam odwrócić wzrok, i pułkownik poszedł prosto do mnie. Zajęta swoimi kartami odpowiedziałam na jego powitanie najobojętniej, jak mogłam, ale on mimo to stanął nade mną i wdał się w pogawędkę z osobami przyglądającymi się grze. Zdumione i zarazem rozbawione spojrzenia pozostałych graczy sprawiły, że zaczęłam źle grać. Przy pierwszej sposobności wstałam od stolika pod pretekstem bólu głowy. Miałam nadzieję, że pułkownik zajmie moje miejsce, lecz on poszedł za mną i oboje stanęliśmy przy oknie wykuszowym, spoglądając na morze. Przed naszymi oczami przepływał statek zmierzający do portu przy Cobb.

— To „Unity” — powiedział pułkownik Birch. — Poleciłbym jutro wysłać ichtiozaura tym statkiem do Londynu.

Nie mogłam się powstrzymać i wbrew swoim postanowieniom podjęłam rozmowę.

— A więc Mary zakończyła pracę.

— Jest już oprawiony. Dzisiaj po południu obrysowała

kontury cienką warstwą gipsu, aby osiągnąć ostateczny efekt. Po wyschnięciu zapakuje okaz.

— Ale pan nie płynie statkiem?

Nie byłam pewna, czy chcę, żeby został, czy odjechał, ale musiałam się dowiedzieć.

— Wybieram się do Londynu dyliżansem. Po drodze zawitam do przyjaciół w Bath i Oksfordzie.

— Skoro osiągnął pan to, po co tu przybył, zapewne nie ma powodu zostawać dłużej.

Bardzo starałam się panować nad sobą, ale i tak drżał mi głos. Nie napomknęłam, że szybki wyjazd po zdobyciu tak cennego okazu jest w złym tonie. Patrzyłam tylko na wzburzone fale przypływu tuż za oknem. Czułam na sobie wzrok pułkownika, ale nie zwróciłam się do niego twarzą. Rumieńce wystąpiły mi na policzki.

— Rozmowy z panią sprawiały mi wielką przyjemność, panno Philpot. Będzie mi ich brakowało.

Wtedy przeniosłam na niego wzrok.

— Pani spojrzenie jest dzisiaj bardzo mroczne. Mroczne i szczere.

— Wybieram się do domu — rzekłam takim tonem, jakbym odpowiadała na jego pytanie. — Proszę mnie nie odprowadzać, pułkowniku. Nie chcę tego.

Odwrociłam się. Miałam wrażenie, że oczy wszystkich na sali są skierowane na nas. Poszłam po siostrę, odczuwając prawdziwą ulgę, gdy pułkownik nie udał się za mną.

. . .

Sądę, że jeszcze nigdy nie żyło się Anningom tak ciężko jak przez te miesiące po wyjeździe pułkownika Bircha —

nawet po śmierci Richarda Anninga było im łatwiej, gdyż przynajmniej wówczas mieszkańcy okazywali im współczucie. Teraz uważano, że Anningowie sami ściągnęli na siebie nieszczęście.

W pełni uprzytomniłam sobie, jak bardzo pułkownik Birch zaszkodził reputacji Mary, dopiero gdy niedługo po jego wyjeździe sama usłyszałam, co mówią ludzie. Pewnego dnia poszłam do piekarni — Bessy zapomniała to zrobić i nie chciała jeszcze raz schodzić ze wzgórza. Na progu usłyszałam, jak żona piekarza — też z Anningów, daleka krewna Mary — mówi do klientki: „Dzień w dzień była na plaży z tym dżentelmenem. No to teraz niech on się nią zaopiekuje”. Zarechotała ordynarnie, ale na mój widok od razu ucichła. Choć nie padły nazwiska, wiedziałam, kogo miała na myśli. Piekarzowa stała z uniesioną wyzywająco brodą, jakby tym czytelnym gestem mówiła: ośmielisz się skarcić mnie za to, że tak łatwo i surowo osądzam ludzi?

Nie sprostałam wyzwaniu. Równałoby się to potępianiu rzeki występującej z brzegów. Pomacałam natomiast bochełek chleba, uniosłam brwi i powiedziałam donośnie: „Dzisiaj nie potrzebuję czerstwego pieczywa”. Ale tylko przez chwilę odczuwałam satysfakcję — Simeon Anning był bowiem jedynym piekarzem w Lyme i musiałyśmy kupować u jego żony, jeśli chciałyśmy mieć chleb, który nadawał się do jedzenia, w przeciwieństwie do twardych jak cegła wypieków Bessy. Poza tym zabrzmiało to mizernie i małostkowo i niewiele pomogło Mary. Wyszłam ze sklepu zapłoniona i, co gorsza, żegnana wybuchem śmiechu. Dręczyło mnie pytanie, czy kiedykolwiek będę miała odwagę mówić to, co myślę, nie czując się przy tym jak idiotka.

Tamtej zimy, gdy Molly i Josephowi było ciężko materialnie, gdy przez wiele dni musiały im wystarczyć cienkie zupy i marny ogień w izbie, Mary ledwie zauważała, że niedojada i ma odmrożone palce rąk i nóg. Było jej ciężko na duszy.

Nadal przychodziła do Morley Cottage, ale chętniej odwiedzała Margaret, która jako jedyna z nas trzech umiała wczuć się w jej doznania. Louise ani mnie nie pozostawił mężczyzna, Mary i Margaret tego doświadczyły; co więcej, w naturze nas dwóch nie leżało skrywanie uczuć. Nie znaczy to, że Mary uważała wtedy, iż pułkownik Birch ją zostawił. Przez długi czas była pełna nadziei i zwyczajnie tęskniła za nim, za jego ciągłą obecnością w swoim życiu, jak to było w lecie. Chciała rozmawiać o nim z kimś, kto go znał i aprobował, a przynajmniej nie wypowiadał się cierpko o jego charakterze, jak ja. Margaret kilkakrotnie spotkała pułkownika w salach asamblowych, grała z nim w karty i nawet tańczyła z nim dwa razy. Zajmując się skamieniałościami rozłożonymi na stole w jadalni, słyszałam ich rozmowy za ścianą: Mary prosiła Margaret, by ta znów opowiedziała jej, jak tańczyli, jak pułkownik był ubrany, jak stawiał kroki i jak ją trzymał, i o czym rozmawiali podczas tańca. Potem chciała dowiedzieć się wszystkiego o grze w karty: w co grali, czy on wygrał, czy przegrał, co mówił. Margaret nie zwracała uwagi na takie szczegóły, gdyż pułkownik Birch nie zapisał się trwale w jej pamięci. Nawet ona nie mogła znieść jego próżności i zadufania. Ale z życzliwości dla Mary wymyślała rozmaite detale, żeby wypełnić luki w pamięci i stworzyć wyidealizowany

obraz pułkownika, gdy zażywał rozrywek. Mary chłonęła te opowieści, zapamiętywała, a potem rozpamiętywała każde słowo.

Chciałam zakazać Margaret snucia tych historyjek, gdyż wzbierała we mnie żal na myśl o dziewczynie, która syci się resztkami cudzych wspomnień z kulturalnych spotkań tanecznych i karcianych, i ukazywał mi się obraz Mary, jak stoi przed budynkiem, gdzie mieściły się sale asamblowe, opiera czoło o zimną szybę okna i obserwuje tancerzy. Nigdy jej tam nie widziałam, ale bez zdziwienia przyjęłabym wiadomość, że tak robiła. Nie powiedziałam jednak Margaret ani słowa, wiedząc, że kieruje się dobrymi intencjami i chce przynieść Mary choć odrobinę pociechy w tym ciężkim okresie. Byłam również wdzięczna Margaret, że nie napomknęła o moim przelotnym spotkaniu z pułkownikiem w salach asamblowych, bo wówczas Mary domagałaby się ode mnie szczegółowej relacji o przebiegu tamtego popołudnia.

Wiedząc, że nawiązanie korespondencji z pułkownikiem Birchem byłoby niestosowne, Mary miała nadzieję i spodziewała się, że on napisze do niej. Zarówno matka, jak i córka otrzymywały co jakiś czas listy, to od Williama Bucklanda z prośbą o znalezienie jakiegoś okazu, to od Henry'ego De La Beche z informacją o jego miejscu pobytu, to od innych, poznanych wcześniej kolekcjonerów, którzy czegoś od nich chcieli. Molly Anning prowadziła korespondencję nawet z Charlesem Konigiem z Muzeum Brytyjskiego, który kupił od Williama Bullocka pierwszego ichtiozaura znalezionego przez Mary i był zainteresowany kupnem kolejnych. Listy od tych panów napływały nadal, ale nie

pojawiła się koperta zaadresowana niedbałym, zamaszystym piśmem pułkownika Bircha, które mnie było znajome.

Nie mogłam powiedzieć Mary, że to ze mną skomunikował się pułkownik — miesiąc po swoim wyjeździe z Lymy. Naturalnie nie był to list z oświadczeniami, niemniej ręce mi się trzęsły, gdy go otwierałam. Pułkownik pytał, czy nie byłabym uprzejma poszukać dla niego egzemplarza *Dapedium* — takiego, jaki przekazałam w darze Muzeum Brytyjskiemu — ponieważ pragnie dołączyć do swojej kolekcji przedni okaz skamieniałej ryby. Przeczytałam ten list Margaret i Louise.

— Co za tupet! — zawołałam. — Najpierw szydzi z moich ryb, a potem chce dostać ode mnie stworzenie, które na dodatek tak trudno znaleźć!

Choć mówiłam to gniewnym tonem, w duszy byłam zadowolona, że pułkownik Birch docenił wartość moich ryb do tego stopnia, że chciał mieć własny okaz.

Mimo to już miałam wrzucić list do kominka, gdy powstrzymała mnie Margaret.

— Nie rób tego — poprosiła, sięgając po kartkę. — Na pewno nie wspomina nic o Mary? Nie ma tam postscriptum albo jakiejś zawołanej wiadomości dla niej lub o niej?

Przebiegła wzrokiem tekst, niczego takiego nie znajdując.

— Zachowaj list. Przynajmniej będziesz wiedziała, gdzie on mieszka.

Mówiąc te słowa, spojrzała na adres — ulica w Chelsea — i niewątpliwie wbiła go sobie w pamięć, na wypadek gdybym później spaliła list.

— Dobrze, zachowam — obiecałam. — Ale odpowiedzi nie będzie. Ten człowiek na to nie zasługuje. Co więcej, żadna z moich ryb nie trafi w jego ręce!

Nie powiedziałyśmy Mary o liście pułkownika do mnie. Byłaby zdruzgotana. Nigdy nie przypuszczałam, że osoba o takim silnym charakterze, jaki miała Mary, może być taka krucha. Ale w pewnych sytuacjach przecież każdego z nas łatwo zranić. Tak więc Mary dalej czekała, rozmawiała z Margaret i prosiła ją, żeby opisała zachowanie pułkownika w salach asamblowych, a Margaret spełniała jej prośby, choć każde kłamstwo wiele ją kosztowało. Z wolna rumieniec zniknął z policzków Mary, gasł blask w jej oczach, ramiona znów się przygarbiły i zacisnęły się szczęki. Chciało mi się płakać, gdy widziałam, że w tak młodym wieku dołącza do naszego grona starych panien.

Pewnego słonecznego dnia tamtej zimy przyszedł do mnie na Silver Street niespodziewany gość. Byłam w ogrodzie razem z Louise, która cierpiała na brak pracy w zimne miesiące i wyszukiwała sobie jakieś zajęcie: okrywała ściółką rośliny pozostające w spoczynku, sprawdzała posadzone cebulki, grabiła liście przywiane do ogrodu albo przycinała rozrastające się uporczywie krzewy róż. Zimno nie przeszkadzało nam tak bardzo jak dawniej, w słońcu było nawet zaskakująco ciepło. Kończyłam malować akwarelę z widokiem na Golden Cap, którą zaczęłam przed miesiącami, a teraz znów wyniosłam na dwór, mając nadzieję, że ukośne promienie zimowego słońca wreszcie nadadzą obrazowi magiczny walor.

Pociągałam chmury warstewką żółci, gdy pojawiła się Bessy.

— Ktoś do pani — mruknęła.

Gdy odsunęła się na bok, zobaczyłam Molly Anning, która mimo że mieszkaliśmy w Lyme już tyle lat, dotychczas ani razu nie zdobyła się na to, by wspiąć się do nas na wzgórze.

Zirytował mnie pogardliwy ton w głosie Bessy. Nie zważając na moją przyjaźń z Anningami, skwapliwie podzielała opinię mieszkańców Lyme na ich temat, nawet gdy poznała Mary dostatecznie dobrze, by wyrobić sobie własne zdanie. Żeby ją ukarać, wstałam, mówiąc:

— Bessy, wynieś krzesło dla pani Anning i drugie dla Louise. I proszę o herbatę dla nas wszystkich. Nie masz nic przeciwko siedzeniu na dworze, Molly? W słońcu jest całkiem przyjemnie.

Molly Anning wzruszyła ramionami. Nie należała do ludzi, którzy chętnie przesiadują na słońcu, ale nie powstrzymywałyby od tego innych.

Z uniesionymi brwiami spjrzałam na Bessy, która stała w drzwiach, zwlekając z wypełnieniem polecenia, najwyraźniej wściekła, że musi obsługiwać osobie, która nie dorównuje jej pozycją społeczną.

— Raz-raz, Bessy. Zrób, o co proszę.

Bessy mruknęła coś niewyraźnie. Gdy zniknęła za drzwiami, usłyszałam stłumiony śmiech Louise. Humory Bessy budziły wielkie rozbawienie moich sióstr, ja zaś ilekroć widziałam jej pochylone ramiona — a było to nierzadko — bałam się, czy nie wypowie nam służby. Mimo upływu czasu wciąż nie kryła, że nasza przeprowadzka do Lyme była kompletnym niepowodzeniem. Zdaniem Bessy całe tutejsze rozprzężenie i bałagan znajdowały odbicie w moich powiązaniach z Anningami. Jej barometr społeczny wciąż był ustawiony wedle londyńskich norm.

Nie przywiązywałam do tego wagi — chyba że pojawiała się groźba utraty służącej. Louise również się nie przejmowała. Margaret, jak sędzę, prowadziła najbardziej konwencjonalne życie: od czasu do czasu chodziła do sal asamblowych, składała wizyty innym dobrym rodzinom w Lyme i wspomagała ubogich. Maść, którą wynalazła na moje spierzchnięte ręce, zabierała ze sobą wszędzie i rozdawała zainteresowanym.

Wskazałam ręką krzesło.

— Usiądź, Molly. Bessy zaraz przyniesie drugie.

Potrząsnęła głową, skrępowana tym, że ona będzie siedziała, gdy ja stoję.

— Poczekam.

Chyba rozumiała stanowisko Bessy, że nie powinnyśmy gościć u siebie Anningów, może nawet podzielała jej pogląd, i pewnie bardziej to niż wspinaczka pod górę nie pozwalało jej przyjść do Morley Cottage przez tyle lat. Gdy jej wzrok spoczął na akwareli, poczułam wstyd, spowodowany nie tyle jakością obrazu — wiedziałam, że jest kiepski — ile wrażeniem, że zajęcie, z którego czerpałam przyjemność, okazało się niepoważnym marnowaniem czasu. Dzień Molly Anning zaczynał się wcześniej i kończył późno, cały był wypełniony znojną pracą. Molly nie miała czasu rozejrzeć się dokoła, a co dopiero usiąść i malować otaczające ją widoki. Nie dała poznać po sobie, co myśli, tylko zaczęła się przyglądać, jak idzie Louise przycinanie krzewów. Chociaż to zajęcie było mniej niepoważne — co prawda niewiele mniej, gdyż różę służą jedynie upiększaniu ogrodu i mogą nakarmić jedynie pszczoły. Louise prawdopodobnie podzielała moje odczucia, ponieważ szybko uwinęła się z przycinaniem krzaka i odłożyła nóż ogrodniczy.

— Pomogę Bessy ustawić rzeczy na tacy — powiedziała. Gdy pojawiło się więcej krzesel, potem stolik do postawienia tacy, na koniec sama taca — wszystko przy westchnieniach i pomrukach Bessy — pomyślałam, że nie należało proponować herbaty na powietrzu. To też było niepoważnym marnowaniem czasu, poza tym nie zamierzałam wywoływać tyle zamieszania. Ledwie usiadłyśmy, słońce schowało się za chmurą i natychmiast przejął nas chłód. Zrobiło mi się głupio, ale byłoby jeszcze gorzej, gdybym zarządziła przemarsz do domu i wnoszenie wszystkiego w odwrotnej kolejności. Wobec tego poszukałam ciepła w swoim szalu i fdiżance herbaty.

Molly siedziała beczynn timer, w milczeniu patrząc, jak krążą wokół niej filiżanki, spodeczki, krzesła i szale. Ja zaś rozgadałam się o wyjątkowo łagodnej pogodzie, o liście od Williama Bucklanda z wiadomością, że wybiera się za parę tygodni do Lyme, i o tym, że Margaret nie może nam towarzyszyć, ponieważ poszła zanieść swoją maść karmiącej matce z otartymi sutkami.

— Przydatna ta maść — powiedziała krótko Molly.

Kiedy zapytałam, jak im się wiedzie, ujawniła powód swojej wizyty

— Z Mary jest niedobrze. Od wyjazdu pułkownika. Chcę, żeby pani pomogła mi wyciągnąć ją z tego.

— A o co chodzi?

— Pomyliłam się co do pułkownika. Wiedziałam, że to zła droga, ale się nie cofnęłam.

— Och, na pewno nie zrobiłaś...

— Mary pracowała z pułkownikiem całe lato, znalazła mu dobrego krokodyla i rozmaite dziwy do zbiorów. Ale

nigdy nie zobaczyła ani drobniaka. Ja też nie prosiłam o pieniądze, myślałam, że da jej coś na koniec.

Przypuszczałam, że pułkownik Birch nic im nie zapłacił, ale dopiero teraz to się potwierdziło. Mięłam w palcach końce szala, wściekła, że okazał się taki bezduszny.

— Ale nie dał — mówiła dalej Molly. — Pojechał z krokodylem i dziwami i zostawił jej tylko medalion.

Wiedziałam o tym medalionie aż nazbyt dobrze: Mary nosiła go pod ubraniem i wyjmowała, żeby pokazać Margaret, ilekroć rozmawiały o pułkowniku. W środku był pukiel jego gęstych włosów.

Molly sączyła herbatę jak piwo.

— No i od wyjazdu nie napisał. Więc sama napisałam do niego. I z tą sprawą tu przyszedłam.

Sięgnęła do kieszeni starego kaftana — pewnie należał do jej męża — i wyjęła list, złożony i zalakowany.

— Napisałam ten list, tylko nie wiem, czy dojdzie, tak jak jest. W naszym Lyme by doszedł, ale Londyn jest większy. Pani wie, gdzie mieszka pułkownik?

Molly podała mi list. Na wierzchu było napisane: Pan pułkownik Thomas Birch, Londyn.

— Co mu napisałaś?

— Żeby zapłacił Mary za służbę.

— Nie wspomniałaś o... małżeństwie?

Molly zmarszczyła brwi.

— Niby po co? Nie jestem głupia. Z tym on powinien wyjść, nie ja. Zastanawiałam się nad tym medalionem, ale że nie ma listu, to... — Pokręciła głową, jakby chciała odpędzić taki bzdurny pomysł jak małżeństwo, i podjęła bezpieczniejszy temat zapłaty za świadczone usługi. —

Jest jej dłużny za czas, który spędziła z nim, zamiast szukać dziwów, no i za dzisiejsze straty. To druga rzecz, o której chcę z panią porozmawiać, panno Philpot. Mary nie znajduje dziwów. Było źle w lecie, gdy wszystko oddawała pułkownikowi, ale od jego wyjazdu nic nie znalazła. O tak, chodzi nad morze, ale wraca z pustymi rękami. Pytam dlaczego, a ona mówi, że tam nic nie ma. Czasem idę z nią, sama chcę zobaczyć, i widzę, że coś się w niej zmieniło.

Też to zauważyłam, gdy byliśmy razem na plaży. Tak jakby Mary nie umiała się skupić. Zerkając na nią, dostrzegałam, jak błądzi wzrokiem po horyzoncie albo sięga za Golden Cap czy Portland, rysujące się w oddali, i wiedziałam, że myśli o pułkowniku, a nie o skamieniałościach. Na moje pytanie odpowiadała krótko: „Nie mam dziś oka”. Zrozumiałam, że teraz zajmowało ją coś innego niż kości na plaży.

— Co zrobimy, żeby znowu znajdowała dziwy? — zapytała Molly, przesuwając rękami po brzuchu i wygładzając sfatygowaną spódnicę. — Z tym do pani przyszłam, no i z tym listem do pułkownika. Pomyślałam sobie, że gdy napiszę i on przyśle pieniądze, to Mary będzie zadowolona i zacznie lepiej się sprawiać na plaży. — Po chwili dodała: — Przez te ostatnie lata wiele razy zebrałam w listach. Muzeum Brytyjskiemu nie śpieszy się z płaceniem. Ale nigdy nie przypuszczałam, że będę musiała napisać taki list do dżentelmena, a przecież pułkownik Birch jest dżentelmenem.

Wzięła filiżankę i duszkiem wypija resztę herbaty. Zapewne przypomniała sobie, jak całował ją w rękę, i przeklinała samą siebie za to, że dała się nabrać.

— Może pani zostawi nam ten list, a my każemy wysłać go do Londynu? — zaproponowała Louise.

Obie spojrzałyśmy na nią z wdzięcznością za to eleganckie rozwiązanie — Molly była zadowolona, że zdjęto z niej odpowiedzialność za dostarczenie listu; ja zaś ucieszyłam się, że mogę przemyśleć dalsze działania, nie mówiąc Molly, iż pułkownik do mnie napisał.

— Wybiorę się z Mary na poszukiwania — dorzuciłam. — Będę miała na nią oko i dodam jej otuchy.

A moje znaleziska będą trafiać do jej koszyka do czasu, aż się opamięta, dorzuciłam w duchu.

— Niech pani nie mówi Mary o liście — powiedziała stanowczym tonem Molly, obciągając kaftan.

— Skądże.

Przyglądała mi się, wodząc ciemnymi oczami po mojej twarzy.

— Nie miałam do was przekonania, ale teraz jest inaczej — oświadczyła.

Gdy wyszła — jakby bardziej dziarskim krokiem, wolna od ciężaru tego listu — zapytałam Louise:

— Co zrobimy?

— Poczekamy na Margaret — odrzekła.

Wieczorem, po powrocie naszej siostry, usiadłyśmy razem przy kominku, żeby zastanowić się nad listem Molly Anning. Margaret była w swoim żywiole. O tego rodzaju sytuacjach czytała w swych ulubionych powieściach takich pisarzy jak na przykład panna Jane Austen, którą — twierdziła z całym przekonaniem — spotkała w salach asamblowych dawno temu, gdy po raz pierwszy przyjechałyśmy do Lyme. W jednej z książek panna Austen nawet ukazuje Lyme

Regis. Nie dałam się nakłonić do sięgnięcia po ten utwór, gdyż w ogóle nie czytam powieści. W realnym świecie żyje się mniej przyjemnie i sprawy nie kończą się tak ładnie jak w książkach, gdzie bohaterki poślubiają odpowiedniego mężczyznę. Siostry Philpot doskonale wiedziały, jak wygląda takie zwichnięte życie. Nie musiałam dowiadywać się z powieści, co mnie ominęło.

Margaret trzymała list obiema rękami.

— Co w nim jest? Czy rzeczywiście dotyczy tylko pieniędzy?

Obracała go na wszystkie strony, jakby w jakiś cudowny sposób miało to sprawić, że list się otworzy i ujawni swą zawartość.

— Molly Anning nie trwoniłaby czasu na pisanie o czymś innym — odrzekłam, wiedząc, że moja siostra ma na myśli małżeństwo. — I nie okłamałaby nas.

Margaret powiodła palcem po nazwisku pułkownika.

— A jednak pułkownik Birch powinien dostać ten list. Może mu przypomni, co zostawił.

— Przypomni mu, że otrzymałam od niego list i nie odpowiedziałam. Jeżeli dopiszę tu adres, będzie wiedział, kto wmieszał się do tej sprawy. Prócz mnie nikt w Lyme nie zna jego adresu.

Margaret zmarszczyła brwi.

— Tu chodzi nie o ciebie, Elizabeth, lecz o Mary. Nie chcesz, żeby dostał ten list? A może wolisz, żeby żył, nie mając pojęcia o jej sytuacji materialnej? Nie chcesz tego co najlepsze dla obu stron?

— Zupełnie jakbym słyszała kwestię z powieści tej twojej pisarki — warknęłam. Przerwałam, uprzytomniwszy sobie,

że mnę egzemplarz „Geological Society Journal”, który przysłał mi pan Buckland. Żeby się uspokoić, wzięłam głęboki oddech. — Uważam, że pułkownik Birch nie jest człowiekiem honoru. Wysłanie tego listu jedynie podtrzyma w Molly nadzieję na pomyślne załatwienie sprawy.

— A to, że wzięłyście ten list i obiecałyście go wysłać, nie jest podtrzymywaniem w niej nadziei?

— Istotnie. Już żałuję, że tak powiedziałyśmy. Nie chcę się angażować w to bezowocne i upokarzające wołanie o pomoc — oświadczyłam, zdając sobie sprawę, że zmieniam stanowisko.

Margaret zamachała mi listem.

— Jesteś zazdrosna, że zainteresował się Mary.

— Nieprawda! — zawołałam tak ostrym tonem, że Margaret wtuliła głowę w ramiona. — To absurd — dodałam łagodniej.

Zapadła długa cisza. Margaret odłożyła list, po czym wzięła mnie za rękę.

— Elizabeth, nie możesz stać jej na drodze do tego, czego sama nie zdołałaś osiągnąć.

Wyrwałam rękę z uścisku.

— Nie dlatego się sprzeciwiam.

— A dlaczego?

Ciężko westchnęłam.

— Mary jest młodą dziewczyną z biednej rodziny, musi utrzymywać się z pracy, nie ma żadnego wykształcenia, pomijając tę skąpą wiedzę, którą zawdzięcza nam i swojemu zborowi. Pułkownik Birch pochodzi z powszechnie znanej rodziny z Yorkshire, ma majątek i herb. Nigdy by nie rozważał ożenku z Mary. Dobrze o tym wiesz. Molly

Anning też to wie i dlatego napisała tylko o pieniądzach. Nawet Mary to wie, choć tego nie przyzna. A ty jedynie wzbudzasz jej nadzieje. Pułkownik wykorzystał dziewczynę, żeby powiększyć swoje zbiory, nie ponosząc przy tym żadnych kosztów. I tyle. Mary ma szczęście, że nie posunął się dalej. Zwracanie się z prośbą o pieniądze, a tym samym odnawianie znajomości, tylko przedłuży męki Anningów. Nie wolno nam tego robić wyłącznie po to, żebyście wy dwie, ty i Mary, mogły folgować swoim romantycznym fantazjom.

Margaret patrzyła na mnie rozzłoszczona.

— Twoja panna Austen nigdy nie dopuściłaby do takiego mariażu w książkach, którymi się zachwycasz — kontynuowałam. — Jeśli coś takiego jest niemożliwe w powieści, to na pewno nie wydarzy się w rzeczywistości.

Wreszcie wyraziłam się jasno. Margaret skrzywiła się i wybuchnęła płaczem, jej ciałem wstrząsały gwałtowne spazmy. Louise otoczyła siostrę ramieniem, ale nie odezwała się, wiedząc, że mam rację. Margaret ulegała magii powieści, ponieważ podtrzymywały nadzieję, że Mary — a także ona sama — może jeszcze liczyć na zamążpójście. Choć moje własne doświadczenia życiowe były ograniczone, wiedziałam, że do tego nie dojdzie. To było przykre, ale taka jest często prawda.

— Co za niesprawiedliwość — wysapała Margaret, gdy szloch w końcu ustały. — On nie powinien był darzyć jej takimi względami. Spędzał z nią tyle czasu i prawił jej komplementy, dał jej medalion i pocałował ją...

— Pocałował? — Ukłuło mnie żądło zazdrości, którą starałam się ukryć nawet przed sobą.

Margaret zrobiła skruszoną minę.

— Miałam wam nie mówić! Nikomu nie mówić! Proszę, dochowajcie tajemnicy. Mary powiedziała tylko mnie, bo... bo tak cudownie jest o tym rozmawiać. Jakby przeżywało się wszystko na nowo.

Umilkła, niewątpliwie wspominając własne pocałunki.

— Nie mnie to wiedzieć — rzekłam, starając się, by te słowa nie zabrzmiały zgryźliwie.

W nocy źle spałam. Nie byłam przyzwyczajona do tego, że mam aż taki wpływ na czyjeś życie, i dźwigałam ten ciężar z większym trudem, niż robiłby to mężczyzna.

Następnego dnia, nim zaniósłam list do poczmistrzyni na Coombe Street, dopisałam adres pułkownika Bircha. Choć tłumaczyłam Margaret, dlaczego nie należy wspierać dalszych powiązań między pułkownikiem a Mary, ostatecznie nie mogłam postępować tak, jakbym była Bogiem — musiałam pozwolić, żeby Molly Anning napisała do pułkownika to, co chciała.

Poczmistrzyni zerknęła na list, potem popatrzyła na mnie, unosząc brwi, więc nie pozostało mi nic innego, jak odwrócić się, zanim cokolwiek powie. Jestem przekonana, że w porze popołudniowej po całym mieście krążyły plotki, iż zdesperowana panna Philpot napisała do tego łajdaka pułkownika Bircha.

Anningowie czekali na odpowiedź, ale nie nadeszła.

Miałam nadzieję, że tym się zakończą nasze kontakty z pułkownikiem i nigdy więcej go nie zobaczymy. Zgromadził swoje skamieniałości — prócz *Dapedium*, którego mu

nie wysłałam — i teraz mógł zbierać coś innego, owady albo minerały, zależnie od nakazów mody. Tak bowiem postępują dżentelmeni pokroju pułkownika Bircha.

Nie przyszło mi na myśl, że mogę natknąć się na niego w stolicy. Londyn to nie Lyme, jak powiedziała Molly Anning. Miał milion mieszkańców, natomiast Lyme — dwa tysiące. Poza tym rzadko bywałam w Chelsea, gdzie, jak wiedziałam, mieszkał pułkownik, chyba że towarzyszyłam Louise podczas jej corocznej pielgrzymki do ogrodu botanicznego Chelsea Physic Garden. Nie przypuszczałam, że fala zniesie dwa zupełnie różne kamyki tak blisko jeden drugiego.

Wiosną, jak każdego roku, wyjechałyśmy do Londynu, żeby na jakiś czas uciec od Lyme, zobaczyć się z rodziną i odbyć szereg wizyt u przyjaciół, w sklepach, galeriach i teatrach. Gdy nie dopisywała pogoda, często odwiedzałyśmy Muzeum Brytyjskie, które mieściło się w Montague Mansion, opodal domu naszego brata. Ponieważ od dziecięcych lat stale tam chodziłyśmy, zbiory były nam dobrze znane.

Pewnego wyjątkowo deszczowego dnia rozdzieliliśmy się i każda udała się do innej sali, żeby obejrzyć swoje ulubione eksponaty. Margaret przebywała w galerii, pochylona nad kolekcją kamei i kamiennych pieczęci, natomiast Louise przechadzała się po sali na piętrze, gdzie umieszczono znakomite florilegium Mary Delany, zbiór kwiatowych wycinanek z kawałeczków kolorowego papieru. Ja byłam na dole, gdzie przez kilka pomieszczeń ciągnęły się zbiory przyrodnicze, głównie okazy skał i minerałów, a niedawno dołączono i przemeblowano jeszcze cztery sale ze skamie-

niałościami. Kolekcja zawierała sporo znalezisk z rejonu Lyme, wśród nich kolejne egzemplarze ryb, ofiarowane przeze mnie.

Był tam również pierwszy ichtiozaur Mary, eksponowany osobno w długiej szklanej gablocie, na szczęście bez kamizelki i monokla, choć z resztkami gipsu tu i ówdzie, z nadal wyprostowanym ogonem i nazwiskiem dziedzica Henleya na tabliczce. Widziałam go już tutaj wielokrotnie i napisałam Anningom, jak został pokazany.

W sali panowała cisza, prócz mnie krążyła między gablotami tylko jedna grupa zwiedzających. Akurat oglądałam czaszkę, która w opinii Cuviera należała do mamuta, gdy w sali rozległ się znajomy głos.

— Droga pani, gdy zobaczy pani tego ichtiozaura, przekona się, o ile lepszy jest mój okaz.

Przymknęłam na chwilę oczy, by uspokoić serce.

Pułkownik Birch wszedł drzwiami po przeciwnej stronie, jak zwykle w czerwonej kurtce żołnierskiej z niegdysiejszych czasów, mając u boku nieco starszą ode mnie damę, która trzymała go pod rękę. Sądząc po jej ciemnym stroju, była wdową. Uprzejma mina nie schodziła z jej twarzy. Należała do rzadkiego rodzaju ludzi pozbawionych wiodącej cechy.

Zastygłam w bezruchu, gdy podeszli do ichtiozaura Mary. Stałam blisko nich, ale odwrócona plecami, więc pułkownik mnie nie zauważył. Słyszałam całą ich rozmowę, a raczej słowa pułkownika, bowiem jego towarzyszka tylko przytakiwała.

— Widzi pani, jak bardzo różni się od mojego ichtiozaura? Co za płatanina kości! Kręgi i żebra są ściśnięte nie do oddzielenia. Poza tym jest niekompletny. Proszę popatrzeć

na poźółkły gips między żebrami i wzdłuż kręgosłupa. Te braki wypełnił pan Bullock. W moim okazie nie trzeba niczego uzupełniać. Może jest mniejszy od tego, ale znalazłem go w stanie nienaruszonym, każda kostka była na swoim miejscu.

— Fascynująca — wyszeptała wdowa.

— I pomyśleć, że brano to stworzenie za krokodyla. Ja oczywiście nigdy tak nie sądziłem. Cały czas wiedziałem, że to jest coś innego. Byłem pewny, że sam go znajdę.

— Niewątpliwie.

— Ichtozaury należą do najważniejszych znalezisk naukowych w dziejach.

— Naprawdę?

— Jak nam wiadomo, nie istnieją już od jakiegoś czasu. To oznacza, droga pani, że ludzie nauki mają za zadanie odkryć, jak te stworzenia wymarły.

— I co powiadają?

— Jedni twierdzą, że wymarły podczas potopu w czasach Noego. Drudzy mówią, że stało się to w wyniku innego rodzaju katastrofy, na przykład wybuchu wulkanu albo trzęsienia ziemi. Tak czy owak istnienie tych stworzeń wpływa na określenie wieku świata. Sądzimy, że świat ma więcej niż sześć tysięcy lat, jak to twierdzi biskup Ussher.

— Rozumiem. Bardzo ciekawe.

Głos zadrżał jej lekko, jak gdyby słowa pułkownika Bircha zaburzyły ład w jej umyśle, najwyraźniej wątlým i nieprzywytkým do wyzwań.

— Czytałem o teorii katastrof Cuviera — mówił dalej pułkownik, popisując się wiedzą. — Cuvier wysuwa hipot-

teżę, że świat ukształtował się na skutek strasznych katastrof, które występowały okresowo i z taką gwałtownością, iż powstały góry, zniknęły morza i wyginęły gatunki. Sam Cuvier nie łączył tych wypadków z boską interwencją, ale inni twierdzili, że kataklizmy następowały planowo, to znaczy Bóg sprawował kontrolę nad swoim dziełem, i że potop nastąpił najpóźniej. Możemy się więc zastanawiać, czy nie zbliża się kolejna katastrofa.

— To istotnie zastanawiające — odezwała się cichutko wdowa.

Zacisnęłam zęby, słysząc brak pewności siebie w jej głosie. Pułkownik Birch, choć doprowadzał mnie do irytacji, odznaczał się ciekawością świata. Gdybym to ja znajdowała się u jego boku, stać by mnie było na więcej niż „to istotnie zastanawiające”.

Zapewne dalej tkwiłabym w miejscu, odwrócona do nich tyłem, pozwalając, by pułkownik zniknął na zawsze z naszego życia, ale usłyszałam przechwałki, od których nie mógł się powstrzymać.

— Gdy widzę te wszystkie eksponaty, przypomina mi się zeszłe lato w Lyme Regis. Wie pani, nabrałem dużej wprawy w szukaniu skamieniałości. Znalazłem nie tylko całego ichtiozaura, ale również liczne fragmenty innych takich stworzeń oraz wiele liliowców, to znaczy lilii morskich. Pokazywałem je pani, jeśli pani pamięta.

— Nie jestem pewna.

Pułkownik zaśmiał się cicho.

— Oczywiście, droga pani. Kobiety nie potrafią patrzeć na te rzeczy tak bacznie jak mężczyźni.

Odwróciłam się.

— Pańskie słowa powinna usłyszeć Mary Anning. Wydaje mi się, że nie byłaby skłonna panu przytaknąć.

Pułkownik drgnął, ale dzięki swemu żołnierskiemu opanowaniu nie okazał zbytniego zaskoczenia. Ukłonił się.

— Panna Philpot! Co za niespodzianka i oczywiście przyjemność zobaczyć tu panią. Podczas naszego ostatniego spotkania rozmawialiśmy o moim ichtiozaurze, nieprawdąż? Mogę pani przedstawić panią Taylor? Pani Taylor, to jest panna Philpot, którą poznałem, przebywając w Lyme. Oboje interesujemy się skamieniałościami.

Pozdrowiliśmy się skinieniem głów. Uprzejma mina pozostała na jej twarzy, ale rysy jakby stężały i zauważyłam wąskie usta, ściągnięte i otoczone zmarszczkami niczym sakiewka.

— Jak płynie życie w uroczym Lyme? — zapytał pułkownik. — Czy jego mieszkańcy nadal przeczesują plażę w poszukiwaniu pradawnych skarbów, świadectw istnienia stworzeń z minionych epok?

Uznałam, że to misternie sformułowane i tracące kiepską poezją pytanie odnosi się do Mary. Nie musiałam jednak odpowiadać w poetyckim stylu. Wolałam bezpośredniość prozy.

— Mary Anning, jeśli o nią pan pyta, panie pułkowniku, nadal poszukuje skamielin. Brat pomaga jej w miarę swoich możliwości. Ale prawdę mówiąc, Anningom wiedzie się źle, gdyż od wielu miesięcy nie znaleźli nic, co miało większą wartość.

Gdy to mówiłam, pułkownik odprowadzał wzrokiem grupę zwiedzających, którzy przechodzili do następnej sali. Być może pragnął oddalić się razem z nimi.

— Ponadto nie otrzymali zapłaty za usługi, które świadczyli innym, o czym zapewne wie pan z korespondencji — dodałam podniesionym głosem, wbijając pułkownikowi szpilkę, na co usta pani Taylor zacisnęły się niczym ściągnięty sznureczek sakiewki.

Akurat wtedy w drzwiach po przeciwległej stronie sali pojawiły się Margaret i Louise, które zaczęły mnie szukać, gdyż wkrótce oczekiwano nas w domu. Na widok pułkownika Bircha stanęły, a Margaret pobladła.

— Chciałabym kontynuować naszą rozmowę o Anningach, panie pułkowniku — oznajmiłam.

Przykre było to, że spotkałam się z nim bezpośrednio, gdy zadowolony z siebie chwalił się przed zaprzyjaźnioną z nim wdową skamieniałościami, których bynajmniej nie znalazł. Ale dopiero gdy tak lekceważąco zaczął się wypowiadać o spostrzegawczości kobiet — tym samym umniejszając wartość Mary i moich znalezisk przez te wszystkie lata — wycofałam się ze swej decyzji o tym, by trzymać go z dala od Anningów. Ten człowiek wiele im zawdzięczał i chciałam, by o tym wiedział. Musiałam powiedzieć mu to otwarcie.

Nie zdążyłam, gdyż Margaret ruszyła spieszonym krokiem w naszą stronę, popychając do przodu Louise. Nastąpiła prezentacja, siostry poznały panią Taylor i wymieniły kilka banalnych zdań z pułkownikiem Birchem. Mój plan się nie powiódł, co niewątpliwie było zamiarem Margaret, i musiałam poczekać, aż ucichnie kurtuazyjna pogawędka.

— Chciałabym z panem porozmawiać, panie pułkowniku — powtórzyłam.

— Na pewno mamy sobie wiele do powiedzenia —

odrzekł, uśmiechając się z zakłopotaniem. — Z całego serca pragnę złożyć wizytę pani i jej siostrze — tu skinął głową Louise i Margaret — ale niestety wkrótce wybieram się do Yorkshire.

— Wobec tego musimy porozmawiać teraz. Będzie pan uprzejmy? — Gestem wskazałam róg sali z dala od pozostałych osób.

— Och, nie sądzę, by pułkownik Birch... — wtrąciła Margaret.

Louise nie dała jej dokończyć zdania, biorąc pod rękę panią Taylor i mówiąc:

— Lubi pani ogrody? Jeśli tak, musi pani zobaczyć florilegium pani Delany. Będzie pani oczarowana. Chodź z nami, Margaret.

Louise zebrała w sobie całą dobrą wolę, żeby pociągnąć panią Taylor do wyjścia. Margaret wlokła się za nimi, rzucając mi ostrzegawcze spojrzenia, wciąż pobladała, ale z dwiema czerwonymi plamami na policzkach.

Po ich odejściu staliśmy naprzeciw siebie, sami w długim pomieszczeniu z wysokimi oknami, przez które padało na nas szare światło słotnego dnia. Twarz pułkownika, do tej pory obojętna, wyrażała zaniepokojenie i lekkie poirytowanie.

— Słucham, panno Philpot.

— Słucham, panie pułkowniku.

— Czy otrzymała pani mój list na temat uzupełnienia mojej kolekcji okazem *Dapediuml*

— Pana list? — Pytanie mnie zaskoczyło, gdyż od dłuższego czasu nie myślałam o tym liście. — Tak, otrzymałam.

— Ale nie odpisała pani.

Zmarszczyłam brwi. Pułkownik próbował skierować rozmowę na inne tory, aby rzucić cień na moje postępowanie i nie odnieść się do własnego. Jego taktyka była podła i tak mnie zezłościła, że odparowałam szybkim sztychem.

— Tak, nie odpisałam. Nie darzę pana szacunkiem i nie chcę, by stał się pan posiadaczem ryby z mojej kolekcji skamieniałości. Nie mam potrzeby wyrażania takich odczuć w formie pisemnej.

— Rozumiem. — Pułkownik zaczerwienił się jak po uderzeniu.

Sądzę, że jeszcze nikt nie powiedział mu, iż go nie szanuje. To rzeczywiście było nowe doświadczenie dla nas obojga: nieprzyjemne dla niego, przerażające i ekscytujące dla mnie. Mieszkając tyle lat w Lyme, nabrałam śmiałości w mowie i myśleniu, ale nigdy dotąd nie byłam aż tak zuchwała i niegrzeczna. Spuściłam wzrok i zaczęłam odpinać i zapinać guziczki rękawiczek, aby czymś zająć dygoczące ręce. Rękawiczki były nowe, kupione w sklepie galanteryjnym w Soho. Przed końcem roku i one zniszczą się pod wpływem gliny i wody morskiej w Lyme.

Pułkownik Birch położył rękę na najbliższej szklanej gablocie, jakby chciał się na niej wesprzeć. Wyłożono tam najróżniejsze małże, które w innych okolicznościach być może przyciągnęłyby jego uwagę. Ale teraz spojrzął na nie tak, jakby pierwszy raz widział małża.

— Po pana wyjeździe — zaczęłam — Mary nie znalazła ani jednego wartościowego okazu. W kramie Anningów skurczyły się zapasy towaru, gdyż wszystko, co znalazła w lecie, oddała panu.

Pułkownik uniósł wzrok.

— To krzywdzące stwierdzenie, panno Philpot. Sam znalazłem swoje okazy.

— To nieprawda. Nie znalazł ich pan. — Widząc, że chce coś wtrącić, uniosłam rękę na znak, żeby mi nie przerywał. — Może się panu wydawać, że sam znalazł te kawałki szcęk i żebra, i zęby rekina, i lilie morskie, ale to Mary pana naprowadziła. Ona je zobaczyła i skierowała pana w odpowiednią stronę. Z pana żaden poszukiwacz. Jest pan zbieraczem, kolekcjonerem. A to różnica.

— Ja...

— Widziałam pana na plaży, pułkownika, i wiem, co się działo. To nie pan znalazł ichtiozaura. Mary go znalazła, upuściła w tym miejscu młotek, żeby pan, podnosząc go, zauważył okaz. Byłam przy tym. Wszystko widziałam. Ichtiozaur należy do niej, a pan zabrał jej znalezisko. Wstyd mi za pana.

Pułkownik już nie próbował mi przerwać, tylko stał nieruchomo, z pochyloną głową i wydętymi wargami.

— Może nie zdawał pan sobie sprawy, że ona to robi — mówiłam łagodniejszym tonem. — Mary jest osobą wielkoduszną. Daje, gdy jej na to nie stać. Czy zapłacił jej pan za jakiś okaz?

Dopiero teraz widać było skruchę na jego twarzy.

— Upierała się, że już należą do mnie, nie do niej.

— Czy zapłacił pan za poświęcony mu czas, jak prosiła jej matka w liście sprzed kilku miesięcy? Wiem o tym liście, bo za nią dopisałam pański adres. Jestem zdumiona, pułkowniku, że pan gani mnie za to, iż mu nie odpisałam, a sam nie odpowiedział na list w sprawie o wiele ważniejszej niż skamieniała ryba.

Pułkownik milczał.

— Czy pan wie, że tej zimy doszły mnie słuchy, iż Anningowie zamierzają sprzedać stół i krzesła, żeby opłacić czynsz? Stół i krzesła! Musieliby jeść posiłki, siedząc na podłodze.

— Ja... nie miałem pojęcia, że jest im tak ciężko.

— Po moich namowach zgodzili się nie sprzedawać mebli dopiero wtedy, gdy wypłaciłam im zaliczki na poczet ryb, które znajdzie dla mnie Mary. Wolałabym po prostu dać im te pieniądze, gdyż zazwyczaj sama znajduję swoje okazy i nie chcę ich kupować, ale Anningowie nie przyjmą ode mnie zapomogi.

— Nie mam z czego im zapłacić.

Te słowa zabrzmiały tak surowo, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Oboje umilkliśmy. Dwie panie weszły do sali, trzymając się pod ręce; zauważyły nas, wymieniły spojrzenia i szybko wyszły. Zapewne wyglądaliśmy jak sprzeczący się kochankowie.

Pułkownik Birch powiódł ręką po szklanej tafli gabloty.

— Dlaczego pani do mnie napisała, panno Philpot?

Zmarszczyłam brwi.

— Nie napisałam do pana. O tym już rozmawialiśmy.

— Pisała pani o Mary. List był anonimowy, ale autor wystawiał się jasno, mówił, że dobrze zna Mary, więc sądziłem, że to pani. Podpisał się: „życzliwa osoba, która chce tylko tego, co najlepsze dla obu stron” i zachęcał mnie do... ożenku z Mary.

Utkwiłam w nim wzrok. Przytoczone słowa kojarzyły mi się z czymś, co Margaret powiedziała kiedyś o „obu stronach”. Pomyślałam o tym, że rozpalona na twarzy

wyszła z tego pokoju, że zapamiętała adres pułkownika na kopercie, że rozmawiała o pułkowniku z Mary. Margaret postanowiła sama napisać do niego w interesie Mary. Nie wystarczył list od Molly w sprawie pieniędzy; jej zdaniem należało również poruszyć kwestię małżeństwa. Po co, u licha, ona wtykała nos? — pomyślałam. Po kiego licha, czyta te powieści?

Westchnęłam.

— Nie ja napisałam ten list, ale już wiem, kto jest autorem. Odsuńmy na bok myśl o małżeństwie. To oczywiście nie wchodzi w rachubę. — Starałam się wypowiadać jasno, gdyż tylko tak postępując, miałam szansę pomóc Mary. — Ale musi pan zrozumieć, pułkowniku, że pozbawił pan Anningów źródła utrzymania, a Mary jej dobrego imienia. To przez pana sprzedają swoje meble.

Pułkownik się zasepił.

— Co pani zdaniem mam zrobić?

— Niech pan jej odda to, co znalazła, przede wszystkim ichtiozaura. Sprzedadzą go i będą mieli dość pieniędzy, żeby spłacić długi. Przynajmniej tyle może pan zrobić, bez względu na swoje kłopoty finansowe.

— Ja nie... Bardzo lubię Mary. Dużo o niej myślę.

— Niech pan nie będzie śmieszny — prychnęłam, nie mogąc znieść jego głupoty. — Takie sentymenty są całkowicie nie na miejscu.

— Być może. Ale ona jest niezwykłą kobietą.

Z trudem przechodziło mi to przez gardło, ale zmusiłam się, by powiedzieć:

— Byłoby lepiej dla pana, gdyby pan pomyślał o kimś,

kto jest w wieku zbliżonym do pańskiego i podobnego pochodzenia. Kto... — Patrzyliśmy na siebie.

Właśnie wtedy w drzwiach na drugim krańcu sali pojawiła się pani Taylor — za nią moje siostry — która wyglądała tak, jakby liczyła na ratunek ze strony pułkownika Bircha. Gdy pośpieszyła ku niemu, chcąc ująć go pod ramię, zdążyłam tylko dokończyć szeptem:

— Musi pan postąpić z honorem, pułkowniku.

— Czas na nas — oświadczyła pani Taylor, po raz pierwszy z całą stanowczością, i wówczas zauważyłam, że u niej wiodące są usta.

Na odchodne obiecali złożyć nam wizytę w domu naszego brata przy Montague Street, gdy nadarzy się po temu sposobność. Wiedziałam, że do tego nie dojdzie, ale kiwnęłam głową i pomachałam im ręką.

Natychmiast po ich wyjściu Margaret wybuchnęła płaczem.

— Przepraszam, przepraszam za ten list! Nie powinnam była tak postąpić. Ledwie go wysłałam, natychmiast zaczęłam to sobie wyrzucać.

Louise spojrzała na mnie oszołomiona. Nie objęłam Margaret siostrzanym uściskiem. Żeby tak się stało, musiała poczekać kilka dni, gdyż za wtykanie nosa należy się kara.

Kiedy opuszczałam Muzeum Brytyjskie, było mi lżej, jakbym zrzuciła dźwigany dotąd ciężar na barki pułkownika Bircha. Przynajmniej wypowiedziałam się otwarcie w sprawie Anningów, choć nie do końca we własnej. Nie miałam pojęcia, czy to coś zmieni.

Dowiedziałam się całkiem szybko.

. . .

Ogłoszenie o aukcji zauważył mój brat. Któregoś wieczoru John wrócił z kancelarii do domu i dołączył do nas, zebranych w salonie — przeładowanym ozdobami pokoju na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na ulicę. Powitała go całkiem spora gromadka: prócz nas trzech z Lyme i naszej bratowej była tam nasza siostra Frances z Essex, która przyjechała w odwiedziny wraz z dwójką dzieci, ośmioletnią Elizabeth, dano jej imię po mnie, i trzyletnim Francisem. Maluchy uganiały się za Johnnym, dumnym już jedenastolatkiem, który musiał znosić uwielbienie swoich kuzynów. Tego wieczoru we troje przypiekali bułeczki z rodzynekami nad ogniem w kominku, który tylko w tym celu został rozpalony, mimo że był ciepły majowy dzień. Johnny z dużą przyjemnością machał bułeczkami tak blisko ognia, że się zapaliły; pociechy Frances poszły w jego ślady i powstał zamęt: zaczęłyśmy gasić płomień i karcić dzieci za marnotrawstwo i stwarzanie zagrożenia. Dopiero gdy nastał spokój, zauważyłam coś osobliwego w twarzy brata.

— Znalazłem w dzisiejszej gazecie coś, co na pewno cię zainteresuje — powiedział do mnie, marszcząc czoło.

Wręczył mi gazetę złożoną tak, by na wierzchu znajdowało się ogłoszenie w ramce. Przebiegłam wzrokiem tekst i oblałam się rumieńcem. Gdy uniosłam głowę, zobaczyłam wbity we mnie wzrok rodzeństwa. Nawet Johnny przyglądał mi się bacznie. Człowiek odczuwa podenerwowanie, gdy tyłu Philpotów skupia na nim uwagę.

Odchrząknęłam i oznajmiłam:

— Wygląda na to, że pułkownik Birch sprzedaje swoją kolekcję skamieniałości. U Bullocka, w przyszłym tygodniu.

Margaret wydała stłumiony okrzyk, a Louise spojrzała na mnie z życzliwym zrozumieniem i sięgnęła po gazetę, chcąc zobaczyć ogłoszenie.

Zaczęłam się zastanawiać nad tą wiadomością. Czy podczas naszego spotkania w Muzeum Brytyjskim pułkownik Birch wiedział, że wystawi na sprzedaż swoje zbiory? Raczej nie, zważywszy, jak chełpił się przed panią Taylor posiadaniem ichtiozaura. Ponadto chyba jednak by mi powiedział o swoich zamiarach. Z drugiej strony tak jasno wyraziłam dezaprobatę wobec jego postępowania, że mało prawdopodobne, by chciał się podzielić wiadomością o planach spieniężenia kolekcji. Wszystkie okazy, które dostał od Mary, posłużą teraz do tego, by napełnił sobie kiesę. Moje słowa nie odniosły żadnego skutku. Mając konkretny dowód własnej bezsilności, poczułam, jak napływają mi do oczu łzy gniewu.

Louise oddała mi gazetę.

— Przed sprzedażą odbędą się pokazy — powiedziała.

— Nie zamierzam nawet zbliżyć się do Muzeum Bullocka — burknęłam, wycierając nos w chusteczkę. — Doskonale wiem, co zawiera ta kolekcja, i nie muszę jej oglądać.

Później jednak, gdy John i ja siedzieliśmy sami w jego gabinecie, omawiając finanse siostr z Lyme, przerwałam mu suchy wywód na temat liczb.

— Pójdiesz ze mną do Muzeum Bullocka?

Zadając to pytanie, nie spojrzałam na Johna, tylko nadal wpatrywałam się w gładkiego łodzika, którego znalazłam na Monmouth Beach i podarowałam bratu, żeby używał go jako przycisku do papieru.

— Tylko ty i ja. Nie w dużej grupie, bo zrobi się z tego wycieczka. Chcę jedynie wstąpić tam i rzucić okiem, nic więcej. One nie muszą wiedzieć, bo jeszcze zaczną się przejmować.

Miałam wrażenie, że na jego twarzy maluje się współczucie, ale zaraz przybrał obojętną minę, co jako adwokatowi często mu się zdarzało.

— Zostaw to mnie — odrzekł.

Przez kilka dni nie wspominał o pójściu do muzeum, ale na tyle znałam swojego brata, by mieć pewność, że jakoś to zaaranżuje. Pewnego wieczoru podczas kolacji oznajmił, że siostry z Lyme muszą pojawić się w kancelarii, żeby przejrzeć sporządzone przez niego dokumenty.

— Nie możesz przynieść ich do domu? — zapytała Margaret z grymasem niezadowolenia.

— Trzeba to zrobić w kancelarii, ponieważ mój kolega musi być obecny przy tym jako świadek — wyjaśnił John.

Margaret jęknęła, a Louise zaczęła jeździć kawałkiem ryby po talerzu. Wszystkie trzy uważałyśmy, że sprawy prawne są nieciekawe. W istocie rzeczy, choć kochałam i szanowałam brata, bywało, że zanadto mnie nudził — zwłaszcza gdy poznałyśmy lepiej Lyme, gdzie ludzie byli różni, ale rzadko nudni.

— Naturalnie nie wszystkie musicie tam iść — dodał, zerkając na mnie. — Jedna z was może reprezentować pozostałe.

Margaret i Louise spojrzały na siebie, potem na mnie, z nadzieją, że któraś zgłosi się na ochotnika. Odczekałam stosowną chwilę i westchnąwszy, powiedziałam:

— Dobrze, pójdę.

John kiwnął głową.

— Na osłodeę zapraszam cię potem na obiad do swojego klubu. Może być czwartek?

W czwartek zaczynały się pokazy poprzedzające sprzedaż, a klub Johna mieścił się na Mail, niedaleko Muzeum Bullocka.

Na czwartek John przygotował jakiś dokument do podpisu, aby nasz fortel nie był kłamstwem. I rzeczywiście zjedliśmy obiad w klubie, ale szybko, tylko jedno danie, żeby dostatecznie wcześniej znaleźć się w Domu Egipskim. Przeniknął mnie dreszcz, gdy wkraczaliśmy do żółtego budynku z posągami Izidy i Ozyrysa, którzy czuwali nad wejściem. Obejrawszy ichtiozaura Mary przed kilkoma laty, przysięgam sobie, że więcej tu nie przyjdę, nawet jeśli eksponaty będą niezwykle kuszące. Teraz tamta obietnica stanęła mi kością w gardle.

Skamieniałości należące do pułkownika Bircha zostały pokazane w jednej z mniejszych sal. Choć podzielone na grupy jak zbiory muzealne — osobno liliowce, kawałki ichtiozaurów, amonity i tak dalej — nie znajdowały się za szkłem, tylko leżały na stołach. Na środku pokoju umieszczono całego ichtiozaura, który tu wyglądał równie oszałamiająco jak w warsztacie Anningów.

Widok okazów z Lyme w scenerii londyńskiej nie zdziwił mnie tak bardzo — z tym zjawiskiem miałam już do czynienia w Muzeum Brytyjskim — jak tłok na sali. Gdzie spojrzeć, panowie brali do rąk skamieniałości, wnikliwie im się przyglądali i dyskutowali o nich z innymi. Pokaz cieszył się żywym zainteresowaniem, o czym świadczył gwar dobiegający mych uszu. Ponieważ byłam tam jedyną kobietą,

mocno trzymałam brata pod ramię, czując się nieswojo na myśl, że zwracam na siebie uwagę.

Po kilku minutach zaczęłam rozpoznawać ludzi, zwłaszcza panów, którzy przyjeżdżali na poszukiwania do Lyme i zachodzili do Morley Cottage, żeby zobaczyć moje zbiory. Kustosz Muzeum Brytyjskiego, Charles Konig, stał przy ichtiozaurze, być może porównując go z kupionym rok wcześniej od Bullocka. Ze zdumieniem rozglądał się wokoło. Jestem pewna, że nie posiadałby się z radości, mając w swoim muzeum tylu zwiedzających w salach ze skamieniałościami. Ale jego kolekcja nie była na sprzedaż, a panujące tu ożywienie wywoływała możliwość nabycia prawa własności.

Po drugiej stronie sali zauważyłam Henry'ego De La Beche i ruszyłam w jego stronę, gdy akurat ktoś mnie zawołał. Wzdrygnęłam się przestraszona, że to pułkownik Birch przychodzi się usprawiedliwić. Gdy jednak się odwróciłam, z ulgą zobaczyłam przyjazną twarz.

— Pan Buckland, jak to miło pana widzieć — powiedziałam. — Zdaje się, że jeszcze nie poznał pan mojego brata. Pozwoli pan, że przedstawię Johna Philpota. To jest wilebny William Buckland, który często przyjeżdża do Lyme i podziela moje zamiłowanie do skamieniałości.

John złożył ukłon.

— Oczywiście wiele o panu słyszałem. Pan wykłada w Oksfordzie, nieprawdaż?

Pan Buckland się rozpromienił.

— Istotnie. To ogromna przyjemność poznać brata damy, którą darzę tak wielkim poważaniem. Czy pan wie, że jego siostra zna się na skamieniałościach jak nikt? Ależ to mądra istota! Sam Cuvier mógłby się od niej uczyć.

Zarumieniłam się, słysząc tę rzadką pochwałę, i to z ust takiego człowieka. Mój brat również wyglądał na zaskoczono-ego; spojrzął na mnie z ukosa, jak gdyby szukał potwierdzenia tej szczególnej cechy, o której właśnie usłyszał, a którą dotąd przed nim ukrywałam. Jak wielu innych John uważał, że moja fascynacja skamieniałymi rybami jest dziwactwem i kaprysem, wobec tego nie prowadziłam z nim wnikliwych rozmów na temat zagadnień, o których latami poszerzałam swoją wiedzę. John nie spodziewał się, że zdobędę uznanie tak szacownych kręgów. Ja również. Przypomniałam sobie, jak to kiedyś William Buckland jawił mi się przelotnie jako kandydat do ręki. Podczas gdy wspomnienie o pułkowniku Birchu było bolesne, na myśl o Williamie Bucklandzie w roli mojego męża chciało mi się śmiać.

— Chyba cały naukowy świat zgromadzi się na tej aukcji — mówił dalej pan Buckland. — Są tu Cumberland i Sowerby, i Greenough, a także pani znajomy, Henry De La Beche. Poznała pani wielbnego Conybeare'a, kiedy przebywał w Lyme? — Wskazał pana, który stał przy nim. — Chce napisać studium o ichtiozaurze i przedstawić wyniki swoich badań na spotkaniu Towarzystwa Geologicznego.

Wielebny Conybeare skłonił się uprzejmie. Miał surową, mądrą twarz z długim nosem, który był wycelowany we mnie jak palec.

William Buckland zniżył głos.

— Na polecenie barona Cuviera sam będę uczestniczył w licytacji kilku okazów. Zależy mu przede wszystkim na czasie ichtiozaura, którą chce kupić dla swojego muzeum w Paryżu. Jedna z nich zwróciła moją uwagę. Mogę pani pokazać?

Wtedy zauważyłam pułkownika Bircha po drugiej stronie sali. W uniesionej ręce trzymał kość szczękową, pokazując ją grupie zebranych wokół niego panów. Jego widok sprawił mi taki ból, że zadrżałam.

— Dobrze się czujesz, Elizabeth? — spytał mój brat.

— Owszem.

Zanim zdążyłam zejść z linii wzroku pułkownika, spojrzał poza trzymaną w rękę kość i mnie dostrzegł.

— Panno Philpot! — zawołał.

Odłożył szczękę i zaczął przeciskać się w tłumie.

— Robi mi się słabo, John — szepnęłam. — Moglibyśmy wyjść stąd i zaczerpnąć świeżego powietrza?

Nie czekając na odpowiedź, poszłam szybko w stronę drzwi. Na szczęście mur ludzi odgrodził mnie od pułkownika i zdążyłam przed nim uciec. Znalazłszy się na ulicy, skręciłam w zaśmiecony zaułek, który w zwykłych okolicznościach napawałby mnie strachem — wolałam być tutaj, niż z konieczności prowadzić uprzejmą rozmowę z człowiekiem, który mnie odpychał i zarazem pociągał.

Kiedy wyszliśmy z uliczki na Jermyn Street, tuż obok Johna ulubionego sklepu z koszulami, brat ujął moją rękę i wsunął sobie pod ramię.

— Pocieszna z ciebie osóbką, Elizabeth — rzucił.

— Chyba masz rację.

John nie powiedział nic więcej, tylko znalazł dorożkę i pojechaliśmy na Montague Street, rozmawiając o konkretnych sprawach i nie wspominając o tym, skąd wracamy. Przynajmniej ten jeden raz byłam zadowolona, że mój brat tak mało interesuje się dramatami emocjonalnymi człowieka.

Ale następnego ranka podczas śniadania, gdy przeglądałam artykuł *Geologia a religia — wyjaśnienie powiązań*, przysłany mi przez Williama Bucklanda, John jakby nigdy nie włożył między strony katalog wszystkich okazów wystawionych przez pułkownika na licytację. Pograżyłam się w lekturze katalogu, udając, że czytam artykuł pana Bucklanda.

Jedna wizyta w Muzeum Bullocka powinna była zaspokoić moją ciekawość aukcji. Nie musiałam ponownie oglądać skamieniałości ani podekscytowanych licytantów. Z całą pewnością nie musiałam oglądać pułkownika Bircha i słuchać, czym usprawiedliwia swoje postępowanie. Nie chciałam nic o tym wiedzieć.

W dniu aukcji obudziłam się wcześnie. Gdyby to było w Lyme, wstałabym i usiadła przy oknie z widokiem na Golden Cap, ale w domu brata krępowałam się zakłócać spokój z samego rana. Leżałam zatem w łóżku i patrzyłam w sufit, starając się nie wiercić i nie zbudzić Louise.

Potem usiadłam razem z siostrami w salonie i zaczęłyśmy przeglądać listę zakupów już zrobionych i pozostałych do zrobienia — pod koniec tygodnia miałyśmy bowiem wracać do domu. Podczas pobytu w Londynie zawsze kupowałyśmy rzeczy niedostępne w Lyme: porządne rękawiczki i kapelusze, solidne trzewiki, książki, materiały malarskie i papier dobrej jakości. Byłam roztrzęsiona i podenerwowana, jakbym czekała na przybycie gości. Koło nas kręciła się trójka dzieci. Ich zabawy działały mi na nerwy i w końcu zbesztalam Francisa za to, że głośno się śmiał. Wszyscy na mnie spojrzeli, a bratowa zapytała, czy coś mi dolega.

— Boli mnie głowa. Pójdę odpocząć. — Wstałam, nie zwracając uwagi na okazywane mi zatroskanie. — Wystarczy

trochę snu i to minie. Nie budźcie mnie, gdy będziecie siadały do obiadu albo wychodziły z domu. Później zejść na dół.

Wróciwszy do swojego pokoju, siedziałam przez kilka minut na krześle, czekając, aż głowa nadaży za decyzją serca. Następnie zaciągnęłam kotary i ułożyłam poduszki pod pościelą w taki sposób, by osoba zaglądająca przez drzwi widziała w mroku zarys śpiącej postaci. Spostrzegawcza Louise pewnie by się nie nabrała, ale może zlitowałaby się nade mną i nie pisnęła nikomu słowa.

Włożyłam budkę i płaszcz z pelerynką, po czym chyłkiem zeszłam na parter. Słyszałam brzdęk garnków i głos kucharki z kuchni na dole oraz śmiech dzieci na górze. Miałam nieczyste sumienie — i było mi trochę głupio — że wykradam się z domu. Nigdy dotąd nie zrobiłam czegoś takiego i teraz, mając czterdzieści jeden lat, czułam się niepoważnie. Należało po prostu powiedzieć, że wybieram się na aukcję, i umówić się na przykład z Henrym De La Beche, który byłby stosownym opiekunem. Wiedziałam jednak, że nie zniosę pytań, tłumaczenia się i usprawiedliwiania. Wcale nie byłam pewna, czy umiałabym wyjaśnić, dlaczego muszę iść na tę aukcję. Nie zamierzałam uczestniczyć w licytacji — nie liczne okazy skamieniałych ryb, które zgromadził pułkownik, nie dorównywały moim — i na pewno byłabym przygnębiona, widząc, że owoce ciężkiej pracy Mary są rozprzedawane w sposób tak bezduszny. Mimo to czułam, że muszę być świadkiem tego doniosłego wydarzenia. Przecież sam wielki Cuvier być może stanie się wkrótce właścicielem któregoś ze znalezisk Mary, choć nawet nie

wie, że to ona je znalazła. Ze względu na Mary musiałam tam być.

Gdy pociągnęłam ciężkie drzwi frontowe, usłyszałam skrzypnięcie za plecami i znieruchomiałam. Wytłumaczywszy się jasno i wyraźnie bólem głowy, co ja teraz powiem służbie albo swoim siostram, jeśli mnie przyłapią?

Mój bratanek Johnny wpatrywał się we mnie ze schodów. Po chwili przyłożyłam palec do ust. Johnny zrobił wielkie oczy, ale kiwnął głową. Wolno zszedł po stopniach.

— Dokąd idziesz, ciociu? — szepnął.

— Muszę załatwić pewną sprawę. To sekret. Wyjaśnię ci później, obiecuję, jeśli ty mi obiecasz, że nikomu nie powiesz o moim wyjściu. Dochowasz tajemnicy?

Kiwnął głową.

— Świetnie. A co ty tu robisz?

— Mam przekazać kucharce wiadomość o zupie.

— No to idź. Do zobaczenia.

Johnny podszedł do schodów prowadzących na dół do kuchni, po czym przystanął, patrząc, jak wymykam się z domu. Nie byłam pewna, czy dotrzyma słowa, ale musiałam mu zaufać.

Zamknęłam za sobą drzwi, zbiegłam po stopniach i oddaliłam się szybkim krokiem, nie sprawdzając, czy ktoś stoi w którymś z okien. Nie zwalniałam do najbliższej przecznicy. Dopiero za rogiem, gdy dom mego brata był już niewidoczny, przystanąłam, przyłożyłam chusteczkę do ust i zrobiłam duży wdech. Byłam wolna.

A przynajmniej tak sądziłam. Ruszyłam Great Russell Street, minęłam Muzeum Brytyjskie i wtedy uprzytomniłam sobie, że inne kobiety chodzą w grupach, po dwie albo

więcej, z pokojówkami lub mężami, z ojcami lub przyjaciółmi. Jeśli nie liczyć widocznych tu i tam służących, tylko mężczyźni chodzili samotnie. Choć często szłam sama uliczkami Lyme, w Londynie jeszcze mi się to nie zdarzyło; zawsze były przy mnie siostry albo brat, przyjaciele czy służąca. W Lyme mniej się przejmowano takimi konwenansami, ale tu wymagano, by damie, która miała taką pozycję społeczną jak ja, ktoś towarzyszył. Zdałam sobie sprawę, że przyglądają mi się zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ponieważ się wyróżniam. Ni stąd, ni zowąd poczułam się tak, jakbym była pozbawiona osłony, otoczona zimnym, nieruchomym, pustym powietrzem, jakbym szła z zamkniętymi oczami i mogła na coś wpaść. Minęłam mężczyznę, który zwrócił na mnie błyszczące czarne oczy, i następnego, który najwyraźniej chciał się ukłonić, ale gdy dostrzegł moją niezbyt ładną, starzejącą się twarz, szybko odszedł.

Zamierzałam pójść do Muzeum Bullocka pieszo, ale widząc, jak zostałam przyjęta na dość spokojnej, znajomej Great Russell Street, jasno zrozumiałam, że nie mogę samotnie przejść przez Soho na Piccadilly. Rozejrzałam się za dorożką, ale żadnej nie było, a raczej żadna się nie zatrzymywała, gdy unosiłam rękę. Może woźnice nie wypatrywali kobiet, ponieważ tak się nie zachowywały.

Zastanawiałam się, czy nie poprosić o pomoc któregoś z panów, ale zraziły mnie ich natarczywe spojrzenia. W końcu zawołałam chłopca, który biegł za końmi, zbierając łajno, i obiecałam mu pensa, jeśli znajdzie mi dorożkę. Czekanie na niego było poniekąd jeszcze gorsze, gdyż stojąc w miejscu, bardziej zwracałam na siebie uwagę. Mężczyźni przemykali obok mnie, przyglądając mi się

i szepcząc coś do siebie. Jakiś pan zapytał, czy zabłądziłam; inny zaproponował, że zabierze mnie swoim powozem. Możliwe, że obaj szczerze oferowali pomoc, ale wtedy już wszyscy wydawali mi się groźni. Podczas tych kilku minut spędzonych samotnie na londyńskich ulicach, jak jeszcze nigdy dotąd nie mogłam ścierpieć tego, że jestem kobietą, i jednocześnie nie cierpiałam mężczyzn.

Gdy chłopiec wreszcie przyprowadził dorożkę, z radości wręczyłam mu dwa pensy. W środku unosił się nieprzyjemny zapach i było duszno, ale za to ciemno, cicho i pusto. Usiadłam wygodnie i zamknęłam oczy, teraz naprawdę odczuwając ból głowy.

Ponieważ późno zdecydowałam się iść do Muzeum Bullocka, a na dodatek tyle czasu zajęło mi znalezienie dorożki, dotarłam na miejsce, gdy aukcja już się toczyła. Sala pękała w szwach, wszystkie miejsca były zajęte, z tyłu ludzie stali w dwóch rzędach. Teraz mogłam skorzystać z tego, że jestem kobietą— żaden mężczyzna nie siedziałby, widząc stojącą damę. Zaproponowano mi kilka miejsc i przyjąłam to w tylnym rzędzie. Mój sąsiad skinął mi sympatycznie głową na znak wspólnoty zainteresowań. Miałam wrażenie, że teraz, mimo iż nie towarzyszył mi brat, mniej rzucałam się w oczy, gdyż wszyscy skupili się na licytacji prowadzonej w przedniej części sali.

Pan Bullock, mocno zbudowany mężczyzna z grubą szyją, stał przy pulpicie. Odgrywał rolę licytatora z takim zaangażowaniem, jakby występował na scenie; przeciągał słowa i wymachiwał teatralnie rękami. Zdołał zafrapować licytantów nawet niewyczerpanym zbiorem liliowców. Zdziwiła mnie mnogość tych okazów w katalogu. Pułkownik Birch

kolekcjonował je z ogromnym zapałem, uznałam więc, że musi być bardzo zadłużony, skoro rozstaje się i z nimi, i z ichtiozaurem.

— Zdaniem państwa ten ostatni okaz był wspaniały? — zawołał pan Bullock, podnosząc następnego liliowca. — Proszę zatem spojrzeć na to чудо. Widzicie? Ani jednego pęknięcia, ani jednej szczyrby, forma tajemnicza w swej doskonałości. Któż by się oparł jej kobiecemu urokowi? Nie ja, panie i panowie, nie ja. Na potwierdzenie zrobię coś wielce nieoczekiwanego: sam rozpocznę licytację od dwóch gwinei. Cóż znaczą dwie gwinee, jeśli sprezentuję żonie i sobie to wspaniałe świadectwo piękna przyrody? Czy ktoś odbierze mi ten skarb? Słucham? Szanowny pan? Jak pan śmie? Będzie pan musiał zgłosić dwa funty i dziesięć szylingów, zgoda? Niech i tak będzie. Nie mogę rywalizować z tymi dżentelmenami o to чудо. Mam tylko nadzieję, że żona mi wybaczy. Wiadomo przynajmniej, że cel jest szlachetny. Nie zapominajmy, po co tu przyszliśmy.

Jego sposób prowadzenia aukcji odbiegał od przyjętych norm. Byłam przyzwyczajona do tego, że podczas sprzedaży wyposażenia domów w Lyme licytatorzy mówili powściągliwie, tonem łagodniejszym i spokojniejszym. Ale tam szły pod młotek mahoniowe stoliki i porcelana, a nie kości pradawnych zwierząt. Być może przyjęcie odmiennego tonu było w tym wypadku konieczne. I przyniosło efekty. Pan Bullock sprzedał wszystkie liliowce, wszystkie zęby rekina i wszystkie amonity — i to drożej, niż się spodziewałam. W istocie licytanci byli zdumiewająco szczodrzy, zwłaszcza gdy zaczęła się sprzedaż części ciała ichtiozaurów: czaszek, szcęk i kręgów. Wtedy włączyli się do licytacji znajomi

mi panowie. Wielebny Conybeare nabył cztery duże, zrosnięte ze sobą kręgi. Charles Konig zakupił szczękę dla Muzeum Brytyjskiego. William Buckland spełnił swą misję i kupił fragment czaszki ichtiozaura do kolekcji barona Cuviera w Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu, a prócz tego kość udową. Ceny były dość wysokie: dwie gwinee, pięć gwinei, dziesięć funtów.

Jeszcze dwukrotnie pan Bullock przypomniał o szczytnym celu, jaki przyświeca tej aukcji. Słyszając to, wprost nie mogłam usiedzieć. Byłam oburzona, że napełnianie kieszeni pułkownika Bircha nazywa się szczytnym celem, i chciałam uciec z sali, widząc, jakim poważaniem cieszy się ten człowiek. Ale gdybym wstała i zaczęła przeciskać się przez mur mężczyzn z tyłu sali, zwróciłabym na siebie większą uwagę, niż dałabym radę znieść, i dlatego — zważywszy również, ile trudu kosztowało mnie przybycie tutaj — zostałam na miejscu, gotując się ze złości.

— Pułkownik Birch dokonał czegoś zupełnie niezwykłego — przyciszonym głosem odezwał się do mnie mój sąsiad, gdy ogłoszono krótką przerwę.

Kiwnęłam głową. Choć nie podzielałam jego podziwu, nie chciałam debatować o charakterze pułkownika z obcym człowiekiem.

— Taka hojność — dodał.

— Co pan ma na myśli? — zapytałam, lecz on nie usłyszał, gdyż w tej samej chwili pan Bullock ryknął niczym konferansjer cyrkowy.

— A teraz najwspanialszy i najbardziej niezwykły okaz z kolekcji pułkownika Bircha! Wyjątkowo zagadkowe zwierzę gości pod dachem Bullocka. Jego brat zaszczycał

muzeum swoją obecnością przez kilka lat, wywołując zachwyt rzeszy zwiedzających. Nazywaliśmy go wówczas krokodylem, ale potem najtęższe umysły w naszym kraju przeprowadziły staranne badania i stwierdziły, że jest to zupełnie inne zwierzę, jakiego dotąd nie widziano nigdzie na świecie. Widzieli państwo części jego ciała: kręgi, żebra, szczęki i czaszki, które dzisiaj znalazły nabywców. Teraz zobaczą państwo, jak te wszystkie części składają się na pełną, doskonałą, wspaniałą całość. Panie i panowie, oto ichtiozaur Bircha!

Tłum wstał, gdy wnoszono oprawiony okaz. Ja też podniosłam się i wyciągałam szyję, żeby coś zobaczyć, a przecież dokładnie obejrzałam to stworzenie w warsztacie Anningów. Z taką siłą pan Bullock oddziaływał na widzów. Nie tylko na mnie. William Buckland też wyciągał szyję, podobnie jak Charles Konig, Henry De La Beche i wielbny Conybeare. To zwierzę rzuciło urok na nas wszystkich.

Ichtiozaur rzeczywiście prezentował się wspaniale. W sztucznej scenerii Londynu, w pomalowanym na żywe kolory i elegancko umeblowanym wnętrzu, które całkowicie różniło się od Lyme z jego ostrym morskim powietrzem i groźnymi odgłosami natury, wyglądał jeszcze dziwniej, zupełnie nie na miejscu, jakby z innego świata — starszego, surowszego i bardziej obcego. Trudno było sobie wyobrazić, że takie stworzenie kiedykolwiek żyło w świecie ludzi albo stanowiło ogniwo w Arystotelesowskim wielkim łańcuchu bytu.

Po szybkiej licytacji ichtiozaur przeszedł na własność Królewskiego Kolegium Chirurgów za sumę stu funtów. Mary się ucieszy, pomyślałam, a może — co bardziej

prawdopodobne — wpadnie w złość na myśl, że pozbawiono ją takich pieniędzy.

Ichtiozaur był ostatnią pozycją aukcji. Już półtorej godziny spędziłam poza domem; jeśli szybko znajdę dorożkę, może uda mi się wrócić do sypialni, zanim ktokolwiek zauważy moją nieobecność. Wstałam, zamierzając chyłkiem opuścić salę, tak by nie zobaczyli mnie znajomi panowie. Ale akurat wtedy pułkownik Birch również postanowił opuścić swoje miejsce w pierwszym rzędzie. Podeszedł do pulpitu i zawołał, przekrzykując gwar: „Panowie! Panowie... i panie” — w tym momencie bowiem jego wzrok padł na mnie. Znieruchomiałam.

— Jestem do głębi poruszony panów zainteresowaniem i hojnością. Jak już informowałem — mówił dalej, sięgając spojrzeniem w głąb sali i przygważdżając mnie do krzesła, żebym w końcu wysłuchała, co ma mi do powiedzenia — sprzedałem na licytacji swoją kolekcję skamieniałości, żeby zebrać pieniądze dla bardzo zacnej rodziny Anningów z Lyme.

Spłoszyłam się niczym zaniepokojony koń, ale na szczęście nie wyrwał mi się z gardła stłumiony okrzyk.

— Panów uprzejmy respons świadczy o wyjątkowej szczodrości. — Pułkownik nie odrywał oczu od mojej twarzy, jakby chciał mnie uspokoić. — Jednego nie powiedziałem wcześniej, panie i panowie. A mianowicie, że to córka Anningów, Mary, znalazła większość okazów z mojej kolekcji, także sprzedanego dopiero co ichtiozaura. Jest ona... — przerwał na chwilę — ...chyba najbardziej nadzwyczajną młodą kobietą, jaką miałem zaszczyt poznać, obracając się w świecie znawców skamieniałości. Okazywała

mi pomoc i pewnie będzie okazywać ją panom. Podziwiając nabyte dzisiaj okazy, proszę pamiętać, że to ona je znalazła. Bardzo państwu dziękuję.

Gdy szmer głosów niósł się po sali, pułkownik Birch skinął mi głową, po czym odsunął się na bok i zniknął w gęstwinie fraków i cylindrów. Zaczęłam przeciskać się do wyjścia. Spojrzenia wszystkich panów stojących opodal skierowały się na mnie — patrzyli nie tak jak tamci na ulicy, lecz z ciekawością dowodzącą światlejszych umysłów.

— Proszę wybaczyć, czy panna Anning? — zapytał jakiś pan.

— Nie, nie — odparłam, kręcąc energicznie głową. Dostrzegłam wyraz zawodu na jego twarzy i poczułam, jak targa mną gniew. — Nazywam się Elizabeth Philpot — oświadczyłam. — Kolekcjonuję skamieniałe ryby.

W gwarze głosów powtarzających: „Mary Anning, Mary Anning” nie wszyscy usłyszeli moją odpowiedź. Kiedy poczułam na ramieniu dotyk czyjejś ręki, nie odwróciłam się, tylko dalej torowałam sobie drogę w tłumie mężczyzn, aż wreszcie wyszłam na ulicę. Panowałam nad swoimi emocjami do czasu, gdy szczęśliwie znalazłam się w dorożce jadącej Piccadilly w stronę centrum i nikt nie mógł mnie zobaczyć. I wtedy się rozpłakałam — ja, która nigdy nie płacze. I to wcale nie z powodu Mary. Płakałam nad samą sobą.

7

Jak morze, gdy zalewa plażę,
a potem się cofa

Wciąż pamiętam, kiedy dokładnie przyszedł od niego list: dwunastego maja tysiąc osiemset dwudziestego roku. Joe zapisał to w katalogu, ale i tak bym zapamiętała.

Wtedy już nie spodziewałam się żadnej wiadomości. Od jego wyjazdu minęło wiele miesięcy. Powoli zapominałam, jak wyglądał, jak chodził, co mówił i jak brzmiał jego głos. Nie rozmawiałam o nim z Margaret Philpot ani nie pytałam panny Elizabeth, czy słyszała coś od innych panów, którzy szukali skamieniałości. Nie nosiłam medalionu, schowałam go i nie wyjmowałam — przestałam oglądać i gładzić pukiel jego gęstych włosów.

Na poszukiwania też już nie chodziłam. Coś mi się stało. Nie znajdowałam dziwów. Gdy byłam na plaży, snułam się jak ślepiec. Nic nie błyszczało; nie uderzały we mnie małe pioruny; żadne wzory nie wyróżniały się z mieszaniny kształtów.

Próbowano mi pomóc — mama, panna Philpot. Nawet Joe odrywał się od tapicerstwa i chodził ze mną nad morze, choć wiedziałam, że wolałby zostać pod dachem i objąć

krzesła. A gdy przyjeżdżał tu pan Buckland, który nigdy nie widział, co się dzieje z człowiekiem, i on traktował mnie życzliwie: naprowadzał na okazy, które sam znalazł, pokazywał, gdzie powinniśmy szukać, był przy mnie więcej niż dotąd — właściwie robił wszystko, co dawniej ja zwykle robiłam dla niego w czasie poszukiwań. Zabawiał mnie historyjkami o tym, jak to podróżował z wielebnym Conybeare'em po kontynencie i jakie figle wyprawiał w Oksfordzie — trzymał w mieszkaniu oswojonego niedźwiedzia, a gdy odwiedzali go inni profesorowie, ubierał zwierzaka i przedstawiał gościom. Albo jak przyjaciel przywiózł mu raz z podróży krokodyla w solance i pan Buckland musiał dopisać nowego członka królestwa zwierząt do listy degustowanych mięs. Nie mogłam pohamować uśmiechu, słysząc te opowiadki.

Był jedyną osobą, której choć na krótko udawało się przebić przez mgłę. Mówił o tym, jak to przez lata natrafialiśmy na szczątki, które nie pasowały do ichtka: szersze i masywniejsze kręgi albo bardziej płaskie kości płetw. Pewnego dnia pokazał mi kręg z kawałkiem żebra, które było umocowane niżej niż u ichtka.

— Wiesz co, Mary? Wydaje mi się, że gdzieś tu tkwi jeszcze inne zwierzę — powiedział. — Ma kręgosłup, żebra i płetwy jak ichtiozaur, ale z budowy bardziej przypomina krokodyla. Gdyby tak znaleźć następne boże stworzenie! To by dopiero było.

Na chwilę rozjaśniło mi się w głowie. Patrzyłam na dobrotliwą twarz pana Bucklanda, jeszcze okrągłą i pulchniejszą niż na początku naszej znajomości, na jego błyszczące oczy i czoło zmarszczone od różnych teorii i już

miałam powiedzieć: też mi się tak wydaje. Od lat zastanawiam się, czy nie ma nowego potwora. Ale się nie odezwała, bo znów myśli mi się zmaciły jak woda mułem.

Mama i Joe chodzili na poszukiwania, a ja zostawałam w domu, żeby pilnować kramu. Zdumiałam się, gdy mama poszła z Joem pierwszy raz pod Black Ven. Przed wyjściem dziwnie na mnie popatrzyła, ale nic nie powiedziała. Dotąd tylko od czasu do czasu szła ze mną na plażę i zawsze wołała dotrzymywać mi towarzystwa, niż samej szukać skamielin. Była dobra w sprawach handlowych — słała listy do kolekcjonerów, dopominała się o zapłatę, opisywała okazy do kupienia, a gdy sprzedawała towar klientom naszego kramu, udawało jej się namówić ich, żeby kupili więcej, niż zamierzali. Nigdy nie szukała dziwów sama. Nie miała do tego ani oka, ani cierpliwości. A przynajmniej tak mi się zdawało. Nie mogłam się nadziwić, gdy po kilku godzinach wrócili do domu i mama, cała zadowolona z siebie, podała mi koszyk ciężki od znalezisk. Były tam głównie kamienie węzowe i strzałki piorunowe, które początkujący wypatrują najłatwiej, bo ich równe linie odróżniają się od kamieni. Ale znalazła również kilka liliowców, uszkodzonego jeżowca i, co najbardziej zaskakujące, kawałek kości łopatkowej ichtka. Za samą kość mogliśmy dostać trzy szylingi i przez tydzień mieć co jeść.

Gdy mama poszła do wygodki, zapytałam Joego, dlaczego włożył swoje okazy do koszyka mamy i udaje, że to ona je znalazła. Pokręcił głową.

— Gdzie tam. Nie wiem, jak ona to robi. Szuka na chybił trafił, ale i tak coś wypatrzy.

Potem mama powiedziała mi, że dogadała się z Panem

Bogiem: jeżeli On pokaże jej, gdzie są dziwy, to ona już nigdy nie będzie wątpić w słuszność Jego wyroków, co przez te wszystkie lata robiła wiele razy, przybita zgonami w rodzinie i rosnącymi długami.

— Na pewno mnie wysłuchał — orzekła mama — bo znalazłam je bez trudu. Po prostu leżały na plaży i wystarczyło je tylko podnieść. Nie rozumiem, dlaczego robiłaś tyle szumu wokół tych swoich wypraw i dlaczego zajmowało ci to całe dni. Znajdowanie dziwów to nie jest taka wielka rzecz.

O mało się z nią nie posprzeczałam, ale uznałam, że nie powinnam się wymądrzać, skoro przestałam chodzić na poszukiwania. A mama za każdym razem rzeczywiście wracała z pełnym koszykiem. Miała dobre oko, tylko nie chciała tego przyznać.

Wszystko zmieniło się dwunastego maja tysiąc osiemset dwudziestego roku. Stałam przy naszym kramie i pokazywałam lilie morskie jakiejś parze z Bristolu, gdy przyszedł chłopak z przesyłką dla Joego. Kazał zapłacić za nią szylinga, bo była grubsza niż normalny list. Nie miałam pieniędzy i byłabym odesłała chłopaka, ale poznałam charakter pisma, który od tylu miesięcy chciałam zobaczyć. Wiedziałam, że to jego pismo, ponieważ tak jak nauczyła mnie panna Elizabeth, pokazałam mu, jak robić etykiетки do każdego znaleziska: opisać okaz, podać nazwę linneańską, jeśli jest znana, datę, miejsce i warstwę skalną oraz inne przydatne informacje.

Wyrwałam chłopakowi paczuszkę i wbiłam w nią wzrok. Dlaczego była zaadresowana do Joego? Nigdy nie traktowali się zbyt przyjaźnie. Dlaczego nie napisał do mnie?

— Nie dostaniesz, jeżeli nie zapłacisz, Mary — upierał się chłopak, próbując zabrać paczuszkę.

— Teraz nie mam szylinga, ale go zdobędę. Nie możesz mi dać i zapłacę później?

W odpowiedzi znowu chciał zabrać mi przesyłkę, ale przycisnęłam ją do piersi.

— Nie oddam. Czekał na to od miesiący.

— Pewnie od ukochanego, co? — naśmiewał się. — Tego starucha, co to łąziłaś z nim, a on cię zostawił, zgadza się?

— Zamknij jadaczkę! — warknęłam i odwróciłam się do kupującego, dobrze wiedząc, że takie awantury w obecności klientów źle wpływają na interesy. — Przepraszam wielmożnego pana. Czy pan już wie, co chce kupić?

— O tak — odpowiedziała pani w imieniu swego męża. — Weźmiemy krynoidy za szylinga.

Z uśmiechem wręczyła mi monetę.

— Och, bardzo dziękuję wielmożnej pani. Bardzo dziękuję. — Dałam szylinga chłopakowi. — Jazda stąd!

Odchodząc, zrobił ordynarny gest, więc znów musiałam przeproszać kupujących. Pani, choć tak życzliwa, gdy chodziło o list, nie śpieszyła się z wyborem krynoidów. Ledwie się pohamowałam, żeby nie okazać zniecierpliwienia. Potem zawinęłam okazy w papier, a pan chciał, żeby jeszcze zawiązać sznurkiem, ale sznurek zaczął się supłać i myślałam, że zwariuję, robiąc paczkę. W końcu udało mi się i państwo poszli, a pani na odchodne szepnęła do mnie:

— Mam nadzieję, że dostałaś dobre wieści.

Zesłam do warsztatu i usiadłam w pyle i kurzu, trzymając przesyłkę na kolanach. Raz jeszcze przeczytałam adres:

„WP Joseph Anning, sklep ze skamieniałościami, Cockmoile Square, Lyme Regis, Dorsetshire”. Dlaczego napisał do mojego brata? Dlaczego wysłał paczuszkę zawiniętą w papier pakowy, a nie list? Co takiego pułkownik Birch chciał przekazać mojemu bratu?

Dlaczego nie przekazał tego mnie?

Wiedziałam, że zbliża się przypływ i Joe wróci z mamą za pół godziny. Nie miałam pojęcia, jak zdołam doczekać ich powrotu. To było nie do wytrzymania nawet przez tak krótki czas.

Popatrzyłam na przesyłkę. Odwróciłam ją, policzyłam do trzech i złamałam pieczęć. Joseph się zezłości, ale trudno. Byłam pewna, że ta paczuszka i tak jest przeznaczona dla mnie.

W środku znajdował się złożony list i broszura wielkości zeszytu, jaki miałam w szkółce niedzielnej, gdy uczyłam się liter. Na wierzchu było napisane:

Katalog

*niedużej, choć znakomitej kolekcji
skamieniałości organicznych
z osadów błękitnego liasu
w okolicach Lyme i Charmouth w Dorsetshire,
składającej się w głównej mierze z kości
pokazujących szkielet ichtiozaura,
zwanego również proteozaurom,
oraz z liliowców zaliczanych do zwierzokrzewów,
będącej niekwestionowaną własnością
pułkownika Bircha
i zgromadzonej znacznym kosztem,*

*wystawionej na sprzedaż podczas aukcji,
którą poprowadzi pan Bullock w swoim Domu Egipskim
przy Piccadilly
w poniedziałek 15 maja roku 1820,
z wybiciem godziny pierwszej*

Patrzyłam na kartkę papieru i tak naprawdę nic do mnie nie docierało. Dopiero gdy przejrzałam katalog i przeczytałam spis okazów, z których każdy stawał mi przed oczami, jak również miejsce, gdzie został znaleziony, zaczęłam rozumieć, o co chodzi. Pułkownik Birch sprzedawał wszystkie dziwy, co do jednego, które ja ciężką pracą dokładałam do jego kolekcji tylko po to, żeby z zadowoleniem pomyśleć, że będzie brał je do ręki. Masę liliowców, które tak uwielbiał, kamienie węzowe i fragmenty homarów, rybę, którą właściwie powinnam była dać Elizabeth Philpot, tego dziwnego owada pokrytego skorupą, którego widziałam po raz pierwszy w życiu i którego dokładnie obadałabym pod szkłem powiększającym sióstr Philpot, gdyby pułkownik nie chciał koniecznie go mieć. Te kawałki ichtka — szczęki i zęby, i oczodoły, i kręgi — wszystkie niedługo ulegną rozproszeniu.

No i oczywiście sprzedawał ichtka, najdoskonalszy okaz, jaki widziałam. Dzień w dzień siedziałam do późna w nocy, żeby go oczyścić i jak najlepiej oprawić. Zrobiłam to dla pułkownika, a teraz on go sprzedaje, tak jak dziedzic Henley sprzedał mojego pierwszego ichtka. A pan Bullock znowu ma w tym swój udział. W głowie tak huczało mi od myśli, że mało nie pękła. Ścisnęłam obiema rękami katalog i najchętniej porwałabym go na strzepy. I pewnie tak bym

zrobiła, gdyby został wysłany do mnie, a nie do Joego. Podarłabym i wrzuciła w ogień, katalog razem z listem.

List. Jeszcze go nie otworzyłam. Czułam taki ból za oczami, że nie wiedziałam, czy zdołam cokolwiek dojrzeć. Ale rozłożyłam i wyprostowałam kartkę, przetarłam oczy, mój wzrok spoczął na jego słowach. Zaczęłam czytać.

Skończyłam ze ściśniętym gardłem, nie mogłam przełykać. Twarz miałam rozpaloną, jakbym wbiegła na samą górę Broad Street. Kiedy mama weszła z Joem do domu, szlochałam tak okropnie, że serce mało mi nie pęknąć.

Z Londynu kursowały trzy dylizanse w tygodniu i każdy przywoził nowe wiadomości, które coraz bardziej wyjaśniały zagadkowe tamtejsze wydarzenia.

Najpierw pojawiła się gazeta. Zwykle nie było pieniędzy na coś takiego, ale mama przyniosła ją do domu.

— Trzeba się dowiedzieć, czy nas na nią stać. — W ten sposób rozumowała.

Z trudem przewracałam stronicę, tak trzęsły mi się ręce. Na trzeciej stronie znalazłam wiadomość i przeczytałam ją mamie i Joemu.

Wczorajsza aukcja skamieniałości należących do ppłk. Thomasa Bircha, do niedawna oficera królewskiej gwardii przybocznej, prowadzona przez pana Bullocka w jego Domu Egipskim przy Piccadilly, przyniosła ponad £400. W kolekcji znajdował się znakomity i rzadki okaz ichtiozaura, który zakupiło Królewskie Kolegium Chirurgów za sumę £100. Ppłk Birch ogłosił,

że uzyskana kwota będzie przekazana rodzinie Annin-
gów z Lyme Regis, którzy pomagali zgromadzić okazy
do tej kolekcji.

Wiadomość była krótka, ale wystarczająca. Gdy zobaczy-
łam to na papierze, zlodowaciały mi ręce.

Mama zwykle była ostrożna z pieniędzmi. Dopiero gdy
miała je w kieszeni, zaczynała coś planować. Ale skoro
napisano o nich w gazecie, uznała, że na pewno przyjdą,
i zaczęła zastanawiać się razem z Joem, co z nimi zrobić.

— Spłacimy długi — powiedział Joe. — A potem
pomyślimy o kupnie domu gdzieś wyżej, żeby nas nie
zalewało.

Dom przy Cockmoile Square był regularnie podtapiany
albo od strony rzeki, albo od strony morza.

— Nie śpieszy mi się z przeprowadzką — oświadczyła
mama — ale na pewno przydałyby się nowe meble. A potem
ty będziesz potrzebował pieniędzy, żeby otworzyć porządny
warsztat tapicerski.

Gadali o tym na okrągło, snuli plany, które tydzień
wcześniej byłyby nie do pomyślenia, zachłystywali się tym,
że mogą się wypiąć na przytułek, jak mówiła mama.
Zabawne, że tak szybko przestali żyć jak biedacy i zaczęli
myśleć jak bogacze. Nie wtrącałam się do ich rozmów, a oni
tego nie oczekiwali. Wiadomo było, że dostajemy pieniądze
dzięki mnie. Zrobiłam swoje i niczym królowa mogłam się
rozciąść i patrzeć, jak moi dworzanie załatwiają sprawy.

I tak nie chciało mi się rozmawiać, bo nie miałam teraz
głowy do obmyślenia planów. Najchętniej uciekłabym na
klif i w samotności rozmyślała o pułkowniku i o znaczeniu

tego, co zrobił. Chciałam znów przeżywać jego pocałunek, przypominać sobie każdy rys jego twarzy, jego głos i to, co do mnie mówił i jak na mnie patrzył, i każdy dzień spędzony razem. Takie myśli mnie nawiedzały, gdy siedziałam przy naszym jedynym stole. Pewnie niedługo miałam przy nim siedzieć, jeżeli mama dopnie swego i kupimy mahoniowy stół jadalny z krzesłami, który będzie mógł konkurować ze stołem dziedzica Henleya.

Wyjęłam medalion i znów zaczęłam go nosić — pod ubraniem. Ani z mamą, ani z Joem nie chciałam rozmawiać o pułkowniku, bo nie wiedziałam, jakie ma wobec mnie zamiary. Nie napisał o tym w liście, który skierowany był przecież do Joego jako głowy rodziny i dlatego brzmiał oficjalnie, a nie czule. Pułkownik zamierzał załatwić sprawę jak należy. Jaki mężczyzna dałby rodzinie czterysta funtów, nie mając poważnych zamiarów?

W dniu gdy miał przyjechać następny dylizans z Londynu, powędrowałam do Charmouth, żeby na niego czekać. Od jakiegoś czasu znowu zaczęłam szukać dziwów. Gdy zbliżała się pora przyjazdu dylizansu, poszłam pod górę na uliczkę, gdzie miał postój. Mamie ani Joemu nic nie mówiłam. Nie zastanawiałam się, co zrobię, gdy zobaczę pułkownika. Po prostu poszłam i usiadłam przed gospodą Queen's Arms, czekając razem z ludźmi, którzy chcieli przywitać nowo przybyłych albo zabrać się do Exeter. Czułam na sobie dziwne spojrzenia, ale to nie było nic nowego, tyle że zamiast szyderstw widziałam na twarzach zdumienie i szacunek, z którymi nie spotkałam się od znalezienia ichtiozaura. Już się rozeszły wieści o naszym bogactwie.

Gdy pokazał się dyliżans, mój żołądek zaczął się trzepotać jak ryba rzucona na dno łodzi. Wydawało mi się, że minął rok, nim dyliżans przejechał przez miasteczko długą drogą prowadzącą pod górę. W końcu stanął, otworzyły się drzwi, a ja zamknęłam oczy i próbowałam uspokoić serce, które miałam teraz w żołądku, gdzie rzucały się już dwie ryby.

Najpierw wysiadła Margaret Philpot, potem panna Louise, na końcu panna Elizabeth. Nie spodziewałam się ich przyjazdu. Zwykle pisały najpierw list z wiadomością, którym dyliżansem przyjadą. Tym razem nie dostałam listu. Przeleciało mi przez myśl, że być może wysiądzie również pułkownik, ale zaraz uprzytomniłam sobie, że panna Elizabeth nie wsiadłaby z nim do tego samego pojazdu.

Jeszcze nigdy nie byłam taka zawiedziona.

Ale siostry Philpot były moimi przyjaciółkami, więc podeszłam się przywitać.

— O, Mary! — wykrzyknęła panna Margaret, rzucając mi się na szyję. — Nie uwierzysz, jakie przywozimy dla ciebie wiadomości! To oszałamiające! Aż trudno mi mówić! — Przyłożyła chusteczkę do ust.

Ze śmiechem uwolniłam się z jej objęć.

— Wiem, panno Margaret. Już wiem o aukcji. Pułkownik Birch napisał do Joego. No i widzieliśmy tę wiadomość w gazecie.

Zrzedła jej mina. Miałam trochę wyrzutów sumienia, że pozbawiłam ją przyjemności poinformowania mnie o tak wstrząsającym i wspaniałym wydarzeniu. Panna Margaret szybko doszła do siebie.

— Och, Mary, wreszcie los się odwrócił. Cieszę się razem z wami!

Panna Louise też uśmiechnęła się promiennie, a panna Elizabeth powiedziała tylko: „Miło cię widzieć, Mary” — i cmoknęła powietrze przy moim policzku.

Jak zawsze pachniała rozmarynem, nawet po dwóch dniach jazdy dyliżansem.

Gdy siostry Philpot razem z bagażami znalazły się na wozie jadącym dalej do Lyme, panna Margaret zawołała:

— Nie pojedziesz z nami?

— Nie mogę. — Kiwnęłam głową w stronę plaży. — Muszę zbierać dziwy.

— Wobec tego odwiedź nas jutro!

Pomachały na pożegnanie i zostawiły mnie samą w Char-mouth. Dopiero wtedy poczułam, jak bardzo jestem zawiedziona, że pułkownik nie przyjechał. Poszłam z powrotem na plażę, nie mogąc otrząsnąć się z przygnębienia, jakby to nie moja rodzina otrzymała nagle czterysta funtów.

— Przyjedzie następnym dyliżansem — powiedziałam głośno, żeby się pocieszyć. — Przyjedzie i będę go miała dla siebie.

. . .

Gdy siostry Philpot zapraszały mnie w odwiedziny, zwykle szłam od razu. Lubiłam Morley Cottage — ciepły i czysty dom, pełen jedzenia i smakowitego zapachu ciast Bessy, choć ona sama patrzyła na mnie z niezadowoleniem. Roztaczał się stamtąd pokrzepiający na duchu widok na Golden Cap i pas wybrzeża, a do tego można było obejrzeć ryby panny Elizabeth. Panna Margaret zabawiała nas grą na fortepianie, a panna Louise dawała mi kwiaty, żebym zabrała

do domu. Najbardziej lubiłam rozmawiać z panną Elizabeth o skamieniałościach i wspólnie przeglądać książki i artykuły.

Teraz jednak nie chciałam się z nią spotykać. Prawie przez całe moje życie miała na mnie baczenie i okazywała mi przyjaźń, nawet gdy inni się odsunęli. Ale gdy wysiadła z dyliżansu w Charmouth, czułam, że patrzy na mnie z przyganą i wcale nie jest zadowolona, że się znów widzimy. A może nie myślała o mnie, tylko wstydziła się za siebie. I powinna się wstydzić — źle oceniła pułkownika Bircha i na pewno tym się gryzła, choć nie powiedziała by tego otwarcie. Stać mnie było na to, żeby zachowywać się wyrozumiale i nie zwracać uwagi na jej zły humor, bo kochałam mężczyznę, który wydobędzie mnie z biedy i da mi szczęście, a ona nie miała nikogo. Ale nie chciałam, żeby spotkanie z nią zatruło moją radość.

Wynajdowałam różne powody, żeby nie chodzić na Silver Street. A to musiałam szukać dziwów i nadrabiać straty z ostatnich miesięcy. A to koniecznie chciałam wysprzątać dom i przygotować się na wizytę pułkownika Bircha. A to szłam nad Pinhay Bay, żeby znaleźć dla niego liliowca, skoro sprzedał wszystkie okazy ze swojej kolekcji. No i wychodziłam na każdy dyliżans z Londynu, choć już trzy przyjechały bez niego.

Po odjeździe trzeciego dyliżansu wracałam ścieżką na klifie i akurat szłam przez cmentarz przy kościele Świętego Michała, gdy zobaczyłam idącą z przeciwka pannę Elizabeth. Obie trochę podskoczyłyśmy stropione, tak jakby każda wolała zauważyć drugą wcześniej i cofnąć się, żeby nie musieć stanąć i się przywitać.

Panna Elizabeth zapytała, czy byłam na plaży, a ja musiałam się przyznać, że poszłam do Charmouth, nie szukając po drodze skamielin. Wiedziała, że tego dnia przyjeżdża dylżans — po jej twarzy mogłam poznać, że próbuje odgadnąć, po co tam byłam, i stara się ukryć niezadowolenie. Zmieniła temat i zaczęłyśmy rozmawiać o tym, co się działo w Lyme pod jej nieobecność. Byłyśmy jednak skrępowane — co do tej pory zwykle się nie zdarzało podczas naszych spotkań — i szybko umilkłyśmy. Czułam, że jestem sztywna, jakbym za długo siedziała z podwinętą nogą i mi zdrętwiała. Dlatego stałam trochę koślawo. Panna Elizabeth też miała przechyloną głowę, jakby chwycił ją kurcz w szyi na skutek długiej podróży z Londynu.

Już miałam znaleźć jakąś wymówkę i pójść do domu, gdy zauważyłam, że panna Elizabeth podjęła decyzję. Gdy zamierza oznajmić coś ważnego, bardzo często wysuwa brodę i napina szczękę.

— Chcę ci powiedzieć, co się wydarzyło w Londynie, Mary. Ale masz nikomu nie mówić, że wiesz to ode mnie. Ani mamie, ani bratu, a przede wszystkim nie mów moim siostronom, bo nie mają pojęcia, że przy tym byłam.

Zaczęła mówić o aukcji. Opisała ze szczegółami, co sprzedano, kto był obecny i co kupił, i że nawet ten Francuz Cuvier chciał mieć jeden okaz w Paryżu. Powiedziała, że na koniec pułkownik wygłosił oświadczenie dotyczące mnie i ujawnił, że to ja znalazłam te skamieniałości. Gdy tak mówiła, cały czas miałam wrażenie, że słucham wykładu o kimś innym, o jakiejś Mary Anning, która mieszka gdzieś indziej, w innym kraju, na drugim końcu świata, i zbiera wcale nie skamieniałości, tylko motyle albo stare monety.

— Słuchasz mnie, Mary? — zapytała panna Elizabeth, marszcząc czoło.

— Tak, proszę pani, ale chyba nie bardzo rozumiem.

Panna Elizabeth utkwiała we mnie szare oczy, pełne napięcia i powagi.

— Pułkownik Birch mówił o tobie publicznie, podając imię i nazwisko. Polecił cię największym entuzjastom skamieniałości w naszym kraju. Będą tu przyjeżdżać i prosić cię, żebyś zabierała ich na poszukiwania, tak jak zabierałaś pułkownika. Musisz się na to przygotować i uważać, żeby nie... zepsuć sobie jeszcze bardziej reputacji. — Skończyła zdanie z zaciśniętymi ustami, aż dziw, że te słowa w ogóle się wydobyły.

Dotykałam palcami mchów na stojącym obok nagrobku.

— Nie dbam o swoją reputację ani o to, co inni o mnie myślą. Kocham pułkownika Bircha i będę na niego czekać.

— Och, Mary.

Różne uczucia przemykały po twarzy panny Elizabeth — zupełnie jakbym patrzyła na karty wykładane jedna po drugiej — ale przede wszystkim widać było na niej gniew i smutek, a z nich rodzi się zazdrość. I wtedy uprzytomniłam sobie, że panna Elizabeth jest zazdrosna o względy, które okazuje mi pułkownik Birch. A nie powinna być. Bo nigdy nie musiała sprzedać albo spalić swoich mebli, żeby mieć dach nad głową albo ciepło w pokoju. Posiadała w domu wiele stołów, a nie jeden, tak jak my. Nie wychodziła codziennie na dwór, bez względu na to, czy sprzyjała pogoda i dopisywało zdrowie, żeby zbierać dziwy godzinami, aż dostawało się zawrotów głowy. Nie miała odmrożonych rąk i nóg ani pokaleczonych i otartych palców z szarą gliną

za paznokciami. Nie miała sąsiadów obgadujących ją za plecami. Zamiast współczuć, tylko mi zazdrościła.

Zamknęłam na chwilę oczy i wsparłam się o nagrobek.

— Dlaczego nie dzieli pani mojej radości? Dlaczego nie potrafi pani powiedzieć: „Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa”?

— Ja... — Panna Elizabeth nabrała gwałtownie powietrza, jakby słowa uwięzły jej w gardle. — Naprawdę mam taką nadzieję — wykrztusiła w końcu. — Ale nie chcę, żebyś się ośmieszyła. Bądź rozsądna i zastanów się, co jest w granicach twoich możliwości.

Zdarłam mech z kamienia.

— Pani mówi to przez zazdrość.

— Nieprawda!

— O tak. Jest pani zazdrosna o pułkownika Bircha, bo to do mnie się zalecał. Pani go kochała, ale on nie zwracał na panią uwagi.

Na twarzy panny Elizabeth odmalował się ból, jakbym ją uderzyła.

— Proszę cię, przestań.

Ale we mnie już coś pękło, wezbrała fala uczuć i prze-
rwała tamę.

— On nawet nie spojrział na panią. Chciał mnie! Dlaczego miałyby nie chcieć? Jestem młoda, mam dobre oko! A pani? Z tym swoim wykształceniem, stu pięćdziesięcioma funtami rocznej pensji, szampanem z kwiatów dzikiego bzu i głupimi napojami na wzmocnienie, ze swoimi siostrami, którym w głowach turbany i róże. No i te ryby! Kto by się przejmował rybami, skoro w klifie siedzą potwory? Ale pani ich nie wypatrzy, bo nie ma pani oka. Z pani jest zaszuszone

stara panna, która nie znajdzie ani mężczyzny, ani potwora. A ja znajdę.

Czułam się tak dobrze i tak strasznie, wykrzykując te słowa, że zbierało mi się na mdłości.

Panna Elizabeth ani drgnęła, jakby czekała, aż ustanie porywisty wiatr. Gdy ucichł, a ja powiedziałam swoje, nabrała głęboko powietrza, ale wydobył się z niej ledwie szept, zupełnie pozbawiony siły.

— Uratowałam ci kiedyś życie. Wydobyłam cię spod gliny. A ty tak mi się odpłacasz, taką nieżyczliwością.

Znów zerwała się wichura. Zaczęłam krzyczeć w szale wściekłości, na co panna Elizabeth aż zrobiła krok w tył.

— Tak, uratowała mi pani życie! A ja będę wiecznie dźwigać ciężar wdzięczności. Nigdy nie będę pani równa, choćbym nie wiem co robiła. Choćbym znalazła najróżniejsze potwory i zarobiła wielkie pieniądze, nigdy nie dorównam pani pozycją. Więc dlaczego nie zostawi mi pani pułkownika Bircha? Proszę... — dokończyłam już przez łzy.

Panna Elizabeth spokojnie patrzyła na mnie swoimi szarymi oczami, dopóki się nie wypłakałam.

— Zdejmuję z ciebie ciężar wdzięczności, Mary. Przynajmniej to mogę zrobić. Wygrzebałam cię wtedy spod gliny i zrobiłabym to dla każdego człowieka w tej sytuacji, a każdy człowiek przechodzący tamtędy zrobiłby to dla ciebie. — Umilkła. Widziałam, że bije się z myślami. — Muszę ci powiedzieć coś jeszcze. Nie chcę cię zranić. Potraktuj to jako przestrożę — mówiła dalej. — Jeśli oczekujesz czegoś od pułkownika Bircha, przeżyjesz zawód. Miałam okazję widzieć go przed aukcją. Spotkaliśmy się przypadkiem w Muzeum Brytyjskim. — Urwała na chwi-

łę. — Towarzyszył jakiejś pani. Wdowie. Można było sądzić, że jest między nimi ciche porozumienie. Mówię ci to, żebyś nie rozbudziła w sobie nadziei. Jesteś dziewczyną utrzymującą się z pracy i nie możesz liczyć na więcej, niż masz. Mary, nie odchodź.

Ale ja już się odwróciłam i zaczęłam biec co sił w nogach, byle nie słyszeć jej słów.

Gdy przyjechał następny dyliżans z Londynu, nie było mnie w Charmouth. Tamtego ciepłego dnia tyle osób wyszło na spacer, że po południu stanęłam przy naszym kramie i sprzedawałam dziwy przechodniom.

Nie jestem przesądna, ale akurat wypadały moje urodziny i byłam pewna, że przyjedzie, chociaż o urodzinach nie wiedział. Nigdy dotąd nie dostałam prezentu z tej okazji, a mi się należał. Mama uznałaby, że są nim pieniądze z aukcji, ale dla mnie prezentem był on.

Gdy zegar na dzwonnicy przy targowisku wybił piątą, zaczęłam śledzić w myślach podróż pułkownika, nawet gdy handlowałam skamielinami. Widziałam, jak wysiada z dyliżansu i wynajmuje konia. Potem jedzie drogą do miejsca, gdzie może przeciąć pole dziedzica Henleya znajdujące się powyżej Black Ven, i dociera do Charmouth Lane. Jedzie nią do Church Street, następnie w dół przy kościele Świętego Michała i dalej do Butter Market. A tam wystarczy, że skreśli w prawo, i już znajdzie się na Cockmoile Square.

Gdy uniosłam głowę, pojawił się dokładnie tak, jak to przewidziałam — wjechał na wynajętym kasztanku i spojrzął na mnie z wysokości siodła.

— Witaj, Mary — powiedział.

— Panie pułkowniku — odrzekłam, dygając bardzo nisko, jakbym była damą.

Pułkownik Birch zsiadł z konia, ujął mnie za rękę i pocałował moją dłoń na oczach wszystkich przyjezdnych, którzy grzebali wśród skamieniałości, i mieszkańców, którzy przechodzili obok kramu. Nie przejmowałam się tym. Gdy uniósł na mnie wzrok, wciąż pochylony nad moją dłonią, wyczułam, że za jego radością kryje się niepewność, i wtedy zrozumiałam, że Elizabeth Philpot nie skłamała, mówiąc o tamtej wdowie. Choć tak bardzo nie chciałam jej uwierzyć, dobrze wiedziałam, że tacy ludzie jak ona nie kłamią. Jak najdelikatniej cofnęłam rękę. Cień niepewności przemienił się w chmurę szczerego żalu i staliśmy w milczeniu, patrząc na siebie.

Jakiś ruch za plecami pułkownika sprawił, że oderwałam wzrok od jego smutnych oczu. Zobaczyłam dwoje ludzi, którzy szli pod rękę Broad Street — on był silny, przysadzisty, a ona podskakiwała u jego boku jak łódka na falach. Uprzytomniłam sobie, że to Fanny Miller, która niedawno wyszła za mąż za Billy'ego Daya, jednego ze skalników, którzy pomagali mi wykopywać potwory. Widać, że nawet skalnicy nie byli już wolni. Fanny wlepiła w nas oczy. Gdy skrzyżowały się nasze spojrzenia, ścisnęła męża za ramię i pokuśtykała dalej tak szybko, jak tylko mogła.

Wiedziałam, co zrobić — nieważne, czy jest ta wdowa, czy nie. Taki prezent podaruję sama sobie, bo druga okazja pewnie mi się nie trafi. Skinęłam głową.

— Mama czeka na pana. Proszę do niej iść. Potem pana znajdę.

Wolałam nie patrzeć, jak wręcza pieniądze. Byłam za nie wdzięczna, ale wolałam ich nie widzieć. Tylko jego chciałam widzieć. Gdy uwiązał konia i wszedł do domu, zwinęłam kram i ruszyłam w górę Butter Market, tą samą drogą, którą przybył pułkownik, tylko w odwrotnym kierunku. Wiedziałam, że wynajmie pokój jak zawsze w gospodzie Queen's Arms w Charmouth, więc będzie tędy wracał. Doszłam Charmouth Lane do pola dziedzica, skręciłam w stronę przełazu i usiadłam na szczelbu.

Pułkownik Birch trzymał się na koniu prosto jak ołowiany żołnierz. Słońce stało nisko za jego plecami, a przed nim kładł się długi cień, więc twarz pułkownika była niewidoczna, dopóki się ze mną nie zrównał. Weszłam na górny szczelbel przełazu, starając się utrzymać równowagę, a pułkownik wziął mnie za rękę, żebym nie spadła.

— Nie mogę ożenić się z tobą, Mary — powiedział.

— Rozumiem, proszę pana. To nie ma znaczenia.

— Jesteś pewna?

— Tak. Dzisiaj są moje urodziny. Mam dwadzieścia jeden lat i wiem, czego chcę.

Nie umiem jeździć konno, ale tego dnia bez obaw wyciągnęłam ręce i skoczyłam w jego ramiona.

Oddaliliśmy się od wybrzeża. Pułkownik Birch znał okolicę lepiej ode mnie — zazwyczaj nie chodziłam po polach, tylko cały czas spędzałam nad morzem. Jechaliśmy w wieczornym zmierzchu rozświetlonym tu i tam plamami słońca, zmierzając w stronę głównej drogi do Exeter. Za nią skierowaliśmy się na ciemniejące pola. Podczas jazdy nie szeptaaliśmy sobie czułych słówek jak zalecająca się para, bo nie zalecaliśmy się do siebie, ani nie siedziałam odprężona

w jego ramionach, bo koń się kołysał, siodło mnie uwierało i musiałam uważać, żeby nie spaść. Ale to mi nie przeszkadzało, ponieważ byłam tam, gdzie chciałam być.

Na skraju pola czekał na nas sad. Położyliśmy się z pułkownikiem na płatkach kwiatów jabłoni, które przykrywały ziemię jak śnieg. Tam okazało się, że grom może uderzać również w głębi ciała. Nie żałuję tej chwili.

Tego wieczoru dowiedziałam się jeszcze czegoś, choć dopiero później to do mnie dotarło. Leżałam w jego ramionach i patrzyłam w niebo, na którym doliczyłam się czterech gwiazd, a wtedy pułkownik zapytał:

— Co zrobisz z pieniędzmi, które dałem twojej rodzinie?

— Spłacę długi i kupię nowy stół.

Pułkownik się zaśmiał.

— Praktyczna z ciebie dziewczyna, Mary. Nie zrobisz nic dla siebie?

— Chyba kupię nową budkę. — Stary czepek zgniótł się podczas naszego zbliżenia.

— Nie przychodzi ci na myśl coś bardziej ambitnego?

Milczałam.

— Na przykład — mówił dalej pułkownik — przeprowadzka do większego domu z porządnym sklepem. W górnej części Broad Street. Tam są duże, jasne okna, gdzie mogłabyś wykładać skamieniałości. Handel szedłby lepiej.

— Więc spodziewa się pan, że będę dalej znajdować i sprzedawać skamieniałości, tak, proszę pana? Nie wyjdę za mąż, tylko będę sklepikarką?

— Tego nie powiedziałem.

— W porządku, proszę pana. Wiem, że nie wyjdę za mąż. Nikt nie zechce wziąć za żonę takiej kobiety jak ja.

— Nie to miałem na myśli, Mary. Źle mnie zrozumiałaś.

— Naprawdę, proszę pana?

Zsunęłam się z jego ramienia i położyłam się na plecach na ziemi. Od kiedy zaczęliśmy rozmawiać, niebo robiło się coraz ciemniejsze, pojawiało się coraz więcej gwiazd.

Pułkownik Birch usiadł sztywno — takiemu staremu człowiekowi na pewno było niewygodnie leżeć na ziemi. Popatrzył na mnie. W mroku nie mogłam dojrzeć jego twarzy.

— Zastanawiałem się, jaką przyszłość przyniesie ci zbieranie skamielin, a nie zamążpójście. Wiele kobiet, w istocie większość, może być doskonałymi żonami. Ty zaś jesteś wyjątkowa. Wiesz, podczas tej aukcji w Londynie spotkałem dużo osób, które szczyliły się sporą wiedzą o skamieniałościach: czym są, skąd się tu wzięły, jakie mają znaczenie. A jednak żadna z nich nie wie nawet połowy tego co ty.

— A pan Buckland? Henry De La Beche? No i Cuvier. Podobno ten Francuz zna się najlepiej.

— Być może. Ale oni nie mają takiego wyczucia jak ty. Choć wszystkiego nauczyłaś się sama z własnego doświadczenia, a nie z książek, to taka wiedza wcale nie jest gorsza. Dużo czasu spędziłaś nad okazami, znasz ich budowę, dostrzegasz najdrobniejsze cechy i różnice między nimi. Na przykład wiesz, że ichtiozaur jest wyjątkowy, niepodobny do niczego, co sobie wyobrażaliśmy.

Nie chciałam rozmawiać ani o mnie, ani o dziwach. Na niebie pojawiły się niezliczone gwiazdy. Czułam się mała, przygwożdżona do ziemi ich mnogością. Sprawiały, że stawałam się pusta w środku.

— Jak daleko są te gwiazdy, jak pan myśli?

Pułkownik spojrział w górę.

— Bardzo daleko. Nawet nie potrafimy sobie tego wyobrazić.

Może przez to, co właśnie przeżyłam, przez to uderzenie gromu w głębi ciała, otworzyłam się na poważniejsze i dziwniejsze myśli. Patrząc na odległe gwiazdy, miałam wrażenie, że między nimi a ziemią biegnie nić. Przecinała ją druga nić — łączyła przeszłość z przyszłością — a na jednym jej końcu znajdował się ichtek, który umarł dawno, dawno temu i czekał, żebym go znalazła. Nie wiedziałam, co jest na drugim końcu tej nici. Obie były takie długie, że nie potrafiłabym ich zmierzyć, a w miejscu gdzie się stykały, byłam ja. Moje życie dopływało do tej chwili i potem znów odpływało — jak morze, gdy zalewa plażę, a potem się cofa.

— Wszystko jest takie duże, stare i dalekie — odezwałam się, siadając z przejęcia. — Boże, dopomóż, bo aż mi straszno.

Pułkownik pogłaskał mnie po włosach, zmierzwionych od leżenia na ziemi.

— Nie ma powodu do obaw — powiedział. — Jesteś ze mną.

— Tylko teraz, w tej chwili — odrzekłam. — Potem znowu będę sama na świecie. Ciężko jest żyć, gdy człowiek nie ma kogo się trzymać.

Na to nie znalazł już odpowiedzi i wiedziałam, że nigdy jej nie znajdzie. Położyłam się z powrotem na ziemi i patrzyłam w gwiazdy, aż musiałam zamknąć oczy.

8

Okazja zaznać przygody
w życiu pozbawionym przygód

Wiadomości podawane w „Western Flying Post” rzadko czytam ze zdumieniem. Zazwyczaj są to relacje o banalnych wydarzeniach, na przykład o aukcji inwentarza żywego w Bridport czy o otwartym zebraniu w sprawie poszerzenia drogi do Weymouth albo ostrzeżenia o kieszonkowcach grasujących na jarmarku we Frome. Nawet opowieści o bardziej niezwykłych wypadkach, które prowadzą do zmian w ludzkim życiu — o mężczyźnie deportowanym za kradzież srebrnego zegarka czy o pożarze, który strawił pół wsi — nie wywierają na mnie zbytniego wrażenia i dlatego czytam je z rezerwą. Oczywiście co innego, gdyby mnie ukradziono zegarek albo spaliło się pół Lyme — wówczas byłabym bardziej zainteresowana. Mimo to czytam gazetę sumiennie, gdyż przynajmniej mam poczucie istnienia szerszego świata i nie tkwię w zamkniętej społeczności miasteczka.

Gdzieś w połowie grudnia odpoczywałam przy kominku popołudniową porą, gdy Bessy przyniosła mi gazetę. Ponieważ rzadko zapadam na zdrowiu, irytowało mnie to

przejściowe niedomaganie i byłam równie zrzędliva jak Bessy w normalnych okolicznościach. Westchnęłam, kiedy położyła gazetę i postawiła filiżankę herbaty na stoliku obok. Tak czy owak miałam trochę urozmaicenia, siostry były bowiem w kuchni, zajęte robieniem maści, która wraz galaretką z owoców dzikiej róży trafi do bożonarodzeniowych koszyczków. Chciałam, żeby w każdym znalazł się amonit, ale Margaret uważała, że nie tworzy świątecznego nastroju, i uparła się, żeby dołożyć ładne muszle. Czasem zapominam, że w powszechnej opinii skamieliny są kośćmi martwych stworzeń. Jest to prawda, ale ja widzę w nich raczej dzieła sztuki, które przypominają nam, jak ten świat wyglądał kiedyś.

Nie przykładałam zbytnej uwagi do czytanych wiadomości, aż natrafiłam na krótką notatkę wciśniętą między relacje o dwóch pożarach, jeden strawił stodołę, drugi warsztat cukierniczy. Notatka brzmiała następująco:

W środę wieczorem Mary Anning — ciesząca się rozgłosem znawczyni i poszukiwaczka skamieniałości, które znalazły się w zbiorach Muzeum Brytyjskiego oraz Muzeum Bristolskiego, a także wzbogaciły prywatne kolekcje wielu geologów — dokonała odkrycia na terenie położonym na wschód od miasta, u podnóża słynnego osuwiska Black Ven. Znalezione szczątki zostały wydobyte jeszcze tej samej nocy i następnego ranka poddane badaniom, które wykazały, iż okaz znacznie różni się od dotychczasowych znalezisk z okolic Lyme, czy to od ichtiozaura, czy od plezjozaura, natomiast jest wyraźnie zbliżony budową do żółwia.

Ponieważ minęło niewiele czasu od wydobycia stworzenia, układ kostny nie jest jeszcze należycie odsłonięty.

Znamienici geolodzy ustalą, pod jaką nazwą to zwierzę będzie znane. Wielki Cuvier zostanie powiadomiony o całkowitym odsłonięciu kośćca. Nadanie nazwy nastąpi zapewne w Oksfordzie lub w Londynie, gdy badacze sporządzą dokładny opis znaleziska. Dyrektorzy Muzeum Brytyjskiego i Muzeum Bristolskiego będą niewątpliwie dokładali starań, by zakupić tę pozostałość „wspaniałego Herkulanum”.

Wreszcie go znalazła. Znalazła nowego potwora, o którego istnieniu spekulowała z Williamem Bucklandem, a ja miałam się dowiedzieć o tym odkryciu z gazety, jakbym była kimkolwiek bądź i nie mogła niczego domagać się od Mary. Nawet ludzie przygotowujący gazetę do druku wiedzieli o tym przede mną.

Ten, kto wejdzie w zatarg z mieszkańcem miasteczka wielkości Lyme Regis, jest w trudnym położeniu. Przekonałam się o tym, gdy przestałyśmy utrzymywać znajomość z dziedzicem Henleyem: jakimś trafem wszędzie się na niego natykałyśmy, aż w końcu czmychanie przed nim czy to na Broad Street, czy na ścieżce przy rzece, czy w kościele Świętego Michała zaczęło przypominać niemal zabawę. Całymi latami dostarczałyśmy ludziom tematu do plotek, za co powinni być nam wdzięczni.

Rozstanie z Mary sprawiło mi dużo większy ból, ponieważ była tak bliska memu sercu. Po naszym starciu na cmentarzu przy kościele niemal od razu żałowałam swoich słów -

byłoby lepiej, gdyby dowiedziała się bezpośrednio od pułkownika o jego ewentualnym ożenku z wdową. Nigdy nie zapomnę jej zrozpaczonej twarzy na wiadomość, że została zdradzona. Z drugiej strony jej uwagi o mojej zazdrości, o siostrach i o rybach jeszcze długo potem sprawiały piekący ból niczym po uderzeniu batem.

Duma nie pozwoliła mi, i prawdopodobnie również jej, iść z przeprosinami. Pragnęłam, żeby na progu bawialni pojawiła się Bessy ze znamienym grymasem i zapowiedziała gościa. Ale tak się nie stało. Gdy minął czas na takie zbliżenie, powrót do dawnych stosunków był już niemożliwy.

Niełatwo jest pogodzić się z myślą, że ktoś odszedł, nawet jeśli powiedział niewybaczalne rzeczy. Co najmniej przez rok otwierała się rana w moim sercu na widok Mary, a widywałam ją często: na plaży, na Broad Street, opodal Cobb. Zaczęłam omijać Cockmoile Square; bocznymi uliczkami chodziłam do Świętego Michała, ścieżką przy kościele — nad morze. Już nie wędrowałam pod Black Ven, gdzie Mary prowadziła zazwyczaj poszukiwania — udawałam się w przeciwnym kierunku, za Cobb i dalej na Monmouth Beach. Skamieniałe ryby występowały tam rzadziej, więc moje zbiory były ubogie, ale przynajmniej istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że spotkam Mary.

Czułam się jednak samotna. Przez tyle lat spędzałyśmy z Mary dużo czasu na poszukiwaniach. Niekiedy godzinami nie wypowiadałyśmy słowa, ale jej obecność opodal, sylwetka pochylona nad ziemią, jej grzebanie w mule lub rozbijanie kamieni były dla mnie czymś swojskim i po-krzepiającym. Teraz rozglądałam się dokoła i nadal ze zdziwieniem stwierdzałam, że prócz mnie na plaży nie ma

nikogo. Takie poczucie osamotnienia sprzyjało folgowaniu sobie i popadaniu w melancholię, czego nie mogłam ścierpieć, zatem chcąc wydobyć się z tego stanu, prawilaam uszczypliwości. Margaret zaczęła narzekać, że stałam się bardziej drażliwa, a Bessy w odpowiedzi na moje surowe traktowanie groziła wypowiedzeniem służby.

Nie tylko na plaży brakowało mi Mary. Tęskniłam za jej towarzystwem przy stole jadalnym, gdy wypakowywałam koszyk i chwaliłam się swoimi znaleziskami. Teraz miałam po temu sposobność jedynie podczas rzadkich wizyt Henry'ego De La Beche, Williama Bucklanda, doktora Carpentera albo kogoś, kto przyszedł zobaczyć moje zbiory i przejawiał większe, niż to było w modzie, zainteresowanie skamieniałościami. Nie mogąc korzystać z wiedzy, jaką miała Mary, i nie słysząc jej słów zachęty, zdawało mi się, że zaniedbuję własne badania.

Przy tym musiałam patrzeć, jak Mary zdobywa coraz większą popularność wśród ludzi spoza Lyme. Usilnie dopytywali się o nią, a ona zabierała ich na wędrowki po osuwisku Black Ven. Korzystając z pieniędzy od pułkownika Bircha i rosnącej sławy Mary, Anningowie uwolnili się wreszcie od długów, którymi obciążył ich Richard Anning przed wieloma laty. Mary i Molly miały nowe suknie, kupiły porządne meble i węgiel na opał. Molly przestała zajmować się praniem i zaczęła należycie prowadzić kram ze skamieniałościami, który coraz liczniej odwiedzali klienci. Ta odmiana ich losu zamiast radości wzbudzała moją zazdrość.

Przez krótki czas zastanawiałam się nawet, czy nie wyjechać z Lyme i nie zamieszkać u mojej siostry Frances, która niedawno przeprowadziła się wraz z całą rodziną do

Brighton. Kiedy wspomniałam o tym zdawkowo podczas rozmowy z Louise i Margaret, nie kryły przerażenia. „Jak możesz myśleć o tym, żeby nas zostawić?!” — zawołała Margaret, a Louise zbladła i zamilkła. Zauważyłam, że również Bessy pociąga nosem, wyrabiając ciasto, więc musiałam szybko zapewnić je wszystkie, że Morley Cottage pozostanie moim domem na zawsze.

Długo to trwało, ale w końcu przywykłam, że nie mogę się cieszyć towarzystwem ani przyjaźnią Mary. Miałam wrażenie, jakby mieszkała w Charmouth albo Seatown czy Eype. Zdumiewające, z jakim powodzeniem omijałyśmy się w niewielkim Lyme. Ale przecież nowi kolekcjonerzy tak absorbowali Mary, że nawet gdybym nie starała się jej unikać, i tak rzadziej bym ją widywała. Choć pogodziłam się z jej nieobecnością, w moim sercu pozostał tępy ból jak po złamaniu kości, która się zrosła, ale zawsze będzie dawała o sobie znać w wilgotne dni.

Mimo to pewnego razu natknęłam się na nią, nie mając możliwości ucieczki. Szłam z siostrami drogą spacerową przy plaży, gdy zobaczyłyśmy idącą z naprzeciwka Mary z czarno-białym psem skaczącym przy jej nogach. Nie zdążyłam skręcić w bok. Nasz widok spłoszył ją, ale szła dalej, jakby nie chciała dać się zniechęcić. Margaret i Louise pozdrowiły Mary, a ona odpowiedziała na powitanie. Natomiast ona i ja starannie unikałyśmy spojrzenia sobie w oczy.

— Co za uroczy piesek! — zawołała Margaret, kucając, by go pogłaskać. — Jak się wabi?

— Tray.

— Skąd go masz?

— Dostałam od zaprzyjaźnionej osoby, żeby dotrzymywała mi towarzystwa na plaży. — Rumieniec na jej twarzy powiedział nam, kim jest ta osoba. — Jeżeli kogoś lubi, pozwala się głaskać. Gdy ktoś mu się nie podoba, warczy.

Tray powąchał suknię Louise, a potem moją. Zesztywniałam przekonana, że zacznie warczeć, ale on uniósł na mnie oczy i zaczął dyszeć. Dotychczas zawsze uważałam, że zwierzęta domowe dzielają niechęć swoich właścicieli do niektórych osób.

Poza tym jednym spotkaniem jakoś udawało mi się unikać Mary, choć czasem widziałam w oddali, jak idzie plażą albo ulicą, a za nią biegnie pies.

Była taka chwila, gdy miałam pokusę, by odnowić tę przyjaźń. Kilka miesięcy po naszym starciu dowiedziałam się, że Mary znalazła skupisko luźnych kości, z których ułożyła przypuszczalny szkielet, tyle że pozbawiony czaszki. Chciałam go zobaczyć, ale Anningowie sprzedali znalezisko pułkownikowi Birchowi i wysłali je statkiem, zanim zebrałam się na odwagę, by pójść na Cockmoile Square. Mogłam jedynie przeczytać o tym w artykułach Henry'ego De La Beche i wielebnego Conybeare'a, którzy nadali temu hipotetycznie zrekonstruowanemu stworzeniu nazwę plezjozaur, co znaczy bliski jaszczurowi. Miało bardzo długą szyję i ogromne płetwy — William Buckland porównał zwierzę do węża, na którego nawleczono skorupę żółwia.

Teraz, jak donosiła gazeta, Mary znalazła kolejny okaz, a mnie znów kusiło, by pójść na Cockmoile Square. Gdy przeczytałam tę krótką wiadomość, zaczęły nasuwać mi się pytania, które chciałam zadać Mary. Co znalazła najpierw? Jak duży był okaz i w jakim stanie się zachował? Czy był

kompletny? Czy tym razem była tam czaszka? Dlaczego pracowała nad nim przez całą noc? Komu będzie sprzedany: Muzeum Brytyjskiemu czy Bristolskiemu, a może znowu pułkownikowi Birchowi?

Tak bardzo chciałam zobaczyć to znalezisko, że wstałam i już miałam iść po płaszcz z pelerynką, gdy pojawiła się Bessy, niosąc następną fdiżankę herbaty

— Co pani robi, panno Elizabeth? Chyba nie zamierza pani wychodzić na takie zimno? — zapytała.

— Ja...

Wejrzałam w szeroką twarz Bessy z zaczerwienionymi oskarżycielsko policzkami i wiedziałam, że nie zdołam jej powiedzieć o swoim zamiarze. Bessy była zadowolona, że przestałam przyjaźnić się z Mary, i nie powstrzymałaby się od uwag, usłyszawszy, że wybieram się na Cockmoile Square, a ja nie miałam siły toczyć z nią bojów. Nie zdołałabym także wytłumaczyć się przed Margaret i Louise, które zachęcały mnie do pogodzenia się z Mary, a gdy tego nie zrobiłam, zostawiły ten temat i więcej o niej nie wspomniały.

— Chciałam tylko podejść do drzwi i zobaczyć, czy nie widać pocztyliona — powiedziałam. — Ale trochę kręci mi się w głowie. Chyba położę się do łóżka.

— Tak będzie najlepiej, panno Elizabeth. Niech pani nigdzie nie chodzi.

Rzadko kiedy mam wrażenie, że ostrzeżenia Bessy są rozsądne.

. . .

Dwa dni później przyjechał William Buckland. Louise i Margaret poszły zanieść bożonarodzeniowe koszyczki

różnym zasłużonym osobom, a ja wciąż niedomagałam na tyle, że zostałam w domu. Gdy wychodziły, na twarzy Louise malowała się zazdrość: takie odwiedziny nudziły moją siostrę, podobnie jak mnie. Jedyne Margaret lubiła składać wizyty towarzyskie.

Wydawało mi się, że ledwie przymknęłam oczy, weszła Bessy, anonsując gościa. Usiadłam, potarłam twarz i przygładziłam włosy.

Do pokoju wpadł William Buckland.

— Panno Philpot! — zawołał. — Proszę nie wstawać. Mam wrażenie, że pani jest tak wygodnie przy kominku. Nie chcę zakłócać spokoju. Przyjdę innym razem.

Rozejrzał się dokoła z taką miną, jakby z całą pewnością zamierzał pozostać, wobec tego wstałam i podałam mu rękę.

— Jak to miło pana widzieć. Minęło tyle czasu od naszego ostatniego spotkania. — Wskazałam mu fotel. — Proszę spocząć i opowiedzieć mi, co u pana słychać. Bessy, podaj herbatę panu Bucklandowi. Czyżby dopiero co przyjechał pan z Oksfordu?

— Przed kilkoma godzinami. — Pan Buckland usiadł. — Na szczęście właśnie skończył się semestr i mogłem ruszyć zaraz po otrzymaniu listu od Mary.

Poderwał się na nogi — zawsze trudno mu było usiedzieć w miejscu przez dłuższą chwilę — i zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem. W blasku ognia lśniła skóra na jego czole, które stawało się coraz wyższe przy cofającej się linii włosów.

— Coś niezwykłego, prawda? — mówił dalej. — Poczciwa Mary, znalazła imponujący okaz! Uzyskaliśmy niepodważalny dowód istnienia kolejnego nowego zwierzęcia i tym

razem już nie musimy wyobrażać sobie, jak było zbudowane. Ileż pradawnych stworzeń możemy jeszcze znaleźć? — Pan Buckland wziął do ręki jeżowca, który leżał na półce nad kominkiem. — Jest pani dzisiaj bardzo małowólna — zauważył, oglądając skamielinę. — Co pani sądzi? Czy to nie wspaniałe?

— Nie widziałam tego okazu — przyznałam. — Czytałam o nim... ale w gazecie podano niewiele informacji.

Pan Buckland spojrział na mnie ze zdumieniem.

— Jak to? Nie poszła pani go zobaczyć? Ależ dlaczego? Przybyłem piorunem aż z Oksfordu, a dla pani to tylko spacer ze wzgórza. Może teraz chciałaby się pani przejść? Wracam tam, więc mógłbym pani towarzyszyć — zaproponował, odkładając jeżowca i podając mi ramię.

Westchnęłam. W żaden sposób nie dało się podsunąć panu Bucklandowi myśli, że Mary i ja nie mamy ze sobą już nic wspólnego. Choć uważałam go za swojego przyjaciela, był mężczyzną niewrażliwym na uczucia innych. Jego zdaniem w życiu chodziło o zdobywanie wiedzy, nie zaś o wyrażanie emocji. Miał już prawie czterdzieści lat i nic nie wskazywało na to, by zamierzał się ożenić — co nikogo nie dziwiło, albowiem jaka dama zniosłaby jego nieprzewidywalne zachowanie i znacznie głębsze zainteresowanie istotami martwymi niż żyjącymi?

— Niestety, nie mogę z panem pójść — odparłam. — Męczy mnie mokry kaszel i siostry kazały mi wypoczywać przy kominku.

Przynajmniej to było prawdą.

— Jaka szkoda! — Pan Buckland usiadł z powrotem na krześle.

— W gazecie napisano, że znalezisko Mary nie przypomina ani ichtiozaura, ani plezjozaura, a ściśle mówiąc, hipotetycznej rekonstrukcji plezjozaura.

— To jest plezjozaur — oświadczył pan Buckland. — Ten ma łeb dokładnie taki, jak przypuszczaliśmy: niewielki w porównaniu z resztą ciała. I te płetwy! Kazałem Mary obiecać, że oczyści je w pierwszej kolejności. Zaraz, zaraz, jeszcze pani nie wie, z czym tu przyszedłem. Otóż mam do pani prośbę. Czy mogłaby pani nakłonić Anningów, żeby nie proponowali pułkownikowi Birchowi kupna tego okazu? Poprzedni sprzedał dalej Królewskiemu Kolegium Chirurgów, a my nie chcielibyśmy, żeby i ten do nich trafił.

— Sprzedał dalej? Dlaczego?

Zacisnęłam dłonie na oparciach fotela. Każda wzmianka o pułkownika działała mi na nerwy.

— Może potrzebował pieniędzy — odrzekł pan Buckland, wzruszając ramionami. — Nie ma nic złego w tym, że okaz będzie eksponowany publicznie, ale w Kolegium jest dużo osób, które chcą prowadzić własne badania nad plezjozaurami, a brak im do tego rozumu. Znacznie wiarygodniejszym badaczem jest Conybeare. Przypuszczalnie będzie chciał sprowadzić szkielet do Towarzystwa Geologicznego, żeby wygłosić odczyt na temat tego okazu, jak to uczynił poprzednim razem. Sądzę, że takie spotkanie ściągnie wielu słuchaczy. Wie pani, że w lutym mam zostać prezesem Towarzystwa? Może uda mi się sprawić, żeby prelekcja Conybeare'a uświetniła tę ceremonię.

— Jak pisze „Post”, Anningowie rozważają sprzedaż Muzeum Brytyjskiemu lub Muzeum Bristolskiemu.

Z niezakim zażenowaniem przytoczyłam wiadomość pra-

sową człowiekowi, który widział znalezisko na własne oczy. Czułam się tak, jakbym korzystając z przewodnika po Londynie, opisywała miasto londyńczykowi.

— Takie jest nastawienie gazety, a nie Anningów — wyjaśnił pan Buckland. — Molly Anning przed chwilą napomknęła mi o pułkowniku Birchu i nawet nie zastanowiła się nad moją propozycją.

— Powiedział jej pan, że pułkownik sprzedał poprzedni okaz, na dodatek zapewne z dużym zyskiem?

— W ogóle nie chciała mnie słuchać. Dlatego przyszedłem do pani.

Przyglądałam się swoim dłoniom. Choć nosiłam rękawiczki z obciętymi palcami i codziennie stosowałam maść Margaret, miałam szorstkie, podrapane ręce, pomarszczone czubki palców i niebieską glinę pod paznokciami.

— Mój wpływ na Anningów i ich decyzję co do nabywcy jest niewielki. Zaczęli sami prowadzić interes i nie chcieliby, żebym mieszała się w ich sprawy.

— Mogłaby pani jednak spróbować? Proszę porozmawiać z Molly Anning. Ona z pewnością liczy się z pani zdaniem, jak my wszyscy.

Westchnęłam.

— Ależ panie Buckland, jeśli pan chce przekonać o czymś Molly Anning, musi pan mówić jej językiem. Nie o muzeach i artykułach naukowych, lecz o pieniądzach. Niech pan znajdzie kolekcjonera, który zapłaci znacznie więcej niż pułkownik Birch, a ona z radością sprzeda mu okaz.

Pan Buckland zrobił zdziwioną minę, jak gdyby kwestia pieniędzy w ogóle nie przyszła mu na myśl.

— Na podeście stoi gabłota z rybami, których pan jeszcze

nie widział — powiedziała, zmieniając temat. — Jest tam płetwa grzbietowa rekina z rodzaju *Hybodus*, będzie pan zaskoczony, ponieważ wypukłości wzdłuż kręgosłupa wyglądają zupełnie jak zęby! Chodźmy, pokażę panu.

Po jego wyjściu usiadłam z powrotem przy kominku i pograżyłam się w myślach. Entuzjastyczna opowieść pana Bucklanda o plezjozaurze sprawiła, że miałam jeszcze większą ochotę go zobaczyć. Jeśli nie zrobię tego, gdy wciąż jest w Lyme, to być może już się nie nadarzy po temu sposobność, zwłaszcza gdy pan Buckland znajdzie prywatnego nabywcę, który będzie trzymał okaz we własnym domu, niedostępnym dla kogoś takiego jak ja.

Czyszczenie i preparowanie okazu zajmą kilka następnych tygodni, Mary będzie od niego odchodziła rzadko i nie wiadomo kiedy. Nie miałam pojęcia, jak zbliżyć się do warsztatu, a przy tym na nią się nie natknąć. Bałam się spotkania z Mary twarzą w twarz. Przywykłam już, że się nie widzimy, i przestałam myśleć o tym, że potraktowała mnie z wyższością. Nie chciałam otwierać starej rany.

W niedzielę trafiła się niespodziewana okazja. Szliśmy Coombe Street w kierunku Świętego Michała, gdy zauważyłam, że cała trójka Anningów wchodzi do zboru kongregacjonalistów. Tyle razy widziałam Mary z daleka, że już nie brała mnie chęć, by gdzieś czmychnąć, tym bardziej że i Mary starała się nie zwracać na mnie uwagi.

Razem z siostrami i Bessy weszłam do kościoła i usiadłam w ławce. Gdy pastor Jones rozpoczął nabożeństwo, nie mogłam przestać myśleć o pustym domu Anningów tuż za rogiem.

Zaczęłam kasłać, najpierw z rzadka, potem coraz częściej,

jak gdybym nie mogła pozbyć się drapania w gardle. Sąsiedzi wiercili się i zerkali na boki, a Margaret i Louise patrzyły na mnie z z troskaniem.

— Przeziębienie objęło gardło — szepnęłam do Louise. — Lepiej pójść do domu. Ale wy zostańcie... dam sobie radę.

Wyszłam z ławki, zanim Louise zdążyła zaprotestować. Wielebny Jones spojrzął na mnie, gdy szybkim krokiem ruszyłam do drzwi, i przysięgam, że domyślił się, iż przedkładałam skamieniałości nad nabożeństwo.

Znalazłam się na dworze i zaraz pojawiła się Bessy.

— Och, Bessy, nie ma potrzeby, żebyś szła ze mną do domu. Wracaj do kościoła — powiedziałam.

Zaczęła kręcić z uporem głową.

— Nie, proszę pani. Muszę zapalić na nowo w kominku.

— Sama potrafię rozpaścić ogień. Czasem to robię, gdy wstanę przed tobą, dobrze o tym wiesz.

Bessy zachmurzyła się niezadowolona, że przypomniałam jej, iż zdarza mi się ją przyłapać.

— Panna Margaret kazała mi iść z panią — mruknęła.

— Wróć i powiedz Margaret, że cię odesłałam. Chyba wolałabyś zostać tu i po nabożeństwie spotkać się ze znajomymi. — Już wcześniej zauważyłam, że po kościele plotkowanie wśród służby odchodzi w najlepsze.

Widziałam, że Bessy chętnie by na to przystała, ale ponieważ była osobą z natury podejrzliwą, bacznie popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami.

— Nie wybiera się pani na plażę, co, panno Elizabeth? Po tym przeziębieniu w żadnym razie. No i nie w niedzielę!

— Skądże. Jest przypływ. — Nie miałam pojęcia, jaki jest poziom wody.

— Aha.

Choć Bessy mieszkała w Lyme już ponad dwadzieścia lat, nadal słabo wyczuwała rytm pływów. Dodałam jeszcze kilka słów zachęty i udało mi się nakłonić ją, żeby wróciła do kościoła.

Cockmoile Square i Bridge Street opustoszały, ponieważ większość mieszkańców była w kościele albo jeszcze w łózkach. Nie mogłam zwlekać, jeśli nie chciałam dać się przyłapać lub stracić zimnej krwi. Zbiegłam po schodkach prowadzących do warsztatu Mary, wyjęłam zapasowy klucz spod kamienia, gdzie, jak widziałam, chowała go Molly Anning, otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, że to coś znacznie gorszego niż wymknienie się z domu na aukcję w Muzeum Bullocka. Ale nie mogłam się powstrzymać.

Usłyszałam skomlenie — podszedł do mnie Tray, obwąchał mi nogi i zamerdał ogonem. Po chwili wahania schyliłam się i pogłaskałam go po grzbiecie. Miał szorstkie futro, podobne do włókna kokosowego, pokryte niebieskim basowym pyłem — pies Anningów w każdym calu.

Okrażyłam psa, żeby przyjrzeć się plezjozaurowi, który tkwił w kamiennych blokach ułożonych na podłodze. Miał około dziewięciu stóp długości i ze cztery i pół szerokości, razem z potężnymi płetwami w kształcie rombów. Znaczną część długości ciała stanowiła łabędzia szyja, zakończona zaskakująco krótką, może pięciocalową czaszką. Szyja wyglądała absurdalnie. Jak to możliwe, żeby szyja zwierzęcia była dłuższa od reszty ciała? Żałowałam, że nie mam przy sobie książki Cuviera o anatomii zwierząt. Tułów w kształcie beczki składał się z mnóstwa żeber i był zakończony ogonem

o wiele krótszym od szyi. W sumie stworzenie wyglądało nieprawdopodobnie, jak przedtem ichtiozaur ze swoim ogromnym okiem. Przeniknął mnie dreszcz i jednocześnie się uśmiechnęłam. Byłam również bardzo dumna z Mary. Mimo urazy, jaką żywiłyśmy do siebie, przepełniała mnie radość, że ona pierwsza dokonała tego odkrycia.

Obeszłam dokoła znalezisko, nie odrywając od niego oczu i chcąc się nasycić jego widokiem, wiedziałam bowiem, że prawdopodobnie nie zobaczę go drugi raz. Potem rozejrzałam się po warsztacie, w którym nie byłam od kilku lat, a kiedyś spędzałam tyle czasu. Nic się tu nie zmieniło. Jak dawniej mebli stało niewiele, wszystko pokrywał pył i wszędzie znajdowały się skrzynki przepełnione skamieniałościami, które czekały, aż ktoś się nimi zainteresuje. Najednej ze skrzynek leżały kartki papieru zapisane ręką Mary. Zerknęłam na stronicę na wierzchu, po czym wzięłam cały plik i zaczęłam przeglądać. Był to duplikat referatu o stworzeniach Mary, który napisał wielbny Conybeare dla Towarzystwa Geologicznego. Referat miał dwadzieścia dziewięć stron tekstu oraz osiem stron ilustracji, które Mary skrupulatnie przerysowała. Zapewne siedziała nad tym tygodniami, noc w noc. Nie znałam tej pracy, więc mimowolnie zaczęłam czytać fragmenty, żałując, że nie mogę pożyczyć tego egzemplarza.

Nie mogłam stać tu i czytać przez cały dzień. Spojrzałam na koniec, gdzie znajdowały się wnioski, i na dole ostatniej strony zobaczyłam dopisek drobnymi literami: „W moim artykule nie będzie ani jednego wstępu”.

Mary najwyraźniej czuła się tak pewna siebie, że pozwoliła sobie na krytykę wielomówności czcigodnego Conybeare'a.

Ponadto sama zamierzała napisać pracę naukową. Uśmiechnęłam się, widząc ten dowód jej śmiałości.

I wtedy Tray szczechnął, otworzyły się drzwi i stanął w nich Joseph Anning. Mogło być gorzej. Gdyby zastała mnie tu Molly, jej dawna nieufność do mnie tylko by odżyła. Oczywiście mogła mnie nakryć również Mary, a wówczas w żaden sposób nie zdołałabym usprawiedliwić tego najścia.

Ale i tak sytuacja była okropna. Ludzie nie zakradają się do cudzych domów, chyba że są złodziejami. Nawet nieszkodliwa stara panna nie może sobie pozwolić na coś takiego.

— Joseph, ja... ja... najmocniej przepraszam — wyjąkałam. — Chciałam obejrzeć znalezisko Mary. Nie mogę przyjść, gdy ona tu jest... to byłoby zbyt krępujące dla nas obu. Ale nie powinnam była otwierać sobie drzwi. To niewybaczalne. Bardzo przepraszam.

Wybiegłabym na dwór, ale Joseph tarasował drzwi, światło wpadało zza jego pleców, więc twarz pozostawała w cieniu i nie widziałam, jaki ma wyraz — jeśli jakiś miała, bo Joseph Anning nie był znany z okazywania uczuć.

Dłuższą chwilę stał nieruchomo. Gdy wreszcie zrobił krok w przód, na jego obliczu nie dostrzegłam niezadowolenia ani złości, jak można by oczekiwać. Ale też nie odpowiedział uśmiechem. Zachował się jednak uprzejmie.

— Przyszedłem po drugi szal dla mamy. W zborze jest zimno.

Dziwne, że Joseph czuł się w obowiązku tłumaczyć przede mną swoją obecność w warsztacie.

— Co pani o nim myśli, panno Philpot? — zapytał, kiwając głową w stronę plezjozaura.

Nie spodziewałam się takiego rozsądnego zachowania.

— Naprawdę zdumiewający.

— Nie mogę na niego patrzeć. To jakiś dziwolak. Tylko czekam, aż stąd zniknie.

Cały Joseph.

— Pan Buckland mówił mi, że porozumiał się z księciem Buckingham, który wyraził chęć kupna tego okazu.

— Możliwe. Mary ma inne plany.

Odchrząknęłam.

— Chyba nie... pułkownik Birch? — zapytałam, bojąc się odpowiedzi.

Ale Joseph mnie zaskoczył.

— Nie, nie on. Mary dała sobie z nim spokój. Wie, że on się z nią nie ożeni.

— Ach tak. — Poczulałam taką ulgę, że ledwie pohamowałam śmiech. — W takim razie kto?

— Nie chce powiedzieć, nawet mamie. Ostatnio przewróciło się Mary w głowie. — Joseph westchnął z dezaprobatą. — Wysłała list i kazała nam czekać na odpowiedź, zanim cokolwiek powiemy panu Bucklandowi.

— To dziwne.

Joseph przestąpił z nogi na nogę.

— Muszę już iść. Mama czeka na szal.

— Tak, oczywiście.

Spojrzałam jeszcze raz na plezjozaura i położyłam kartki z przepisaniem artykułem na skrzynce pełnej odłamków skalnych. Mój wzrok padł na rybi ogon, potem na płetwę i znów na rybi ogon, i uprzytomniłam sobie, że są tu same skamieniałe ryby. Między nimi wystawał skrawek papieru z literami EP napisanymi ręką Mary. Przechowywała te

okazy dla mnie. A zatem uważa, że znowu będziemy przyjaciółkami, że mi wybaczy i będzie chciała, żebym ją wybaczyła jej. Na tę myśl łzy napłynęły mi do oczu.

Joseph odsunął się na bok, żeby mnie przepuścić. Mijając go, przystanąłam.

— Byłabym wdzięczna, Josephie, gdybyś nie wspominał Mary ani swojej matce, że tu byłam. Nie ma potrzeby ich niepokoić, prawda?

Joseph kiwnął głową.

— Zdaje mi się, że jestem pani dłużnikiem.

— Jak to?

— To pani uważała, że powinienem iść do terminu, gdy sprzedaliśmy krokodyla. Nic lepszego nie mogło mi się przydarzyć. Myślałem, że gdy zacznę naukę, nie będę musiał szukać dziwów, ale przez ten czas co rusz coś mnie ciągnęło z powrotem. Teraz, gdy sprzedamy tego... — wskazał plezjozaura — ...skończę z dziwami na zawsze. Tylko tapicerka, nic poza tym. Będę się cieszył, że nie muszę więcej chodzić na plażę. A więc nie wydaj pani, panno Philpot.

Uśmiechnął się przelotnie. Pierwszy raz zobaczyłam uśmiech na jego twarzy. Dodał mu odrobinę urody, którą odznaczał się jego ojciec.

— Życzę ci szczęścia. — Pożegnałam się z nim słowami, których nigdy nie zdołałam wypowiedzieć do jego siostry.

Pukanie do drzwi frontowych zakłóciło nasz posiłek. Było tak niespodziewane i donośne, że aż podskoczyłyśmy, a Margaret rozlała zupę rzeżuchową.

Zazwyczaj to Bessy idzie do drzwi dumna i wyniosła, jak ma w zwyczaju, lecz tym razem stukanie było tak natarczywe, że Louise zerwała się z miejsca i pobiegła otworzyć. Obie z Margaret nie mogłyśmy dojrzeć, kogo wpuściła, ale usłyszałyśmy przyciszone głosy dobiegające z korytarza. Chwilę później Louise wystawiła głowę zza drzwi, mówiąc:

— Przyszła do nas Molly Anning. Powiedziała, że poczeka, aż skończymy jeść. Posadziłam ją przy kominku, żeby się ogrzała, i zaraz każę Bessy dołożyć do ognia.

Margaret szybko wstała z krzesła.

— Dam pani Anning trochę zupy.

Spojrzałam na swój talerz. Nie mogłam siedzieć przy stole i jeść zupy, podczas gdy ktoś z Anningów czekało w drugim pokoju. Również podniosłam się z krzesła, ale stanęłam niepewnie w drzwiach bawialni.

Wyratowała mnie Louise, jak już nieraz.

— Może brandy — powiedziała, przechodząc koło mnie szybkim krokiem, a za nią już dreptała gderająca Bessy.

— Tak, tak — bąknęłam i poszłam po butelkę i kieliszek.

Molly Anning siedziała nieruchomo przy kominku. Na niej skupiała się uwaga wszystkich, zupełnie jak wtedy, gdy przyszła do nas z listem do pułkownika Bircha. Bessy grzebała w palenisku, rzucając gniewne spojrzenia na nogi naszego gościa, które jakoby były jej na zawadzie. Margaret roztawiała obok Molly stół, na którym miała postawić zupę, natomiast Louise przysuwała kubek z węglem. Ja zaś stałam wyczekująco z butelką brandy, ale gdy zaproponowałam kieliszek, Molly pokręciła głową. W milczeniu spożywała zupę, chlipiąc, tak jakby nie lubiła rzeżuchy i jadła tylko dlatego, by sprawić nam przyjemność.

Kiedy wytarła miskę kawałkiem chleba, poczułam na sobie wzrok sióstr. Wypełniły swoje obowiązki wobec gościa i teraz czekały, żebym ja wypełniła swoje. Miałam jednak wrażenie, że słowa utkwiły mi w gardle. Od tak dawna nie odzywałam się ani do Mary, ani do jej matki.

Odchrząknęłam.

— Coś się stało, Molly? — zdołałam wykrztusić. —
Wszystko w porządku z Josephem i Mary?

Przełknęła resztkę chleba i oblizała wargi.

— Mary nie wstaje z łóżka — oznajmiła.

— Ojej, jest chora? — zatroskała się Margaret.

— Nie. Po prostu głupia, i tyle. Proszę.

Molly Anning podała mi pognieciony list, który wyjęła z kieszeni. Otworzyłam go i wygładziłam. Od razu zorientowałam się, że przyszedł z Paryża. Słowa „plezjozaur” i „Cuvier” rzuciły mi się w oczy, ale zawahałam się, czy go przeczytać. Chyba jednak tego oczekiwała ode mnie Molly, więc nie miałam wyboru.

Jardin du Roi

Muzeum Historii Naturalnej

Paryż

Szanowna Panno Anning!

Dziękuję za list skierowany do barona Cuviera z propozycją sprzedania naszemu muzeum okazu, który Pani znalazła w Lyme Regis i uznała za szkielet plezjozaura w stanie niemal kompletnym. Baron Cuvier, obejrawszy załączone rysunki z uwagą i zainteresowaniem, sądzi, że złączyła Pani fragmenty dwóch

różnych osobników, być może czaszkę węża morskiego z korpusem ichtiozaura. Płatanina kręgów tuż poniżej czaszki stanowi, jak się zdaje, miejsce rozdzielenia tych dwóch okazów.

Zdaniem barona Cuviera budowa wspomnianego plezjozaura jest niezgodna z pewnymi zasadami anatomii, które sam sformułował. Przede wszystkim dotyczy to zbyt dużej jak u takiego osobnika liczby kręgów szyjnych. Gady mają przeważnie od trzech do ośmiu kręgów szyjnych, a stworzenie na Pani rysunku ma ich co najmniej trzydzieści.

Biorąc pod uwagę kwestie niepokojące barona Cuviera, nie jesteśmy zainteresowani zakupem proponowanego okazu. Spodziewamy się, *mademoiselle*, że w przyszłości jej rodzina dołoży starań, by pieczołowicie zbierać i prezentować okazy.

Z poważaniem,
Joseph Pentland,
asystent barona Cuviera

Rzuciłam list.

— To oburzające!

— Co? Co? — zawołała z przejęciem Margaret.

— Georges Cuvier obejrzał zrobione przez Mary rysunki plezjozaura i oskarża Anningów o fałszerstwo. Jego zdaniem to wykluczone, żeby istniało zwierzę o takiej budowie. Twierdzi, że Mary złączyła dwa różne okazy.

— Ta głupia dziewczyna czuje się znieważona — powiedziała Molly Anning. — Uważa, że Francuz zepsuł jej

opinię poszukiwaczki skamielin. Z tego wszystkiego położyła się do łóżka i mówi, że nie ma po co wstawać i szukać dziwów, bo teraz nikt ich od niej nie kupi. Żle z nią, tak źle, jak gdy czekała na list od pułkownika Bircha. — Molly zerknęła na mnie z ukosa, niepewna, jak zareaguję. — Przyszłam prosić, żeby pani pomogła mi wyciągnąć ją z łóżka.

— Ale...

Dlaczego akurat ja? — chciałam zapytać. Dlaczego nie ktoś inny? A jeśli Mary nie ma przyjaciółek, do których mogłaby się zwrócić jej matka? Nigdy nie widziałam Mary w towarzystwie osoby z Lyme równej jej wiekiem i pozycją społeczną.

— Niestety, Mary ma trochę racji — mówiłam dalej. — Jeżeli baron Cuvier uważa, że plezjozaur jest fałszerstwem, i wygłosi swój pogląd publicznie, prawdziwość innych okazów może zostać zakwestionowana. — Molly nie zareagowała, więc wyraziłam się jaśniej. — Kto wie, czy nie spadnie sprzedaż, ponieważ ludzie nie będą pewni, czy wasze skamieniałości są prawdziwe.

Widziałam, że wreszcie to do niej dotarło. Spiorunowała mnie wzrokiem, jakbym sama wysunęła takie podejrzenia.

— Jak on śmie podkopywać nasz interes?! Będzie pani musiała rozprawić się z tym Francuzem.

— Ja?

— Przecież mówi pani francusku, tak? Jest wykształcona, a ja nie. Pani do niego napisze.

— Ale ta sprawa nie ma ze mną związku.

Molly Anning obrzuciła mnie niemym spojrzeniem, podobnie jak moje siostry.

— Posłuchaj, Molly, Mary i ja nie miałyśmy ze sobą wiele wspólnego przez te ostatnie lata...

— No więc o co poszło? Mary nie chciała powiedzieć.

Rozejrzałam się wokoło. Margaret siedziała pochylona do przodu, a Louise utkwiała we mnie charakterystyczne spojrzenie Philpotów. One też czekały na moje wyjaśnienia, gdyż wciąż nie wiedziały, co właściwie było przyczyną mojego rozstania z Mary.

— Mary i ja... nie zgadzałyśmy się w pewnych sprawach.

— Wynagrodzi jej to pani, gdy załatwi tego Francuza — oświadczyła Molly.

— Raczej nic nie zdołam zrobić. Cuvier jest wpływowym, powszechnie szanowanym naukowcem, a wy tylko... — Chciałam powiedzieć: biedną rodziną utrzymującą się z własnej pracy. Ale nie powiedziałam tego. Nie musiałam, bo Molly i tak mnie zrozumiała. — Poza tym mnie też nie będzie słuchać, bez względu na to, czy napiszę do niego po francusku, czy po angielsku. Nie zna mnie. Jestem dla niego nikim.

Jak dla większości ludzi, dodałam w myślach.

— Któryś z panów mógłby napisać do Cuviera — zaproponowała Margaret. — Na przykład pan Buckland. On poznał Cuviera, prawda?

— A może powinnam wysłać list do pułkownika Bircha i poprosić, żeby napisał? — powiedziała Molly Anning. — Na pewno by się zgodził.

— W żadnym wypadku pułkownik Birch — zaprotestowałam tak ostro, że wszystkie trzy wbiły we mnie wzrok. — Czy jeszcze ktoś wie, że Mary napisała do Cuviera?

Molly Anning pokręciła głową.

— A zatem nikt nie zna jego odpowiedzi.
— Tylko Joe, ale on się nie wygada.
— To już coś.
— Ludzie i tak się dowiedzą. Do pana Bucklanda, wielbego Conybeare'a, pana Koniga i do wszystkich panów, którym sprzedajemy skamieniałości, dotrze w końcu wiadomość, że zdaniem Francuza Anningowie są oszustami. Usłyszycie o tym książkę Buckingham i nam nie zapłacicie!

Usta zaczęły jej drżeć i bałam się, że jest bliska płaczu, a widoku zapłakanej Molly chyba bym nie zniosła. Żeby temu zapobiec, powiedziałam:

— Pomogę ci, Molly. Tylko nie płacz. Uporamy się z tym.

Nie miałam pojęcia, co zrobię. Ale przypomniała mi się skrzynka pełna skamieniałych ryb, stojąca w warsztacie i czekająca, aż złagodnieję, i wiedziałam, że muszę działać. Po chwili zastanowienia zapytałam:

— Gdzie jest teraz plezjozaur?

— Na pokładzie „Dispatch”, płynię do Londynu, o ile już tam nie dotarł. Pan Buckland był przy tym, jak statek wychodził w morze, a wielbny Conybeare ma czekać, gdy zawinie do portu. Wygłosi przemówienie przed Towarzystwem Geologicznym, na dorocznej kolacji pod koniec miesiąca.

— Aha.

A więc już go tu nie było. Przeszedł w ręce mężczyzn. Będę musiała zwrócić się do nich.

Margaret i Louise uważały, że zwariowałam. Nie dość, że chciałam udać się do Londynu, zamiast po prostu napisać

mocny list, to jeszcze zamierzałam podróżować zimą, na dodatek statkiem — czyste szaleństwo ich zdaniem. Przyszła jednak brzydka pogoda, drogi tak rozmokły, że jedynie karetki pocztowe dojeżdżały do Londynu, a i one z opóźnieniem, poza tym były przepełnione. Wyglądało na to, że statek dotrze na miejsce szybciej, a ten cotygodniowy odpływał akurat w odpowiadającym mi dniu.

Wiedziałam również, że panów, z którymi chciałam się zobaczyć, zaślepi chęć wykorzystania plezjozaura z korzyścią dla siebie i nie zajmą się moim listem, choćby był bardzo przekonujący i nagły w tonie. Musiałam spotkać się z nimi osobiście i przekonać ich, aby natychmiast pomogli Mary.

Jednego nie wyjawiałam swoim siostram: że ekscytuje mnie perspektywa wyjazdu. Oczywiście brał mnie strach na myśl o statku i stanie morza. Będę musiała znosić zimno i kołysanie. Możliwe, że będę cierpieć na chorobę morską przez znaczną część podróży, pomimo środka przeciwko nudnościom, który przyrządziła mi Margaret. Jako jedyna kobieta na pokładzie nie mogłam liczyć na współczucie i troskę ze strony załogi czy współpasażerów.

Nie miałam pojęcia, czy uda mi się wydobyć Mary z tarapatów. Wiedziałam tylko tyle, że po przeczytaniu listu Josepha Pentlanda zawrzałam gniewem. Przez te wszystkie lata Mary była taka szczodra, dostając niewiele w zamian — jeśli pominąć niespodziewany i postrzelony pomysł licytacji, na jaki wpadł pułkownik Birch — podczas gdy ludzie zagarniali jej znaleziska i wykorzystywali je, by zyskać miano filozofów przyrody. William Buckland wykładał o nowo odkrytych stworzeniach w Oksfordzie; Charles

Konig cieszył się uznaniem, ściągając je do Muzeum Brytyjskiego; wielebny Conybeare i nawet nasz drogi Henry De La Beche wygłaszali odczyty na zebraniach Towarzystwa Geologicznego i publikowali artykuły. Konig mógł się szcycić nadaniem nazwy ichtiozaurowi, Conybeare — plejzozaurowi. Ani jeden, ani drugi nie nadałby nazwy niczemu, gdyby nie Mary. Nie mogłam stać z boku i patrzeć, jak podaje się w wątpliwość jej umiejętności, kiedy ci panowie wiedzieli, że ona przewyższa ich wszystkich zdolnościami.

Starałam się również zadośćuczynić Mary. Wreszcie prosiłam ją, by wybaczyła mi zazdrość i pogardę.

I jeszcze jedna rzecz. Nadarzyła mi się okazja zaznać przygody w życiu pozbawionym przygód. Nigdy nie podróżowałam sama, zawsze towarzyszyły mi siostry albo brat, inni krewni czy przyjaciele. Dawało mi to poczucie bezpieczeństwa, ale również czułam, że krępuje moją swobodę, a czasem niemal przytłacza. Byłam całkiem dumna z siebie, stojąc teraz na pokładzie „Unity” — ten sam statek zabrał do Londynu ichtiozaura pułkownika Bircha — i patrząc, jak Lyme i moje siostry robią się coraz mniejsze, aż znikają zupełnie i zostaję sama.

Nie trzymaliśmy się brzegu, tylko wypłynęliśmy prosto na otwarte morze, żeby ominąć niebezpieczny Isle of Portland. Dlatego nie miałam sposobności zobaczyć z bliska dobrze mi znanych miejsc: Golden Cap, Bridport, Chesil Beach czy Weymouth. Znalazłszy się za Portland, nadal pozostawaliśmy na pełnym morzu i dopiero po okrążeniu Isle of Wight zbliżyliśmy się do lądu.

Podróż statkiem do Londynu znacznie różni się od podróży dyliżansem, kiedy to we trzy musiałyśmy siedzieć z kilkoma

obcymi osobami ściśnięte w dusznym, grzechoczącym i podskakującym pudle, ustawicznie czekając, żeby zmieniono konie. To było grupowe przedsięwzięcie, tak uciążliwe, że wraz z wiekiem potrzebowałam coraz więcej czasu, by potem dojść do siebie.

Większość dnia na pokładzie „Unity” spędzałam samotnie. Siadałam na baryłce gdzieś na uboczu i obserwowałam członków załogi zajętych linami i żaglami. Nie miałam pojęcia, co robią, ale ich pokrzykiwania i pewność, z jaką wykonywali swoje zadania, łagodziły mój lęk przed morzem. Ponadto byłam wolna od codziennych obowiązków i niczego ode mnie nie chciano, byleby nie wchodziła w drogę mężczyznom. Co więcej, w ogóle nie odczuwałam mdłości, nawet przy wzburzonym morzu. Szczerze mówiąc, czas mijał mi bardzo przyjemnie.

Z początku niepokoiłam się, że jestem jedyną kobietą na statku — wśród pasażerów było jeszcze trzech panów, którzy prowadzili interesy w Londynie — ale właściwie nie zwracano na mnie uwagi, a kapitan był całkiem uprzejmy, choć małomówny, gdy co wieczór jedliśmy razem kolację. Moja osoba nikogo nie ciekawiła, tylko jeden z pasażerów, pan z Honiton, usłyszawszy, że interesuję się skamieniałościami, chętnie prowadził ze mną rozmowy na ten temat. Nie powiedziałam mu jednak o plezjozaurze ani o swojej planowanej wizycie w siedzibie Towarzystwa Geologicznego. Wiedza tego pana ograniczała się do rzeczy oczywistych — amonity, belemnity, krynoidy, małże — i choć była w niewielkim stopniu pożyteczna, dokładał wszelkich starań, by w pełni się nią podzielić. Na szczęście nie znosił zimna i najchętniej przebywał pod pokładem.

Dopóki nie weszłam na „Unity”, morze zawsze wyznaczało granicę mojego miejsca na lądzie. Ale teraz ta granica się otworzyła. Od czasu do czasu widywałam inny statek, ale przeważnie rozciągało się przede mną niebo i poruszająca się woda. Często sięgałam wzrokiem po horyzont, przepełniona niemym spokojem, jaki dawały miarowe kołysanie fal i życie na statku. Widok ciągnącej się w oddali linii wybrzeża sprawiał mi osobliwe zadowolenie, przypominał, że dużą część życia w Lyme spędziłam ze wzrokiem wbitym w ziemię, wypatrując skamieniałości. Prowadzenie tego rodzaju poszukiwań ogranicza zasięg widzenia. Na statku nie miałam wyboru — musiałam widzieć większy świat i swoje w nim miejsce. Czasem wyobrażałam sobie, że stoję na brzegu, patrząc na statek, i widzę na pokładzie małą fioletową postać tkwiącą między jasnoszarym niebem a ciemnoszarym morzem, która obserwuje przesuwający się przed nią świat, samotna i nieugięta. Było to niespodziewane, ale przepełniało mnie szczęściem, jakiego jeszcze nie zaznałam.

Wiatr był słaby, ale posuwaliśmy się do przodu, aczkolwiek powoli. Po raz pierwszy zobaczyłam ląd drugiego dnia podróży, kiedy zamigotały klify kredowe na wschód od Brighton. Zrobiliśmy tam krótki postój, żeby wyładować bele sukna z manufaktury w Lyme, i przyszło mi na myśl, czy nie zwrócić się do kapitana Pearce'a z prośbą o pozwolenie zejścia na ląd, żebym mogła spotkać się ze swoją siostrą Frances. Uprzytomniłam sobie jednak, ku własnemu zaskoczeniu, że tak naprawdę wcale nie mam ochoty tego zrobić ani nawet wysyłać liściku z wiadomością o swoim przybyciu. Z przyjemnością pozostałam zatem na statku

i przyglądałam się mieszkańcom Brighton spacerującym po promenadzie. Nawet gdyby pojawiła się Frances we własnej osobie, chyba bym do niej nie zawołała. Wolałam nie zakłócać tego rozkosznego uczucia anonimowości, z jakim stałam na pokładzie, przez nikogo niewypatrywana.

Trzeciego dnia minęliśmy surowe białe klify Dover i na wysokości Ramsgate, okrążając cypel, zobaczyliśmy z bakburty statek stojący na mieliźnie. Gdy podpłynęliśmy nieco bliżej, usłyszałam, jak jeden z marynarzy wymienia nazwę „Dispatch”, statku, który wiozł plezjozaura Mary.

Odszukałam kapitana, który potwierdził, że to rzeczywiście ten statek.

— Utknął na Goodwin Sands. Próbowali wykonać zbyt ostry skręt.

Powiedział to z niesmakiem, nie okazał cienia współczucia, nawet gdy kazał załodze spuścić kotwicę. Dwóch marynarzy popłynęło łodzią do przechylonego statku, na którego pokładzie wkrótce pojawiło się paru mężczyzn. Po kilku minutach rozmowy marynarze znów chwycili za wiosła. Gdy podpływali do nas, pochyliłam się i nadstawiłam uszu, żeby usłyszeć, co wołają do kapitana.

— Ładunek zabrano wczoraj na brzeg! Pojedzie do Londynu lądem!

Słyszając to, członkowie załogi zaczęli śmiać się i gwizdać, gdyż, jak się przekonałam podczas pobytu na statku, podróż lądowa nie budziła w nich szacunku. Twierdzili, że jest długa, uciążliwa i człowiek tylko zachłapie się błotem. Inni — na przykład woźnice — być może zaripostowaliby, że podróż morska jest długa, uciążliwa i człowiek tylko zachłapie się wodą.

Bez względu na to, po czyjej stronie była słusność, plezjozaur Mary znajdował się na jednym z wozów, które ciągnęły się długim sznurem przez hrabstwo Kent do Londynu. Wyruszył tydzień przede mną, a dotrze do Londynu zapewne później niż ja, już po zebraniu członków Towarzystwa Geologicznego.

Dopłynęliśmy do Londynu wcześniej rano czwartego dnia i przybiliśmy do nabrzeża przy Tooley Street. Do tej pory na statku panował względny spokój, ale teraz powstał rejewach: w świetle pochodni rozpoczęto wyładowywanie towaru, rozbrzmiewały gwizdy i krzyki, dyliżanse i wozy pełne ludzi i ładunku odjeżdżały z łoskotem. To wszystko porażało zmysły po czterech dniach nieustannego poddawania się rytmom natury. Ludzie, harmider i blask świateł przypominały mi również, że przybyłam do Londynu z ważnego powodu, nie zaś po to, by cieszyć się anonimowością i samotnością, a przy tym oglądać rozległej szy horyzont.

Z wysokości pokładu wypatrywałam swego brata na nabrzeżu, ale na próżno. List, który wysłałam w dniu wyjazdu, zapewne utknął w błocie *en route* i przegrał w wyścigu ze mną. Pierwszy raz znalazłam się w londyńskich dokach, ale już dawniej słyszałam, jakie są zatłoczone, brudne i niebezpieczne, zwłaszcza dla samotnej kobiety, po którą nikt nie wyszedł. Być może właśnie w mroku wszystko wyglądało bardziej tajemniczo, gdyż mężczyźni rozładowujący „Unity”, nawet marynarze poznani w podróży zdawali mi się teraz dużo bardziej twardzi i nieokrzesani.

Nie wiedziałam, czy zejść na ląd. Nie miałam jednak kogo zwrócić się o pomoc; pozostali pasażerowie — także ten zadufany mężczyzna z Honiton — od razu rozeszli się

w pośpiechu, postępując nie po dżentelmeńsku. Mogłam spanikować. Jeszcze cztery dni wcześniej pewnie tak by było. Ale zaszła we mnie jakaś zmiana, gdy godzinami siedziałam na pokładzie, obserwując horyzont: stałam się odpowiedzialna za siebie. Ja, Elizabeth Philpot, kolekcjonerka skamieniałych ryb. Ryby nie zawsze są piękne, ale za to kształtne, odznaczają się sprawnym działaniem, mają wiodące oczy. Niczego nie udają.

Wzięłam torbę i zesłam ze statku. Znalazłam się pośród chyba dwudziestu uwijających się mężczyzn; na mój widok wielu z nich zaczęło gwizdać i wydawać okrzyki. Zanim któryś zdążył zrobić coś więcej, pośpieszyłam do domu celnego, chwiejąc się na nogach odzwyczajonych od chodzenia po lądzie.

— Proszę sprowadzić mi dorożkę — powiedziałam do urzędnika.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, przestając odhaczać pozycje na liście. Miał wąsy, które ruszały się nad wargą niczym skrzydełka ćmy.

— Będę tu czekać, dopóki nie przyjedzie — dodałam.

Postawiłam torbę na podłodze. Nie wysunęłam brody i nie wyostrzyłam zuchwy przez zaciśnięcie zębów, tylko utkwiałam w nim charakterystyczne spojrzenie Philpotów.

Sprowadził dorożkę.

Siedziba Towarzystwa Geologicznego w Covent Garden mieściła się niedaleko domu mego brata, ale żeby się tam znaleźć, trzeba było minąć St Giles i Seven Dials, pełne żebraków i złodziei, a ja wcale nie miałam ochoty iść

tamtędy pieszo. Z tej przyczyny wieczorem dwudziestego lutego tysiąc osiemset dwudziestego czwartego roku czekałam w dorożce naprzeciwko budynku przy Bedford Street 20, mając przy sobie swego bratanka Johnny'ego. Na ulicy leżał śnieg, więc oboje zziębnięci kuliliśmy się pod płaszczami.

Mój brat ze zgrozą przyjął wiadomość, że z powodu Mary odbyłam długą podróż statkiem do Londynu. Gdy obudzony w środku nocy zobaczył mnie w drzwiach, zrobił się taki blady ze zdumienia, że niewiele brakowało, a uznałabym, iż nie należało przyjeżdżać. Wyekspediowane do spokojnego Lyme, rzadko dawałyśmy mu powód do zmartwień, więc teraz robiłam to z dużą niechęcią.

John usiłował przekonać mnie wszelkimi sposobami — nie uciekając się jedynie do wyraźnego zakazu — żebym nie szła do Towarzystwa Geologicznego. Najwyraźniej był skłonny znieść moje osobliwe zachowanie tylko raz, gdy towarzyszył mi na pokazie skamieniałości pułkownika Bircha, poprzedzającym aukcję w Muzeum Bullocka. Na szczęście nigdy się nie dowiedział, że byłam obecna również na samej licytacji. Teraz nie chciał ponownie udzielić mi pomocy w tak dziwnym i ryzykownym przedsięwzięciu.

— Nie wpuszczą cię, ponieważ jesteś kobietą. Zabrania tego ich statut. — Na początek odwołał się do argumentu prawnego.

Siedzieliśmy w jego gabinecie, przy zamkniętych drzwiach, jak gdyby John starał się chronić swoją rodzinę przed nieobliczalną siostrą.

— A nawet jeśli znajdziesz się w środku, nie będą chcieli cię słuchać, ponieważ nie jesteś członkiem Towarzystwa.

Poza tym — dodał, unosząc rękę, gdy próbowałam coś wtrącić — nie powinnaś zajmować się Mary i występować w jej obronie. To nie twoja sprawa.

— Jest moją przyjaciółką — odrzekłam. — Jeśli się za nią nie wstawię, nikt tego nie zrobi.

John obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakbym była małym dzieckiem, które domaga się od niani drugiej porcji puddingu.

— Postąpiłaś bardzo nierozsądnie, Elizabeth. Odbyłaś tę długą podróż, wpędziłaś się w chorobę *en route*...

— To zaledwie przeziębienie.

— ...w chorobę *en route* i przysporzyłaś nam niepotrzebnych zmartwień. — Teraz usiłowałam wzbudzić we mnie poczucie winy. — A wszystko na próżno, bo nikt cię nie wysłucha.

— Przynajmniej spróbuję. To rzeczywiście nierozsądne, żeby odbyć taką długą drogę i nawet nie spróbować.

— Czego ty właściwie chcesz od tych panów?

— Chcę im przypomnieć, że Mary prowadzi poszukiwania i przygotowuje okazy z całą starannością. Chcę ich przekonać, żeby publicznie bronili rzetelności Mary przed atakami Cuviera.

— Nigdy tego nie zrobią — odparł John, wodząc palcem po spiralnym łożdżiku służącym jako przycisk do papieru. — Może wystąpią w obronie plezjozaura, ale nie wspomną o Mary, gdyż jest tylko poszukiwaczką skamieniałości.

— Tylko poszukiwaczką!

Pohamowałam się. John był adwokatem z Londynu i miał określony sposób myślenia. Ja byłam upartą starą panną z Lyme i miałam swój rozum. Nie dojdziemy do porozu-

mienia ani jedno nie przekona drugiego. A tak w ogóle to nie Johna chciałam przekonać; należało oszczędzać słowa na rozmowę z ważniejszymi mężczyznami.

John nie zgodziłby się iść ze mną na zebranie Towarzystwa, więc go nie poprosiłam, lecz skorzystałam z innej możliwości — zwróciłam się do swojego bratanka.

Johnny wyrósł na wysokiego, chudego młodzieńca, u którego wiodące były nogi. Zachował resztki upodobania do swojej ciotki i rozwinął żywe upodobanie do psot. Nie powiedział rodzicom, że widział, jak wykradałam się z domu na aukcję w Muzeum Bullocka, i ten wspólny sekret umocnił łączącą nas więź. Z powodu tej bliskości liczyłam na jego pomoc.

Dopisało mi szczęście: w piątek wieczorem, gdy mieli się spotkać członkowie Towarzystwa, brat z bratową szli na kolację. Nie ujawniłam Johnowi daty zebrania, ale pozwoliłam mu sądzić, że odbędzie się dopiero w następnym tygodniu. Po południu tego dnia udałam, że czuję się gorzej, i położyłam się do łóżka. Bratowa ściągnęła usta, wyrażając dezaprobatę dla mojej lekkomyślności. Nie lubiła niezapowiedzianych gości ani kłopotów, które w jej odczuciu ciągnęły się za mną, choć w Lyme wiodłam spokojne życie. Nie znosiła skamieniałości, bałaganu i pytań bez odpowiedzi. Ilekroć poruszałam takie kwestie jak na przykład przypuszczalny wiek Ziemi, splatała ręce na brzuchu i zmieniała temat, gdy tylko mogła to zrobić w kulturalny sposób.

Gdy braterstwo udali się na wieczorne przyjęcie, wymknęłam się z pokoju, żeby odszukać Johnny'ego i przedstawić mu swoją prośbę. Chłopiec stanął na wysokości

zadania, wprawiając mnie w podziw. Wymyślił zadowolający służbę powód swego wyjścia z domu, sprowadził dorożkę i niepostrzeżenie dla domowników raz-dwa wsadził mnie do środka. To absurdalne, że musiałam zadać sobie aż tyle trudu, żeby zrobić coś niepowszedniego.

Trzeba jednak przyznać, że odczuwałam ulgę, mając kogoś przy sobie. A zatem siedzieliśmy z Johnnym w dorożce, która stała naprzeciwko siedziby Towarzystwa Geologicznego przy Bedford Street. Mój bratanek poszedł tam, by zasięgnąć wiadomości, i doniósł mi, że członkowie nadal spożywają uroczystą kolację w salach na pierwszym piętrze. W oknach frontowych widać było palące się tam światła i od czasu do czasu czyjaś głowę. Oficjalne spotkanie miało się rozpocząć mniej więcej za pół godziny.

— Co robimy, ciociu? — zapytał zdecydowanym tonem Johnny. — Przypuszczamy szturm na cytadelę?

— Czekamy. Będziemy widzieć, jak wstają, żeby uprzątnięto po kolacji. Wtedy wejdę do środka i poszukam pana Bucklanda, który ma być wybrany na prezesa. Jestem pewna, że mnie wysłucha.

Johnny rozsiadł się i położył nogi na siedzeniu po przeciwnej stronie. Gdybym była jego matką, kazałabym mu zdjąć nogi, ale przyjemność bycia ciotką polega na tym, że można cieszyć się towarzystwem bratanka czy siostrzeńca i nie przejmować się jego zachowaniem.

— Ciociu, możesz mi powiedzieć, dlaczego ten plezjozaur jest taki ważny? — odezwał się Johnny. — Rozumiem, że chcesz bronić Mary Anning, ale dlaczego wszyscy tak się ekscytują tym stworzeniem?

Wygładziłam rękawiczki i ułożyłam fałdy płaszcza.

— Pamiętasz, jak byłeś mały i zabraliśmy cię do Domu Egipskiego, żebyś zobaczył eksponowane tam zwierzęta?

— Pamiętam słońca i hipopotama.

— A pamiętasz kamiennego krokodyla, którego pierwszy wypatrzyłeś, a ja byłam taka przygnębiona jego widokiem? Tego, który znajduje się teraz w Muzeum Brytyjskim i jest nazywany ichtiozaurem.

— Oczywiście widziałem go w Muzeum Brytyjskim i pamiętam, jak mi o nim opowiadałaś — odrzekł Johnny. — Ale muszę przyznać, że słoń mocniej wbił mi się w pamięć. Dlaczego pytasz?

— Gdy Mary znalazła tamtego ichtiozaura, nie zdawała sobie wówczas sprawy, że przyczynia się do zmiany sposobu myślenia o naszym świecie. Oto stworzenie, którego nie widziano nigdy dotąd, które zapewne już nie istnieje, wyginęło, wymarł cały gatunek. Ten fenomen skłonił ludzi do myślenia, że świat ulega zmianom, aczkolwiek powolnym, i wcale nie jest stały, jak dotychczas myślano. Tymczasem geolodzy badali różne warstwy skalne, próbowali dojść, jak uformował się świat, i oszacować jego wiek. Od pewnego czasu przypuszczano, że świat ma jednak więcej niż sześć tysięcy lat, jak to wyliczył biskup Ussher. Pewien uczony Szkot, James Hutton, stwierdził nawet, że na obliczu Ziemi „nie widać śladów początku ani zapowiedzi końca” i że niemożliwością jest zmierzenie jej wieku. — Po chwili milczenia dodałam: — Byłoby dobrze, gdybyś nie powtarzał tego swojej matce. Ona jest niezadowolona, gdy poruszam takie tematy.

— Nie powtórzę. Mów dalej, ciociu.

— Hutton utrzymywał, że świat ukształtował się na skutek

działania wulkanów. Inni uważali, że doszło do tego pod wpływem wody. Niektórzy geolodzy zaczerpnęli po trochu z obu teorii i wysunęli niedawno hipotezę, iż na kształt naszego świata miały wpływ katastrofy, które występowały co jakiś czas, a ostatnią był potop za życia Noego.

— Co to ma wspólnego z plezjozaurem?

— Znalezienie plezjozaura dało nam twarde dowody na to, że ichtiozaur nie jest jedynym wymarłym stworzeniem, że są jeszcze inne, może nawet jest ich wiele. A to z kolei potwierdza hipotezę, iż Ziemia podlega ciągłym zmianom.

Spojrzałam na Johnny'ego. Ze zmarszczonym czołem patrzył na wirujące płatki śniegu. Przyszło mi na myśl, czy nie jest podobny do swojej matki bardziej, niż sądziłam.

— Przepraszam... nie miałam zamiaru mącić ci w głowie.

— Nie, nie, to fascynujące — odrzekł. — Zastanawiam się tylko, dlaczego moi nauczyciele nie mówią o tym na lekcjach.

— Wielu nie ma odwagi, gdyż byłoby to kwestionowaniem naszej wiary we wszechwiedzącego i wszechmocnego Boga i podawaniem w wątpliwość Jego intencji.

— A ty w co wierzysz, ciciu?

— Wierzę... — Tak mało osób zadawało mi to pytanie, że potraktowałam je jako przyjemną odmianę. — Wolę rozumieć Biblię w sensie przenośnym, a nie dosłownym. Na przykład w Księdze Rodzaju mówi się o stworzeniu świata w sześć dni. Sądzę, że chodzi nie o dni w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz o różne okresy tworzenia, które mogły trwać tysiące albo setki tysięcy lat. Nie umniejsza to wcale roli Boga, po prostu daje Mu więcej czasu na zbudowanie tego niezwykłego świata.

— Wróćmy do ichtiozaura i plezjozaura.

— Te stworzenia żyły bardzo dawno temu. Przypominają nam, że świat się zmienia. To oczywiste, że zachodzą w nim zmiany. Widać to gołym okiem: po oberwaniu się skały w Lyme linia wybrzeża wygląda inaczej. Świat zmienia się na skutek trzęsień ziemi, wybuchów wulkanów i powodzi. Dlaczego miałyby się nie zmieniać?

Johnny kiwnął głową. Poczułam ulgę, mając życzliwego słuchacza, który nie uzna mnie za ignorantkę czy bluźnierczynię, gdy będę mówiła takie rzeczy. Może sprawiła to jego młodość, że słuchał mnie bez uprzedzeń.

— Popatrz.

Wskazał okna siedziby Towarzystwa Geologicznego. Sylwetki mężczyzn wstających od stołu zasłaniały światło. Teraz będę musiała mieć wiodące oczy. Wzięłam głęboki wdech i otworzyłam drzwi dorożki. Johnny wyskoczył i pomógł mi wysiąść, podekscytowany, że wreszcie nadeszła pora działania. Pomaszerował do głównego wejścia i śmiało zapukał. Drzwi otworzył ten sam mężczyzna co przedtem, ale Johnny zachował się tak, jak gdyby nigdy dotąd z nim nie rozmawiał.

— Panna Philpot pragnie zobaczyć się z profesorem Bucklandem — oznajmił, być może przekonany, że wystarczy mieć rezon, by wszystkie drzwi stały przed człowiekiem otworem.

Na odźwiernym ta młodzieńcza pewność siebie nie zrobiła wrażenia.

— Kobiety nie mają wstępu do siedziby Towarzystwa — odrzekł, na mnie nawet nie spojrzawszy, tak jakbym nie istniała.

Już miał zamknąć drzwi, ale Johnny mu to uniemożliwił, stawiając nogę na progu.

— W takim razie pan John Philpot pragnie zobaczyć się z profesorem Bucklandem.

Odźwierny zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

— W jakiej sprawie?

— Dotyczy plezjozaura.

Tamten zmarszczył brwi. Słowo „plezjozaur” nic mu nie mówiło, ale brzmiało mądrze i poważnie.

— Przekażę wiadomość.

— Będę rozmawiał tylko z profesorem Bucklandem — rzekł wyniośle Johnny, rozkoszując się każdą chwilą.

Odźwierny był niewzruszony. Musiałam postąpić do przodu, zmuszając go, by wreszcie spojrzeć na mnie i zauważył moją obecność.

— Sprawa ma związek z tematem zebrania, które lada chwila się rozpocznie, byłoby więc roztropne powiadomić profesora Bucklanda, iż czekamy tu, by z nim porozmawiać.

Spojrzałam mu prosto w oczy z całą stanowczością i pewnością, które odkryłam w sobie, przebywając na pokładzie „Unity”.

Wywarło to pożądaný skutek: po chwili mężczyzna spuścił wzrok i odpowiedział ledwie zauważalnym kiwnięciem głowy.

— Proszę czekać — powiedział i zamknął nam drzwi przed nosem.

Mój sukces był tylko częściowy, to pewne; nie zdołałam doprowadzić do tego, by uchylono zakaz wstępu kobietom i nie zmuszano ich do stania na zimnie. Gdy czekaliśmy pod drzwiami, płatki śniegu przyprószyły mi kapelusz i płaszcz.

Kilka minut później usłyszeliśmy kroki na schodach, po czym drzwi się otworzyły i ujrzeliśmy podekscytowane twarze pana Bucklanda i wielbnego Conybeare'a. Byłam rozczarowana widokiem tego drugiego; w porównaniu z panem Bucklandem pan Conybeare był znacznie mniej przystępny i serdeczny.

Wydaje mi się, że oni też byli trochę zawiedzeni, gdy nas zobaczyli.

— Panna Philpot! — zawołał pan Buckland. — Co za niespodzianka. Nie wiedziałem, że przebywa pani w mieście.

— Przyjechałam przed dwoma dniami. Miło mi panów widzieć. — Skinęłam głową jednemu i drugiemu. — To mój bratanek, John. Możemy wejść do środka? Na dworze jest bardzo zimno.

— Oczywiście, oczywiście!

Gdy pan Buckland wprowadził nas do westybulu, wielbny Conybeare zacisnął usta, najwyraźniej niezadowolony, że kobiecie pozwolono przestąpić próg siedziby Towarzystwa Geologicznego. Ale ponieważ nie był prezesem — tę godność miał otrzymać wkrótce pan Buckland — nie odezwał się słowem, tylko złożył nam obojgu ukłon. Jego długi wąski nos był czerwony — trudno powiedzieć, czy od wina, czy od siedzenia blisko kominka, czy może ze złości.

Westybul wyglądał skromnie: elegancka czarno-biała posadzka, na ścianach portrety, z których patrzyli z powagą George Greenough, John MacCulloch i inni prezesi. Wkrótce dołączy do nich portret Williama Babingtona, ustępującego prezesa. Spodziewałam się ujrzeć eksponaty świadczące o zainteresowaniach Towarzystwa: skamieniałości, rzecz

jasna, i skały. Ale nic takiego tam nie było. To, co ciekawe, zostało ukryte.

— Czy przynosi pani wieści o plezjozaurze, panno Philpot? — zapytał wielebny Conybeare. — Sugerował to odźwierny. Czy można nadal się spodziewać, że plezjozaur uświetni nasze spotkanie swoją obecnością?

Wtedy zrozumiałam przyczynę ich podekscytowania: to nie na dźwięk nazwiska Philpot, lecz na wzmiankę o oczekiwany okazie zbiegli szybko po schodach.

— „Dispatch” ugrzązł na mieliźnie. Trzy dni temu widziałam go z pokładu statku — powiedziałam tonem osoby dobrze poinformowanej. — Ładunek jest przewożony łądem i przybędzie tak szybko, jak pozwolą na to drogi.

Obaj panowie zmarkotnieli, słysząc potwierdzenie wiadomości, która już do nich dotarła.

— W takim razie po co pani tu przyszła? — zapytał wielebny Conybeare.

Jak na pastora był dość zgryźliwy.

Wyprostowałam się i dołożyłam wszelkich starań, by spojrzeć im w oczy z taką samą pewnością siebie, jak przedtem urzędnikowi na nabrzeżu i odźwiernemu Towarzystwa Geologicznego. Było to jednak znacznie trudniejsze w sytuacji, gdy patrzyły na mnie dwie osoby — i jeszcze Johnny — przy tym bardziej uczone i pewne siebie. Mogłam oddziaływać na urzędnika i odźwiernego, ale nie na ludzi z tej samej co ja klasy. Zamiast skoncentrować się na panu Bucklandzie, który jako przyszły prezes był ważniejszy od wielebnego Conybeare'a, bezmyślnie przeniosłam wzrok na swego bratanka i oznajmiłam:

— Chciałabym porozmawiać z panem o Mary Anning.

— Coś jej się stało? — zapytał pan Buckland.

— Nie, nie, czuje się dobrze.

Wielebny Conybeare zrobił marsową minę i nawet pan Buckland, który nie miał w sobie nic z Marsa, ściągnął brwi.

— Panno Philpot — odezwał się wielebny Conybeare — zaraz rozpocznie się spotkanie, podczas którego pan Buckland i ja wygłosimy ważne, powiedziałbym nawet historyczne, mowy do członków Towarzystwa. Sprawa panny Anning z pewnością może poczekać jeszcze dzień, aż dopełnimy znacznie pilniejszych obowiązków, o których wspominałem. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę przejrzeć notatki.

Nie czekając na moją odpowiedź, odwrócił się i zaczął wchodzić bezszelestnie po wysłanych dywanem schodach. Zdawało się, że pan Buckland podąży za nim, ale ponieważ był uprzejmiejszy i wolniejszy w działaniu, został jeszcze chwilę i powiedział:

— Z wielką ochotą porozmawiam z panią innym razem. Może mógłbym złożyć wizytę któregoś dnia w przyszłym tygodniu?

— Trzeba panu wiedzieć — wtrącił się Johnny — że *monsieur* Cuvier podważa autentyczność plezjozaura!

Na te słowa wielebny Conybeare przystanął.

— Co takiego?

Johnny, bystry chłopiec, powiedział dokładnie to, co należało. Ci panowie oczywiście nie byli zainteresowani Mary, natomiast przykładali wielką wagę do opinii Cuviera na temat plezjozaura.

— Baron Cuvier uważa, że plezjozaur, którego znalazła Mary, nie może być prawdziwy — zaczęłam wyjaśniać, gdy

zasepiony pan Conybeare zszedł ze schodów i do nas dołączył. — Ma za wiele kręgów szyjnych. Według niego przeczy to podstawowym zasadom anatomii kręgowców.

Uczeni wymienili spojrzenia.

— Cuvier podejrzewa, że Anningowie stworzyli fałszyfikat, połączyli czaszkę węża morskiego z ciałem ichtiozaura. Twierdzi, że są fałszerzami — dodałam, poruszając najważniejszy dla mnie aspekt całej sprawy.

Pożałowałam tych słów, widząc po obliczach obu panów, jak przyjęli tę wiadomość. Początkowe zaskoczenie ustąpiło miejsca pewnej podejrzliwości, wyraźniejszej u wielebnego Conybeare'a, choć również widocznej na dobrotliwej twarzy pana Bucklanda.

— Naturalnie wiedzą panowie, że Mary nigdy nie dopuściłaby się takiego czynu — nadmieniłam. — Jest osobą na wskroś uczciwą, wyuczona przez szanownych panów, jak ważne jest zachowanie okazów w takim stanie, w jakim zostały znalezione. Wie, że tracą wartość, gdy się przy nich majstruje.

— Oczywiście — przytaknął już trochę rozpogodzony pan Buckland, jak gdyby chciał tylko usłyszeć głos rozsądku.

Natomiast wielebny Conybeare wciąż miał zmarszczone czoło. Moja wzmianka rozbudziła w nim wątpliwości.

— Kto powiadomił Cuviera o okazie? — zapytał kategorycznym tonem.

Zawahałam się, co powiedzieć, ale nie pozostawało mi nic innego, jak tylko ujawnić prawdę.

— Mary sama do niego napisała. Sądzę, że dołączyła też rysunek.

— Mary napisała list? — prychnął lekceważąco. — Aż

się boję pomyśleć, jak on wyglądał. Ta dziewczyna jest praktycznie niepiśmienna! Byłoby dużo lepiej, gdyby Cuvier dowiedział się o plezjozaurze po wygłoszeniu przez nas odczytów. Posłuchaj, Buckland, sami musimy wyłożyć mu tę sprawę, przedstawiając rysunki i szczegółowe wyjaśnienia. Powinien dostać list od nas obu i może jeszcze od kogoś, żeby poznał różne punkty widzenia. Na przykład od Johnsona z Bristolu. Johnson bardzo się ożywił, gdy wspomniałem mu o plezjozaurze, będąc na początku tego miesiąca w Zakładzie Rozwoju Nauki i Sztuki. Wiem, że dawniej utrzymywał korespondencję z Cuvierem.

Mówiąc to, wielebny Conybeare wodził ręką w górę i w dół po mahoniowej poręczy, tak był wytracony z równowagi. Gdyby nie zirytował mnie swoimi podejrzeniami wobec Mary, może miałabym dla niego więcej współczucia.

Pan Buckland również zauważył podenerwowanie przyjaciela.

— Chyba nie zamierzasz zrezygnować ze swojego wystąpienia, Conybeare. Wielu gości przyszło posłuchać właśnie ciebie: Babbage, Gordon, Drummond, Rudge, także McDownell. Widziałeś, jak wygląda aula: tak licznego audytorium jeszcze tu nie było. Naturalnie mogę ich zabawić swoimi rozmyślaniami o megalozaurze, ale o ile większe wrażenie byśmy zrobili, obaj wygłaszając swoje wykłady o tych stworzeniach. Razem zapewnimy im niezapomniany wieczór!

Cmoknęłam z niezadowoleniem.

— To nie jest spektakl teatralny — zauważyłam.

— W pewnym sensie jest. Przygotowaliśmy dla nich wyśmienite widowisko! Otwieramy im oczy na cudowny

świat przeszłości, dając niepodważalny dowód jego istnienia, pokazujemy najwspanialsze istoty stworzone przez Boga. Poza człowiekiem, rozumie się.

Pan Buckland rozwijał wątek z coraz większym zapałem.

— Może powinien pan zachować swoje myśli dla dzisiejszych słuchaczy — wtrąciłam.

— Naturalnie, naturalnie. No jak, Conybeare, zgadzasz się ze mną?

— Tak. — Widać było, że wielbny Conybeare odzyskał nieco pewności siebie. — W swoim odczycie już zająłem się kilkoma zagadnieniami dotyczącymi liczby kręgow i rozpatrywanymi przez Cuviera. Ty zaś widziałeś to stworzenie. Wierzysz w jego autentyczność.

Pan Buckland kiwnął głową.

— W takim razie panowie dają wiarę również Mary Anning — wtrąciłam. — I będą bronić jej przed niesprawiedliwymi zarzutami Cuviera.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego z dzisiejszym spotkaniem — szybko odpowiedział wielbny Conybeare. — Wspomniałem o Mary w swoim odczycie na temat plezjozaura wygłoszonym w Zakładzie Rozwoju Nauki i Sztuki w Bristolu. Wystosujemy z Bucklandem list do Cuviera. Czy to nie wystarczy?

— W auli na piętrze zgromadzili się wszyscy znaczący geolodzy oraz pasjonaci geologii. Wystarczy jedno oświadczenie, że panowie pokładają pełne zaufanie w umiejętnościach Mary jako poszukiwaczki skamieniałości, a zbije ono wszystkie argumenty barona Cuviera, które mogą później dotrzeć do uszu zebranych na górze ludzi.

— Dlaczego miałbym publicznie podawać w wątpliwość

umiejętności panny Anning, a nawet, co ważniejsze, podważać wartość okazu, o którym za chwilę wygłoszę odczyt?

— Dobre imię kobiety narażone jest na szwank, jak również jej byt. Jeśli Mary straci źródło utrzymania, panowie stracą okazy konieczne do rozstawiania swoich teorii i własnego imienia. A to chyba jest dla panów dostatecznie ważne, by otwarcie wypowiedzieć się w sprawie.

Gniewne spojrzenia wielebnego Conybear'e'a i moje się spotkały. Zapewne moglibyśmy przez cały wieczór stać tak, mierząc się wzrokiem, gdyby nie Johnny, który zniecierpliwiał się naszym gadaniem i chciał przejść do czynów. Przemknął za plecami pana Conybear'e'a, wbiegł na schody i z wysokości kilku stopni zawołał:

— Jeżeli panowie nie zgodzą się oczyścić dobrego imienia panny Anning, pójdę na górę i powtórzę przed całym audytorium, co powiedział Cuvier. Co panowie na to?

Wielebny Conybear rzucił się w jego stronę, chcąc go powstrzymać, ale Johnny wbiegł wyżej, nie dając się złapać. W zasadzie powinnam skarcić bratanka za złe zachowanie, ale z trudem dławiłam śmiech. Zwróciłam się do pana Bucklanda, bardziej rozsądnego od swego kolegi.

— Dobrze wiem, że odnosi się pan do Mary z dużą sympatią i zdaje sobie sprawę, ile zawdzięczamy jej umiejętności znajdowania skamielin. Wiem również, jak ważny jest dla pana ten wieczór, i w żadnym wypadku nie chcę go zepsuć. Ale podczas tego spotkania chyba będzie pan miał sposobność udzielić Mary poparcia. Mógłby pan po prostu wyrazić uznanie dla jej trudu, nie odnosząc się bezpośrednio do barona Cuviera. A gdy ten w końcu wypowie się publicznie, panowie na górze zorientują się, jakie było

głębsze znaczenie pańskiej deklaracji zaufania. W ten sposób wszyscy będziemy usatysfakcjonowani. Czy jest pan gotów zaakceptować takie rozwiązanie?

Po chwili zastanowienia pan Buckland oświadczył:

— To nie znajdzie się w protokole ze spotkania. Ale na pewno powiem kilka słów nieoficjalnie, jeśli to panią zadowoli.

— O tak, bardzo panu dziękuję.

Panowie uczeni spojrzeli w górę na Johnny'ego.

— Dość już tego, młodzieńcze — burknął wielebny Conybeare. — Schodź na dół.

— Załatwione, ciociu? Mam zejść?

Johnny sprawiał wrażenie zawiedzionego tym, że nie będzie mógł spełnić swojej pogroźki.

— I coś jeszcze — odezwała się, na co wielebny Conybeare jęknął ciężko. — Chciałabym usłyszeć, co panowie będą dzisiaj mówić o plezjozaurze.

— Niestety kobiety nie mają wstępu na spotkania Towarzystwa. — W tonie głosu pana Bucklanda wyczuwało się nutę żalu.

— W takim razie może wysłucham odczytu, siedząc na korytarzu. Nikt prócz panów nie będzie wiedział, że tam jestem.

— W tylnej części auli jest wyjście na klatkę schodową, która prowadzi do jednej z kuchni — rzekł pan Buckland po namyśle. — Tamtędy służba wnosi i znosi naczynia, potrawy i inne rzeczy. Siedząc na podeście, wszystko by pani słyszała, a nikt by pani nie widział.

— Dziękuję. To bardzo miło z pana strony.

Pan Buckland dał znak odźwiernemu, który z niewzruszoną miną przysłuchiwał się naszej rozmowie.

— Proszę zaprowadzić tę panią i towarzyszącego jej młodzieńca na podest na zapleczu. Chodź, Conybeare, nasi słuchacze dość już się naczekali. Pomyślą, że odbyliśmy podróż do Lyme i z powrotem!

Panowie ruszyli w pośpiechu na górę, zostawiając mnie i Johnny'ego z odźwiernym. Nigdy nie zapomnę zjadliwego spojrzenia, jakie rzucił mi przez ramię wielebny Conybeare ze szczytu schodów, zanim wszedł do auli.

Johnny parsknął śmiechem.

— Nie zaskarbiłaś sobie przyjaźni tego pana, ciociu!

— To nieistotne, boję się tylko, czy nie zbiłam go z pantałyku. No cóż, wkrótce się przekonamy.

Moje obawy się nie sprawdziły. Pastorzy są przyzwyczajeni do wystąpień publicznych; wielebny Conybeare wykorzystał swoje bogate doświadczenie i odzyskał równowagę wewnętrzną. Gdy William Buckland poruszył wszystkie kwestie formalne — przyjął protokół z poprzedniego zebrania, zgłosił kandydatów na członków, wymienił rozliczne czasopisma i okazy ofiarowane Towarzystwu od ostatniego spotkania — wielebny Conybeare, zdążywszy przejrzeć notatki i upewniwszy się co do słuszności swoich racji, rozpoczął wykład z opanowaniem i całą powagą swego autorytetu.

Mogłam ocenić jego wystąpienie tylko po brzmieniu głosu, gdyż usadzono nas na krzesłach przy tylnym wejściu do auli. Drzwi były uchylone, więc wszystko słyszeliśmy, ale widzieliśmy jedynie plecy panów stojących przy drzwiach w zatłoczonej sali. Miałam wrażenie, że jestem uwięziona za murem mężczyzn, którzy trzymają mnie z dala od biegu wydarzeń.

Na szczęście tyrada wielebnego Conybeare'a docierała nawet do nas.

— Z wielkim zadowoleniem przedstawiam członkom Towarzystwa opis niemal doskonałego szkieletu stworzenia należącego do nowo odkrytego kopalnego gatunku *Plesiosaurus*, którego istnienie, na podstawie kilku rozrzuconych bezładnie fragmentów, czułem się uprawniony postulować w roku tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym. Właściciel okazji, ksiązę Buckingham, w swej szczodrości udostępnił ten nowy okaz mojemu koledze, profesorowi Bucklandowi, w celu przeprowadzenia badań naukowych. Oględziny tego wspaniałego znaleziska, wydobytego niedawno w Lyme, potwierdziły we wszystkich zasadniczych aspektach moje wcześniejsze wnioski względem budowy szkieletu.

Podczas gdy mężczyźni na sali mogli się cieszyć ciepłem dwóch kominków i zbiorowym ciepłem sześćdziesięcioosobowego audytorium, Johnny i ja siedzieliśmy skostniali na półpiętrze. Choć szczelnie owinęłam się wełnianym płaszczem, wiedziałam, że przebywanie w tym miejscu wpłynie niekorzystnie na moje osłabione drogi oddechowe. Pomimo to nie mogłam stąd wyjść w tak ważnej chwili.

Wielebny Conybeare od razu zajął się najbardziej znamieną cechą plezjozaura: niezwykle długą szyją.

— Jest równa długości całego ciała wraz z ogonem — mówił. — Ponieważ kręgi szyjne występują w znacznie większej liczbie niż u ptaków o wyjątkowo długich szyjach, na przykład u łabędzia, budowa tego stworzenia wykazuje odstępstwa od zasad anatomii, które dotychczas odnosiły się do wszystkich zwierząt czworonożnych. Wspominam o tym już na wstępie, gdyż właśnie ten fakt czyni niedawne

odkrycie tak znaczącym i ciekawym, a samo stworzenie stanowi niezwykle intrygujący i ważny wkład geologii w rozwój anatomii porównawczej.

Następnie zaczął przedstawiać ze szczegółami wygląd zwierzęcia. Wtedy już z trudem udawało mi się stłumić kaszel i Johnny poszedł przynieść mi trochę wina z kuchni. Zapewne to, co tam zobaczył, spodobało mu się dużo bardziej niż to, czego musiał słuchać na podeście, albowiem podał mi kieliszek bordo i zaraz znów zszedł kuchennymi schodami, by posiedzieć przy ogniu i po flirtować dla wprawy ze służącymi, które najęto na ten wieczór.

Wielebny Conybeare opisał czaszkę i kręgi, a potem poświęcił trochę czasu na porównanie ich liczby z liczbą kręgów u różnych zwierząt, podobnie jak to zrobił *monsieur Cuvier*, kwestionując rzetelność Mary. W rzeczy samej nazwisko Cuviera padało kilkakrotnie i znaczenie autorytetu wielkiego anatoma było podkreślane w toku całego odczytu. Nic dziwnego, że wielebny Conybeare tak się przeraził odpowiedzią Cuviera na list Mary. Niemniej — jakkolwiek nieprawdopodobna była budowa plezjozaura — to zwierzę z pewnością kiedyś istniało. Skoro Conybeare z przekonaniem mówił o istnieniu tego stworzenia, na pewno uznawał autentyczność znaleziska Mary. Dla mnie było to oczywiste.

Ale nie dla niego. W istocie twierdził coś przeciwnego. Opisując płuety plezjozaura, powiedział tak:

— Muszę przyznać, że z początku błędnie uważałem, że krawędzie płetw tego stworzenia zbudowane są z zaokrąglonych kości. Wcale tak nie jest. Gdy znaleziono pierwszy okaz w roku tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym, wspomniane kości leżały luzem i dopiero później zostały

połączone, przybierając obecny kształt, wedle przypuszczeń właścicielki.

Dopiero po chwili uprzytomniłam sobie, że mówiąc o właścicielce, ma na myśli Mary i zarzuca jej, że niewłaściwie złożyła kości pierwszego plezjozaura. Wielebny Conybeare był łaskaw wspomnieć o niej — nadal nie wymieniając jej z nazwiska — tylko w formie przygany.

— To nie przystoi dżentelmenowi! — mruknęłam pod nosem głośniej, niż zamierzałam, i zaraz kilku panów stojących rzędem przede mną poruszyło się i odwróciło głowy, szukając wzrokiem autora tego komentarza.

Skuliłam się na krześle i dalej słuchałam odrętwiała, jak wielebny Conybeare porównuje plezjozaura do zółwia pozbawionego skorupy i snuje domysły na temat jego niezdarności na lądzie i w wodzie.

— Czy nie można zatem dojść do wniosku, że zwierzę pływało na powierzchni lub blisko powierzchni wody, jak łabędź wyginając w łuk długą szyję i od czasu do czasu zanurzając ją gwałtownym ruchem, by pochwycić przepływającą w jego zasięgu rybę? Być może czaiło się w płytkich wodach wzdłuż wybrzeża, ukryte wśród wodorostów, i wystawiało nozdrza równo z lustrem wody, całe schowane znacznie głębiej, by chronić się przed niebezpiecznymi wrogami.

Zakończył swoje wystąpienie z fanfarami, strategicznym gestem, który, jak podejrzewałam, wymyślił na początku zebrania.

— Muszę powinszować gronu naukowców dokonania tego odkrycia akurat w przededniu publikacji wyników badań, które znamienity Cuvier prowadzi nad kopalniami

gatunkami zwierząt jajorodnych. Można się zatem spodziewać, iż rzuci on więcej światła na przedmiot dzisiejszych rozważań, tak jak dotychczas z niezmiennym powodzeniem naświetlał niejasne i skomplikowane zagadnienia anatomii porównawczej. Dziękuję za uwagę.

Mówiąc to, wielebny Conybeare ustawił się w korzystnej pozycji po stronie barona Cuviera, tak by nie pomyślano, że do niego skierowane są ewentualne słowa krytyki z ust Francuza. Nie przyłączyłam się do owacji. Uczucie ciężaru na klatce piersiowej tak się nasiliło, że z trudem oddychałam.

Rozpoczęła się ożywiona dyskusja, której nie śledziłam punkt po punkcie z powodu zawrotów głowy. Usłyszałam jednak, jak pan Buckland wreszcie odchrząknął i powiedział:

— Chciałbym wyrazić serdeczne podziękowania pannie Anning, która znalazła i wydobyla ten wspaniały okaz. Wielka szkoda, że nie dojechał na dzisiejsze spotkanie i nie mogliśmy go podziwiać wraz ze znakomitym i pouczającym wykładem wielebnego Conybeare'a. Gdy tylko znajdzie się w siedzibie Towarzystwa, członkowie i przyjaciele będą mieli możliwość dokładnie mu się przyjrzeć. To pionierskie odkrycie wzbudzi panów zdumienie i zachwyt.

Dostanie tylko tyle, pomyślałam, zdawkowe podziękowania, które utoną w zalewie pochwalnych słów o zwierzu i o mężczyźnie. Jej nazwisko nie zostanie utrwalone w pismach naukowych czy książkach — ludzie o niej zapomną. Niech i tak będzie. Życie kobiety zawsze jest kompromisem.

Reszty nie musiałam już słuchać. Zemdlałam.

Uderzenie pioruna,
które oznaczało
największe szczęście
w całym moim życiu

Tylko pomyślny traf sprawił, że widziałam, jak wyruszała w podróż. Joe wyciągnął mnie z łóżka. Stała nade mną pewnego ranka, gdy mamy nie było w domu. Tray leżał przy moim boku.

— Mary — powiedział Joe.

Odwrociłam się.

— Co takiego?

Nie odzywał się przez minutę, tylko patrzył na mnie z góry. Każdy mógłby sądzić, że Joe stoi tak z obojętną miną, ale ja widziałam, jak martwi go, że leżę w łóżku, choć nic mi nie dolega. Przygryzał sobie od wewnątrz policzek, lekkie skubnięcie raz po raz, przy którym napinał mięśnie szczęki — trzeba było tylko uważnie patrzeć.

— Możesz wstać — oświadczył. — Panna... mama cię z tego wypłacze.

— Z czego?

— Z tych kłopotów z Francuzem.

Usiadłam, owijając się kocem, bo choć grzał mnie Tray, i tak było przeraźliwie zimno.

— Jak wypłacie?

— Nie mówiła. A ty wstawaj. Nie chcę więcej chodzić na plażę.

Z poczuciem winy wstałam z łóżka. Tray szczekał z radości, a mnie też ulżyło. Po całym dniu w pościeli zaczęło mi się nudzić, ale chciałam wstać dopiero wtedy, gdy ktoś każe mi to zrobić.

Ubrałam się, wzięłam młotek i koszyk i zawołałam Traya, który cały czas leżał przy mnie w łóżku i teraz tylko czekał, żeby wyjść na dwór. Pułkownik Birch dał mi tego psa tuż przed wyjazdem na zawsze z Lyme, zapewniając, że Tray będzie wierny. I miał rację.

Wyszłam z domu i zaraz para z ust owiała mi twarz — tak było zimno. Szare niebo zapowiadało, że spadnie śnieg. Przypływ odciął mi drogę do Black Ven i Charmouth, więc poszłam w drugą stronę, na Monmouth Beach, gdzie wciąż był odsłonięty wąski pas ziemi pod klifem. Rzadko znajdowałam potwory w tamtych skałach, ale czasem wywoziłam ogromne amonity, podobne do tych na Cmentarzysku Amonitów, ale leżące luzem, a nie tkwiące w kamieniu. Szłam drogą spacerową przy plaży, Tray biegł z przodu, stukając pazurami o lód. Co jakiś czas przybiegał i wachał mnie, żeby się upewnić, że idę dalej, jeszcze nie wracam do domu. Przyjemnie było znaleźć się na dworze, mimo zimna. Miałam wrażenie, że wyszłam z otumaniającej gorączki na surowe, rześkie powietrze.

Gdy zrównałam się z krańcem cypla Cobb, zobaczyłam stojący przy nabrzeżu statek „Unity”, na który właśnie dokonywano załadunku. Nie byłoby w tym nic niecodziennego, gdyby wśród uwijających się mężczyzn nie zwróciły mojej

uwagi trzy kobiety — dwie miały na głowach budki, a trzecia charakterystyczny turban z piórami.

Tray przybiegł i zaczął szczekać. Nie chciałam, żeby mnie zauważyły, więc szybko złapałam psa, uciszyłam go i schowałam się za przewróconą do góry dnem łódź, którą przewożono ludzi na stojący na kotwicy statek.

Z tej odległości nie mogłam dojrzeć twarzy sióstr Philpot, ale widziałam, jak panna Margaret daje coś pannie Elizabeth, a ta wkłada to do kieszeni. Po całusach i uściskach panna Elizabeth odsunęła się od sióstr, mężczyźni przestali biegać tam i z powrotem po trapie, a wtedy ona weszła na pokład i stanęła przy barierce.

Nie mogłam sobie przypomnieć, żeby panna Elizabeth kiedykolwiek płynęła statkiem lub nawet małą łodzią, choć mieszkała nad morzem i często chodziła po plaży w poszukiwaniu skamielin. Zresztą mnie też przydarzyło się to raz, może dwa. Choć siostry Philpot mogły podróżować do Londynu statkiem, zawsze wybierały dylizans. Jedni są stworzenia do życia na morzu, inni na lądzie. Myśmy byli ludźmi lądowymi.

Miałam chęć wbiec na Cobb i zawołać do nich, ale nie ruszyłam się z za łodzi. Tray skomlał przy moich nogach, patrząc, jak marynarze rozwijają wielkie żagle na „Unity” i odrzucają cumy. Panna Elizabeth stała na pokładzie, dzielna, wyprostowana, w szarym płaszczu z pelerynką i fioletowym czepku. Wiele razy widziałam, jak statki wypływają z Lyme, ale nigdy nie zabierały kogoś, kto tyle dla mnie znaczył. Nagle pomyślałam, że morze jest zdradzieckie. Przypomniały mi się zwłoki lady Jackson, wyrzucone na brzeg po katastrofie morskiej przed laty, i już

chciałam krzyknąć do panny Elizabeth, żeby wracała, ale było za późno.

Starałam się nie zamartwiać, tylko robiłam swoje. Nie zaglądałam do gazet w poszukiwaniu wiadomości o rozbitych statkach, przyjeździe plezjozaura do Londynu czy zarzutach pana Cuviera. O tej ostatniej sprawie pewnie nie pisano by w gazetach, gdyż mało kto tym się interesował. Bywało jednak, że chciałam zobaczyć w „Western Flying Post” wiadomości dla mnie ważne: „Panna Philpot przybyła szczęśliwie do Londynu”, „Towarzystwo Geologiczne wysławia plezjozaura z Lyme”, „Panna Anning odkryła nowy gatunek zwierzęcia, potwierdza *monsieur* Cuvier”.

Pewnego dnia spotkałam pannę Margaret przed salami asambłowymi. Szła na karty — nawet zimą grała tam co tydzień w wista. Mimo chłodu miała na głowie któryś z tych swoich niemodnych turbanów z piórami, przez co wyglądała jak przywiedła i ekscentryczna stara panna w dziwnym kapeluszu. Nawet ja tak uważałam, choć całe życie budziła mój podziw.

Gdy ją serdecznie pozdrowiłam, podskoczyła jak pies, któremu nadepnęto na ogon.

— Czy pani... ma wiadomości od panny Elizabeth? — zapytałam.

Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem.

— Skąd wiesz, że wyjechała?

Nie powiedziałam, że na moich oczach jej statek odbijał od nabrzeża.

— Wszyscy o tym wiedzą. W małym Lyme nie da się nic ukryć.

Panna Margaret westchnęła.

— Nie dostałyśmy od niej listu, bo poczta nie dochodzi od trzech dni z powodu złych dróg. Nikt nie otrzymał żadnej przesyłki. Ale nasz sąsiad pojechał konno do Yeovil i niedawno wrócił z najświeższym „Postem”. Piszą tam, że „Dispatch” ugrzązł na mieliźnie opodal Ramsgate. To statek, który wypłynął w morze przed Elizabeth.

Wzdrygnęła się, aż zadrżały pióra turbanu.

— „Dispatch”? — zawołałam. — To nim płynie plezjozaur! Co się stało?

Wyobraźnia podsunęła mi przerażającą wizję, że mój zwierz osiada na dnie i tracimy go na zawsze — przepada moja ciężka praca, przepada sto funtów od księcia Buckingham.

Panna Margaret skrzywiła się z niezadowoleniem.

— Gazeta donosi, że pasażerowie i ładunek są bezpieczni, zmierzają do Londynu drogą lądową. Nie ma powodu do zmartwień. Ale mogłaś pomyśleć najpierw o ludziach na pokładzie, a dopiero potem o ładunku, nawet jeśli jest dla ciebie taki cenny.

— O tak, panno Margaret, myślę o tych ludziach. Niech Bóg ma ich w opiece. Ale zastanawiam się, gdzie jest mój... księcia... plezik.

— A ja zastanawiam się, gdzie jest Elizabeth — powiedziała panna Margaret ze łzami w oczach. — Nadal czuję, że nie powinnyśmy były pozwolić jej wejść na ten statek. Skoro „Dispatch” tak łatwo utknął na mieliźnie, co może się przytrafić „Unity”?

Zalała się łzami, więc pogładziłam ją po ramieniu. Nie chciała mojego pocieszenia, odsunęła się i popatrzyła na mnie ze złością.

— Przez ciebie wyjechała! — krzyknęła, po czym odwróciła się na pięcie i wbiegła do sal asamblowych.

— Jak to? — zawołałam. — Co pani mówi, panno Margaret?

Nie mogłam wejść za nią do środka. Takich jak ja tam nie wpuszczano. Stojący w drzwiach panowie posłali mi nieprzyjazne spojrzenia. Zostałam na ulicy, mając nadzieję, że zobaczę pannę Margaret w oknie wykuszowym, ale się nie pokazała.

To wtedy dowiedziałam się, że panna Elizabeth wyruszyła do Londynu z mojego powodu. Po co to zrobiła, zrozumiałam, gdy panna Louise przyszła z wyjaśnieniami. Rzadko bywała u nas w domu, wolała żywe rośliny od skamieniałości. Dwa dni po moim spotkaniu z panną Margaret pojawiła się w drzwiach warsztatu. Musiała schylić głowę — taka była wysoka — żeby wejść do środka. Akurat czyściłam małego ichtiozaura, którego znalazłam tuż przed odkryciem plezika. Był niekompletny: czaszka w kawałkach, brak płetw, za to kręgosłup i żebra w dobrym stanie.

— Nie wstawaj — powiedziała od drzwi.

Uparłam się, że zabiorę kamienie z zydła i wytrę go do czysta, żeby miała na czym usiąść. Przyszedł Tray i położył się na jej nogach. Panna Louise nie odzywała się dłużej chwilę — nigdy nie była rozmowna — i przyglądała się skalnym odłamkom ze skamieniałościami do oczyszczenia, które leżały dokoła niej na podłodze. Zawsze byłam zawałona okazami, ale teraz uzbierało się ich więcej, bo dużo czasu zajęło mi wyszykowanie plezika. Panna Louise nie napomknęła słowem o bałaganie czy zalegającym wszędzie niebieskim pyle. Inni zwróciliby na to uwagę, ale ona

pewnie była przyzwyczajona do brudu, pracując tyle w ogrodzie i mając w domu skamieniałości panny Elizabeth.

— Margaret mówiła mi, że się spotkałyście i pytałaś o naszą siostrę. Dzisiaj przyszedł od niej list. Szczęśliwie dojechała do naszego brata w Londynie.

— Och, tak się cieszę! Ale... panna Margaret mówiła, że ta podróż była z mojego powodu. Dlaczego?

— Elizabeth zamierzała udać się na spotkanie Towarzystwa Geologicznego i poprosić, żeby panowie bronili cię przed zarzutami barona Cuviera o sfabrykowanie plezjozaura.

— Skąd ona to wiedziała? — spytałam niezadowolona. Panna Louise milczała.

— Panowie jej powiedzieli? Cuvier napisał do któregoś z nich, Bucklanda albo Conybeare'a, i ten zawiadomił pannę Elizabeth? A teraz cały Londyn mówi o... o Annin-gach, o tym... co robimy z okazami...

Byłam taka roztrzęsiona, że nie mogłam wykrzusić słowa więcej.

— Uspokój się, Mary. Odwiedziła nas twoja matka.

— Mama?

Odetchnęłam z ulgą, że ta wiadomość nie wyszła od członków Towarzystwa, ale byłam zaskoczona, że mama zrobiła coś takiego za moimi plecami.

— Martwiła się o ciebie — mówiła dalej panna Louise. — Elizabeth postanowiła spróbować ci pomóc. Nie mogłyśmy zrozumieć z Margaret, dlaczego uznała za konieczne jechać do Londynu, zamiast napisać list, ale uparła się, że tak będzie lepiej.

Kiwnęłam głową.

— Miała rację. Ci panowie nie zawsze odpowiadają szybko na listy. Przekonałyśmy się o tym z mamą. Czasami czekam na odpowiedź ponad rok. Gdy im czegoś potrzeba, chcą to mieć zaraz. A potem o mnie zapominają. Za to gdy ja czegoś potrzebuję... — Wzruszyłam ramionami i pokręciłam głową. — Nie mogę uwierzyć, że panna Elizabeth wyruszyła w taką długą podróż, na dodatek statkiem, z mojego powodu.

Panna Louise nie odezwała się, tylko popatrzyła swoimi szarymi oczami prosto na mnie. Nie wytrzymałam jej spojrzenia i spuściłam wzrok.

Parę dni później postanowiłam iść do Morley Cottage i przeprosić pannę Margaret za to, że odebrałam jej siostrę. Wzięłam ze sobą skrzynkę pełną skamieniałości, które od dawna zbierałam dla panny Elizabeth. Chciałam, żeby miała ode mnie prezent po powrocie z Londynu. Choć mogło to nastąpić za jakiś czas, bo panna Elizabeth pewnie spędzi tam jak zwykle część wiosny, cieszyłam się, że ryby będą na nią czekały.

Przeszłam Coombe Street, potem pod górę Sherborne Lane i dalej pod górę całą Silver Street, dźwigając skrzynię i przeklinając swoje dobre serce — taka była ciężka. Gdy dotarłam do Morley Cottage, okazało się, że dom jest zamknięty na cztery spusty — drzwi zaryglowane, okna zasłonięte okiennicami, ani smużki dymu z komina. Długo pukałam od frontu i od tyłu, ale nikt nie odpowiedział. Właśnie okrążałam dom, żeby zerknąć przez szparę w okiennicach od frontu, gdy wyszła jedna z sąsiadek.

— Nie ma co szukać. Wyjechały wczoraj do Londynu.

— Do Londynu? Jak to?

— Zdecydowały się w jednej chwili. Przyszła wiadomość o chorobie panny Elizabeth, więc wszystko rzuciły i pojechały.

— O nie!

Zacisnęłam dłonie i oparłam się o drzwi. Wyglądało na to, że gdy tylko coś znalazłam, zaraz traciłam coś innego. Znalazłam ichtiozaura i straciłam Fanny. Znalazłam pułkownika Bircha i straciłam pannę Elizabeth. Znalazłam sławę i straciłam pułkownika Bircha. Teraz, jak się zdaje, odnalazłam na nowo pannę Elizabeth tylko po to, żeby ją stracić, być może na zawsze.

Nie mogłam się z tym pogodzić. Przez całe życie znajdowałam kości stworzeń, które wyginęły. Nie mogłam uwierzyć, że nie odnajdę również panny Elizabeth.

Nie wzięłam z powrotem skrzyni ze skamieniałościami. Zostawiłam ją za domem, w ogrodzie panny Louise, przy wielkim amonicie, którego pomogłam pannie Elizabeth przytaszczyć z Monmouth Beach. Nie dopuszczałam do siebie innej myśli niż ta, że któregoś dnia przejrzy te okazy i wybierze najlepsze do swojej kolekcji.

Chciałam zabrać się najbliższym dyliżansem do Londynu, ale mama mi nie pozwoliła.

— Nie wygłupiaj się — powiedziała. — Jaką korzyść będą z tego mieli Philpotowie? Zamiast opiekować się siostrą, będą marnować czas i zajmować się tobą.

— Chcę ją zobaczyć, przeprosić.

Mama cmoknęła z niezadowoleniem.

— Zachowujesz się tak, jakby ona umierała i zostało ci niewiele czasu, żeby się z nią pogodzić. Myślisz, że to coś pomoże, jeżeli będziesz siedziała przy niej ze smutną miną

i powtarzała swoje przeprosiny? Jeszcze szybciej wyślesz ją na tamten świat!

Nie przyszło mi to do głowy. Dziwne to było myślenie, ale sensowne — cała mama.

No więc nie pojechałam, ale przysięgam sobie, że pewnego dnia wybiorę się do Londynu, choćby tylko po to, by dowieść, że potrafię dopiąć swego. Za to mama napisała do Philpotów, prosząc o wiadomości — list napisany jej ręką pewno mniej ich zdenerwuje niż list ode mnie. Chciałam, żeby zapytała o oskarżenia Cuviera i spotkanie Towarzystwa Geologicznego, ale się nie zgodziła, bo w takiej sytuacji niegrzecznie jest myśleć o sobie. Poza tym tego rodzaju pytania tylko przypomnia Philpotom, dlaczego panna Elizabeth wyjechała do Londynu, i na nowo ogarnie ich na mnie gniew.

Po dwóch tygodniach dostaliśmy krótki list od panny Louise z wiadomością że panna Elizabeth najgorsze ma już za sobą. Zapalenie płuc osłabiło jednak układ oddechowy i doktorzy nie zalecają powrotu do Lyme z uwagi na wilgotne morskie powietrze.

— Bzdury — prychnęła mama. — W takim razie co tu sprowadza tych wszystkich ludzi, jeżeli nie korzystne dla zdrowia morskie powietrze i kąpiele? Ona wróci. Nic nie wyciągnie jej z Lyme.

Przez tyle lat nie miała zaufania do przybyłych z Londynu siostr Philpot, a teraz stała się ich największą stronniczką. Choć powiedziała to z całkowitą pewnością, wcale mnie nie przekonała. Odetchnąłam z ulgą na wiadomość, że panna Elizabeth przeżyła, ale wyglądało na to, że i tak ją straciłam. Niewiele mogłam jednak zrobić. Mama napisała drugi list,

że wszyscy bardzo się cieszymy, i potem nie mieliśmy już wiadomości od panien Philpot. Nic nie wiedziałam również o panu Cuvierze. Musiałam żyć w niepewności.

Mama chętnie powtarza stare porzekadło: „Jak pada deszczyk, to będzie ulewa”, co znaczy: jak się wali, to na całego, i jak się szczęści, to też na całego. Co do pogody nie zgadzam się z mamą. Przez te wszystkie lata często chodziłam po plaży w takie dni, gdy nie lało, tylko kropało od czasu do czasu, tak jakby niebo nie mogło się zdecydować, co ma robić.

Ale co do dziwów mama miała rację. Mijały miesiące, mijały lata i nie znajdowaliśmy potwora. Byliśmy w rozpaczliwym położeniu: przygniatała nas bieda, znosiliśmy zimno i głód. Z kolei kiedy indziej mieliśmy tyle okazji, że nie mogliśmy nadażyć z czyszczeniem. Jak wtedy gdy przyjechał Francuz.

Był koniec czerwca. Nastaly piękne słoneczne dni, wiał łagodny wietrzyk. Czuło się, że wreszcie przyszło lato i mija ten ucisk w piersiach odczuwany przez całą zimę i wiosnę, gdy człowiek kuli się z zimna. Pracowałam na występie skalnym przy Church Cliffs. Wydobywałam bardzo ładny okaz z gatunku *Ichthyosaurus tenuirostris* — teraz mogę tak powiedzieć, bo zidentyfikowano i nazwano cztery gatunki i każdy rozpoznam na pierwszy rzut oka. Brakowało ogona i płetw, ale miał ciasno upakowane kręgi i długie cienkie szczęki, spiczasto zakończone i pełne drobnych zębów w doskonałym stanie. Mama już napisała list do pana Bucklanda z prośbą, żeby zawiadomił księcia Buckingham,

który, jak wiedzieliśmy, chciał mieć ichtka do kompletu z plezikiem.

Czułam, że ktoś przy mnie stanął. Byłam do tego przyzwyczajona — przyjezdni często zaglądali mi przez ramię, ciekawi, czym się zajmuje słynna Mary Anning. Czasem ich głos dochodził do mnie z pewnej odległości.

— Jak myślisz, co ona tam znalazła? Któreś z tych stworzeń? Krokodyła, a może... o czym to pisano...? Ogromnego żółwia bez skorupy?

Uśmiechałam się do siebie, ale nie chciało mi się wyprowadzać ich z błędu. Ludziom trudno było zrozumieć, że kiedyś żyły i wyginęły stworzenia, o jakich nawet im się nie śniło. Minęły lata, nim to dotarło do mnie, a przecież miałam przez oczami wyraźne dowody ich istnienia. Choć po znalezieniu dwóch różnego rodzaju potworów cieszyłam się coraz większym szacunkiem, ludzie nie byli skłonni zmieniać swoich poglądów tylko dlatego, że tak im powiedziała Mary Anning. Przekonałam się o tym, chodząc na wyprawy z gośćmi zainteresowanymi skamieniałościami. Chcieli znaleźć na plaży skarb, chcieli zobaczyć potwory, ale nie chcieli się zastanawiać, jak i kiedy one żyły. Takie myśli za bardzo burzyły ich pojęcie o świecie.

Obserwator przesunął się trochę, zasłaniając słońce i rzucając cień na ichtka, i wtedy musiałam już unieść głowę. Zobaczyłam jednego z krzepkich braci Dayów, Davy'ego albo Billy'ego, nie potrafiłam ich odróżnić. Odłożyłam młotek, wytarłam ręce i wstałam.

— Nie chcę zawracać ci głowy, Mary, ale znaleźli my coś z Billym. Chodź zobaczyć, tam przy Gun Cliff.

Mówiąc to, zerknął na ichtka, pewnie żeby sprawdzić, jak

daję sobie radę. Z czasem nabrałam wprawy w wymowianiu okazów ze skał i nie korzystałam tak często z pomocy Dayów, chyba że trzeba było zanieść kamienne bloki do warsztatu. Liczyłam się jednak z ich opinią i ucieszyłam się, widząc, że Davy z zadowoleniem patrzy na moją robotę.

— Coście znaleźli?

Podrapał się po głowie.

— Bo ja wiem? Chyba tego tam żółwia.

— Plezika? Jesteś pewny?

Przestąpił z nogi na nogę.

— Może krokodyla. Dla mnie żadna różnica.

Dayowie zaczęli niedawno wydobywać kamień nad morzem, z pokładów błękitnego liasu, i często znajdowali różne rzeczy na wystęпах skalnych opodal Lyme. W ogóle nie chcieli wiedzieć, co wykopują. Wystarczało im to, że i ja, i oni mamy z tego pieniądze. Ludzie często przychodzili do mnie ze swoimi znaleziskami i pytali, co to takiego. Zwykle były to jakieś małe kawałki ichtka — szczeka, parę zębów, kilka zrosniętych kręgów.

Podniosłam z ziemi młotek i koszyk.

— Tray, chodź tu — powiedziałam, pstrykając palcami i wskazując miejsce.

Tray przestał gonić fale i zaraz do mnie przybiegł. Zwinął się w kłębek na skale i położył pysk tuż obok ichtka. Łagodny był z niego psiak, ale warczał, gdy ktoś zbliżał się do mojego znaleziska.

Davy Day poprowadził mnie plażą do zakrętu, za którym schowało się Lyme. Słońce oświetlało domy stojące jeden nad drugim na zboczu. Morze lśniło srebrzyście jak lustro. Zacumowane w porcie łodzie, które stały porzucone na

odsłoniętym podczas odpływu dnie morza, wyglądały jak rozrzucone kije. Z rozrzewnieniem patrzyłam na to wszystko. Mary Anning, jesteś najszlachetniejszą osobą w tym miasteczku — powiedziałam w duchu. Zdawałam sobie sprawę, że przepełnia mnie duma i będę musiała pójść do zboru, żeby pomodlić się o odpuszczenie grzechu. Ale nic nie mogłam na to poradzić. Daleko zaszłam od tamtego dnia przed laty, gdy panna Elizabeth pierwszy raz najęła Dayów do pomocy, gdy byłam młoda, biedna i niedouczone. Teraz ludzie mnie odwiedzali, opisywali moje znaleziska. Trudno żeby nie nosić wysoko głowy. Nawet mieszkańcy miasteczka okazywali mi więcej sympatii, choć może tylko dlatego, że zarabiali na ludziach, których ściągałam do Lyme.

Było jednak coś, co nie pozwalało mi nosić głowy zbyt wysoko i tkwiło szpilką w sercu. Tym, co znalazłam i co 0 mnie mówiono, nie mogłam podzielić się z Elizabeth Philpot, ponieważ nie było jej w Lyme.

— Tu — powiedział Davy.

Wskazał miejsce, gdzie siedział jego brat, trzymając w wielkich łapskach kawałek placka z wieprzowiną. Obok stały drewniane nosidła z załadowanymi na nie bryłami kamienia. Billy Day, z pełnymi ustami, spojrzął na mnie i kiwnął głową.

Zawsze czułam się trochę skrępowana w obecności Billy'ego, gdy został mężem Fanny Miller. Często zastanawiałam się, czy Fanny obgadywała mnie przed nim, choć on nigdy nie dał tego po sobie poznać. Właściwie nie zazdrościłam jej — żadna kobieta, o ile nie była zdesperowana, nie uważałaby skalnika za odpowiedniego kandydata na męża. Małżeństwo Fanny i Billy'ego przypominało

mi jednak, że jestem na samym dole drabiny społecznej i nigdy nie wyjdę za mąż. Fanny ciągle zaznawała tego, czego ja zaznałam tylko raz, gdy byłam z pułkownikiem Birchem w sadzie. Na pocieszenie miałam sławę i pieniądze, które przynosiła, nic poza tym. Nie traktowałam Fanny z nienawiścią, bo to przeze mnie została kaleką. Ale również nie traktowałam jej przyjaźnie i nie zachowywałam się przy niej swobodnie.

Tak się czułam wobec wielu osób w Lyme. Byłam przegrana. Nikt nigdy nie uzna mnie za damę — jak za damy uważano siostry Philpot — i nikt nigdy nie powie do mnie „panno Mary”. Pozostanę zwykłą Mary Anning. A przy tym różniłam się od ludzi, którzy pracowali na swoje utrzymanie. Byłam zawieszona między dwoma światami — na zawsze. Miałam za to poczucie wolności, ale i osamotnienia.

Na szczęście półki skalne zajmowały mnie bardziej niż własna osoba. Davy Day pokazał mi wypukłość na skale. Pochyliłam się i zobaczyłam wyraźny zarys kręgów na długości mniej więcej trzech stóp. Rzucały się w oczy tak bardzo, że się zaśmiałam. Nie zwróciłam na nie uwagi, choć setki razy chodziłam po tych półkach. Stale dziwiłam się, co tu można znaleźć. Dokoła znajdowała się masa stworzeń, które tylko czekały, aż wypatrzy je para bystrych oczu.

— Nieśli my ładunek do Charmouth i Billy potknął się o to — wyjaśnił Davy.

— Tyś się potknął, nie ja — oświadczył Billy.

— Ty, głupku.

— Nie ja... ty.

Nie mieszałam się w sprzeczkę między braćmi, tylko

oglądałam kręgi coraz bardziej podekscytowana. Były dłuższe i grubsze niż u ichtka. Powiodłam wzrokiem prosto do miejsca, gdzie powinny być płetwy, i zobaczyłam dość znaków świadczących, że są tam długie paliczki, by nie mieć już żadnych wątpliwości.

— To plezjozaur — oznajmiłam.

Bracia przestali się kłócić.

— Żółw. — Ustąpiłam, wiedząc, że nigdy nie nauczą się tego trudnego, dziwnego słowa.

Davy i Billy spojrzeli na siebie, a potem na mnie.

— Znaleźli my naszego pierwszego potwora — powiedział Billy.

— Rzeczywiście — przyznałam. Bracia nieraz już natrafili na wielkiego amonita, ale jeszcze nigdy na ichtka czy plezika. — Zostaliście poszukiwaczami skamieniałości.

W tej samej chwili zrobili krok w tył, jakby chcieli odciąć się od tego, co powiedziałam.

— Nie, nie. Z nas skalnicy. Handlujemy skałami, nie potworami — oświadczył Billy, ruchem głowy wskazując bryły kamienia, które mieli dostarczyć do Charmouth.

Nie mogłam się nadziwić, że tak mi się poszczęściło. Tutaj był pewnie cały okaz, a Dayowie go nie chcieli!

— Jak go wydłubiecie, zapłacę i zabiorę, żebyście mieli spokojną głowę — zaproponowałam.

— Nie bardzo. Trza zawieźć kamień.

— No to potem. Sama nie dam rady. Widzieliście, że wygrzebuję icht... krokodyla.

Może mi się tylko wydawało, ale tym razem bracia nie byli w pełni zgodni. Billy okazywał więcej niepokoju na

myśl, że będzie miał cokolwiek wspólnego z plezikiem. Chyba wiedziałam, jaki jest tego powód, ale chciałam się przekonać.

— Pozwalasz, żeby Fanny tobą rządziła, Billy Day? Czyżby sądziła, że żółw czy krokodyl ożyje i cię ugryzie?

Billy zwiesił głowę, a Davy parsknął śmiechem.

— Poznałaś się na nim! — zawołał i zwrócił się do brata: — No jak? Wyjmiemy go dla Mary czy zostaniesz w domu i dasz się żonie trzymać za jaja?

Usta Billy'ego ściągnęły się w tutkę.

— Ile zapłacisz? — zapytał.

— Gwineę — powiedziałam szybko, w przypiływie hojności, a także z nadzieją, że na widok takich pieniędzy Fanny powstrzyma się od narzekań.

— Najpierw trza nam iść do Charmouth — powiedział Davy, co oznaczało, że się zgadza.

Korzystając ze słonecznego dnia, na plażę wyległo tylu poszukiwaczy skamieniałości, że musiałam poprosić mamę, żeby posiedziała przy pleziku i popilnowała, by ktoś go sobie nie przywłaszczył. Tak teraz wyglądały letnie miesiące — po części z mojej winy, bo rozsławiłam tutejsze plaże. Dopiero zimą, gdy przychodziły wiatry i deszcze, pustoszało wybrzeże. Wtedy mogłam wędrować pod klifami cały dzień i nie spotkać żywej duszy.

Dayowie pracowali szybko. Wydobywanie plezika zajęło im dwa dni, a w tym czasie ja wygrzebałam ichtka. Ponieważ pracowałam niedaleko od nich, tuż za załomem skały, mogłam chodzić tam i z powrotem, dając braciom wskazówki. Okaz nie był taki zły, choć brakowało mu łba. Zdaje się, że pleziki łatwo gubią łby.

Ledwie wnieśliśmy oba okazy do warsztatu, z kramu przed domem doleciał mnie głos mamy:

— Mary, jacyś nieznajomi do ciebie!

— Święty Boże, tu się robi za tłoczno! — mruknęłam pod nosem.

Podziękowałam Dayom i wysłałam ich do mamy po zapłatę. Potem zaprosiłam gości do środka. Ale napotkali widok! Dwa potwory w blokach skalnych leżały na podłodze — zajmowały tyle miejsca, że panowie nie zdołali zrobić nawet kroku, żeby wejść do środka. Stali w drzwiach i wybałuszali oczy. Poczułam lekkie uderzenie pioruna — nie rozumiejąc, co ono może znaczyć — i domyśliłam się, że to nie są zwyczajni przyjezdni.

— Przepraszam panów za ten bałagan — powiedziałam — ale dopiero co sprowadziłam te dwa okazy i nie miałam kiedy zająć się nimi. Czym mogę służyć?

Wiedziałam, że wyglądam okropnie: twarz umazana błotem błękitnego liasu, przekrwione oczy po ciężkiej pracy przy wyciąganiu ichtka.

Młodszy z nich — niewiele starszy ode mnie i przystojny, z głęboko osadzonymi niebieskimi oczami, długim nosem i ładnie zarysowaną brodą — pierwszy oprzytomniał.

— Panno Anning, nazywam się Charles Lyell — powiedział z uśmiechem. — Przybył ze mną *monsieur* Constant Prevost z Paryża.

— Z Paryża! — krzyknęłam w popłochu, nie mogąc zapanować nad swoim głosem.

Francuz wbił wzrok w rumowisko na podłodze, a potem we mnie.

— *Enchante, mademoiselle* — powiedział z ukłonem.

Wyglądał dobrodusznie, miał kręcone włosy, długie bokobrody i zmarszczki wokół oczu, ale jego głos brzmiał poważnie.

— O rety!

To był szpieg. Nasłał go pan Cuvier, żeby sprawdzić, co kombinuję. Gapiłam się na podłogę i widziałam to, co na pewno widział on. Obok siebie leżały dwa okazy — ichtek bez ogona i plezik bez łba. Ogon plezika leżał osobno, nie był połączony z miednicą. Wystarczyło, żebym go przeniosła i dołożyła do ichtka. Albo mogłam wziąć czaszkę ichtka i dodać do plezika po usunięciu kilku kręgów z jego szyi. Znawcy tych zwierząt nie daliby się nabrać, ale głupców mogłam oszukać. Pan Prevost miał przed oczami dowody pozwalające wyciągnąć prosty wniosek, że zamierzam połączyć dwa niekompletne potwory, żeby powstał trzeci potwór, kompletny.

To wszystko było takie nagłe i niespodziewane, że nogi się pode mną ugięły, ale nie mogłam usiąść przy tych panach.

— Chciałbym przekazać pozdrowienia od wielbnego Bucklanda i wielbnego Conybeare'a — mówił dalej Charles Lyell, nie zdając sobie sprawy, że wymieniając te nazwiska, dolewa oliwy do ognia. — Studiowałem u profesora Bucklanda w Oksfordzie i...

— Panie Lyell, panie Prevost — przerwałam mu — zareczam panom, że jestem uczciwą kobietą. Nigdy bym nie majstrowała przy okazji, jak się wydaje baronowi Cuvierowi! Mogę przysiąc na Biblię, że to prawda! Teraz nie mamy w domu Biblii... kiedyś tu była, niezbyt długo, bo musieliśmy ją sprzedać. Ale mogę zaprowadzić panów do zboru, w tej chwili, i wielbny Gleed przyjmie ode mnie

przysięę na Biblię. Jeśli to coś da. A może panowie wolą pójść do Świętego Michała? Tamtejszy proboszcz mało mnie zna, ale będzie miał Biblię.

Charles Lyell próbował się wtrącić, ale ja nie mogłam przestać.

— Wiem, że te okazy są niekompletne, i przysięgam, że spreparuję je tak, jak tu widać, nie podmienię części ciała. Ogon plezjozaura można by dopasować do ichtiozaura, ale nigdy bym tego nie zrobiła. Oczywiście łeb ichtka jest dużo za duży, żeby nasadzić go na szyję plezika. Jedno do drugiego w ogóle nie pasuje. — Bełkotałam bez opanowania, a Francuz, zwłaszcza on, patrzył na mnie osłupiały.

To wszystko zaczęło mnie przytłaczać. Musiałam usiąść, nawet w obecności panów. Ani chybi byłam skończona. Nie ruszając się z miejsca, na oczach obcych ludzi, zaczęłam płakać.

Łzy zaniepokoiły Francuza bardziej, niż zrobiłyby to jakiegokolwiek słowa. Zaczął trajkotać w swoim języku, pan Lyell przerywał mu, wolno mówiąc coś po francusku, a ja myślałam tylko o jednym: muszę krzyknąć do mamy, żeby zapłaciła Dayom nie więcej niż funta, bo w swej hojności obiecałam im za dużo, a naszej rodzinie przyda się teraz każdy szyling, ponieważ już nie będę mogła szukać i sprzedawać potworów. Przyjdzie mi zajmować się marnymi dziwami — kamieniami węzowymi, strzałkami piorunowymi i diabelskimi pazurami — jak w młodych latach. Ale ta drobnica nie będzie się sprzedawać za dobrze, bo kręci się tu dużo więcej poszukiwaczy niż dawniej, którzy też handlują takimi rzeczami. Znowu wpadniemy w biedę, Joe nigdy nie otworzy swojego interesu, utkniemy z mamą na zawsze na

Cockmoile Square i nie będziemy miały lepszego sklepu wyżej na wzgórzu. Szlochałam nad swoją przyszłością, aż wypłakałam wszystkie łzy i panowie umilkli.

Gdy zobaczyli, że się uspokoiłam, pan Prevost wyjął z kieszeni chustkę. Przechylił się nad blokami skalnymi, nie chcąc nadepnąć na okazy, i podał mi chustkę, jakby to była biała flaga na kamiennym pobojowisku. Zawahałam się, wtedy on machnął ręką dla zachęty i na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech i głębokie dołeczki na policzkach. Wzięłam chustkę — była zrobiona z najbielszego i najdelikatniejszego materiału, jaki kiedykolwiek miałam w rękach — i wytarłam oczy. Gdy zaleciał mnie od niej zapach tytoniu, uśmiechnęłam się i przeszedł mnie dreszcz, bo znowu poczułam uderzenie pioruna, leciutkie. Chciałam oddać chustkę, poplamioną gliną błękitnego liasu, ale pan Prevost dał znak, żeby ją zatrzymała. Wtedy przyszło mi na myśl, że on może jednak nie jest szpiegiem. Złożyłam chustkę i wsadziłam pod czepek, bo wszędzie dokoła było brudno.

— Panno Anning, pozwoli pani, że powiem... — zaczął niepewnie pan Lyell, być może bojąc się, że znowu wybuchnę płaczem.

Nic takiego się nie stało, już się wypłakałam. Dopiero teraz zauważyłam, że pan Lyell mówi do mnie „Panno Anning”, a nie „Mary”.

— Powinienem pani wyjaśnić, co nas tu sprowadza. *Monsieur* Prevost był uprzejmy zająć się mną, gdy w zeszłym roku przebywałam w Paryżu. Przedstawił mnie baronowi Cuvierowi z Muzeum Historii Naturalnej i towarzyszył mi podczas wypraw geologicznych we Francji. Tak więc, gdy napisał, że wybiera się do Anglii, zaproponowałam, że

pokażę mu najważniejsze ze względów geologicznych tereny w południowej części naszego kraju. Pojechaliśmy do Oksfordu, Birmingham i Bristolu, potem do Kornwalii, a w drodze powrotnej do Exeter i Plymouth. Oczywiście bardzo chcieliśmy zajrzeć do Lyme i odwiedzić panią, pochodzić razem po plażach, gdzie pani zbiera skamieniałości i zobaczyć pani pracownię. *Monsieur Prevost* rzekł właśnie, że jest pod wielkim wrażeniem tego, co tu widzi. Sam by to pani powiedział, ale niestety nie włada angielskim.

Tymczasem Francuz przyklęknął obok ichtiozaura, wzdając palcem tam i z powrotem po żebrach, które były niemal kompletne i pięknie oddzielone niczym pręty balustrady. Nie mogłam dłużej siedzieć, podczas gdy on kucał, niemal dotykając mnie udem. Wzięłam skrobaczkę, przykucnęłam przy szczęce ichtka i zaczęłam zdrapywać warstewki łupku.

— Jeśli można, panno Anning, chcielibyśmy dokładnie zbadać znalezione przez panią okazy — oznajmił pan Lyell. — A także zobaczyć miejsca, skąd zostały wydobyte... te stworzenia oraz plezjozaur odkryty w grudniu. Niezwykły okaz, nadzwyczajna szyja i łeb.

Zamarłam. Wydało mi się podejrzanym, że wspomniał akurat o tym, co budziło najwięcej niepokoju.

— Pan go widział?

— Naturalnie. Widziałem, jak go dostarczono do kancelarii Towarzystwa Geologicznego. Czyżby pani nie słyszała, w jak dramatycznych okolicznościach wszystko się odbyło?

— O niczym nie słyszałam. Tak mało wiem o tym, co się dzieje w świecie nauki, jakbym żyła na księżycu. Pewna

osoba miała mnie informować, ale... Panie Lyell, słyszał pan o Elizabeth Philpot?

— Philpot? Przykro mi, chyba nie znam tego nazwiska. Powiniennem znać tę panią?

— Nie, nie.

O tak, pomyślałam, powinien pan ją znać.

— Co to były za dramatyczne okoliczności? — zapytałam.

— Otóż plezjozaur przybył do Londynu z opóźnieniem — wyjaśnił pan Lyell — prawie dwa tygodnie po spotkaniu naszego Towarzystwa, kiedy to wielebny Conybeare wygłosił odczyt o tym stworzeniu. Trzeba pani wiedzieć, panno Anning, że podczas tego spotkania wielebny Buckland wyrażał się nad wyraz pochlebnie o pani umiejętnościach zbieraczych.

— Naprawdę?

— O tak. Gdy plezjozaur wreszcie dojechał, nie dało się wnieść go na górę, bo schody były za wąskie.

— Sześć stóp szerokości, tyle miała rama, w której siedział. Wiem, bo sama ją zrobiłam. Musieliśmy położyć go na bok, żeby zmieścił się w tych drzwiach.

— Rzeczywiście. Długo próbowano wnieść go do auli na piętrze. W końcu trzeba go było zostawić w westybulu, gdzie obejrzało go wielu członków Towarzystwa.

Patrzyłam, jak Francuz czołga się między ichtkiem a plezikiem, żeby zobaczyć przednią płetwę plezika. Kiwnęłam głową w jego kierunku.

— A on go widział?

— Nie w Londynie. Ale kiedy jechaliśmy z Oksfordu do Birmingham, zatrzymaliśmy się *en route* w Stowe House,

dokąd księżę Buckingham zabrał plezjozaura. — Pan Lyell, zawsze kulturalny jak przystało na dżentelmena, teraz lekko się skrzywił. — To wspaniały okaz, ale utonął w bogatej kolekcji błyskotek księcia.

Zesztywniałam, trzymając rękę na szczęce ichtka. A więc ten nieszczęśnik też trafi do domu jakiegoś bogacza i zostanie zapomniany wśród złota i sreber. Chciało mi się płakać.

— Czy on... — ruchem głowy wskazałam pana Prevosta — ...powie panu Cuvierowi, że plezjozaur nie jest fałszerstwem? Że naprawdę ma mały łeb i długą szyję i że nie połączyłam ze sobą dwóch różnych zwierząt?

Pan Prevost podniósł wzrok znad plezjozaura i przyjrzał mi się bacznie, tak jakby jednak coś rozumiał po angielsku.

— Nie ma takiej potrzeby, panno Anning — rzekł z uśmiechem pan Lyell. — Baron Cuvier przekonał się o autentyczności okazu, jeszcze zanim widział go *monsieur* Prevost. Prowadzi bogatą korespondencję na temat plezjozaura z wieloma pani orędownikami: z wielbnym Bucklandem, wielbnym Conybeare'em, z panem Johnsonem i panem Cumberlandem...

— Nie powiedziałabym, że są moimi orędownikami. Okazują mi sympatię, gdy czegoś ode mnie chcą.

— Darzą panią wielkim szacunkiem, panno Anning — zaprotestował.

— Możliwe.

Nie zamierzałam dyskutować o tym, co sądzą o mnie ci panowie. Czeakało mnie dużo pracy. Znowu zaczęłam skrobać kości.

Pan Prevost wstał, otrzepał kolana i powiedział coś do pana Lyella.

— *Monsieur* Prevost pyta, czy pani ma kupca na tego plezjozaura — przetłumaczył pan Lyell. — Jeśli nie, chciałby go nabyć dla muzeum w Paryżu.

Upuściłam skrobaczkę i usiadłam na piętach.

— Dla Cuviera? Pan Cuvier chce mieć mojego plezika?

Spojrzałam na nich z takim zdumieniem, że obaj wybuchnęli śmiechem.

Mama sprowadziła mnie na ziemię w jednej chwili.

— Ile Francuzi płacą za dziwy? — zapytała, gdy tylko panowie poszli na obiad do gospody *Three Cups* i mogła zostawić kram. — Mają hojną rękę czy chcą kupować jeszcze taniej niż Anglicy?

— Nie wiem, mam... Nie rozmawialiśmy o pieniądzach — skłamałam.

Przy lepszej okazji powiem jej, że ujął mnie ten Francuz i zgodziłam się sprzedać mu plezika ledwie za dziesięć funtów.

— Nieważne, ile da — mówiłam dalej. — Wiem już, że pan Cuvier ma na tyle dobre zdanie o mojej pracy, że chce mieć następny okaz. Dla mnie wystarczy to za zapłatę.

Oparła się o framugę drzwi i obrzuciła mnie przebiegłym spojrzeniem.

— Aha, więc uważasz, że to twój plezik.

Skrzywiłam się, ale nic nie powiedziałam.

— Przecież znaleźli go Dayowie. — Mama była nieustępliwa jak zawsze. — Oni znaleźli go i wykopali, a tyś kupiła

go od nich, tak jak pan Buckland, dziedzic Henley czy pułkownik Birch kupili okazy od ciebie i uznali za swoje. Stałaś się kolekcjonerem, jednym z nich. Albo handlarzem, bo sprzedajesz je dalej.

— Jesteś taka niesprawiedliwa, mamó. Przez całe życie szukałam skamielin. Sama znalazłam większość swoich okazów. Nic na to nie poradzę, że Dayowie trafili na plezika i nie wiedzieli, co z nim zrobić. Gdyby go wykopali, oczyścili i sprzedali, byłby ich. Ale oni go nie chcieli i przyszedli do mnie. Doglądałam ich pracy, zapłaciłam im, a teraz plezik jest u mnie. Ja za niego odpowiadam, więc jest mój.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

— Ciągłe narzekasz, że nie doceniają cię panowie, którzy kupują od ciebie dziwy i uznają za swoje. Czy wobec tego powiesz temu Francuzowi, żeby na tabliczce w paryskim muzeum umieścił nazwisko Dayów obok twojego?

— Oczywiście, że nie. Na tabliczce i tak nie będzie mojego nazwiska. Nigdy tak nie było.

Mówiąc to, chciałam naprowadzić mamę na inny temat, bo wiedziałam, że ma rację.

— Może różnica między poszukiwaczem a kolekcjonerem nie jest taka duża, jak twierdziłaś przez te wszystkie lata.

— Mamó! Dlaczego przyczepiłaś się do tego akurat teraz, gdy spotkało mnie coś dobrego? Daj mi spokój!

Westchnęła i poprawiła czepek, zbierając się z powrotem do kramu.

— Każda matka chce tylko, żeby jej dzieci ułożyły sobie życie. Widziałam, jak martwisz się, że twoja praca przez te wszystkie lata nie znajduje uznania. Ale lepiej by ci się

powodziło, gdybyś martwiła się o zapłatę. Bo w gruncie rzeczy liczy się pieniądz, prawda? Dziwy to interes.

Wiedziałam, że dobrze mi zyczy, ale jej słowa zabołały. Tak, należała mi się zapłata za to, co robię. Ale teraz skamieniałości oznaczały dla mnie więcej niż zarobek — stały się jakby drogą życia, całym światem kamieni, którego byłam częścią. Nawet myślałam czasem o własnym ciele po śmierci, o tym, że zamieni się w kamień za tysiące lat. Czego dowie się o mnie człowiek, gdy mnie wykopie?

Mama słusznie powiedziała: miałam swój udział w poszukiwaniu i odkrywaniu skamieniałości, a teraz również w kupowaniu i sprzedawaniu — już przestało być jasne i oczywiste, czym się zajmuję. Może to była prawdziwa cena mojej sławy.

Ponad wszystko chciałam pójść Silver Street do Morley Cottage, usiąść w jadalni sióstr Philpot, przy stole zasłanym kopalnymi rybami, i porozmawiać z panną Elizabeth. Bessy walnie filizanką, stawiając przede mną herbatę, i wyjdzie ciężkim krokiem, a my będzie patrzyły na zmieniający się w słońcu Golden Cap. Spojrzałam na akwarelę z tym widokiem, którą namalowała panna Elizabeth i podarowała mi niedługo przed naszą kłótnią — drzewa i domki na tle nadmorskich wzgórz zalanych łagodnym światłem. Na obrazku nie było ludzi, ale często miałam wrażenie, że gdzieś tam jestem, niewidoczna, i szukam dziwów na plaży.

Następne dwa dni zajęli mi pan Lyell i pan Prevost. Zabierałam ich na plażę, żeby pokazać, gdzie wydobyliśmy stworzenia i jak szukać innych dziwów. Ani jeden, ani drugi nie miał dobrego oka, ale udało im się znaleźć to i owo. Nawet wtedy dopisało mi szczęście — byli świadkami, jak

wypatrzyłam jeszcze jednego ichtiozaura. Staliśmy na półce skalnej blisko miejsca, gdzie leżał poprzedni ichtek, i wtedy zauważyłam kawałek szczęki i zęby tuż przy stopie Francuza. Odbiłam młotkiem trochę skały, żeby odsłonić oko, kręgi i żebra. To był dobry okaz, tylko miał zmiażdżony ogon, jakby wóz po nim przejechał. Muszę przyznać, że z dużą przyjemnością stukałam młotkiem i na ich oczach wydobywałam zwierzę na światło dzienne.

— Pani jest naprawdę sztukmistrzem, panno Anning! — zawołał pan Lyell.

Pan Prevost też nie posiadał się z podziwu, choć nie umiał tego powiedzieć. Właściwie byłam zadowolona, że nie mówi po angielsku, bo mogłam cieszyć się jego obecnością, a przy tym nie zastanawiać się, co znaczą jego piękne słówka.

Panowie chcieli zobaczyć jak najwięcej, więc musiałam przyprowadzić Dayów, żeby wydobyli tego ichtka, a w tym czasie zaprowadziłam panów na Cmentarzysko Amonitów na Monmouth Beach i dalej nad Pinhay Bay na poszukiwanie krynoidów. Dopiero gdy wyjechali z Lyme do Weymouth i Portland, mogłam zająć się plezikiem. Musiałam go szybko oczyścić, bo pan Prevost chciał wracać do Francji za dziesięć dni. To oznaczało, że będę pracować dniem i nocą, ale warto było zrobić ten wysiłek. Tak już jest w tym fachu: miesiącami jeden dzień przypomina drugi, nic się nie zmienia prócz pogody — cały czas jestem na plaży i szukam skamieniałości. Aż tu nagle pojawiają się trzy potwory i dwóch nieznanomych i siedzę do późna w nocy, żeby spreparować okaz.

Dopóki nie oczyściłam plezika i dopóki nie wyjechali panowie, nie wychodziłam z warsztatu i może dlatego nie nie wiedziałam o tym, o czym wiedziało już całe Lyme. Pewnego ranka wyciągnął mnie na dwór okrzyk mamy usadowionej za kramem.

— Co tam, mamó? — burknęłam, odgarniając z oczu włosy i zostawiając smugę gliny na czole.

— Idzie Bessy — powiedziała mama, wskazując ją ruchem głowy.

Pokojówka panien Philpot szła w górę Coombe Street. Puściłam się biegiem i dogoniłam ją przed wejściem do piekarni.

— Bessy! — zawołałam.

Odwróciła się i na mój widok mruknęła coś pod nosem. Musiałam złapać ją za ramię, bo już chciała dać nura do środka.

— Czego chcesz? — zapytała, przewracając oczami.

— Wróciłyście! Jesteście... Czy one... Czy panna Elizabeth dobrze się czuje?

— Posłuchaj, Mary Anning — powiedziała Bessy, stając do mnie przodem. — Daj im spokój, słyszysz? Jesteś ostatnią osobą, którą chcą zobaczyć. Nie zbliżaj się do Silver Street.

Bessy nigdy mnie nie lubiła, więc wcale się nie zdziwiłam, słysząc te słowa. Musiałam się tylko przekonać, czy mówi prawdę. Próbowałam wyczytać to z jej twarzy. Wyglądała na zaniepokojoną, zdenerwowaną i rozzłoszczoną. Nie patrzyła prosto na mnie, tylko cały czas odwracała głowę na boki, tak jakby miała nadzieję, że ktoś nadejdzie i uwolni ją ode mnie.

— Nie zrobią ci nic złego, Bessy.

— Właśnie że zrobisz! — syknęła. — Trzymaj się od nas z daleka. Nie jesteś mile widziana w Morley Cottage. Mało brakowało, a zabiłabyś pannę Elizabeth, taka jest prawda. Miała takie ciężkie zapalenie płuc, że którejs nocy, gdy było bardzo źle, myśleliśmy, że już po niej. Przez ciebie zachorowała. Teraz to nie ten sam człowiek. Masz ją zostawić w spokoju!

Przepchnęła się koło mnie i weszła do sklepu.

Wróciłam Coombe Street na Cockmoile Square, ale nie podeszłam do mamy, która siedziała za kramem. Skręciłam w Bridge Street, przecięłam plac za salami asambłowymi i gospodą Three Cups i poszłam pod górę Broad Street. Jeżeli miałam nie widywać sióstr Philpot, chciałam usłyszeć to od nich, a nie od Bessy.

Był dzień targowy — na Shambles handlowano w najlepsze, stragany ciągnęły się do połowy Broad Street. Przeciskając się w gęstym tłoku, miałam wrażenie, że brnę przez wodę podczas przypływu. Ale coś pchało mnie dalej.

Otoczona chmarą ludzi zauważyłam ją dopiero po chwili. Schodziła ze wzgórza, trzymając się prosto i stawiając szybkie, drobne kroki — jak to ona. Poczułam się tak, jakbym zobaczyła na horyzoncie niewyraźny kształt, który przybliżał się i w pewnym momencie upodobnił do statku. Wówczas uderzył mnie piorun i stanęłam w miejscu, nie zważając na otaczający mnie tłum, który rozstępował się i rozpychał.

Elizabeth Philpot była otoczona ludźmi, ale szła sama, bez swoich sióstr. Sprawiała wrażenie dużo szczuplejszej, niemal skóra i kości, znajoma fioletowa suknia wisiała na

niej, budka okalała wymizerowaną twarz. Kości policzkowe były bardziej wydatne — no i przede wszystkim szczęka, długa, prosta i masywna jak u ichtka. Mimo to panna Elizabeth poruszała się energicznie, zdecydowanie zmierzała do celu. Gdy podeszła bliżej, dostrzegłam blask w jej szarych oczach, jak gdyby biło z nich światło. Wypuściłam z płuc powietrze — nawet nie zauważyłam, że wstrzymałam oddech.

Na mój widok jej twarz rozjaśniła się niczym Golden Cap dotknięty promieniami słońca. I wtedy puściłam się pędem, roztrącałam ludzi tarasujących mi drogę, a zarazem zdawało mi się, że prawie wcale nie posuwam się do przodu. Gdy do niej dobiegłam, chwyciłam ją w ramiona i wybuchnęłam płaczem na oczach całego miasteczka, na oczach Fanny Miller, która stała przy kramie z warzywami i nie mogła oderwać ode mnie wzroku, na oczach mamy, która przyszła zobaczyć, co mi się stało, i wszystkich, którzy obgadywali mnie za plecami, a teraz robili to otwarcie, a ja w ogóle się tym nie przejmowałam.

Nie odzywałyśmy się słowem, tylko stałyśmy przytulone do siebie i płakałyśmy, a przecież panna Elizabeth nigdy nie płakała. Wszystko, co przeżyłam — znajdowanie ichtków i plezików, pójście z pułkownikiem Birchem do sadu, spotkanie z panem Prevostem — było nieważne, bo poczułam uderzenie pioruna, które oznaczało największe szczęście w całym moim życiu.

— Wymknęłam się siostram, żeby cię poszukać — powiedziała, gdy oderwałyśmy się od siebie, i wytarła oczy. — Bardzo się cieszę, że jestem w domu. Nigdy nie przypuszczałam, że aż tak będę tęsknić za Lyme.

— Zdaje się, że doktor zabronił pani mieszkać nad morzem ze względu na słabe płuca.

W odpowiedzi panna Elizabeth zrobiła wdech, zatrzymała powietrze i zrobiła wydech.

— Co londyńscy lekarze wiedzą o morskim klimacie? Tamtejsze powietrze jest okropne. Tutaj czuję się dużo lepiej. Poza tym nikt mnie nie odciągnie od moich ryb. Skoro o nich mowa, dziękuję za skrzynkę z okazami. Są zachwycające. Chodźmy nad morze. Prawie go nie widziałam, bo Margaret, Louise i Bessy nie wypuszczają mnie z domu. Za bardzo się o mnie martwią.

Poszła dalej w dół Broad Street, a ja, ociągając się, ruszyłam za nią.

— Zezłoszcza się, że pani pozwoliłam. I tak mają mi za złe, że przeze mnie pani się pochorowała.

— Bzdury — prychnęła. — Nie kazałaś mi siedzieć przez cały wieczór na korytarzu pełnym przeciągów. Ani nie kazałaś płynąć statkiem do Londynu. To były moje szaleńcze pomysły i sama ponoszę za nie odpowiedzialność — oświadczyła takim tonem, jakby wcale tego nie żałowała.

Potem opowiedziała mi o spotkaniu członków Towarzystwa Geologicznego i o tym, jak pan Buckland i wielbny Conybeare zgodzili się napisać do Cuviera, a pan Buckland miło się o mnie wyraził w obecności tylu zebranych tam panów, choć jego słowa nie zostały umieszczone w protokole. Z kolei ja opowiedziałam jej o panu Prevoście i o plezjozaurze, który znajdzie się w kolekcji pana Cuviera w Paryżu. Wspaniale nam się rozmawiało, ale pod skórą czułam niepokój — wiedziałam, że będę musiała zrobić coś trudnego: powiedzieć „przepraszam”.

Przechadzałyśmy się drogą spacerową nad morzem, gdy w pewnej chwili stanęłam przed panną Elizabeth, nie pozwalając jej iść dalej.

— Chcę panią przeprosić za wszystko, co powiedziałam — wypaliłam. — Za to, że byłam taka dumna i zarozumiała. Za to, że wyśmiewałam się z pani ryb i z pani sióstr. Zachowałam się wobec pani okropnie, bardzo nie w porządku po tym wszystkim, co pani dla mnie zrobiła. Przez te lata ogromnie mi pani brakowało. A kiedy pani wyjechała z mojego powodu do Londynu i była bliska śmierci...

— Wystarczy. — Przerwała mi i uniosła rękę. — Przede wszystkim mów do mnie Elizabeth.

— Ja... No dobrze, E... Elizabeth — wyjąkałam, dziwnie się czując, że nie mówię do niej „panno”.

Panna Elizabeth ruszyła dalej.

— Poza tym nie poczuwaj się do winy z powodu mojej wyprawy do Londynu. Ostatecznie sama podjęłam tę decyzję. I w gruncie rzeczy powinnam ci podziękować. Podróż do Londynu na pokładzie „Unity” była najwspanialszym doświadczeniem w moim życiu. Zmieniła mnie na lepsze i ani odrobinę nie żałuję tego, co zrobiłam.

Rzeczywiście zaszła w niej jakaś zmiana, ale trudno mi było powiedzieć, na czym dokładnie polegała różnica. Może zachowywała się pewniej. Gdyby ktoś chciał ją teraz narysować, pasowałyby wyraźne, zdecydowane linie, podczas gdy dawniej — lekki zarys postaci i więcej cieniowania. Przypominała skamielinę, która została oczyszczona i złożona w całość, więc każdy widział, jak naprawdę wygląda.

— Co zaś się tyczy rozdźwięku między nami, ja też wypowiedziałam słowa, których żałuję — mówiła dalej. —

Zazdrościłam ci względów u pułkownika Bircha, miałaś wtedy rację, i również wiedzy o skamieniałościach, talentu do znajdowania ich oraz zrozumienia, czym są. Ja nigdy nie miałam takich umiejętności.

— Och...

Spojrzałam w bok, trudno mi było odwzajemnić jej się takim samym jasnym i szczerym spojrzeniem. Rozmawiając, szłyśmy dalej, aż do cypla Cobb. Fale rozbijały się o wał, rozpryskiwały na tysiące kropelek i po każdym uderzeniu miewy wzbijały się łukiem w powietrze.

— Wiesz, chciałabym pójść na Cmentarzysko Amonitów — oznajmiła panna Elizabeth. — Dawno tam nie byłam.

— Na pewno chce pani iść tak daleko, panno Elizabeth? Nie wolno się pani przemęczać po takiej chorobie.

— Daj spokój. Margaret i Bessy dość się ze mną cackają. Choć nie Louise, na szczęście. I mów mi po imieniu. Będę nalegać, aż się nauczysz.

Wędrowałyśmy przed siebie plażą, trzymając się pod rękę i rozmawiając. W końcu nie miałyśmy już nic do powiedzenia, jak burza, gdy się wygrzmi, i zaczęłyśmy wpatrywać się w ziemię, gdzie dziwy czekały, by je odnaleźć.

10

Razem w milczeniu

Z bieramy skamieniałości na plaży: Mary szuka swoich stworzeń, ja szukam swoich ryb. Nie odrywamy oczu od piasku i skał, wędrując w różnym tempie, raz jedna na przódzie, raz druga. Mary zatrzymuje się, żeby rozbić konkrację i zobaczyć, co zawiera. Ja grzebię w glinie, szukając czegoś nowego i cudownego. Rzadko się odzywamy, nie odczuwamy potrzeby. Jesteśmy razem w milczeniu, każda w swoim świecie, i wiemy, że druga jest tuż za plecami.

Posłowie

Cierpliwość czytelnika

Nazwisko Mary Anning po raz pierwszy pojawiło się w kontekście naukowym we Francji w roku 1825, kiedy Georges Cuvier zamieścił je w podpisie pod rysunkiem plezjozaura w trzecim wydaniu swojej pracy *Discours sur les revolutions de la surface du globe* (Rozprawa o gwałtownych przemianach na powierzchni Ziemi). W Wielkiej Brytanii pierwszy wymienił ją z nazwiska William Buckland w artykule o sfosylizowanych odchodach zwierząt, napisanym w 1829 roku; w tym czasie Mary Anning i William Buckland ustalili już, że kamienie bezoarowe są odchodami ichtiozaurów i plezjozaurów. Mary Anning znalazła również pierwszego kompletnego pterodaktyla (nazywanego teraz pterozaurom) w Wielkiej Brytanii oraz przedstawiciela rodzaju *Squaloraja*, formę przejściową pomiędzy rekinem a rają, którą uznano za holotyp.

Mary Anning nie wyszła za mąż, mieszkała z matką do jej śmierci w 1842 roku. W roku 1826 przeprowadziła się z Cockmoile Square na Broad Street, do domu ze sklepem od frontu. Jej pies Tray zginął na skutek oberwania się skały

w 1833 roku; kamienie spadły w odległości kilku stóp od Mary. Mary Anning zmarła na raka piersi, mając czterdzieści osiem lat, w 1847 roku. Jest pochowana na cmentarzu przy kościele Świętego Michała, którego parafianką stała się w późniejszym okresie życia. Znalezione przez nią ichtiozaury i plezjozaury są eksponowane w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, a pozbawiony łba plezjozaur, którego kupił od niej Cuvier, znajduje się w Galerii Paleontologicznej Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu.

W roku 1834 przyjechał do Lyme szwajcarski naukowiec Louis Agassiz, zainteresowany kopalnymi rybami z kolekcji Elizabeth Philpot. Wyraził podziękowanie Elizabeth i Mary w swojej książce *Recherches sur les poissons fossils* (Badania nad rybami kopalnymi) i nazwał gatunki ryb od ich nazwisk.

Elizabeth przeżyła Mary Anning i swoje siostry, zmarła w roku 1857 w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Jej majątek odziedziczył bratanek John; w roku 1880 jego żona przekazała kolekcję Elizabeth Philpot w darze Muzeum Historii Naturalnej Uniwersytetu Oksfordzkiego, gdzie te znakomite okazy nadal wypełniają wiele szuflad. Wnuk brata Elizabeth, Thomas, założył z czasem Muzeum Philpotów w Lyme Regis. Tak się szczęśliwie złożyło, że muzeum mieści się obecnie w okazałym budynku stojącym na miejscu domu Anningów przy Cockmoile Square. Wśród wielu cennych eksponatów związanych z historią miasta można zobaczyć młotek zrobiony przez ojca Mary i używany przez nią podczas poszukiwań.

Joseph Anning otworzył zakład tapicerski w roku 1825 i całkowicie oddał się temu zajęciu; ożenił się w roku 1829 i miał troje dzieci. Jak się zdaje, stosunki Mary

Anning z bratową układały się nie najlepiej. Zgodnie ze swoim pragnieniem Joseph wiódł szacowne życie, opiekował się potrzebującymi parafianami i sprawował funkcję kościelnego.

Pułkownik Thomas James Birch, odziedziczywszy tytuł i posiadłość rodzinną w Yorkshire, od roku 1824 nosił nazwisko Bosvile. Umarł pięć lat później.

William Buckland znalazł jednak kobietę, która zgodziła się poślubić go w roku 1825 — poznali się podczas podróży dyliżansem: siedziała naprzeciwko niego i czytała książkę Cuviera. Nadal przeżerał się przez królestwo zwierząt, usiłując pogodzić swą wiedzę geologiczną z przekonaniem religijnymi. Potem został dziekanem Szkoły Westminsterskiej. Pod koniec życia zapadł na chorobę umysłową i przebywał w zakładzie dla obłąkanych.

W latach 1830-1833 Charles Lyell opublikował *The Principles of Geology* (Podstawy geologii), dzieło, które miało doniosły wpływ na rozwój współczesnej geologii; Charles Darwin zabrał je w słynną podróż na pokładzie „Beagle”.

Jane Austen odwiedziła Lyme we wrześniu 1804 roku, można więc przypuszczać, że słynna pisarka i Margaret Philpot znalazły się w tym samym czasie w salach asamblowych. Faktem jest, że Jane Austen poznała Richarda Anninga — zaszła do jego warsztatu, chcąc się dowiedzieć, ile kosztowałoby naprawienie wieka kufra. W liście do siostry napisała potem, że podał tak wysoką cenę, iż zleciła reperację komu innemu.

Dziewczyna z muszlą jest fikcją literacką, lecz wiele występujących tu postaci istniało naprawdę i autentyczne są

takie zdarzenia jak licytacja kolekcji pułkownika Bircha i spotkanie w siedzibie Towarzystwa Geologicznego, kiedy to wielebny Conybeare wygłosił odczyt o plezjozaurze. A Mary Anning rzeczywiście przepisała referat naukowy i na końcu zanotowała: „W moim artykule nie będzie ani jednego wstępu”. Szkoda, że nigdy nie napisała własnej pracy naukowej.

Podejście do czasu, jakie mają ludzie w dwudziestym pierwszym wieku, i nasze oczekiwania względem fabuły znacznie różnią się od toku życia Mary Anning. Dzień w dzień, rok w rok wykonywała te same czynności na plaży. Wybrałam pewne zdarzenia z jej życia, po czym skomprimowałam je i wpasowałam w opowieść, tak by cierpliwość czytelnika nie została wystawiona na próbę. Dlatego też wydarzenia, choć przedstawione po kolei, nie zawsze są zgodne z ich kalendarzem i trwaniem w rzeczywistości. Poza tym, naturalnie, dużo wymyśliłam. I tak, choć krążyły plotki o Mary i Bucklandzie oraz o Mary i Birchu, dowodów nie ma. Tu może wkroczyć jedynie powieściopisarz.

Moje podziękowania niech zechcą przyjąć: pracownicy biblioteki Towarzystwa Geologicznego oraz Muzeum Historii Naturalnej w Londynie; pracownicy Muzeum Philpotów w Lyme Regis, Muzeum Hrabstwa Dorset i Muzeum Historii Dorset w Dorchester; pracownicy Muzeum Dinozaurów w Dorchester, gdzie po raz pierwszy usłyszałam o Mary Anning; Philippe Taquet z Państwowego Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu; Paul Jeffery z Muzeum Historii Naturalnej Uniwersytetu Oksfordzkiego; Maureen Stollery za jej pomoc przy ustalaniu genealogii Philpotów; oraz

Alexandria Lawrence, Jonny Geller, Deborah Schneider, Susan Watt, Carole DeSanti i Jonathan Drori.

Wyrazy wdzięczności niech przyjmą przede wszystkim trzy osoby. Hugh Torrens, który wie więcej o Mary Anning niż ktokolwiek inny i okazał mi ogromną serdeczność. Jo Draper, święta kobieta, która udostępniała mi archiwa Muzeum Philpotów i przesyłała najdrobniejsze informacje na każdy temat, a ponadto ujawniała swoją erudycję z dużą skromnością i poczuciem humoru. I wreszcie Paddy Howe, znakomity poszukiwacz skamieniałości, który podarował mi wiele okazów i zabierał mnie na plażę między Lyme a Charmouth, gdzie znajdowałam ich jeszcze więcej, stosując się do jego nauk udzielanych mi cierpliwie, mądrze i z wdziękiem.